

THE MASTER OF ACTION AND SUSPENSE

# ALISTAIR MACLEAN

SOUTH BY  
JAVA HEAD

'Excitements  
come and go at  
breathless speed'

The Times





# MACLEAN ALISTAIR

Na południe od Jawy

# ALISTAIR MACLEAN

Z angielskiego przełożyła Halina Ciepłńska Tłoczono

Pisał A. Galbarski Korekty dokonały D. Jagiełło i K. Markiewicz

Powieść brytyjskiego twórcy licznych bestsellerów opowiada o ucieczce grupy Anglików z oblężonego Singapuru podczas II wojny światowej. Nie wszyscy jednak uciekinierzy myślą wyłącznie o ratowaniu życia. Niektórzy z nich mają za zadanie przewiezienie tajnych planów japońskiej inwazji na Australię. Sensacyjna akcja o znakomicie stopniowanym napięciu rozgrywa się w scenerii Azji Południowo\_Wschodniej. Maclean jeszcze raz udowadnia, że jest pisarzem, którego się czyta.

Rozdział pierwszy Umierające miasto spowił całun nieprzeniknionego, gęstego, dławiącego dymu. Oblekł wszystkie budynki, wszystkie biurowce i domy, zarówno te nietknięte, jak i zburzone przez bomby, otulił je ciemnym, lekko wirującym kokonem anonimowości. Wypełniał, zatapiał wszystkie ulice, zaułki i baseny portowe. Kłębił się jak w piekielnej otchłani w łagodnym powietrzu tropikalnej nocy. Wcześniej wieczorem, kiedy dym buchał w mieście tylko z płonących budynków, w górze tworzyły się szerokie, nieregularne prześwity, przez które widać było gwiazdy świecące na pustym niebie. Lecz wiatr się nieco zmienił i prześwity znikły, a poza tym zza miasta nadciągnęły kłęby dymu z uszkodzonych zbiorników, w których płonęła ropa. Nie wiadomo było, skąd się bierze ten dym. Może z lotniska Kallang, może z elektrowni, może wprost z przeciwnej strony wyspy, to znaczy z północy, gdzie była baza marynarki, a może z wysp, na których wydobywało się ropę, z oddalonych o cztery czy pięć mil Pulo Sambo i Pulo Sebarok. Nikt nie wiedział. Nie sposób było się dowiedzieć czegokolwiek, prócz tego, co się samemu zobaczyło, a panowała niemal całkowita ciemność. Nie rozświetlały jej teraz nawet płonące budynki, bo już się spaliły i pozostało po nich tylko pogorzeliśko, na którym migotały ostatnie wątle płomyki, prawie wygasłe, podobnie jak całe życie w Singapurze. Umierające miasto spowiła już śmiertelna cisza. Co pewien czas rozlegał się w górze groźny świst pocisku, który wpadał nieszkodliwie w wodę albo walił w budynek z krótkim grzmotem i

błyskiem wybuchu. Lecz w tym, że wszystko było osobliwie przelotne, że dźwięk i światło natychmiast zamierały i gasły w spowijającym okolicę dymie, było coś naturalnego – zdawało się to nieodłączną cechą dziwnej i jakby nierealnej nocy. Cisza tylko jeszcze bardziej się przez to pogłębiała i tężała. Co pewien czas zza Fortu Canning i Pearls Hill, spoza północno\_zachodnich granic miasta dolatywał nieregularny trzask serii z karabinów i pistoletów maszynowych, ale te odgłosy też były odległe, nierealne i odbijały się tak dalekim echem jak we śnie. Wszystko tej nocy przypominało sen, było mroczne i nierzeczywiste – nawet tych kilku ludzi, którzy przedzierali się przez zasypane gruzem, niemal wyludnione ulice Singapuru. Przypominali podróżnych wędrujących bez celu, pełnych wahania, zobojętniałych i niepewnych, błędzących po omacku przez kotłujące się kłęby dymu: drobne zagubione postacie beznadziejnie brnące na oślep przez mgłę sennego koszmaru. \* \* \* Posuwając się powoli i niepewnie ciemnymi ulicami mała grupka żołnierzy – może było ich z dwudziestu czterech – zmierzała w stronę nabrzeża krokiem starych, wyczerpanych ludzi. Wyglądali też jak starcy, szli chwiejąc się na nogach, a głowy i ramiona mieli po starczemu pochylone, chociaż najstarszy z nich nie liczył więcej niż trzydzieści lat. Byli jednak zmęczeni, strasznie zmęczeni, zmęczeni do granic zobojętnienia i wyczerpania, kiedy już nic nie ma znaczenia i łatwiej jest potykając się brnąć naprzód, niż się zatrzymać. Byli wyczerpani, chorzy i ranni, działali bezmyślnie, automatycznie, niezdolni do

podejmowania świadomych decyzji. Całkowite wyczerpanie umysłowe i fizyczne jest jednak zarazem dobrodziejstwem, lekiem, środkiem uśmierzającym. Potwierdzał to ponad wszelką wątpliwość ich bezmyślny wzrok wbity tępo w ziemię pod stawiane z mozołem stopy. Jeśli nawet ich ciałom nadal dawały się we znaki różne dolegliwości, przynajmniej nie zdawali sobie z tego sprawy. W każdym razie w tej chwili zatarł im się w pamięci ślad koszmarnych wydarzeń minionych dwóch miesięcy – niedostatku, głodu, pragnienia, ran, chorób i strachu – kiedy to Japończycy gnali ich przez nieskończone długi Półwysep Malajski, przez zniszczoną teraz mierzeję Johore, aż znaleźli się na iluzorycznie bezpiecznej wyspie Singapuru. Nie pamiętali już towarzyszy, którzy zginęli, wrzasków niczego nie podejrzewających wartowników, zarzynanych we wrogiej ciemnej dżungli, diabolicznego wycia Japończyków, kiedy napadli przed świtem na ich naprędce przygotowane pozycje obronne. Nie pamiętali już tych rozpaczliwych samobójczych kontrataków, których jedynym pozytywnym wynikiem było zdobycie kilku metrów kwadratowych ziemi, drogo, lecz bezcelowo odzyskanej jedynie na chwilę. Nie dawały im te natarcia nic, prócz widoku okropnie okaleczonych, torturowanych ciał schwytych kolegów oraz cywilów nie kwapiących się do współpracy z wrogiem. Nie pamiętali już, jak byli wściekli, zdezorientowani i zrozpaczeni, kiedy ostatni myśliwiec brewster, a przedtem myśliwce hurricane zniknęły z nieba pozostawiając ich wyłącznie na łasce lotnictwa japońskiego. Nawet to, że absolutnie nie dawali wiary nowinom o lądowaniu japońskich

wojsk na wyspie przed pięcioma dniami, że patrzyli z goryczą, jak na ich oczach rozwiewa się pieczołowicie pielęgnowana legenda, mit o niezdobytym Singapurze – nawet to też zatarło im się w pamięci. Już nie pamiętali. Byli zbyt oszołomieni, chorzy, ranni i słabi, by pamiętać. Ale pewnego dnia, już wkrótce, jeśli nie zginą, przypomni im się to wszystko, a wtedy nigdy już nie będą tacy sami jak przedtem. Tymczasem jednak mozolnie posuwali się naprzód, ze wzrokiem wbitym w ziemię, z opuszczonymi głowami, nie patrząc, dokąd idą, obojętni, dokąd dotrą. Jeden z nich jednak patrzył i nie był obojętny. Szedł powoli na przedzie ciągnącej dwuszeregiem kolumny mężczyzn, szukał drogi przez rumowisko zaścietające ulicę, zapalając od czasu do czasu latarkę, by się upewnić, czy podążają we właściwym kierunku. Był to niski, drobny mężczyzna, jedyny w grupie, który miał na sobie szkocką spódnicę, a na głowie beret. Tylko kapral Frazer wiedział, skąd ma tę spódnicę – na pewno nie był w nią ubrany, kiedy wycofywali się przez Malaje na południe. Kapral Frazer był tak samo zmęczony jak inni. Też miał podkrążone i nabiegłe krwią oczy, twarz szarą, wyniszczoną przez malarię czy dyzenterię, a może przez jedno i drugie. Szedł trzymając lewe ramię o wiele wyżej niż prawe, tak że sięgało mu niemal do ucha, niczym garb, ale był to tylko prowizoryczny opatrunek z gazy i bandaża, założony pośpiesznie tego samego dnia przez sanitariusza, który chciał dowieść, że usiłował zatamować krwawienie z paskudnej rany po szrapnelu. W prawej ręce Frazer trzymał ważącego jedenaście kilogramów breña,

którego dźwiganie było niemal ponad siły dla osłabionego organizmu – wyglądało to tak, jakby karabin obciągał kapralowi w dół prawe ramię, podczas gdy lewe wędrowało jeszcze wyżej, pod samo ucho. Z jednostronnym garbem, w berecie na bakier, w spódnicy, której fałdy luźno obijały się o wychudzone nogi, drobny mężczyzna wyglądał śmiesznie i groteskowo. Ale tak naprawdę kapral Frazer nie był ani śmieszny, ani groteskowy. Jako pasterz z Cairngorms, dla którego trud i niedostatek stanowiły nieodłączny element egzystencji, mógł jeszcze ostatkiem siły woli i wytrwałości coś z siebie wykrzesać. Kapral Frazer nadal był najlepszym żołnierzem pod słońcem – najlepszym z najlepszych typów żołnierza. Miał ogromne poczucie obowiązku i odpowiedzialności, nie pozwalał sobie na to, by poddać się bólowi czy słabości, myślał wyłącznie o ludziach, którzy ślaniając się na nogach ciągnęli ślepo za nim. Dwie godziny wcześniej oficer dowodzący ich rozbitą, zdeorganizowaną kompanią na północnym skraju miasta wydał rozkaz, by Frazer zabrał wszystkich zdolnych do chodzenia rannych oraz tych, których można było nieść, i przeprowadził ich z linii ognia w jakieś względnie spokojne i bezpieczne miejsce. Był to ruch nie mający znaczenia, o czym wiedział sam oficer i o czym wiedział też Frazer, padały bowiem ostatnie stanowiska obrony i nadszedł kres Singapuru. Zanim upłynie następny dzień, na wyspie Singapur nie pozostanie ani jeden człowiek, który nie będzie martwy, ranny czy wzięty do niewoli. Ale rozkaz to rozkaz, kapral Frazer więc posuwał się mozolnie, acz zdecydowanie

naprzód, kierując się ku zatoczce Kallang. Co pewien czas, w miejscach, gdzie ulica nie była zasypana gruzem, stawał z boku i przepuszczał przed siebie kolumnę żołnierzy. Wątpliwe, by którykolwiek z nich w ogóle zwrócił na niego uwagę – nikt z rannych na noszach, nikt z tych w lepszej formie ani z tych, którzy wprawdzie też byli chorzy i ranni, lecz dźwigali nosze. Za każdym razem kapral Frazer musiał czekać na ostatniego w kolumnie – wysokiego i chudego chłopaka, któremu głowa kiwała się obojętnie z boku na bok, a on sam bez przerwy mamrotał coś do siebie, niezrozumiale i bez związku. Młody żołnierz nie chorował ani na malarię, ani na dyzenterię, ani nawet nie został raniony, lecz mimo to był najbardziej chory ze wszystkich. Za każdym razem Frazer chwycił go za ramię i przynaglił, żeby dogonił główną grupę, a wówczas chłopak nie protestując przyspieszał kroku. Spoglądał tylko na kaprala obojętnym, pozbawionym wyrazu wzrokiem, niezdolnym nikogo rozpoznać, a Frazer za każdym razem patrzył na niego z wahaniem, potrząsał głową i znów ruszał naprzód, by znaleźć się na czele kolumny. \* \* \* W krętej, wypełnionej dymem uliczce płakał w ciemności mały chłopczyk. Był bardzo mały, miał może ze dwa i pół roku. O niebieskich oczach, blond włosach i jasnej karnacji, cały był umorusany rozmytą łzami sadzą i pyłem. Ubrany jedynie w cienką koszulkę i przewiązane sznurkiem krótkie spodenki, bosi, bez przerwy drżał na całym ciele. Płakał i płakał, zagubiony i udręczony pośród nocy, ale nie było nikogo, kto by usłyszał jego zawodzenia czy zwrócił na nie uwagę. Zresztą, żeby go

usłyszeć, trzeba by być nie dalej niż kilka metrów od niego, płakał bowiem cichutko, urywane łkania przerywał co pewien czas wibrujący, spazmatyczny oddech. Od czasu do czasu pocierał oczka drobnymi brudnymi piąstkami, jak to robią małe dzieci, kiedy są zmęczone lub gdy płaczą. Próbował w ten sposób przegnać ból – czarny dym gryzł go bowiem i piekł w zalane łzami oczy. Chłopczyk płakał, bo był bardzo, bardzo zmęczony, już kilka godzin temu normalnie powinien zostać ułożony do snu. Płakał, bo był głodny i chciało mu się pić, drżał z zimna – nawet podczas tropikalnej nocy może panować chłód. Płakał, bo nie wiedział, co się dzieje i był wystraszony, nie wiedział, gdzie jest jego dom i gdzie się podziela matka – przed dwoma tygodniami poszedł ze swoją starą amah, malajską niańką, na pobliski bazar, ale był zbyt mały i nieświadomy, żeby zdać sobie sprawę, co to oznacza, że po powrocie zamiast domu zastali zbombardowaną i wypaloną ruinę. Miał z matką odpłynąć z Singapuru na "Wakefieldzie", ostatnim dużym statku, właśnie tamtej nocy 29 stycznia... Płakał jednak przede wszystkim dlatego, że był sam.

Stara niańka Anna długo wędrowała z nim po ciemnych ulicach, przez kilka ostatnich godzin niosła go na rękach, aż nagle postawiła na ziemi, splotła obie ręce nad sercem i osunęła się na gruzy mówiąc, że musi odpocząć. Na wpół siedząc, na wpół leżąc, jakby pogrążona we śnie, pozostawała w tej samej pozycji dobre pół godziny. Głowa przechyliła jej się mocno na jedno ramię, oczy miała otwarte, znieruchomiałe. Na początku chłopczyk pochylił się raz czy dwa, żeby jej dotknąć, ale więcej tego nie robił. Trzymał się z daleka,

wystraszony, bojąc się patrzeć, bojąc się dotykać, niejasno zdając sobie sprawę – choć nie wiedział, dlaczego – że stara niania będzie długo, długo odpoczywała. Bał się odejść i bał się też zostać, lecz kiedy znów zerknął na staruszkę, ukradkiem przez skrzyżowane palce, nagle poczuł, że bardziej boi się zostać niż odejść. Ruszył więc uliczką nie patrząc, dokąd idzie, potykał się o cegły i kamienie, padał, podnosił się i znów biegł dalej, przez cały czas szlochając i drżąc pośród zimnej nocy. Przy końcu uliczki wysoka, wychudzona postać w poszarpanym słomianym kapeluszu puściła dyszel rykszy i wyciągnęła ręce, żeby zatrzymać dziecko. Mężczyzna nie chciał zrobić mu nic złego. Sam był chory – większość zapadłych na gruźlicę rykszarzy w Singapurze na ogół umierała po pięciu latach – ale mimo to nadal potrafił litować się nad innymi, zwłaszcza nad małymi dziećmi. Chłopczyk jednak zobaczył tylko wyłaniającą się z mroku, wysoką postać, która wykonała groźny ruch, i jego strach zamienił się w przerażenie – umknął wyciągniętym ręką i wybiegł z zaułka na opustoszałą ulicę, za którą panowała ciemność. Mężczyzna nie wykonał już żadnego ruchu, po prostu mocniej zawiązał się kocem na noc i ponownie oparł o dyszle swojej rykszy. \* \* \* Dwie szlochające cichutko jak chłopiec pielęgniarki brnęły z wysiłkiem naprzód. Mijały jedyny nadal płonący budynek w handlowej dzielnicy miasta, ale odwróciły głowy, by nie patrzeć na płomienie. Mimo wszystko jednak widać było ich pochylone gładkie twarze o wydatnych kościach policzkowych i skośnych oczach. Obie były Chinkami,

należały więc do narodu, który niełatwo poddaje się emocjom, lecz obie były bardzo młode i obie znalazły się bardzo blisko miejsca wybuchu, kiedy pocisk trafił w ciężarówkę Czerwonego Krzyża stojącą przy krawężniku niedaleko południowego wylotu ulicy Bukit Timor. Doznały szoku, z którego jeszcze się nie otrząsnęły. Dwie inne pielęgniarki pochodziły z Malajów. Jedna była młoda, w tym samym wieku co dwie Chinki, a druga w dobrze zaawansowanym średnim wieku. Wielkie, czarne jak sadza oczy młodej rozszerzone były ze strachu; dziewczyna idąc pośpiesznie naprzód wciąż nerwowo oglądała się za siebie. Starsza przybrała maskę niemal całkowitej obojętności. Od czasu do czasu młoda usiłowała protestować, że zostało im narzucone zbyt szybkie tempo, ale nikt nie był w stanie jej zrozumieć, ponieważ na skutek wybuchu doznała uszkodzenia ośrodka mowy. Prawdopodobnie był to uraz chwilowy, trudno jednak było tak wcześnie wyrokować. Kilkakrotnie podnosiła rękę, żeby zatrzymać pielęgniarkę na przedzie, tę, która narzucała tempo, ale druga dziewczyna po prostu opuszczała jej rękę, delikatnie, niemniej dość stanowczo, i dalej pędziły naprzód. Piąta pielęgniarka, ta, która prowadziła, była wysoka i wysmukła, miała ze dwadzieścia pięć lat. Kiedy wybuch rzucił ją za ciężarówkę, zgubiła czepek, i teraz gęste, granatowoczarne włosy opadały jej na oczy. Od czasu do czasu odgarniała je niecierpliwym ruchem i wówczas stawało się jasne, że nie jest ani Malajką, ani Chinką – przeczyły temu jej uderzająco niebieskie oczy. Miała, być może, rysy euroazjatyckie, ale na pewno nie wyglądała na

Europejkę. W migocącym żółtym świetle nie dawało się rozpoznać karnacji jej skóry, która umazana była błotem i pyłem. Na lewym policzku miała jakby długą szramę, widoczną nawet pod zaschniętą mazią. Była przewodniczką grupy, lecz straciła już orientację w mieście. Znała Singapur, i to dobrze, a jednak w spowijających wszystko dymie i ciemności czuła się jak obca, która zgubiła drogę w nieznanym metropolii. Gdzieś na wybrzeżu, jak jej mówiono, czekała gromada żołnierzy, z których wielu potrzebowało natychmiastowej pomocy – jeśli nie otrzymają jej dzisiejszej nocy, z pewnością nikt im jej nie udzieli w japońskim obozie jenieckim. Z minuty na minutę coraz bardziej wyglądało na to, że Japończycy dopadną ich pierwsi. Im dłużej pielęgniarki kluczyły i krążyły po opustoszałych ulicach, tym bardziej beznadziejnie traciła orientację ich przewodniczka. Powiedziano jej, że powinna znaleźć żołnierzy gdzieś naprzeciwko Cape Ru nad zatoczką Kallang, ale dotychczas nie potrafiła nawet trafić na wybrzeże, a co dopiero zorientować się po ciemku, gdzie jest Cape Ru. Minęło pół godziny, godzina i nawet ona zaczęła zwalniać kroku, bo po raz pierwszy ogarnęła ją rozpacz. Nigdy nie znajdą tych żołnierzy, nigdy, na pewno im się to nie uda pośród tego niekończącego się zamętu i ciemności. Ich lekarz, major Blackley, naprawdę bardzo nieuczciwie postawił sprawę, oczekując od nich, że staną na wysokości zadania. Jednocześnie z tą myślą przyszła jej jednak do głowy inna – że to nie Blackley postąpił nieuczciwie, lecz ona sama próbuje się usprawiedliwić. Przecież kiedy nad peryferiami Singapuru

zajaśnieje świt, życie mężczyzn i kobiet będzie zależało wyłącznie od tego, w jakim humorze będą Japończycy. Już się z nimi zetknęła i miała na tyle przykre doświadczenia, że nie zapomni tego spotkania, a także blizny stanowiącej dowód na to, że się odbyło, blizny, która jej pozostanie na całe życie. Im dalej od żadnych krwi Japońców, tym lepiej. Poza tym, jak podkreślił major, żadna z nich nie była na tyle w dobrym stanie, by móc

pozostać na swoim stanowisku. Niemal bezwiednie dziewczyna potrząsnęła głową, znów przyspieszyła kroku i skręciła w następną ciemną i pustą ulicę. \* \* \* Strach i przerażenie, choroba i rozpacz – zapanowały nad miastem, nękały wędrującą gromadę żołnierzy, chłopczyka i pielęgniarki oraz dziesiątki tysięcy innych ludzi o północy 14 lutego 1942 roku, kiedy to tryumfujący, wszechmocni Japończycy przyczaili się przed ostatnimi stanowiskami obronnymi miasta czekając na świt, szykując się do ataku, spragnieni rozlewu krwi i niechybnego zwycięstwa. Lecz przynajmniej jednemu człowiekowi obcy był strach, ból i rozpacz. Wysoki starszy mężczyzna w oświetlonej świecami poczekalni pewnego urzędu, trochę na południe od Fort Canning, nie poddawał się żadnemu z tych uczuć. Świadom był jedynie raptownego upływu czasu, nagłej potrzeby działania, tego, że jeszcze nigdy nie spoczywał na nim jednym taki ciężar niemal ponadludzkiej odpowiedzialności. Zdawał sobie z tego sprawę, był tak zaabsorbowany, że wszystko inne stało się nieważne, niemniej na jego spokojnej, prawie obojętnej, pomarszczonej twarzy koloru czerwonej cegły, pod

czupryną gęstych siwych włosów nie widać było ani śladu tych napięć. Być może koniec krótkiego birmańskiego cygara sterczącego zawiadaczająco spod szczeciniastych białych wąsów i orlego nosa żarzył się odrobinę zbyt jasno, być może mężczyzna siedział zbyt swobodnie rozparty w trzciniowym fotelu, lecz nic poza tym nie rzuciło się w oczy. Pozornie wszystko wskazywało na to, że emerytowany generał Foster Farnholme jest w zgodzie ze światem. Otworzyły się za nim drzwi i do pokoju wszedł młody sierżant. Wyglądał na zmęczonego. Farnholme wyjął z ust cygaro i powoli odwrócił głowę, unosząc jedną krzaczastą brew w niemym pytaniu. – Panie generale, przekazałem pańską wiadomość. – W głosie sierżanta nie bez powodu dawało się odczuć zmęczenie. – Kapitan Bryceland powiedział, że zaraz się tu stawi. – Bryceland? – Białe brwi nad głęboko osadzonymi oczami wyciągnęły się w jedną kreskę. – Kto to, u diabła, jest kapitan Bryceland? Słuchaj no, synu, proszę wyraźnie, że chcę się widzieć z waszym pułkownikiem, i to zaraz. Natychmiast. Rozumiecie? – Może ja w czymś mogę pomóc. – Ktoś stanął na progu za sierżantem. Nawet w migotliwym świetle świecy widać było, jak okropnie nabiegłe krwią ma oczy, a żółte policzki zarumienione od gorączki. Ale łagodny głos o walijskim akcencie brzmiał dostatecznie uprzejmie. – Kapitan Bryceland? Młody oficer bez słowa przytaknął ruchem głowy. – Oczywiście, że możecie pomóc – skinął głową Farnholme. – Proszę sprowadzić mi tutaj waszego pułkownika, i to natychmiast. Nie mam chwili do stracenia.

–Tego nie mogę zrobić. – Bryceland pokręcił przecząco głową. – Po raz pierwszy od trzech dni położył się spać... i niech Bóg zaświadczy, że będzie nam potrzebny jutro rano. – Wiem. Ale mimo to muszę się z nim widzieć. – Farnholme przerwał czekając, aż ucichnie łoskot pobliskiego ciężkiego karabinu maszynowego, potem zaś mówił dalej bardzo spokojnie, lecz z wielkim przejęciem. – Kapitanie Bryceland, nie jesteście w stanie nawet zacząć się domyślać, dlaczego muszę się koniecznie widzieć z waszym pułkownikiem. To sprawa najwyższej wagi. Singapur jest przy niej niczym. – Wsunął rękę pod koszulę i wyciągnął czarnego automatycznego colta, dużego, kaliber 45. – Jeśli będę zmuszony sam go odszukać, użyję tego i go znajdę, ale mam nadzieję, że nie będę potrzebował. Proszę powiedzieć pułkownikowi, że generał Farnholme jest tutaj, a na pewno się stawi. Bryceland patrzył na niego przez dłuższą chwilę, wahał się, skinął głową i odwrócił się bez słowa. Wrócił po trzech minutach, stanął z boku w drzwiach, by przepuścić podążającego za nim mężczyznę. Pułkownik, jak domyślił się Farnholme, mógł mieć najwyżej czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Wyglądał na siedemdziesiąt, szedł chwiejnym, półpijanym krokiem człowieka, który zbyt długo żyje w stanie wyczerpania. Z trudnością walczył z opadającymi powiekami, lecz idąc powoli przez pokój zdobył się na uśmiech i wyciągnął uprzejmie rękę. – Dobry wieczór, generale. Z której części świata pan tu przybył? – Dobry wieczór, pułkowniku. – Farnholme wstał, ale zignorował pytanie. – A więc wie pan o mnie?

–Wiem. Po raz pierwszy słyszałem o panu ledwie trzy noce temu. – No to dobrze – kiwnął głową zadowolony Farnholme. – To oszczędzi nam wielu wyjaśnień... a nie mam na nie czasu. Zaraz więc przejdę do sedna. – Pokojem wstrząsnął wybuch pocisku, który upadł gdzieś w sąsiedztwie, podmuch powietrza prawie zdmuchnął świecę. Farnholme na wpół się odwrócił, a gdy było już po wszystkim, z powrotem przeniósł wzrok na pułkownika. – Żeby się wydostać z Singapuru, potrzebny mi jest samolot, wszystko mi jedno, jaki to będzie samolot, wszystko mi jedno, kogo będziecie musieli z niego wysadzić, bym ja się znalazł na pokładzie, wszystko mi jedno, dokąd polecą... czy do Birmy, Indii, Cejlonu czy Australii... nie robi mi to różnicy. Muszę mieć samolot, żeby się stąd wydostać. Natychmiast. – Musi pan mieć samolot, żeby się wydostać z Singapuru – pułkownik powtórzył jak echo jego słowa głosem bezbarwnym i bez wyrazu, podobnie jak pozbawiona wyrazu była jego twarz, a potem nagle uśmiechnął się, zmęczony, jak gdyby kosztowało go to wiele wysiłku. – Przecież wszystkim nam potrzebny jest taki samolot, generale. – Nie rozumie pan. – Farnholme absolutnie opanowanym ruchem zgniótł w popielniczkę swoje cygaro. – Wiem, że są tu setki rannych i chorych, kobiet i dzieci... – Ostatni samolot już odleciał – pułkownik przerwał mu matowym głosem. Przetarł sobie gołym przedramieniem przemęczone oczy. – Dzień... nie, dwa dni temu. Nie jestem pewien. – Jedenastego lutego – podpowiedział Bryceland. – Myśliwce hurricane. Odleciały do

Palembang. – Racja – przypomniał sobie pułkownik. – Hurricane. Odleciały w wielkim pośpiechu. – Ostatni samolot. – W głosie Farnholme'a nie słyhać było ani nutki zaangażowania. – Ostatni samolot. Ale... ale wiem, że były też inne. Brewster, wildebeeste... – Wszystkie albo odleciały, albo zostały zniszczone. – Pułkownik patrzył teraz na Farnholme'a jakby z zaciekawieniem. – A gdyby nawet było inaczej, i tak nie robiłoby to różnicy. Japońce opanowały wszystkie lotniska... Seletar, Sembawang, Tengah. Nie wiem, co z lotniskiem w Kallang, ale i ono jest bezużyteczne. – Rozumiem. Naprawdę rozumiem. – Farnholme patrzył na walizkę stojącą u jego stóp, po czym znów podniósł wzrok. – A wodnopławce, pułkowniku? Cataliny? Pułkownik powoli pokiwał głową na znak, że sytuacja jest nieodwołalna. Farnholme bacznie wpatrywał się w niego długą chwilę, skinął ze zrozumieniem, że przyjmuje wszystko do wiadomości, a potem zerknął na zegarek. – Czy mogę porozmawiać z panem na osobności? – Oczywiście. – Pułkownik nawet się nie zawahał. Począł, aż drzwi zamknęły się cicho za Brycelandem i sierżantem i uśmiechnął się blado do Farnholme'a. – Niestety, generale, ostatni samolot naprawdę odleciał. – Ani przez chwilę nie miałem co do tego wątpliwości. – Zaczął rozpinąć koszulę, ale przerwał to i podniósł wzrok. – Pan wie, pułkowniku, kim ja jestem... to znaczy, zna pan nie tylko moje imię? – Wiem od trzech dni. Sprawa ściśle tajna i tak dalej... podejrzewano, że jest pan tu w okolicy. – Po raz pierwszy

pułkownik obserwował gościa nie ukrywając zaciekawienia. – Siedemnaście lat pracy jako szef kontrwywiadu w Azji Południowo\_Wschodniej, włada tyłoma azjatyckimi językami, iloma nikt... – Bo zacznę się rumienić. – Farnholme rozpiął już koszulę, a teraz zabrał się do szerokiego, płaskiego, obciążonego gumą pasa. – Pan, pułkowniku, chyba nie włada żadnym językiem Wschodu? – Klnę się na moje grzechy, że niestety, władam. Japońskim. Dlatego tu jestem. – Uśmiechnął się figlarnie. – Myślę, że będzie ze mnie duży pożytek w obozach koncentracyjnych. – Japońskich? No, rzeczywiście. – Farnholme rozpiął zamki błyskawiczne dwóch kieszonek pasa i wyłożył ich zawartość na stół. – Niech pan się temu przyjrzy, dobrze? Pułkownik spojrzał bystro na niego, potem na fotostaty i rolki filmów leżące na stole, skinął głową, wyszedł z pokoju i zaraz wrócił niosąc okulary, lupę i latarkę. Usiadł przy stole i przez trzy minuty ani nie podniósł wzroku, ani się nie odezwał. Z ulicy dolatywał od czasu do czasu huk wybuchów, ostry, coraz szybszy terkot dalekiego karabinu maszynowego i złowrogie skamlenie odbitego rykoszetem pocisku, który ze świstem przeszywał zasnutą dymem noc. Ale w pokoju nikt nie wydał żadnego dźwięku. Pułkownik siedział przy stole jak kamienny posąg, ożywione były tylko jego oczy. Farnholme z nowym cygarem w ustach rozparł się w trzcinowym fotelu i popadł pozornie w kamienną obojętność. Niebawem pułkownik poruszył się i rzucił mu przez stół spojrzenie. Zaczął mówić niespokojnym głosem, a jego ręce trzymające fotostaty też zdradzały niepokój.

–Niepotrzebny mi japoński, żeby to zrozumieć. Mój Boże, skąd pan je ma, generale? – Z Borneo. Żeby je zdobyć, zginęło dwóch naszych najlepszych ludzi i dwóch Holendrów. Ale nie ma to teraz znaczenia i nie o tym chcę mówić. – Puścił dym z cygara. – Ważne jest to, że je mam, a Japońce o tym nie wiedzą. Pułkownik jakby go nie słyszał. Patrzył na trzymane w dłoniach filmy, kiwając powoli z boku na bok głową. W końcu odłożył filmy na stół, zdjął okulary, schował je do futerału i zapalił papierosa. Ręce nadal mu drżały. – To fantastyczne – wymamrotał. – Naprawdę fantastyczne. Istnieje ich najwyżej kilka. Cała północna Australia... filmy planów inwazji! – Opracowanych w każdym szczególe – potwierdził Farnholme. – Porty i lotniska, czas co do minuty, siły, które zostaną użyte, z dokładnością co do ostatniego batalionu piechoty. – Tak. – Pułkownik patrzył na fotostaty marszcząc brwi. – Ale coś tu... – Wiem, wiem – przerwał mu cierpko Farnholme. – Nie mamy klucza. Było to nie do uniknięcia. Daty oraz pierwszoplanowe i drugoplanowe cele są zaszyfrowane. Nie mogli ryzykować i pisać tego otwarcie... a szyfry Japończyków są nie do złamania, praktycznie wszystkie. Wszystkie, to znaczy poradziłby sobie z nimi tylko jeden starszy jegomość w Londynie, wyglądający tak, jakby nie umiał się podpisać. – Przerwał, by znów dmuchnąć w powietrze niebieskim dymem. – Lecz mimo to i tak coś mamy, prawda, pułkowniku? – Ale... ale jak się udało panu przypadkiem... – Nieistotne, mówiłem już. –

Spod maski leniwej obojętności zaczęła wzyierać stal. Potrząsnął głową i zaśmiał się cicho. – Przepraszam, pułkowniku. Chyba robię się nerwowy. Zapewniam pana, że nie było w tym żadnego "przypadku". Przez pięć lat pracowałem nad jedną sprawą, tylko nad jedną... żeby dostarczono mi te odbitki we właściwym czasie i miejscu. Japończycy nie są nieprzekupni. Udało mi się ich dopaść we właściwym czasie, ale nie we właściwym miejscu. Dlatego tu jestem. Pułkownik nawet nie słuchał. Patrzył na filmy kiwając z boku na bok głową, lecz wreszcie oderwał od nich wzrok. W tej samej chwili twarz jego się wydłużyła, nabrała starczego wyrazu, jak twarz człowieka, który doznał zawodu. – Generale, te filmy... te filmy są bezcenne. – Podniósł je i patrzył na Farnholme'a nieobecny wzrokiem. – Boże w niebiesiech, też w porównaniu z nimi wszystkie majątki tego świata są nic niewarte. To one stanowią o życiu lub śmierci, o zwycięstwie lub przegranej. To... to... wielkie nieba, generale, to przecież w końcu Australia! Nasi ludzie muszą je dostać... muszą! – Właśnie – przytaknął Farnholme. – Muszą je dostać. Pułkownik patrzył na niego w milczeniu, zmęczone oczy robiły mu się coraz większe, bo zrozumiał wstrząsającą prawdę. Opadł na krzesło, głową opuścił na piersi. Kręte smugi dymu gryzły go w oczy, ale jakby tego



nie zauważył. – Właśnie, powtarzam – powiedział sucho Farnholme. Sięgnął po filmy i fotostaty i zaczął je starannie wkładać do nieprzemakalnych przegródek pasa. – Chyba zaczyna pan teraz rozumieć, dlaczego z taką niecierpliwością domagałem

się... no... odtransportowania mnie samolotem z Singapuru. – Zaciągnął zamki błyskawiczne przy przegródkach. – Zresztą nadal ogromnie mi na tym zależy, zapewniam pana. Pułkownik pokiwał posępnie głową, ale nic nie powiedział. – Ani jednego samolotu? – spytał znów Farnholme. – Nawet w najgorszym stanie, nawet uszkodzonego...? – przerwał raptownie widząc wyraz twarzy pułkownika, ale po chwili znów spróbował: – A łódź podwodna? – Nie ma. Generał zacisnął usta. – A niszczyciele, fregaty, w ogóle statki? – Nie ma. – Pułkownik poruszył się. – Nie ma nawet statku handlowego. Ostatnie z nich: "Grasshopper", "Tien Kwang", "Katydid", "Kuala", "Dragonfly" i kilka innych równie małych statków przybrzeżnych odpłynęło z Singapuru wczoraj w nocy. I nie wróca. Ale też nie odpłyną dalej niż sto mil, bo siły powietrzne Japońców opanowały cały archipelag. Na pokładzie tych statków, generale, są ranni, kobiety i dzieci. Większość skończy na dnie morza. – To i tak lepiej niż w japońskim obozie. Niech mi pan wierzy, pułkowniku, wiem coś na ten temat. – Farnholme zapinał sprzączkę ciężkiego pasa. Westchnął. – No to wszystko wspaniale się składa. Dokąd się stąd udamy? – Na miłość boską, po co pan w ogóle tu przyjechał? – zapytał cierpko pułkownik. – Musiał pan przyjechać akurat do Singapuru, i to w takiej chwili. A w ogóle, jak się panu udało tutaj dostać? – Statkiem z Banjermasin – odparł krótko Farnholme. – Wsiadłem na "Kerry Dancera", najgorszą z pływających trumien, jakich nie dopuszczono do pływania po morzu. Kapitanem był gładki, ale niebezpieczny typek

nazwiskiem Siran. Trudno powiedzieć, ale mogę prawie przysiąc, że to jakiś angielski renegat mający z Japońcami podejrzanе stosunki. Oświadczył, że płynie do Kota Bharu... Bóg raczy wiedzieć, dlaczego... ale zmienił plany i przypłynął tutaj. – Zmienił plany? – Dobrze mu zapłaciłem. Nie swoimi pieniędzmi, mogłem więc sobie na to pozwolić. Myślałem, że w Singapurze będzie bezpiecznie. To, że Hong Kong, Guam i Wake padły, usłyszałem przez własny odbiornik, kiedy byłem na północnym Borneo, i musiałem stosunkowo szybko stamtąd się wydostać. Następną wiadomość odebrałem dużo późnieј, dopiero na pokładzie "Kerry Dancera". Dziesięć dni czekaliśmy w Banjermasin, zanim Siran łaskawie się zgodził odpłynąć – opowiadał cierpkim tonem Farnholme. – Jedyne porządne sprzęt i jedyny porządny człowiek na tym statku znajdował się w kabinie radiowej... Siran zapewne uważał, że to ważne ze względu na jego własne łajdackie praktyki. Byłem właśnie w tej kabinie z chłopakiem Loonem drugiego dnia pobytu na statku, to znaczy dwudziestego dziewiątego stycznia, kiedy odebraliśmy wiadomość B\$b\$с, że Japońce bombardują Ipoh. Pomyślałem więc, naturalnie, że posuwają się bardzo powoli i że starczy czasu, by dotrzeć do Singapuru i złapać samolot. Pułkownik skinął głową ze zrozumieniem. – Też słyszałem ten komunikat. Bóg jeden wie, kto był odpowiedzialny za te przerażające brednie. Japońce zdobyli Ipoh faktycznie ponad miesiąc wcześniej i wtedy byli już kilka mil na północ od mierzei. Boże, co za przeklęta partanina! – kiwnął głową. – Przeklęta, cholerna partanina!

–Bardzo łagodnie pan to ujmuje – zauważył Farnholme. – Ile czasu nam pozostało? – Jutro się poddajemy. – Pułkownik patrzył na swoje ręce. – Jutro?! – Wszyscy jesteśmy skończeni, generale. Nic już się nie da zrobić. Nie mamy też wody. Wyszadzając mierzeję zniszczyliśmy jedyny wodociąg doprowadzający wodę z kontynentu. – Bardzo inteligentnie, nasz plan działań obronnych opracowywali dalekowzroczni faceci – mruknął Farnholme. – A poszło na to trzydzieści milionów funciaków. Twierdza nie do zdobycia. Większa i lepsza niż Gib. Puste gadanie! Boże, niedobrze od tego się robi! – parsknął ze wstrętem, wstał i westchnął. – No cóż, nie ma co mówić. Trzeba wracać na starego "Kerry Dancera". Niech Bóg wspomaga Australię! – Na "Kerry Dancera"?! – pułkownik był zdumiony. – On odpływa godzinę po świcie, generale. Mówię panu, że w cieśninach aż roi się od japońskich samolotów. – A jakie inne wyjście może mi pan zaproponować? – spytał znużonym głosem Farnholme. – Wiem, wiem. Ale jeśli nawet dopisze panu szczęście, jaką ma pan gwarancję, że kapitan popłynie tam, dokąd pan będzie chciał? – Nie mam żadnej – przyznał generał. – Ale na pokładzie jest Holender nazwiskiem Van Effen, który może się przydać. We dwóch chyba damy radę przekonać naszego szanownego kapitana, na czym polega jego obowiązek. – Może. – Pułkownikowi przyszła niespodzianie pewna myśl do głowy. – A w ogóle, jaką ma pan gwarancję, że będzie czekał, kiedy zjawi się pan na nabrzeżu? – Oto moja gwarancja. – Farnholme szturchnął nogą

sfatygowaną walizkę stojącą obok. – Oto moja gwarancja i polisa ubezpieczeniowa... mam nadzieję. Siran myśli, że do pełna wypchana jest diamentami... przekupiłem go kilkoma, żeby tu przypłynął... i niezupełnie się myli. Dopóki będzie uważał, że może mnie z nią rozdzielić, dopóty nie odstąpi mnie na krok, jakbyśmy zawarli braterstwo krwi. – Czy on... nie podejrzewa... – Ani trochę. Uważa mnie za zatwardziałego starego pijusa uganiającego się za nieczystymi zyskami. Zadałem sobie odrobinę trudu, by... hm... utrzymać się w tej roli. – Rozumiem, generale. – Pułkownik podjął decyzję i sięgnął po dzwonek. Kiedy pojawił się sierżant, rozkazał mu: – Poproście kapitana Brycelanda. Farnholme uniósł brew w niemym pytaniu. – Tylko tyle mogę zrobić – wyjaśnił

pułkownik. – Nie mam samolotu. Nie mogę zagwarantować, że wszyscy nie utoniecie jutro do południa. Ale mogę zagwarantować, że kapitan "Kerry Dancera" będzie bezwzględnie posłuszny pana rozkazom. Mam zamiar odkomenderować podoficera i ze dwudziestu czterech ludzi z Pułku Górali Szkockich, by towarzyszyli panu na "Kerry Dancerze". – Uśmiechnął się. – Nawet w najlepszych warunkach to twardziele, a teraz są szczególnie doprowadzeni do pasji. Myślę, że kapitan Siran nie sprawi wam wiele kłopotu. – Jestem pewien, że nie. Cholernie jestem wdzięczny, pułkowniku. To powinno być dużą pomocą. – Zapiął guziki koszuli, chwycił walizkę i wyciągnął rękę. – Dzięki za wszystko, pułkowniku. Głupio to zabrzmiało, kiedy wiadomo, że czeka pana obóz koncentracyjny... ale cóż,

wszystkiego najlepszego. – Dziękuję, generale. Dla pana samej pomyślności... Bóg świadkiem, że przyda się panu. – Zerknął w dół, tam, gdzie generał miał ukryty pas z fotostatami, i zakończył ponuro: – Przynajmniej mamy szansę. \* \* \* Kiedy generał znów wyszedł w ciemną noc, dym powoli się przerzedzał, ale w powietrzu nadal czuło się dziwną i nieprzyjemną mieszaninę kordytu, śmierci i rozkładu, tak dobrze znaną starem żołnierzowi. Przed budynkiem czekał na niego młodszy oficer i ustawiona szeregiem kompania żołnierzy. Strzelanina i ogień z karabinów maszynowych wzmogły się, widoczność była o wiele lepsza, ogień dział ustał zupełnie – prawdopodobnie Japończycy uznali, że nie ma sensu doprowadzać do zbytniego zniszczenia miasta, które i tak nazajutrz będzie do nich należało. Farnholme i jego eskorta posuwali się szybko opustoszałymi ulicami, w drobnym deszczu, mając w uszach bez przerwy huk wystrzałów. Do nabrzeża dotarli w kilka minut. Dym, rozpędzony lekkim wiatrem od wschodu, prawie zupełnie tutaj zniknął. Dym zniknął, niemal natychmiast więc Farnholme dostrzegł coś, co kazało mu tak zacisnąć dłoń na uchwycie walizki, aż pobiełały mu kłykcie, a ramiona rozboleły od napięcia. Mała szalupa z "Kerry Dancera", którą pozostawił lekko objającą się o nabrzeże, też zniknęła. Przybity tym, z czego zdał sobie sprawę, szybko podniósł głowę, by spojrzeć na redę, ale tam też nic nie zobaczył. "Kerry Dancer" znikł, jakby nigdy nie istniał. Dookoła tylko deszcz, lekka bryza owiewająca twarz, a odrobinę dalej, na lewo, cichy, pełen

rozpaczy szloch chłopczyka, samotnego pośród ciemności. Rozdział drugi Podoficer dowodzący oddziałem żołnierzy dotknął ramienia Farnholme'a i wskazał głową na morze. – Łódź... odplynęła! Farnholme usiłował zachowywać się w sposób opanowany. Odezwał się głosem jak najbardziej spokojnym i rzeczowym: – Na to wygląda, poruczniku. Tak jak w starej piosence, pozostawili nas na brzegu. Diabelnie to niewygodne, że już się nie wyrażę bardziej dosadnie. – Tak jest. – Porucznik Parker uważał, że reakcja Farnholme'a w tej naglącej sytuacji raczej nie wskazuje na to, że nim wstrząsnęła. – Co teraz zrobimy? – Dobrze pytanie, chłopcze. – Przez kilka chwil Farnholme stał z nieobecny wyrazem twarzy, pocierając ręką policzek. – Słyszycie płacz dziecka gdzieś na nabrzeżu? – nagle spytał. – Tak jest. – Poślijcie po niego kogoś ze swoich ludzi. Najlepiej – dodał – jakiegoś ciepłego, o ojcowskich uczuciach, żeby dzieciak na śmierć się nie wystraszył. – I ma go tutaj przynieść? – podoficer był zdumiony. – Ale tu na ulicach wszędzie pełno tych małych arabskich... – Przerwał raptownie widząc, że rozgniewał Farnholme'a, który rzucił mu zimne, twarde spojrzenie spod krzaczastych brwi. – Mam nadzieję, że nie ogłuchliście, poruczniku – powiedział z troską w głosie. Mówił cicho, bo przeznaczone to było tylko dla uszu podoficera, podobnie jak wszystko powiedziane wcześniej. – Tak jest! To znaczy, nie! – Parker pospieszenie zrewidował

swoją opinię o Farnholmie. – Natychmiast kogoś tam wysyłam. – Dziękuję. Potem roześlijcie kilku ludzi po nabrzeżu, z osiemset metrów w jedną i drugą stronę. Każcie im przyprowadzić tu wszystkich napotkanych... może ktoś będzie coś wiedział, dlaczego nie ma szalupy. Powiedźcie, żeby użyli metod perswazji, jeśli to będzie konieczne. – Metod perswazji? – Dowolnych. Nasza stawka jest dziś wysoka, poruczniku. A kiedy wydadacie już konieczne rozkazy, chciałbym z wami porozmawiać na osobności. Farnholme odszedł kilka metrów w mrok. Po minucie Parker do niego dołączył. Generał zapalił nowe cygare i patrzył badawczo na młodego podoficera. – Czy wiecie, kim jestem, młody człowieku? – spytał obcesowo. – Nie. – Nazywam się Farnholme. Jestem generałem. – Uśmiechnął się w ciemności widząc, jak porucznikowi prostują się plecy. – Teraz już wiecie, ale macie o tym zapomnieć. Nigdy o mnie nie słyszeliście. Zrozumiano? – Nie, generale – odparł uprzejmie Parker. – Ale rozkaz, oczywiście, zrozumiałem. – Więcej nie musicie rozumieć. I od teraz nigdy nie zwracajcie się do mnie "generale". Czy wiecie, jakie mam zadanie? – Nie, generale, ja... – Powiedziałem, żebyście nie nazywali mnie generałem – przerwał mu Farnholme. – Jeśli nie będziecie tego robić będąc ze mną sam na sam, na pewno nie pomylicie się przy kimś. – Przepraszam, nie, nie wiem, jakie ma pan zadanie. Ale pułkownik powiedział mi, że jest najwyższej wagi. – I w niczym nie przesadził – mruknął z przejęciem Farnholme. – Lepiej, o wiele lepiej, że nie

znacie mojego zadania. Jeśli znajdziemy się kiedyś w bezpiecznej sytuacji, obiecuję, że wszystko wam opowiem. Tymczasem im mniej i wy, i wasi ludzie wiecie, tym bezpieczniej dla nas wszystkich. – Przerwał, zaciągnął się mocno cygarem i patrzył na jego koniec rozżarzony do czerwoności pośród nocy. – Czy wiecie, kto to jest plażowy

dziad? – Plażowy dziad? – Parker jak smagnięty biczem stracił równowagę, ale szybko ją odzyskał. – Naturalnie, że wiem. – Świetnie. Od dzisiaj będę właśnie nim i bardzo proszę tak mnie traktować. Podstarzały, rozpity plażowy włóczęga, na którego nikt nie zwraca uwagi, ale który diabelnie się zawziął, by ratować własną skórę. Dobrodusznie i z pełnym wyrozumiałości lekceważeniem – oto jak powinniście mnie traktować. Stanowczo, nawet ostro, jeśli zajdzie potrzeba. Spotkaliście mnie wałęsającego się po ulicach w poszukiwaniu jakiegoś środka lokomocji, by się wydostać z Singapuru. Słyszeliście ode mnie, że dostałem się tutaj na małym, kursującym między wyspami parowcu, i postanowiliście zarekwirować go dla własnych potrzeb. – Ale statek odpłynął – zaprotestował Parker. – Zgadza się – przyznał Farnholme. – Może jednak go odnajdziemy. Może napotkamy inne, chociaż bardzo wątpię. Chodzi o to, że niezależnie od rozwoju wypadków musicie mieć tę historię na podorędziu, a także odpowiednio mnie traktować. Nawiasem mówiąc, mamy się dostać do Australii. – Do Australii! – Parker ze zdumienia jakby na chwilę stracił pamięć. – Święty Boże, przecież to tysiące mil stąd! – No tak, kawałek drogi – przyznał Farnholme. – Mimo wszystko musimy się tam dostać, nawet gdyby nie udało nam się zdobyć niczego większego niż łódź na wiosła. – Przerwał i odwrócił się. – Chyba wraca jeden z waszych ludzi, poruczniku. Rzeczywiście. Z ciemności wyłonił się żołnierz z trzema naszywkami na rękawie, które łatwo było dostrzec. Był to bardzo potężny mężczyzna, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokiej budowy, tak że dziecięca figurka w jego ramionach wyglądała na jeszcze drobniejszą. Chłopczyk wtulił buzię w zagłębienie między ramieniem a opaloną szyją żołnierza i nadal płakał, lecz już cichutko. – No, znalazłem go, poruczniku. – Krzepki sierżant poklepał chłopczyka po plecach. – Ten maluch nieźle się chyba wystraszył, ale mu to przejdzie. – Oczywiście, że tak, sierżancie. – Farnholme dotknął ramienia chłopczyka. – Jak ci na imię, brzdącu? Brzdąc zerknął na niego, zarzucił rączki sierżantowi na szyję i od nowa wybuchnął płaczem. Farnholme cofnął się szybko. – No cóż. – Pokiwał filozoficznie głową. – Obawiam się, że nigdy nie miałem podejścia do dzieci. Tak to bywa ze stetryczalymi starymi kawalerami. Potem nam powie swoje imię. – Nazywa się Peter – powiedział sierżant matowym głosem. – Peter Tallon. Ma dwa lata i trzy miesiące, mieszka przy Mysore Road w północnym Singapurze i należy do kościoła anglikańskiego. – Sam opowiedział wam to wszystko? – spytał niedowierzająco Farnholme. – Nie, nie wydusił z siebie ani słowa. Ale ma na szyi

tabliczkę, na której to wszystko jest napisane. – No tak – mruknął Farnholme, co w tej sytuacji wydawało się jedyną odpowiednią uwagą. Poczekał, aż sierżant odejdzie do kolegów, i spojrzał badawczo na Parkera. – Przepraszam. – W głosie porucznika nie było fałszywej nuty. – Skąd pan, u diabła, to wiedział? – Byłoby to piekielnie zabawne, gdybym tego nie wiedział spędziwszy dwadzieścia trzy lata na Wschodzie. Oczywiście, że zdarza się widzieć bezdomne dzieci malajskie czy chińskie, ale są bezdomne wyłącznie z własnego wyboru. Nie płaczą. A jeśli, to krótko. Te narody zawsze troszczą się o swoje... nie tylko o swoje dzieci, ale w ogóle o siebie nawzajem. – Zamilkł na chwilę patrząc domyślnie na Parkera. – A co waszym zdaniem zrobiłby z tym dzieckiem nasz japoński braciszek? – Wiem, co by zrobił – powiedział ponuro Parker. – Odrobinę już w życiu widziałem i wiele słyszałem. – I we wszystko to należy wierzyć, jeszcze dołożyć drugie tyle. To nieludzka, diabelska banda. – I raptownie zmienił temat: – Chodźmy do waszych ludzi. A po drodze wymyślajcie mi. Zrobi to dobre wrażenie... przynajmniej z mojego punktu widzenia. Minęło pięć minut, potem dziesięć. Żołnierze spacerowali nerwowo, niektórzy palili, inni siedzieli na plecach, lecz żaden się nie odzywał. Nawet chłopczyk przestał płakać. Z północno\_wschodniej części miasta dolatywał przerywany terkot strzałów, ale na ogół noc była bardzo cicha. Wiatr zmienił kierunek rozpędzając powoli resztki dymu. Nadal padał

deszcz, coraz większy, i robiło się zimno. Niebawem, z północnego wschodu, od strony zatoczki Kallang zaczął dochodzić odgłos zbliżających się kroków, miarowy stukot butów trzech maszerujących noga w nogę żołnierzy i szybsze, nierówne stukanie damskich obcasów. Parker zobaczył wyłaniające się z mroku postacie. – Co to wszystko znaczy? Co to za kobiety? – zwrócił się do żołnierza na czele grupki. – To pielęgniarki, poruczniku. Natknęliśmy się na nie niedaleko stąd. Na nabrzeżu. – Żołnierz tłumaczył przepaszającym tonem. – Chyba się zgubiły, poruczniku. – Zgubiły się? – Parker zerknął na wysoką dziewczynę, która stała najbliżej. – Po co, u diabła, włóczycie się w nocy po mieście? – Szukamy rannych żołnierzy, poruczniku – odpowiedział cichy, matowy głos. – Rannych i chorych. Ale... ale nie bardzo możemy ich znaleźć. – No i nic dziwnego – stwierdził Parker oschle. – Wy dowodźcie tą grupką? – Tak, poruczniku. – Jak się nazywacie? – Ton głosu Parkera był odrobinę mniej apodyktyczny. Dziewczyna miała miły głos, a poza tym porucznik widział, że jest bardzo zmęczona i drży z zimna na deszczu. – Nazywam się Drachmann. – No więc, panno Drachmann, czy widziałyście albo słyszałyście małą motorówkę lub przybrzeżny parowiec gdzieś tu w okolicy? – Nie, poruczniku. – Znużony ton jej głosu zdradzał zdziwienie. – Z Singapuru odpłynęły już wszystkie statki. – Obyście nie miały racji – mruknął Parker. A głośno powiedział: – Panno Drachmann, czy coś wam wiadomo o dzieciach? – O czym? – zdumiała się.

– Tamten sierżant znalazł chłopczyka. – Ruchem głowy Parker wskazał na dziecko, które sierżant nadal trzymał na

rękach, lecz teraz zawinięte już w nieprzemakalną płachtę, która chroniła je przed deszczem i zimnem. – Ma na imię Peter. Zgubił się, jest zmęczony i całkiem sam. Czy się nim chwilowo zaopiekujecie? – No oczywiście. Kiedy wyciągnęła ręce po chłopca, z lewa znów dobiegł odgłos kroków. Nie były to miarowe kroki maszerujących żołnierzy ani lżejsze stukanie kobiecych obcasów, lecz odgłosy powłóczenia, szurania nogami podobne do chodu bardzo chorych lub starych ludzi. Stopniowo z ciemności i deszczu zaczęła się wyłaniać długa, nierówna, wijąca się jak wąż kolumna ledwie trzymających się na nogach żołnierzy niby maszerujących dwójkami. Na ich czele szedł niski mężczyzna o podniesionym lewym barku, z brenem zwisającym ciężko w prawej ręce. Na głowie miał nasadzony zawadiacko szkocki beret, a o gołe, chude kolana obijała mu się przemoczona szkocka spódnica. Zatrzymał się dwa metry przed Parkerem, wydał głośną komendę, żeby kolumna stanęła, odwrócił się chcąc sprawdzić, czy opuszczono nosze – dopiero wtedy Parker zauważył, że pomaga je nieść trzech jego własnych ludzi – i pobiegł na tył kolumny, by złapać zamykającego ją marudera, który oddalał się bez celu w mrok. Farnholme patrzył za nim oraz na chorych, okaleczonych, wyczerpanych ludzi stojących na deszczu, pogrążonych we własnym cierpieniu i milczącej niemocy. – Boże święty! – pokiwał głową zdumiony. – Nawet Szczurołap nie dorównałby tej bandzie! Niski mężczyzna w szkockiej spódnicy właśnie powrócił na czoło kolumny. Dziwacznie, z

trudem oparł brena o mokrą ziemię, wyprostował się, podniósł rękę do beretu i zsalutował w sposób, jakiego by się nie powstydzono na paradzie gwardii. – Kapral Frazer melduje się, poruczniku. – Miał miękką gardłową wymowę mieszkańca gór Szkocji. – Spocznij. – Parker patrzył na niego. – Czy nie byłoby... nie byłoby wam łatwiej przełożyć ten karabin do lewej ręki? – Głupie pytanie, wiedział o tym, lecz widok tej długiej kolumny wynędzniałych półtrupów, które wyłoniły się z ciemności, wpłynął na niego dziwnie denerwująco. – Tak, poruczniku. Przepraszam. Ale w lewym barku mam chyba jakieś złamanie. – Jakieś złamanie – powtórzył jak echo Parker. Świadomym wysiłkiem woli otrząsnął się z poczucia braku rzeczywistości, które zaczęło brać nad nim górę. – Z jakiego jesteście pułku? – Z Argyll i Sutherlands, poruczniku. – Oczywiście – skinął głową Parker. – Chyba was poznaję. – Tak jest. A pan jest porucznikiem Parkerem, prawda? – Zgadza się. – Porucznik wskazał na kolumnę ludzi stojących cierpliwie na deszczu. – Jesteście ich dowódcą, kapralu? – Tak jest. – Dlaczego? – Dlaczego? – Wyniszczona gorączką twarz kaprała zmarszczyła się w wyrazie zakłopotania. – Nie wiem, poruczniku. Może dlatego, że jestem jedynym w dobrej formie. – Jedynym w dobrej formie...? – Parker urwał w środku zdania, uczucie niedowierzania zdominowało wszystkie inne. Odetchnął głęboko. – Nie o to mi chodziło, kapralu. Co robicie z tymi ludźmi? Dokąd idziecie?

– Dokładnie nie wiem, poruczniku – wyznał Frazer. – Dostałem rozkaz odprowadzenia ich z linii ognia w bezpieczne miejsce, gdzie mogliby, jeśli się da, skorzystać z pomocy lekarskiej. – Wykonał nagły ruch kciukiem w stronę, z której dochodziły urywane odgłosy wystrzałów. – Tam, poruczniku, sytuacja jest dość trudna – skończył przeproszającym tonem. – Tak, gorąco tam – zgodził się Parker. – Ale co robicie tu na nabrzeżu? – Szukamy łodzi, statku, czegokolwiek. – Niski kapral nadal mówił przeproszającym tonem. – Doprowadzić w bezpieczne miejsce, taki dostałem rozkaz. Myślałem, że będę miał fart. – Że będziecie mieć fart. – Parker znów utracił poczucie rzeczywistości. – Kapralu, czy nie zdajecie sobie sprawy, że pierwsze bezpieczne schronienie znaleźlibyście dopiero w Australii... czy w Indiach? – Tak jest. – Wyraz twarzy niskiego mężczyzny nie uległ najmniejszej zmianie. – Boże, dopomóż. – To Farnholme odezwał się po raz pierwszy, tonem zdradzającym lekkie oszołomienie. – Chcieliście wyruszyć do Australii w łodzi na wiosła z tymi... tymi... – Wskazał na kolumnę cierpliwie stojących, chorych ludzi, ale zabrakło mu słów. – Naturalnie, że tak – potwierdził uparcie Frazer. – Muszę wykonać rozkaz. – Boże, nieprędko się poddajecie, prawda, kapralu? – Farnholme patrzył na niego. – Sto razy pewniejsze, że wylądowalibyście w japońskim obozie. Podziękujcie gwiazdom, że czuwały, by w Singapurze nie pozostała ani jedna łódź. – Może nie pozostała, a może pozostała – powiedział kapral ze

spokojem. – Niemniej tam na redzie stoi statek. – Spojrzał na Parkera. – Zastanawiałem się, jak się na niego dostać, ale nadeszli wasi żołnierze, poruczniku. – Co?! – Farnholme podszedł i chwycił go za zdrowe ramię. – Tam jest statek? Człowieku, czy jesteś pewien? – Pewnie, że jestem pewien. – Frazer uwolnił powoli, z godnością swoje ramię. – Niecałe dziesięć minut temu słyszałem, jak rzucał kotwicę. – Skąd to wiecie? – nalegał Farnholme. – Może ją podnosił i... – Słuchaj no, przyjacielu – przerwał mu Frazer – może wyglądam na głupiego, może nawet jestem głupi, ale potrafię rozpoznać... – Wystarczy, kapralu, wystarczy! – uciął pośpiesznie Parker. – Gdzie stoi ten statek? – Tam za dokami, panie poruczniku. Chyba jakieś półtora kilometra stąd. Trudno tak dokładnie powiedzieć... jeszcze trochę dym zaślania. – Za dokami? W porcie Keppel? – Nie, panie poruczniku. Tam dziś wieczorem nie byliśmy. To jest mniej więcej półtora kilometra stąd... zaraz za Cyplem Malajskim. \* \* \* Pomimo ciemności szybko przeszli ten odcinek – trwało to najwyżej kwadrans. Ludzie Parkera nieśli nosze, a pozostali pomagali rannym, którzy mogli chodzić. Wszystkich – mężczyzn i kobiety, chorych i zdrowych przepełniało to samo nieprzeparłe uczucie powagi sytuacji. W normalnych warunkach nikt by nie pokładał wielkich nadziei w tak niepewnej wiadomości jak ta, że ktoś słyszał szcęk łańcucha kotwicy, którą prawdopodobnie spuszczano, ale

niekończące się odwroty oraz straty poniesione w ciągu

ostatnich tygodni miały ogromny wpływ na stan umysłów wszystkich. Tak pewni byli, że zostaną złapani, zanim skończy się dzień, złapani i skazani na – Bóg jeden wie – ile lat zapomnienia, tak bardzo dobrze zdawali sobie sprawę z absolutnej beznadziejności sytuacji, że nawet ten nikły promyk nadziei był dla nich jak snop światła w mroku rozpaczliwego położenia. Hart ducha chorych o wiele jednak przewyższał ich możliwości fizyczne, toteż dobrze się stało, że zanim kapral Frazer przystanął, mogli, dysząc z wyczerpania, wesprzeć się na towarzyszach. – To tutaj. Mniej więcej tutaj to usłyszałem. – Z której strony doleciał szcęk? – nalegał Farnholme. Popatrzył w kierunku wskazanym przez kaprala lufą brena, ale nic nie zobaczył. Tak jak powiedział Frazer, dym nadal się snuł nad ciemnymi wodami... Poczł tuż za sobą obecność Parkera, którego usta niemal muskały mu ucho. – Może latarką? Może dać sygnał? Farnholme ledwie słyszał szept porucznika. Na chwilę zawahał się, ale tylko na chwilę: nie mieli nic do stracenia. Parker właściwie bardziej wyczuł, niż dostrzegł, że tamten skinął głową. – Sygnalizujcie latarką – zwrócił się do sierżanta. – W tamtą stronę. Sygnalizujcie, póki wam nie odpowiedzą albo póki nie zobaczycie czy nie usłyszycie, że coś płynie w naszą stronę. Wyślijcie dwóch, trzech ludzi, żeby się rozejrzeli w dokach. Może znajdą jakąś łódź. Minęło pięć minut, potem dziesięć. Latarka sierżanta zapalała się i gasła jednostajnie, lecz na ciemnym

morzu nic się nie pokazało. Minęło następne pięć minut, wrócili żołnierze wysłani na poszukiwanie łodzi, ale nic nie znaleźli. Znowu minęło pięć minut, pięć minut, podczas których deszcz zmienił się z drobnego w rzęsistą ulewę. Strugi wody rozpryskiwały się o kamienną nawierzchnię. Kapral Frazer odchrząknął. – Słyszę, że coś nadpływa – powiedział takim tonem, jakby zaczynał zwyczajną rozmowę. – Co? Gdzie? – warknął na niego Farnholme. – To jakaś łódź na wiosła. Słyszę, jak się obracają w dulkach. Łódź płynie chyba wprost na nas. – Jesteście pewni? – Farnholme usiłował coś usłyszeć poprzez bębnienie deszczu o nabrzeże i poszum chłostanej ulewą powierzchni morza, które pokryło się białą pianą. – Człowieku, jesteś tego pewien? – znów zapytał. – Ja nic, do cholery, nie słyszę. – Tak, jestem pewien. Nie mam żadnych wątpliwości. – Kapral ma rację! – zawołał postawny sierżant podnieconym głosem. – Na Boga, ma rację. Ja też to słyszę! Niebawem wszyscy usłyszeli to samo – powolny zgrzyt wiosł pracujących w dulkach pod naporem silnych rąk. Napięcie oczekiwania wywołane pierwszymi słowami Frazera opadło i rozpląnęło się w niemal fizycznie odczuwalnym, nieopisanym uczuciu ulgi, które ogarnęło wszystkich i przerwało milczenie. Cała grupa rozpaplała się, słychać było ciche, lecz podniecone głosy. Porucznik Parker skorzystał z zamieszania i przesunął się bliżej do Farnholme'a. – A co będzie z pozostałymi... z pielęgniarkami i rannymi? – Niech też popłyną... jeśli chcą. Szanse mamy niewielkie.

Musicie im to otwarcie powiedzieć... i otwarcie postawcie sprawę, że sami mają wybrać. Każcie im też zachować ciszę i wycofać się z pola widzenia. Ktokolwiek tu płynie... a muszą to być ludzie z "Kerry Dancera", nie możemy ich spłoszyć. Jak tylko usłyszycie, że łódź ociera się o nabrzeże, idźcie tam, by przejąć inicjatywę. Parker skinął głową i odwrócił się. Jego ciche, lecz stanowcze polecenia zaczęły górować nad gwarem głosów. – Świetnie. Podnieść nosze. Cofnąć się na drugą stronę nabrzeża i zachować ciszę. Jak chcecie jeszcze kiedyś zobaczyć dom, musicie zachować absolutną ciszę. Kapralu Frazer... – Tak jest, panie poruczniku? – Czy wy i wasi ludzie... chcecie z nami popłynąć? Jeśli wejdziemy na pokład tego statku, wielce prawdopodobne, że przed upływem dwunastu godzin znajdziemy się na dnie. Sprawę stawiam jasno. – Rozumiem, panie poruczniku. – Płyniecie więc z nami? – Tak jest. – A pytałście swoich ludzi? – Nie, panie poruczniku. – Urażony ton głosu kaprala nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że z pogardą traktuje te śmieszne demokratyczne zwyczaje w nowoczesnym wojsku. Farnholme uśmiechnął się w ciemności. – Oni też popłyną, panie poruczniku. – Doskonale. Pozostawiam to na waszej głowie. Panno Drachmann... – Popłynę, panie poruczniku – odparła spokojnie. Podniosła rękę i dziwnym gestem dotknęła twarzy. – Oczywiście, że popłynę. – A pozostałe panie? – Omówiliśmy to. – Wskazała na młodą Malajkę obok siebie. – Lena też chce popłynąć. Pozostałym trzem specjalnie nie zależy, wszystko im jedno. To

przez ten szok... dziś wieczorem pocisk trafił w naszą ciężarówkę. Ale chyba lepiej, jeśli popłyną. Parker chciał odpowiedzieć, lecz Farnholme nakazał mu gestem milczenie, wziął latarkę od sierżanta i ruszył na skraj nabrzeża. Łódź było już widać nie dalej niż sto metrów – jej kształt majaczył w słabym z tej odległości świetle latarki. Mimo że Farnholme musiał jej wypatrywać przez ścianę deszczu, dostrzegł wiry białej piany, kiedy ktoś na rufie wydał rozkaz, by opuszczono wiosła i kontrowano nimi mocno, aż łódź się zatrzymała. Stała teraz cicha i nieporuszona, mętny majak w ciemności. – Ahoj! – zawołał Farnholme. – To "Kerry Dancer"? – Tak. – Niski głos niósł się wyraźnie w padającym deszczu. – Kto to? – Oczywiście, Farnholme. – Słyszał, jak człowiek na rufie wydaje rozkaz i zobaczył, że wiosłarze znów zabierają się ostro do wiosł. – To pan Van Effen? – Tak. Van Effen. – Zacny z pana człowiek! – Nie ulegało kwestii, że serdeczność w głosie Farnholme'a brzmiała szczerze. – Nigdy w życiu nie cieszyłem się tak z żadnego spotkania. Co się stało? – Łódź znajdowała się teraz zaledwie siedem metrów od brzegu, mogli więc rozmawiać normalnym tonem. – Nic takiego. – Holender mówił doskonałą potoczną angielszczyzną, z prawie

niedostrzegalnym obcym akcentem. – Nasz szanowny kapitan zmienił plany i postanowił nie czekać na pana, a zanim go przekonałem, żeby znów zmienił plany, on już wydał rozkaz, by statek odpłynął. – Ale... jaką ma pan pewność, że "Kerry Dancer" nie odpłynie, zanim na niego wrócicie? Dobry Boże, powinienesz, panie Van

Effen, przysłać tu kogoś innego. Nie wolno panu ani trochę ufać temu diabłu. – Wiem. – Wykonując ruchy rumplem Van Effen zbliżał się powoli do brzegu. – Jeśli statek odpłynie, odpłynie bez swojego pana. Bo jest on tu na dnie łodzi, ze związanymi rękami i lufą mojego karabinu przytkniętą do pleców. Chyba kapitan Siran nie jest zbyt zadowolony. Farnholme spojrział w dół, tam, gdzie padał snop światła latarki. Nie mógł stwierdzić, czy kapitan Siran jest zadowolony czy nie, lecz niewątpliwie był to kapitan Siran. Jego gładka, brązowa twarz jak zwykle pozbawiona była wyrazu. – A na wszelki wypadek – mówił dalej Van Effen – w kabinie panny Plenderleith zostawiłem dwóch związanych mechaników... sam ich związałem za ręce i nogi. Nie uciekną. Drzwi są zamknięte, a panna Plenderleith została i pilnuje ich tam z bronią w ręku. Nigdy w życiu nie oddała strzału, ale twierdzi, że ma wielką ochotę spróbować. To wspaniała staruszka, panie Farnholme. – Myśli pan o wszystkim – powiedział z podziwem Farnholme. – Jeśli tylko... – W porządku, dość tego! Odsuń się, Farnholme. – Nagle stanął przy nim Parker świecąc w dół mocno latarką na zwrócone w górę twarze. – Co za głupiec, do cholery! – zawołał gwałtownie, bo Van Effen sięgnął po rewolwer. – Odlóżcie to... trzyma was na muszce kilkanaście pistoletów maszynowych i karabinów! Van Effen opuścił powoli broń i spojrział ponuro na Farnholme'a. – Świetna robota – wycedził powoli. – Nawet kapitan Siran nie powstydziliby się tak po mistrzowsku dokonanej zdrady. – To nie zdrada – zaoponował

Farnholme. – Przecież to wojsko brytyjskie, nasi przyjaciele, nie miałem wyboru. Zaraz wyjaśnię... – Zamknij się! – przerwał mu obcesoso Parker. – Potem będziesz wyjaśniał. – Spojrział w dół na Van Effena. – Płyniemy z wami, czy wam się to podoba, czy nie. Jesteście na motorówce, dlaczego więc używacie wiosel? – Żeby nie hałasować. To oczywiste. Wiele nam to pomogło – Van Effen dodał z goryczą. – Włączyć silnik – rozkazał Parker. – Niech mnie diabli, jeśli to zrobię! – I pewnie tak się stanie, bo jeśli nie włączycie silnika, zginiecie – wycedził Parker. – Wyglądacie na inteligentnego faceta, Van Effen. Macie oczy i uszy otwarte, zdajecie więc sobie sprawę, że nie mamy innego wyjścia. Na co w tej sytuacji zda się dziecinny upór? Van Effen przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu, skinął głową, wcisnął mocno broń między żebra Sirana i wydał rozkaz. Nie minęła minuta, a silnik zaczął pracować pyrkając miarowo. Pierwszego rannego żołnierza położono na ławce wioślarskiej. W ciągu pół godziny ostatni mężczyźni i kobiety z nabrzeża znaleźli się na pokładzie "Kerry Dancera". Łódź obracała dwa razy, lecz odległość była niewielka – kapral Frazer mniej więcej właściwie ją określił, bo statek stał na kotwicy tuż za sześciometrową mielizną Pager Spit. "Kerry Dancer", ostatni statek, jaki opuścił Singapur, wypłynął w morze przed wpół do trzeciej nad ranem, by później tego samego dnia, 15 lutego 1942 roku, wpaść w ręce Japończyków. Wiatr uciął, deszcz zamienił się w lekką mżawkę, nad ciemnym miastem wtapiającym się szybko w

mrok nocy zaległa cisza. Nie było już widać palących się ruin, w ogóle nie było światła, zamarł zupełnie nawet chaotyczny terkot wystrzałów. Wszędzie panowała nienaturalna, tajemnicza cisza, cisza śmiertelna, lecz wraz z pierwszym światłem dnia na dachach Singapuru, miał rozszaleć się sztorm. \* \* \* W ponurej, wilgotnej kabinie na rufie "Kerry Dancera" Farnholme pomagał dwóm pielęgniarkom i pannie Plenderleith doglądać rannych żołnierzy i zakładać im bandaże. Nagle rozległo się pukanie do jedynych drzwi, którymi wychodziło się na pokład rufowy. Zgasił światło, wyszedł na zewnątrz i zamknął je ostrożnie za sobą. Kiedy się odwrócił, w mroku zamajaczyła ciemna postać. – Porucznik Parker? – Tak. – Parker wykonał ruch ręką. – Może lepiej chodźmy na górę na pokład... nikt nie będzie mógł nas tam podsłuchiwać. Wspięli się razem po trapie i stanęli aż przy relingu rufowym. Deszcz już całkiem przestał padać, morze było bardzo spokojne. Farnholme przechylił się przez reling, popatrzył w dół na fosforyzującą kipielił wzburzonego kilwateru "Kerry Dancera" i zapragnął zapalić cygaro. Parker odezwał się pierwszy. – Mam dla pana generała... przepraszam, nie miałem tak pana nazywać... mam ciekawą wiadomość. Czy kapral już wam ją przekazał? – Nic mi nie przekazywał. Przyszedł do kabiny dopiero kilka minut temu. O co chodzi? – Nie był to chyba jedyny statek na redzie Singapuru dziś wieczorem. Kiedy po raz pierwszy obracaliśmy łodzią na "Kerry Dancera", do brzegu przypląnęła

inna motorówka i zatrzymała się niecałe ćwierć mili dalej. Z brytyjską załogą. – Niech to cholera! – Farnholme zagwizdał cicho w ciemności. – Kto to był? Co, u diabła, tam robili? Kto ich widział? – Kapral Frazer i jeden z moich ludzi. Słyszeli silnik tej motorówki. Myśmy nie mogli słyszeć, bo zagłuszał go hałas naszej. Poszli sprawdzić. Było w niej tylko dwóch ludzi, obaj uzbrojeni w karabiny. Ten, z którym rozmawiali, pochodził z gór, Frazer twierdzi, a zna się na tym, że to facet z Hebrzyd. Bardzo trudno było z nim się dogadać, mówi Frazer, chociaż on sam też miał dużo pytań. Potem Frazer usłyszał, że łódź z "Kerry Dancera" wraca, musieli więc odejść. Uważa, że jeden z tamtych facetów poszedł za nimi, ale nie jest tego pewien. – "Ciekawe" to chyba niezbyt dobre określenie jak na te wiadomości, panie poruczniku. – Farnholme przygryzł w zamyśleniu dolną wargę i patrzył w morze. – I Frazer nie ma pojęcia, skąd się tam wzięli, z jakiego byli statku ani dokąd płynęli? – Nic nie wie – powiedział z przekonaniem

Parker. – Równie dobrze mogliby spaść wprost z księżycy. Rozmawiali na ten temat jeszcze przez kilka minut, po czym Farnholme zakończył sprawę. – Nic nam nie da mówienie o tym, zapomnijmy więc o całej sprawie. Coś się zdarzyło, ale się skończyło, nikomu nic się nie stało, najważniejsze, że się wydostaliśmy. – Celowo zmienił temat. – Wszystko macie zorganizowane? – Tak, mniej więcej. Siran chce z nami współpracować... nie ma co do tego wątpliwości. Doskonale wie, że tak samo chodzi o jego głowę jak o nasze. Bomba czy torpeda, która walnie

w nas, jego też raczej nie ominie. Postawiłem człowieka, żeby go pilnował, drugi pilnuje kwatermistrza, a trzeci mechanika, który ma wachtę. Większość pozostałych moich ludzi śpi w kubryku... Bóg wie, jak należy im się ten sen. Czterech śpi w kabinie na śródokręciu... w razie czegoś nagłego. – Dobrze, świetnie – Farnholme pokiwał z aprobatą głową. – A co z dwiema chińskimi pielęgniarkami i tą starszą Malajką? – Zajęły też jedną z kabin na śródokręciu. Są naprawdę chore i oszołomione, wszystkie trzy. – A Van Effen? – Śpi na pokładzie, pod szalupą. Tuż przy sterówce, niecałe cztery metry od kapitana. – Parker uśmiechnął się. – Już się na pana nie wścieka, ale nieźle jest jeszcze zawzięty na Sirana. Chyba w dobrym miejscu śpi Van Effen. Odpowiedzialny facet. – Na pewno. A co z żywnością? – Podła, ale mają jej tu dużo. Wystarczy na tydzień, dziesięć dni. – Mam nadzieję, że będziemy mieli kiedy ją zjeść – rzucił ponuro Farnholme. – Jeszcze jedno. Czy dostatecznie pan wszystkich przekonał, zwłaszcza Sirana, że ja tutaj nic nie znaczę i że tylko jeden człowiek się liczy, to znaczy pan? – Nie wydaje mi się, żeby mieli o panu tak dobre mniemanie jak przedtem – odparł skromnie Parker. – Doskonale. – Niemal bezwiednie dotknął pasa pod koszulą. – Ale niech pan nie przedobrzy sprawy... proszę po prostu nie zwracać na mnie uwagi, kiedy to możliwe. Aha, wracając na dziób mógłby pan coś dla mnie zrobić. Wie pan, gdzie jest radio? – W kabinie za sterówką? Tak,

widziałem, gdzie to jest. – Telegrafista, Willie Loon, czy jak mu tam, śpi w środku. To chyba przyzwoity chłopak... Bóg wie, co on tu robi na tej pływającej trumnie... ale nie chcę sam do niego się zwracać. Niech się pan od niego dowie, jaki zasięg ma jego nadajnik, i proszę mnie powiadomić jeszcze przed świtem. Pewnie mniej więcej o tej porze będę musiał coś nadać. – Tak jest, panie generale. – Parker zawahał się, już miał coś powiedzieć, lecz zmienił postanowienie co do pytania, które chciał zadać. – Najlepiej działać od razu. Zaraz pójde się dowiedzieć. Dobranoc. – Dobranoc, poruczniku. – Farnholme stał tak przechylony przez reling jeszcze kilka minut, wsłuchując się w astmatyczne pykanie silnika z demobilu. "Kerry Dancer" warkotał prac wytrwale w kierunku wschodnio-południowo-wschodnim przez spokojne, oleiste morze. Niebawem Farnholme wyprostował się wdychając, odwrócił i szedł na dół. Butelki whisky miał w jednej z toreb w kabinie na rufie – musiał przecieź udowodnić, że zasługuje na swoją reputację. \* \* \* Większość ludzi byłaby oburzona, gdyby obudzono ich o wpół do czwartej nad ranem po to, by zadać im czysto techniczne pytanie dotyczące ich pracy, lecz nie Willie Loon. Po prostu usiadł na koi, uśmiechnął się do Parkera, poinformował go, że zakres nadajnika wynosi zaledwie pięć tysięcy mil, i znów się uśmiechnął. Ten uśmiech na jego okrągłej, sympatycznej twarzy był przejawem dobrej woli i pogodnego usposobienia, Parker więc nie miał wątpliwości, że Farnholme właściwie ocenił charakter Willie Loona. Nie było to miejsce dla niego.

Podziękował Willie'emu i zawrócił do drzwi. Po drodze, na pulpicie radiotelegrafisty zobaczył coś, czego nigdy by się nie spodziewał na takim statku jak "Kerry Dancer" – okrągły, zamrożony tort, który nie był dziełem superfachowca, szczerze ozdobiony małutkimi świeczkami. Parker zamrugał, po czym spojrzał na Willie'ego. – Co to tu, u diabła, robi? – To tort urodzinowy. – Willie Loon spojrzał na niego pękając z dumy. – Zrobiła go moja żona... o tam jest jej zdjęcie. Dwa miesiące temu, żebym na pewno miał go na czas. Jest bardzo ładny, prawda? – Piękny – pochwalił ostrożnie Parker. Ponownie spojrzał na zdjęcie. – Piękny jak dziewczyna, która go zrobiła. Musi pan być wielkim szczęściarzem. – To prawda. – Znów się uśmiechnął błogo. – Rzeczywiście, panie poruczniku, jestem wielkim szczęściarzem. – A kiedy te urodziny? – Dzisiaj. Dlatego wyjąłem tort. Dziś kończę dwadzieścia cztery lata. – Ach, dzisiaj! – Parker potrząsnął głową. – Wszystko wskazuje na to, że wybrał sobie pan wspaniały dzień na urodziny. No, ale kiedyś trzeba je obchodzić. Powodzenia i wszystkiego najlepszego. Odwrócił się, przekroczył śmiecie pozostawione przez sztorm i cichutko zamknął za sobą drzwi. Rozdział trzeci Willie Loon zmarł w wieku dwudziestu czterech lat. Zmarł w swoje dwudzieste czwarte urodziny, w samo południe, kiedy w zakratowany świetlik nad jego głową ostro bił oślepiający blask równikowego słońca. Białe światło, jaskrawe i bezlitosne

drwiło sobie z dymiącego płomienia samotnej świecy nadal palącej się na torcie urodzinowym. Jej żółte światło to płonęło jaśniej, to przygasało, to znów płonęło jaśniej i znów przygasało, regularnie, monotennie, w miarę jak statek się kołysał. Czarna linia cienia rzucanego przez świetlik przesuwiała się tam i z powrotem po świecy, po torcie i po zdjęciu Anny May, nieśmiało uśmiechniętej dzakarcckiej dziewczyny, która upiekła tort. Lecz Willie Loon nie widział ani świecy, ani tortu, ani zdjęcia swojej młodej żony, bo stracił wzrok. Nie rozumiał, jak to się stało, bo przecieź ostatnie z tych uderzeń zadanych jakby młotkiem, które otrzymał ledwie przed dziesięcioma sekundami, trafiło go w tył głowy, a nie w twarz. Nie widział nawet klucza nadajnika, ale to nie miało znaczenia, skoro pan

Johnson ze szkoły Marconiego zawsze powtarzał, że prawdziwy mistrz Marconiego to dopiero ten, kto w absolutnych ciemnościach widzi tak samo dobrze jak w świetle dziennym. Pan Johnson powtarzał też, że mistrz Marconiego ma obowiązek ostatni opuścić swoje stanowisko, że statek ma opuszczać wraz z kapitanem. Ręka Willie'ego Loona poruszała się więc staccato w górę i w dół, w górę i w dół, szalonym tempem, jak przystało na wyszkolonego radiotelegrafistę, uporczywie wystukując kluczem ten sam sygnał: S.O.S., atak nieprzyjaciela z powietrza, 0.45 N, 104,24 E, pożar; S.O.S. atak nieprzyjaciela z powietrza, 0.45 N, 104.24 E, pożar S.O.S... Czuł ból w plecach, okropny ból. Trafiły go kule z karabinów maszynowych – ile, nie wiedział, lecz bolało to okropnie. Lepiej jednak, że tak się stało, pomyślał zmęczony, niż gdyby

poszedł nadajnik. A gdyby nie jego plecy, na pewno by rozwaliło nadajnik, wtedy zaś nie można by nadać sygnału S.O.S., nie byłoby żadnej nadziei. Ładny byłby z niego mistrz Marconiego bez możliwości nadania najważniejszej wiadomości w życiu... Wysłał tę wiadomość, najważniejszą wiadomość w życiu, chociaż ręka jego robiła się strasznie ciężka i klucz nadajnika przesakawał a to w jedną, a to w drugą stronę, umykając niedołącznym, ślepym palcom. W uszach dziwnie mu dudniło. Zastanawiał się jak przez mgłę, czy to warkot silników w powietrzu, czy to ogień na pokładzie dziobowym rozprzestrzenia się w jego stronę, czy to huczy mu w głowie własna krew. Najprawdopodobniej to jego własna krew, bo przecież bombowce powinny już odlecieć zrobiwszy swoje i nie było wiatru, który by podsycał płomienie. Nieważne. Nic nie było ważne, prócz tego, że powinien walić w klucz nadajnika, że powinien nadawać sygnał. Nadawał go więc ciągle od nowa, ale teraz była to już tylko mieszanina bezładnych, bezsensownych kropek i kresek. Willie Loon jednak o tym nie wiedział. Już niczego dokładnie sobie nie uświadamiał. Wszystko pociemniało i zawirowało, miał wrażenie, że upada, ale nagle znów poczuł pod kolanami krawędź krzesła i zorientował się, że nadal jest na swoim miejscu, nadal siedzi przy nadajniku, uśmiechnął się więc, uświadamiając sobie własną głupotę. Znów pomyślał o panu Johnsonie, przyszło mu na myśl, że może Johnson nie powstydziliby się swojego ucznia, gdyby teraz go widział. Pomyślał o swojej ciemnej, łagodnej Annie May, i znów się uśmiechnął, ale bez goryczy. Miał jeszcze tort. Jaki śliczny tort, tylko Anna mogła

taki zrobić, a nawet go nie spróbował. Pokiwał smutno głową i wydał krzyk, bo ostry skalpel bólu przeszył jego znękaną czaszkę i wbił się w niewidzące oczy. Powróciła mu na chwilę świadomość, tylko na chwilę. Prawa ręka zsunęła się z klucza nadajnika. Wiedział, że powinien natychmiast położyć ją tam z powrotem, lecz chyba uszły z niej wszystkie siły. Podniósł lewą rękę do prawej, chwycił ją za nadgarstek i usiłował podnieść, była jednak o wiele za ciężka, jakby przybita gwoździami do stołu. Znów przemknęła mu niejasna myśl o tym, co by powiedział Johnson, miał jednak nadzieję, że byłby z niego zadowolony. Nagle cichutko, nawet nie wydając westchnienia, osunął się ciężko na stół, z głową między skrzyżowanymi rękami, łokciem miażdżąc tort, na którym świeczka przechyliła się do pozycji poziomej, kapiąc stearyną na błyszczący stół. Gęsty i czarny dym wędrując spiralnie w górę rozprzestrzenił się na pokładzie dziobowym i wypełnił malutką kabinę. Ciemny, oleisty dym, ale nawet on nie dał rady zatrzeć okrutnych snopów promieni słońca ani ukryć trzech kształtnych, obramowanych czerwienią dziurek w koszuli na plecach Willie'ego Loona opadłego bezwładnie na stół. Wkrótce potem świeca zamigotała, rozbłysła na chwilę i zgasła. \* \* \* Kapitan Francis Findhorn, odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego, komandor Brytyjsko\_Arabskiej Kompanii Tankowców, dowódca motorowca "Viroma" o wyporności dwunastu tysięcy ton, stuknął po raz ostatni dwa razy paznokciem w barometr, popatrzył na niego obojętnie i powrócił na swoje miejsce w sterówce, w kącie na

lewej burcie. Sięgnął bezwiednie ręką w górę, by skierować na siebie dopływ powietrza z wentylatora, skrzywił się, gdy buchnęło na niego gorące, wilgotne powietrze, i szybko, acz bez pośpiechu ustawił wentylator ponownie w poprzedniej pozycji. Kapitan Findhorn nigdy nic nie robił pośpiesznie. Nawet następną nieskomplikowaną czynność, jaką było zdjęcie czapki ozdobionej złotym galonem i wytarcie ciemnych, rzędzących włosów, wykonał nieśpiesznie, z taką dbałością, by unikać wszelkich niekoniecznych i zbędnych ruchów, że można było instynktownie wyczuć, iż ten spokój i opanowanie, ta nie wystudiowana oszczędność ruchów są nieodłącznymi cechami charakteru tego mężczyzny. Za jego plecami rozległ się cichy stuk kroków po twardym jak żelazo pokładzie z drzewa tekowego. Findhorn włożył czapkę, obrócił się na krześle i spojrzał na swojego pierwszego oficera, który stał w tym samym miejscu co on przed kilkoma sekundami, wpatrując się z namysłem w barometr. Przez kilka chwil Findhorn przyglądał mu się w milczeniu myśląc, że pierwszy oficer może stanowić doskonale zaprzeczenie szeroko rozpowszechnionego przekonania, iż blondyni o jasnej karnacji nieładnie się opalają – między białą koszulą a jasnymi, właściwie lnianymi włosami, wypłowiałymi na słońcu niemal do koloru platyny, widać było kawałek karku o barwie starego ciemnego dębu. Oficer odwrócił się i napotkał jego spojrzenie, a wtedy Findhorn uśmiechnął się przelotnie. – Hm, panie Nicolson, co pan o tym myśli? Kapitan zawsze dbał o konwenanse w stosunkach z wyższymi oficerami, a teraz

kwatremistrz i członkowie załogi byli ledwie kilka metrów dalej i mogli słyszeć ich głosy. Nicolson wzruszył



ramionami i podszedł do siatkowych drzwi. Chodził w szczególnie sposób – bardzo cicho, jak kot, który stąpa po suchych patykach bojąc się, że je połamie. Spojrzał na niebo rozpalone niby mosiężny piec, na oleistą wodę o miedzianym połysku, na linię horyzontu w oddali na wschodzie, która iskrząc się metalicznym błękitem łączyła niebo z morzem, a w końcu na szkliste fale piętrzące się na północnym wschodzie, z lewej burty. Znów wzruszył ramionami, odwrócił się i popatrzył na kapitana, którego po raz setny zdumiał czysty jak lód błękit jego oczu, uderzający zwłaszcza na tle ciemnej opalenizny twarzy. Nigdy nie widział podobnych oczu, nawet odrobinę do nich podobnych, nigdzie. Zawsze przywodziły mu na myśl alpejskie jeziora i właśnie to irytowało kapitana, klóciło się bowiem z jego precyzyjnym, logicznym sposobem myślenia – kapitan nigdy w życiu nie był w Alpach. – Chyba nie ma co do tego wątpliwości, panie kapitanie, prawda? – Głos miał cichy, opanowany, mówił bez wysiłku, co stanowiło doskonale dopełnienie jego chodu i sposobu bycia. Głos ten był jednak na tyle głęboki i dźwięczny, że słyszało się go niezwykle łatwo i wyraźnie w pokoju pełnym ludzi czy przy silnym wietrze. Wysunął rękę przez otwarte drzwi. – Wszystko na to wskazuje. Na barometrze tylko 724, ale niecałą godzinę temu było 730. Opada jak kamień. To niewłaściwa pora roku, nigdy też nie słyszałem o sztormie tropikalnym na tych szerokościach, ale obawiam się, że niedługo nam się z lekka oberwie. – Jest pan mistrzem

niedomówień, panie Nicolson – zauważył oschle Findhorn. – Proszę nie wyrażać się tak bez szacunku o tajfunie, mówiąc, że "z lekka nam się oberwie". Może pana usłyszeć. – Zamilkł na chwilę, uśmiechnął się i dalej mówił: – Mam nadzieję, że tak się stanie. To byłoby wybawienie. – Na pewno – mruknął Nicolson. – I spadnie deszcz. Prawda, że spadnie wielki deszcz? – Lunie jak z cebra – powiedział Findhorn z satysfakcją. – Niech będzie deszcz, wzburzone morze i wiatr dziesiątka czy jedenastka, a dzisiejszej nocy nie wypatrzy nas żaden bubek ani z japońskiej armii, ani z marynarki. Jakim płyniemy kursem? – Sto trzydzieści, panie kapitanie. – No to trzymajmy go. Cieśnina Karimata jest nasza jutro do południa, a potem zawsze będą jakieś szanse. Kurs zmienimy tylko zmuszeni przez ich Wielką Flotę, a zawrócić zawsze możemy. – Wyraz oczu kapitana był spokojny, niezmacony. – Myśli pan, że będzie nas tam ktoś szukał? – Oprócz dwustu pilotów i wszystkich statków na Morzu Chińskim, na pewno nikt. – Nicolson uśmiechnął się na chwilę; grymas uśmiechu poruszył i wybielił mu zmarszczki pod oczami, a potem znikł. – Wątpię, czy w zasięgu pięciuset mil znajdzie się jakiś nasz mały żółty kumpel, który nie wie, że wczoraj wieczorem zwaliśmy z Singapuru. Odkąd zatonął "Prince of Wales", musimy być najbardziej smakowitym kąskiem, odpowiednie też wzbudzimy zamieszanie. Przeczesał wszystkie porty: Macassar, Singapur, Durian i Rhio. Oficerowie z Najwyższego Dowództwa będą dostawali ataków wściekłości i po kilkunastu

naraz nadziewać się będą na miecze. – Ale nigdy nie pomyśleli, żeby sprawdzić w Cieśninie Tjombol i Temiang? – Myślę, że pozostają jeszcze przy w miarę zdrowych zmysłach i podobnie pochlebnego zdania są o nas – powiedział Nicolson w zamyśleniu. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie wypłynąłby w nocy na te wody przy naszym zanurzeniu i bez żadnego światła w polu widzenia. Findhorn pochylił głowę ni to kręcąc nią, ni to przytakując. – Pana sposób pochlebnego wyrażania się też jest niczego sobie. Nicolson milczał. Odwrócił się i przeszedł na drugą stronę mostka mijając kwatermistrza i Vanniera, czwartego oficera. Jego stopy nie robiły na pokładzie większego hałasu niż szelest opadających liści. Przystanął na końcu mostka, spojrzął przez drzwi sterówki na widoczną od strony prawej burty mglistą, zamazaną sylwetkę wyspy Linga, która wtapiała się miękko w purpurową dal, i znów się odwrócił. Vannier i kwatermistrz obserwowali go w milczeniu zmęczonym wzrokiem, znużeni snuciem domysłów. Nad ich głowami słychać było od czasu do czasu szmer głosów i szuranie stąpających bez celu nóg. Na górnym pokładzie sterówki były bowiem stanowiska oficerów broni, obsługujących dwa ciężkie karabiny maszynowe hotchkiss, piątki, umieszczone na prawej burcie w sporym odstępie od siebie, po obu stronach tekowej osłony kompasu. Były to stare cekaemy, bardzo stare, kiepskie, niedokładne, nadające się tylko do tego, by podtrzymywać morale tych, którzy nigdy nie musieli używać ich do obrony przed wrogiem. Miejsca samobójców – tak nazywano te dwa stanowiska przy nich,

wyeksponowany bowiem górny pokład sterówki, najwyższy punkt nadbudówki mostka, zawsze stanowił główny cel ataków artyleryjskich na tankowce. Oficerowie broni wiedzieli o tym, a że byli tylko ludźmi, od kilku dni trawiło ich coraz bardziej dojmujące uczucie nieszczęścia i niepokoju. Nerwowe i niespokojne kroki oficerów na stanowiskach, powolne ruchy rąk kwatermistrza, wędrujących po szprychach koła sterowego robiły niewiele hałasu, ale te nic nie znaczące dźwięki tylko podkreślały głuchą ciszę, która panowała na "Viromie", ciszę, która spowijała i wchłaniała wszystko, głęboką, otulającą jak kokon, niemal namacalną. Te drobne dźwięki rozlegały się i zamierały, a wtedy cisza robiła się jeszcze głębsza, jeszcze bardziej przygnębiająca. Była to cisza, która przynosi wielki upał i wzrost wilgotności, kiedy to pot po każdym wypitym łyku napoju zlewa ramiona i całe ciało. Nad Morzem Chińskim zalegała martwa, głucha cisza, podczas gdy za horyzontem sztorm tylko czekał na sposobną chwilę, by uderzyć. Była to cisza przejmująca władzę nad ludźmi, którzy przez długi, długi czas nie spali i byli bardzo zmęczeni. Lecz przede wszystkim była to cisza oczekiwania. Takiego oczekiwania, które jakby rozciąga włókna nerwów człowieka na kole tortur. Co godzina obraca się ono kawałek i jeśli oczekiwanie szybko się nie

skończy, koło obróci się tak mocno, że nerwy pękną z napięcia. Jeżeli jednak oczekiwanie dobiegnie końca, nastąpi coś jeszcze gorszego, będzie to bowiem nie tylko koniec oczekiwania, lecz najprawdopodobniej koniec wszystkiego.

Ludzie na "Viromie" czekali już bardzo długo. A może tak im się tylko wydawało – minął dopiero tydzień, odkąd "Viroma" z zupełnie innym kominem, atrapami wentylatorów, wymalowaną nową nazwą "Resistencia" i banderą Republiki Argentyny okrążyła północny kraniec Sumatry i w biały dzień wpłynęła do Cieśniny Malakka. Lecz tydzień ma siedem dni, każdy dzień dwadzieścia cztery godziny, a każda godzina sześćdziesiąt minut. Nawet minuta może trwać długo, jeśli czeka się na to, co nieuniknione, kiedy wiadomo, że prawa losu działają coraz bardziej nieubłaganie przeciwko nam, że nadejście końca już dłużej się nie odwlecze. Nawet minuta może trwać bardzo, bardzo długo, kiedy pierwsza bomba czy torpeda odległa jest tylko o kilka sekund, a pod nogami mamy dziesięć tysięcy czterysta ton ropy i wysokooktanowego paliwa... Nad schowkiem na bandery zaskrzeczał przeraźliwie, nachalnie telefon, przecinając jak nożem ołowianą ciszę na mostku. Najbliżej stał Vannier – szczupły szatyn, który dopiero od dziesięciu dni był oficerem. Okręcił się wkoło, zdumiony, przewrócił za sobą lornetę stojącą na daszku schowka i niezdarnie zdjął słuchawkę z haczyka. Nawet pod opalenizną widać było, że szyję i twarz zalewa mu rumieniec. – Tu mostek. O co chodzi? Głos miał być szorstki, autorytatywny. Nie bardzo jednak tak brzmiał. Vannier słuchał przez kilka chwil, podziękował, odwiesił słuchawkę i odwrócił się do Nicolsona, który tymczasem podszedł. – Znowu sygnał S.O.S. – powiedział szybko. Zimne, niebieskie oczy Nicolsona zawsze działały na niego deprymująco. – Gdzieś na północy.

–Gdzieś na północy. – Nicolson powtórzył jego słowa takim tonem, jakby prowadzili zwykłą rozmowę, ale była w nim nuta, od której Vannier aż się skręcił. – Jakie położenie? Jaki statek? – Teraz głos Nicolsona brzmiał już zdecydowanie ostro. – Nie... nie wiem. Nie zapytałem. Nicolson patrzył na niego dłuższą chwilę, odwrócił się, chwycił za telefon i zaczął kręcić korbką. Kapitan Findhorn skinął na Vanniera i czekał, aż chłopak, który zaczął iść z wahaniem przez mostek, podejdzie do niego. – Powinniście zapytać – powiedział przyjaznym tonem. – Dlaczego nie zapytałeś? – Uważałem, że to niekonieczne, panie kapitanie. – Vannier czuł się skrępowany w roli tłumaczącego się. – To dzisiaj czwarty telefon. Na tamte nie zwracał pan uwagi, myślałem więc... – To prawda – przyznał Findhorn. – Ale to kwestia priorytetów, chłopcze. Nie zamierzam narażać się na utratę kosztownego okrętu, bezcennego ładunku i ryzykować życie pięćdziesięciu ludzi w skazanej z góry na niepowodzenie akcji ratunkowej wylawiania kilku rozbitków z przybrzeżnego parowca. Teraz mógłby to być jednak transportowiec albo krążownik. Wiem, że to nieprawda, ale trzeba to brać pod uwagę. Mógłby mieć takie położenie, że pomogliśmy mu, niespecjalnie nadstawiając karku. Cały czas tylko gdybam, ale żeby móc podjąć decyzję, musimy znać położenie i wiedzieć, co to za statek. – Findhorn uśmiechnął się i dotknął swoich złotych epoletów. – Wiecie, dlaczego je mam? – Dlatego, że to pan wydaje rozkazy – odparł sztywno Vannier. – Przepraszam, panie

kapitanie. – Nie szkodzi, chłopcze. Ale o jednym musicie pamiętać... żeby od czasu do czasu zwracać się do pana Nicolsona zgodnie z jego rangą. Hm... tak jest przyjęte. Vannier zaczerwienił się i odwrócił. – Za to też przepraszam, panie kapitanie. Na ogół o tym nie zapominam. Dzisiaj jestem... myślę, że jestem trochę zmęczony i zdenerwowany, panie kapitanie. – Chyba podobnie jak wszyscy – stwierdził spokojnie Findhorn. – I to nie tylko trochę. Oprócz pana Nicolsona, jemu nigdy to się nie zdarza. – I głośniejszy spytał: – Prawda, panie Nicolson? Ten odwiesił słuchawkę i odwrócił się. – Statek zbombardowany, pali się, może i tonie – rzucił krótko. – 0.45 N. 104.24 E. To znaczy, że jest przy południowym wejściu do kanału Rhio. Nazwa statku niepewna. Walters mówi, że wiadomość odebrał bardzo szybko, najpierw nadawano ją bardzo jasno, ale zaraz potem nadawanie się pogorszyło, zamieniło w jakiś zwariowany, bezsensowny sygnał. Uważa, że telegrafista został poważnie ranny i w końcu runął na stół i klucz, bo wszystko skończyło się ciągłym sygnałem... który dotychczas się nie wyłączył. Nazwa statku, o ile Walters dobrze ją odcyfrował, brzmi "Kenny Danke". – Nigdy nie słyszałem o takim statku. Dziwne, że nie nadał międzynarodowego sygnału wywoławczego. W każdym razie nie jest duży. Coś panu mówi jego nazwa? – Absolutnie nic, panie kapitanie. – Nicolson pokręcił przecząco głową i zwrócił się do Vanniera. – Proszę sprawdzić w rejestrze. A potem w spisie sygnałów. Najwyraźniej nazwa jest przeinaczona. – Zamilkł na

chwilę, oczy jego nabrały nieobecnego wyrazu, po czym znów zwrócił się do Vanniera. – Proszę sprawdzić, może chodzi o "Kerry Dancera". Myślę, że na pewno. Vannier przerzucał kartki. Findhorn podniósłszy odrobinę brwi patrzył na swojego pierwszego oficera. Nicolson wzruszył ramionami. – To prawie pewne, panie kapitanie. I ma sens. N i R są podobne w alfabecie Morse'a. Podobnie C i K. Ktoś ranny może je łatwo pomylić... nawet ktoś wyszkolony. Jeśli został ciężko ranny. – Ma pan rację. – Vannier wygładził stronicę rejestru. – "Kerry Dancer", 540 ton, jest tu na liście. Clyde 1922. Kompania Handlowa Sulaimiya... – Znam ich – przerwał Findhorn. – To kompania arabska wspierana przez Chińczyków, statki wypływają z Macassaru. Mają tych małych parowców siedem czy osiem. Dwadzieścia lat temu mieli tylko kilka jednomasztowców z trójkątnym żaglem... mniej więcej wtedy

skończyli z legalnym handlem i zabrali się do ciekawszych ładunków: broni, opium, pereł, brylantów, z czego niewiele przewozili legalnie. Zajmowali się też sporo na boku piractwem. – Nie będziemy więc opłakiwać "Kerry Dancera"? – Nie będziemy, panie Nicolson. Kurs 130 i tak go trzymać. – Findhorn przeszedł przez drzwi i stanął przy framudze od lewej burty. Incydent był zakończony. – Kapitanie! Findhorn zatrzymał się, odwrócił niespiesznie i spojrzał zaciekawionym wzrokiem na Evansa. Był to kwatermistrz, który miał służbę, ciemny, żyłasty mężczyzna o szczupłej twarzy i poplamionych tytoniem zębach. Ręce trzymał lekko

oparte na kole sterowym, patrzył w dal. – Macie do mnie sprawę? – Tak, panie kapitanie. "Kerry Dancer" stał na redzie wczoraj wieczorem. – Evans zerknął na niego i znów patrzył przed siebie. – Pod banderą rządową, panie kapitanie. – Co takiego?! – Findhorn nagle utracił swój zwykły spokój. – Statek rządowy? Widziałeś go? – Ja nie, panie kapitanie, ale bosman widział... zdaje się. W każdym razie słyszałem, jak mówił o tym wczoraj wieczorem... zaraz po tym, jak pan wrócił z brzegu. – Człowieku, czy naprawdę jesteś pewien? Mówił o tym? – Nie może tu być żadnej pomyłki. – Wysoki głos Walińczyka brzmiał stanowczo. – Natychmiast sprowadzić tu bosmana! – rozkazał Findhorn. Podeszedł do krzesła, usiadł lekko i swobodnie i zaczął rozmyślać o nocy, która właśnie minęła. Przypomniał sobie, jaki był zdziwiony – i jaką odczuł ulgę – kiedy dał krok przez burtę motorowej szalupy, w której był już bosman i cieśla, szalupy mającej zabrać go na brzeg, i zobaczył – ze zdziwieniem i ulgą – dwie kolby krótkich karabinów Lee Enfield, wystające spod kawałka zarzuconego na niebyle jak płótna. Nie odezwał się słowem na ten temat. Przypomniał sobie odległy huk wystrzałów, całun dymu nad Singapurem po ostatnim nalocie bombowców – co rano można było nastawiać zegarki według japońskich nalotów – i niesamowitą, nienaturalną ciszę, która spowiła miasto i redę. Reda była pusta, opustoszała jak nigdy, lecz nie mógł sobie przypomnieć, czy widział "Kerry Dancera", czy inny statek pod banderą rządową, kiedy wpływały do portu. Było zbyt ciemno, a

jego myśli zaprzętało zupełnie co innego. Wypłynięcie w morze nastroczało jeszcze więcej problemów. Dowiedział się, że wyspy z ropą: Poko Bukum, Pulo Sabo i Pulo Sebarok zostały zbombardowane, czy miały być zbombardowane – nie mógł się o tym naocznie przekonać, bo całun dymu zasnuwał wszystko. Ostatnie jednostki morskie wypłynęły i nie miał kto odebrać od niego paliwa. Ani paliwa do silników samolotowych – cataliny odleciały, a jedyne samoloty torpedowe Brewster Buffalo i Wildebeeste, jakie pozostały, leżały jak wypalone szkielety na lotnisku Selengar. Dziesięć tysięcy czterysta ton paliwa pozostawało jak w potrzasku w singapurskim porcie i... – Melduje się Mc\$kinnon, panie kapitanie. Wzywał mnie pan. – Dwadzieścia lat, w ciągu których Mc\$kinnon nie przepuścił ani jednego morza i portu na świecie wartego obejrzenia, tak przeobraziły tego zielonego, nieśmiałego, niedoświadczonego młokosa z Lewis, że na sześćdziesięciu kilku statkach Kompanii Brytyjsko\_Arabskiej stał się synonimem nieustępliwości, sprytu i niezawodnej kompetencji. Wszystkie te lata nie potrafiły jednak zmienić ani jednej głoski w powolnej, miękkiej wymowie tego mieszkańca gór. – W sprawie "Kerry Dancera"? Findhorn przytaknął skinieniem głowy i w milczeniu nadal się przyglądał ciemnej, krępej postaci przed sobą. Dowódca ma swoje przywileje, pomyślał bez związku. Najlepszy pierwszy oficer i najlepszy bosman w Kompanii... – Wczoraj wieczorem widziałem jego szalupę, panie kapitanie – powiedział spokojnie Mc\$kinnon. – Odpłynęła przed nami z pełnym kompletem pasażerów. – Popatrzył wyczekująco na kapitana. – To

statek\_szpital. Findhorn wstał z krzesła i stanął na wprost Mc\$kinnona nieporuszony. Obaj mężczyźni byli tego samego wzrostu, głowa w głowę. Pozostali też ani drgnęli. Tak jakby wszyscy się bali zakłócić ten kompletny bezruch, jaki zapanował na mostku. "Viroma" zboczyła jeden stopień z kursu, potem dwa i trzy, a Evans nie ruszył ręką, by to skorygować. – Statek\_szpital – powtórzył Findhorn matowym głosem. – Statek\_szpital, bosmanie? To tylko mały przybrzeżny parowiec... z pięćdziesiąt ton. – Zgadza się. Ale został zarekwirowany, panie kapitanie. Kiedy czekaliśmy na pana z Ferrisem na nabrzeżu, rozmawiałem z jednym z rannych żołnierzy. Kapitanowi kazano wybierać: albo straci statek, albo popłynie nim do Darwin. Na pokładzie jest kompania wojska, żeby tego dopilnować. – Mówcie dalej. – To wszystko, panie kapitanie. Zanim pan wrócił, jeszcze raz odpłynęła ich pełna szalupa... większość to ranni, którzy mogli chodzić, ale kilku było na noszach. Zdaje się, że mieli ze sobą też pięć czy sześć pielęgniarek, z których żadna nie była Brytyjką, i małego chłopca. – Kobiety, dzieci i chorzy, a oni ładują ich na pokład jednej z pływających trumien Kompanii Sulaimiya... cały archipelag aż się roi od japońskiego lotnictwa. – Findhorn zaklął, po cichu, lecz ordynarnie. – Ciekaw jestem, jaki matoł z Singapuru to wymyślił. – Nie wiem, panie kapitanie – odparł sztywno Mc\$kinnon. Findhorn spojrzał na niego ostro i odwrócił wzrok. – Pytanie było czysto retoryczne, bosmanie – zauważył zimno. Ton głosu obniżył mu się

niemal o oktawę, kapitan mówił dalej spokojnie, zadumany, nie zwracając się do nikogo w szczególności, jak człowiek, który wypowiada na głos niewesołe myśli. – Jeśli popłyniemy na północ, nasze szanse dostania się do Rhio i z powrotem są gorzej niż małe, a właściwie żadne. Nie ma co się oszukiwać w tej sprawie. Może to być pułapka... i prawdopodobnie jest: "Kerry Dancer" wypłynął przed nami i sześć godzin temu powinien przepłynąć przez Rhio. Jeśli to nie pułapka, wielce prawdopodobne, że w tej chwili "Kerry Dancer" tonie albo już zatonął. A

jeżeli nawet jeszcze nie zatonął, to pożar zmusił pasażerów i załogę do opuszczenia statku. Jeśli trzymają się w wodzie blisko niego, a większość jest ranna, niewielu z nich zastaniemy żywych za sześć czy siedem godzin, bo tyle nam zajęłoby dopłynięcie tam. – Findhorn zamilkł na kilka chwil, zapalił papierosa naruszając przepisy Kompanii i swoje własne zasady i dalej mówił tym samym matowym, monotonnym głosem: – Może spuścili szalupy, jeśli po bombardowaniu, ostrzale z karabinów maszynowych i pożarze w ogóle jakieś im pozostały. Wszyscy, którzy przeżyli, w ciągu kilku godzin mogą wylądować na jakiegokolwiek z dziesiątków wysepek. Jaka mamy szansę trafienia na właściwą wyspę w absolutnych ciemnościach, podczas sztormu... zakładając, że byśmy na tyle zwariowali... przecież to samobójstwo... i wpłynięcia do Cieśniny Rhio, gdzie nie będziemy mieli dostatecznie dużo miejsca, by wykonać zwrot w środku tajfunu? – Chrząknął, bo spiralne smużki dymu podrażniły mu zmęczone oczy. Kapitan Findhorn przez całą noc nie zszedł z mostka. Spojrzał w dół

z lekkim zdziwieniem, jakby po raz pierwszy widział papierosa między swoimi dwoma palcami, rzucił go i zgniótł obcasem białego płóciennego buta. Zgnieciony niedopałek zgasł, kapitan patrzył na niego długą chwilę, po czym podniósł wzrok i wodził nim powoli po czterech mężczyznach na mostku. Spojrzenie to nic nie oznaczało, Findhorn nigdy by nie zapytał o radę sternika, bosmana ani czwartego oficera. – Nie widzę żadnego powodu, by narażać na niebezpieczeństwo statek, ładunek i nasze życie, kiedy akcja jest z góry skazana na niepowodzenie. Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. Znowu zaległa cisza, ciężka, złowieszcza, nieprzenikniona. Powietrze zastygło, było duszno – być może dlatego, że zbliżał się sztorm. Nicolson stał oparty o schówek na bandery, ze wzrokiem spuszczone na splecione przed sobą ręce. Inni wpatrywali się w kapitana. "Viroma" nie zboczyła z kursu więcej niż dziesięć, może dwanaście stopni, i nadal kołysała się miarowo. Kiedy błędzący wzrok Findhorna w końcu spoczął na Nicolsonie, nie było już w nim wyrazu zadumy. – A więc, panie Nicolson? – zagadnął. – Ma pan absolutną rację, oczywiście, panie kapitanie. – Spojrzał w górę na przedni maszt, który kołysał się miarowo na coraz bardziej wzburzonym morzu. – Tysiąc do jednego, że to pułapka, a jeśli nawet nie, to załoga i pasażerowie nie będą już do uratowania, czyli na jedno wychodzi. – Spojrzał poważnie na kwatermistrza, busolę, a potem znowu na Findhorna. – Widzę, że już zboczyliśmy dziesięć stopni z kursu i nadal zbaczamy na prawo, moglibyśmy więc ułatwić sobie

sytuację i nadal zbaczać. Szlibyśmy kursem trzysta dwadzieścia, panie kapitanie. – Dziękuję. – Findhorn wypuścił powietrze, jakby po długim, niemal nieuchwytnym dla ucha westchnieniu. Podszedł do Nicolsona, otworzył papierośnicę. – Tylko ten jeden raz, do diabła z przepisami. Vannier, zna pan położenie "Kerry Dancera". Proszę podać kurs kwatermistrzowi. Powoli, miarowo duży tankowiec wykonał zwrot i ruszył na północny wschód, z powrotem w kierunku Singapuru, w sam środek narastającego sztormu. \* \* \* Nicolson mógł przewidywać, że istnieje jedna szansa na tysiąc, kapitan mógł go w tym popierać i snuć jeszcze śmielsze domysły, lecz i tak obaj by się mylili. Nie było żadnej zasadzki, "Kerry Dancer" nie zatonął i nie został opuszczony, to znaczy nie całkowicie. O drugiej po południu w parny, bezwietrzny dzień w połowie lutego 1942 roku utrzymywał się wciąż na wodzie, lecz wyglądało na to, że potrwa to już niedługo. Zanurzony był głęboko, aż po pokład dziobowy i tak przechylony na prawą burtę, że kiedy długa fala rozlewała się na pochyłym pokładzie i cofała, podobnie jak fale na brzegu, reling to chował się pod wodą, to znowu się pokazywał. Nie było przedniego masztu, złamał się jakieś dwa metry nad pokładem, po kominie pozostała tylko ciemna dziura, w której nadal tlił się ogień, mostek był nie do rozpoznania – złomowisko wypaczonych płyt metalowych, połamanych żelaznych kątowników, tworzących na tle mosiężnego nieba surrealistyczne kształty. Kubryk – pomieszczenie dla załogi tuż przed pokładem studniowym, wyglądał tak, jakby rozpołowiono go wielkim

otwieraczem do konserw. Bliżej burty nie było nawet śladu po pokrywach luków ani po kotwicach, windach kotwicznych, bomach ładunkowych. Zniszczenie nastąpiło na skutek wybuchu bomby, która przeszła cienką warstwę żelaznego pokładu i eksplodowała w samym środku kadłuba. Nikt nie miał wówczas pojęcia, co się stało, niesamowity wybuch bowiem był bardziej natychmiastowy niż jego skutki. Na pokładzie głównym i górnym znajdujące się od strony rufy pomieszczenia dla załogi, oszalowane drewnem, zupełnie się wypaliły, a przez wypaloną przestrzeń między ponurymi odkształconymi resztkami ścian można było z łatwością dostrzec niebo i morze. Niemożliwe, żeby ludzie przeżyli w tym żarze powalającym jak maczuga, trawiącym nawet metal, w żarze, pod wpływem którego "Kerry Dancer" przemienił się w zwęglony, martwy wrak, dryfujący niedostrzegalnie na południowy zachód, w kierunku Cieśniny Abang i dalekiej Sumatry. Rzeczywiście, na tym, co pozostało ze statku, nie widać było śladu życia, żadnego: ani na górnym pokładzie, ani na dolnym. Opuszczony, cichy szkielet, martwy kadłub dryfujący po Morzu Chińskim... Lecz w pomieszczeniu na rufie "Kerry Dancera" nadal przebywało dwadzieścioro troje żywych ludzi. Dwadzieścioro troje ludzi, choć niektórym z nich pozostało już niewiele życia. Byli to ranni żołnierze, ciężko ranni, których stan jeszcze przed wypłynięciem z Singapuru nie wróżył nic dobrego. Wstrząs wywołany bombardowaniem i dławiący żar płomieni – pożar nie rozprzestrzenił się na rufie, doszedł tylko do pokładu studniowego – ostatecznie

nadszarpnęły i tak wątle siły większości rannych i przekreśliły ich szansę. Mogłaby jeszcze istnieć nadzieja, że przeżyją – co prawda nikła – gdyby w porę przetransportowano ich z tej duchoty na tratwy czy szalupy. Nie było jednak czasu. Po wybuchu pierwszej bomby ktoś natychmiast zamknął od zewnątrz osiem zasuw zabezpieczających jedyne wodoszczelne drzwi, które prowadziły na górny pokład. Za tymi osmalonymi dymem drzwiami od czasu do czasu rozlegał się ludzki krzyk, w którym nie brzmiał ból, lecz udręka. Rozlegało się też skomlenie innych ciężko rannych, chociaż też nie był to jęk bólu. Pielęgniarka o euroazjatyckich rysach dysponowała wszelkimi lekami i środkami uśmierzającymi, jakie były potrzebne, by nieść ulgę umierającym, którym wrywały się z ust słabe, mimowolne szepty skargi. Co pewien czas miękkiem tonem jej uspokajającego pocieszającego głosu towarzyszyły głębokie, grzmiące i gniewne tony głosu mężczyzny. Najczęściej jednak rozlegały się ochryple okrzyki chorych, przerywane spazmatycznym płaczem zagubionego, samotnego dziecka. \* \*  
\* Zmierzch, krótki zmierzch tropików, morze mlecznobiałe od horyzontu po horyzont. W pobliżu jednak przeważała zieleń i biel – wielkie zielone wały znaczone pasmami gnanej wiatrem piany załamywały się we wrzącym kotle i pienily bielą. Omywały płaskie, szerokie pokłady "Viromy" zalewając pokrywy luków, rurociągi i zawory, a nawet czasami pomosty ciągnące się nad pokładem z dziobu na rufę. Lecz w oddali, jak tylko można było okiem sięgnąć w zapadającym mroku, rozciągała się niesamowita, połyskliwa biel

splaszczonych przez wiatr grzbietów fal i siekącego pyłu wodnego. "Viroma" przechylając się z burty na burtę pruć sztormowe fale na najwyższych obrotach jedynej wielkiej śruby. Płynęła na północ. Powinna płynąć kursem północno\_zachodnim, ale wiatr o sile pięćdziesięciu węzłów, który uderzył w nią od strony prawej burty niemal bez ostrzeżenia, z typową dla tajfunu gwałtownością, jak pędzący z prędkością ekspresu przybój, zepchnął ją daleko z kursu na południowy zachód, w kierunku Sebangi. Statek był na pełnym morzu: to wspinał się na fale, to opadał monottnie w ich doliny zgodnie z rytmem nacierających na niego z prawej burty bałwanów. Kiedy wpadał w dolinę fali, cały drżał, kiedy wydobywał się z wysiłkiem i dźwigał w górę stu sześćdziesięciometrowy kadłub, burty trzęsły się pod naporem masy białej wody. "Viroma" brała cięgi, ostre cięgi, lecz po to ją zbudowano. Na mostku od strony prawej burty, opatulony w ubranie nieprzemakalne, skulony za płócienną osłoną dającą wątpliwe schronienie, z oczami mocno zmrużonymi przed siekącymi strugami deszczu kapitan Findhorn patrzył w zapadający mrok. Nie wyglądał na zmartwionego, wyraz opanowania lub wręcz obojętności malował się jak zawsze na jego puciołowatej twarzy. Kapitan jednak martwił się, choć nie z powodu sztormu. Gwałtowne przechyły statku, wstrząsy powodowane zanurzaniem się burt aż po kluzę kotwiczne we wzburzonym morzu byłyby przerażającym przeżyciem dla szcúra lądowego, Findhorn jednakże ledwie je zauważał. Tankowiec o dużym zanurzeniu ma bardzo nisko umieszczony środek

ciężkości, co oczywiście zwiększa jego statyczność. Nie znaczy to jednak, że słabiej odczuwa się na nim kołysanie – same przechyły nie są istotne, najważniejsza jest zdolność statku do odzyskiwania równowagi, zdolność, która w przypadku tankowców jest regułą. System wodoszczelnych grodzi, doskonale wzmacniających statek, dobrze uszczelnione luki i gładkie metalowe pomosty upodabniają go do okrętu podwodnego. Ani wiatr, ani żadne inne zjawiska atmosferyczne nie mogą właściwie spowodować żadnych uszkodzeń. Findhorn aż nadto dobrze o tym wiedział, poza tym pływał już na tankowcach, kiedy wiały o wiele gorsze tajfuny, i to nie tylko na ich obrzeżu jak teraz, lecz w samym ich oku. Nie martwił się więc o "Viromę". Nie martwił się też o siebie. Nic mu bowiem nie pozostało takiego, o co mógłby się martwić, dosłownie nic. Istniało wiele powodów, dla których często wspominał przeszłość, nie miał jednak niczego, czym mógłby się cieszyć w przyszłości. Jako kapitanowi w wieku przedemerytalnym, służącemu w Brytyjsko\_Arabskiej Kompanii Tankowców ani morze, ani pracodawcy nie mieli nic do zaoferowania poza jeszcze dwoma latami dowództwa, emeryturą i odpowiednim zabezpieczeniem finansowym na stare lata. Po przejściu na emeryturę nie będzie miał gdzie osiąść, albowiem jego dom, w którym spędził ostatnie osiem lat, skromny bungalow przy przecznicy uliczki Bukit Timor na przedmieściu Singapuru, został w połowie stycznia zbombardowany. Jego synowie bliźniacy, zawsze utrzymujący, że człowiek, który decyduje się poświęcić całe życie morzu, musi być niespełna rozumu, na samym początku wojny

wstąpili do R\$af\_u i zginęli w swoich myśliwcach hurricane – jeden nad Flandrią, drugi nad Kanalem La Manche. Żona Helen przeżyła drugiego syna tylko o kilka tygodni. Niewydolność serca, taka była diagnoza lekarzy, czyli zręczny medyczny termin na to, co nazywa się złamanym sercem. Findhorn nie miał więc niczego, o co miałby się martwić, niczego na świecie, jeśli chodzi o jego własną osobę. W jego naturze nie leżał jednak egoizm, nie było w niej śladu egoizmu, toteż fakt, że jego własna przyszłość wydawała mu się pustką, nie odarł go ze zdolności myślenia o tych, którym życie miało jeszcze wiele do zaoferowania. Myślał o swoich podkomendnych, ludziach niepodobnych do niego samego, tych, którzy mieli rodziców i dzieci, żony i dziewczyny. Zastanawiał się, na jakiej moralnej podstawie, jeśli taka istniała, zdecydował się na powrót w stronę wroga, skoro ryzykował życiem cywilów. Zastanawiał się też nad tym, na jakiej podstawie, jeśli taka istniała, naraża bezcenny ładunek, którego tak bardzo potrzebowała ojczyzna. Myśl o tym, że Kompania poniesie straty, odsunął od siebie tak łatwo, jak problem, który

można po prostu załatwić obojętnym wzruszeniem ramion. Potem z największym zaangażowaniem zaczął się zastanawiać nad swoim pierwszym oficerem, który służył pod nim trzy lata, Johnem Nicolsonem. Nie znał go ani nie rozumiał. Może kiedyś pozna go i zrozumie jakaś kobieta, lecz wątpił, czy mógłby być do tego zdolny mężczyzna. Nicolson miał dwie osobowości, ta dwoistość jednak nie dotyczyła – należy przyznać – jego życia zawodowego ani sposobu wykonywania obowiązków

służbowych, z których wywiązywał się absolutnie nienagannie. Był przecież pierwszy w kolejce do objęcia dowództwa floty Anglo\_Arabskiej. Findhorn uważał go za najlepszego oficera, jaki służył pod nim przez trzydzieści trzy lata. Wykazywał się niezmiennie kompetencją tam, gdzie należało się nią wykazać, a błyskotliwością tam, gdzie kompetencja nie wystarczała. John Nicolson nigdy się nie mylił. Jego sprawność była niemal nieludzka. Nieludzka, pomyślał Findhorn, właśnie, i to jest tą drugą stroną jego osobowości. Normalnie Nicolson był grzeczny, uważny, nawet żartobliwie pobłażliwy, aż nagle zachodziła w nim jakaś dziwna "morska" odmiana, na skutek której zaczynał zachowywać dystans, stawał się nieobecny, zimny, a przede wszystkim bezwzględny. Musiało gdzieś istnieć powiązanie, punkt styczny między tymi dwoma Nicolsonami, coś, co powodowało przeskok jednej osobowości w drugą. Co to jest, Findhorn nie wiedział. Nie wiedział nawet, na czym polega jego własna więź z tym człowiekiem. Wprawdzie była nikła, bo nigdy nie utrzymywał z nim bliskich stosunków, lecz chyba i tak bliższe niż ktokolwiek inny. Może ta więź polegała na tym, że obaj są wdowcami, ale to raczej wątpliwe, choć rzeczywiście powinno to ich łączyć, tym bardziej że podobieństwa były uderzające. Obie żony mieszkały w Singapurze. Żona Nicolsona spędziła tam pierwsze pięć lat kadencji męża na Dalekim Wschodzie, a małżonka Findhorna drugie. Zmarły w odstępie tygodnia, w miejscach odległych od siebie o sto metrów. Helen Findhorn umarła z żalu we własnym domu, a Caroline Nicolson zginęła w wypadku, prowadząc

szybki samochód, z którym niemal tuż przed pomalowaną na biało bramą bungalowu Findhornów zderzył się samochód jakiegoś pijanego wariata. Ten zresztą, nawet nie draśnięty, po prostu uciekł. Findhorn wyprostował się, obwiązał mocniej szyję rącznikami, wytarł sól z oczu i ust i spojrzał na Nicolsona stojącego dalej na mostku. Stał wyprostowany, nie chował się za osłoną, ręce trzymał oparte na poręczy, intensywnie niebieskie oczy powoli lustrowały niewyraźny w mroku horyzont, twarz miał kamienną, obojętną. Wiatr i deszcz, paraliżujące gorąco Zatoki Perskiej czy przejmujący chłód deszczu ze śniegiem i styczniowego sztormu u ujścia Skaldy do Morza Północnego nie robiły Nicolsonowi żadnej różnicy. Był na nie odporny, zawsze pozostawał obojętny, niewzruszony. Nigdy nie miało się pojęcia, o czym myśli. Wiatr skręcał w lewo – powoli, bardzo powoli i równie wolno zyskiwał na sile. Krótki zmierzch tropików już prawie przeszedł w noc, fale, nadal mleczne, rozplywały się daleko w mroku. Findhorn widział, jak fosforyzują z lewej i prawej burty, jak układają się w ogromną podkowę wokół rufy, lecz z przodu nie mógł nic dojrzeć. "Viroma" pruća teraz na północ, w samo oko huraganu; ulewny deszcz, osobliwie zimny po tak gorącym dniu, siekł niemal poziomo od dziobu po rufę z taką siłą, że Findhornowi drętwiała twarz od drobniutkich włóczni, a z bolących oczu ciekły łzy. Niewiele dawało nawet ich przymrużanie – deszcz nadal kłuł i oślepiał. Byli jak ślepcy poruszający się po omacku w niewidzialnym świetle, który kończył się tam, gdzie się właśnie znajdowali.

Findhorn potrząsnął z niecierpliwością głową, z niecierpliwością, na którą składały się zarówno niepokój, jak rozdrażnienie, i zawołał Nicolsona. Nic nie świadczyło o tym, że tamten usłyszał. Zwinął więc dłonie w trąbkę i ponownie zawołał, zdając sobie sprawę z tego, że jego głos porywa wiatr świszczący w fałach i takielunku, że zagłusza go też huk wody bijącej o burty. Podszedł więc do Nicolsona i klepnął go w ramię, wskazał głową na sterówkę i skierował się w tamtą stronę. Nicolson ruszył za nim. Kiedy wszedł do środka, poczekał, aż statek zapadnie się w dolinę fali, i dopiero w tym dogodnym momencie odsunął drzwi, po czym zaraz je zamknął. Różnica między siekącym deszczem, wiatrem i rykiem morza a suchą, ciepłą i niemal cichą sterówką była tak uderzająca, tak dojmująca, że zarówno umysł, jak i ciało musiały się do niej przez kilka sekund przyzwyczajać. Findhorn wytarł rącznikami głowę, przeszedł przez pomieszczenie i stanął przy lewym przednim oknie, by popatrzeć przez zainstalowaną na nim szybę wirującą – okrągłą płytkę napędzaną elektrycznie przez pas transmisyjny. Przy normalnym wietrze i deszczu wystarczy siła odśrodkowa, by oczyścić przednią szybę i zapewnić dobrą widoczność. Tego wieczoru jednak warunki pogodowe bynajmniej nie były normalne. Na dodatek zużyty pas wciąż się ślizgał, a nie mieli zapasowego. Findhorn chrząknął poirytowany i odwrócił się. – No i co pan o tym myśli, Nicolson? – To samo, co pan, panie kapitanie. – Nie miał czapki, jasne włosy przykleiły mu się do czaszki i czoła. – Przed nami nic nie widać.

– Nie o to mi chodziło. – Wiem. – Nicolson uśmiechnął się i nagle podparł, by nie stracić równowagi, kiedy statek raptem się zapadł w dolinę fali, a oknami sterówki okropnie zatrzęsło. – Po raz pierwszy od tygodnia jesteśmy bezpieczni. – Pewnie ma pan rację. – Findhorn skinął głową. – Nawet wariat nie wybrałby się w taką noc, żeby nas szukać. Cenne godziny bezpieczeństwa, Johnny – mruknął – ale lepiej byśmy na tym wyszli, gdybyśmy się oddalili o

kilka nieocenionych mil od brata Japońca. Nicolson spojrzął na niego i odwrócił wzrok. Trudno było odgadnąć, o czym dokładnie myśli, lecz tym razem przynajmniej nie było to w pełni tajemnicą. Findhorn zaklął po cichu. Wszystko mu ułatwia, Nicolsonowi zostaje co najwyżej przytakiwać. – Prawdopodobieństwo, że ktoś przeżył, jest niewielkie – kontynuował kapitan. – Wystarczy spojrzeć, jaki to wieczór. Prawdopodobieństwo, że uratujemy kogoś, jest jeszcze mniejsze. Znowu wystarczy spojrzeć, jaki to wieczór... jak sam pan mówi, nic przed nami, do diabła, nie widać. A prawdopodobieństwo wpakowania się na rafę... czy choćby dość dużą wysepkę... jest całkiem spore. – Spojrzął przez boczne okno na nawałnicę siekącego deszczu i niski pułap pędzonych przez wiatr chmur. – Nie ma nadziei, by w tym piekle pokazały się dziś gwiazdy. – Tak, szanse mamy niewielkie – zgodził się Nicolson. Zapalił papierosa, automatycznie włożył zużytą zapalniczkę z powrotem do pudełka obserwując, jak niebieski dym unosi się leniwie w słabym świetle busoli, i spojrzął na Findhorna. – Jak pan ocenia szanse przetrwania na "Kerry Dancerze", panie kapitanie?

Ten popatrzył w lodowato zimne niebieskie oczy, odwrócił wzrok i nie odpowiedział. – Jeśli spuścili szalupy, zanim załamała się pogoda, teraz będą już na jakiejś wyspie – Nicolson mówił pośpiesznie dalej. – Jest tych wyseppek tutaj kilkanaście. Jeśli szalupy spuścili później, już dawno po nich... zresztą chyba na żadnym z takich statków przybrzeżnych nie znalazłaby się ani jedna sprawna szalupa. Jeśli ktoś przeżył i możemy mu udzielić pomocy, to tylko przy założeniu, że pozostał na "Kerry Dancerze". Igła w stogu siana, wiem, ale większa niż rafa czy drewniana belka. – Doceniam wszystkie te pańskie wysiłki... – Findhorn odchrząknął. – Statek będzie dryfował mniej więcej na południe – ciągnął Nicolson. Spojrzął znad mapy leżącej na stole. – Dwa węzły, może trzy. W kierunku Cieśniny Merodong... Na pewno wpakują się tam późnym wieczorem. Moglibyśmy zboczyć odrobinę w lewo, minąć w bezpiecznej odległości wyspę Mesana i trochę mimo wszystko jej się przyjrzeć. – Ogromnie dużo pan zakłada – powiedział powoli Findhorn. – Wiem, zakładam, że statek nie zatonął kilka godzin temu. – Nicolson uśmiechnął się przelotnie, a może był to tylko grymas, w sterówce panowały zbyt wielkie ciemności, żeby mieć jakąkolwiek pewność. – Może zaczynam dziś tracić rozum, panie kapitanie. Może to odzywa się we mnie skandynawska krew... za półtorej godziny powinniśmy być na miejscu. Nawet przy tym wzburzonym morzu nie więcej niż za dwie. – Zgoda, do cholery! – zawołał poirytowany Findhorn. – Dwie godziny, a potem zawracamy. – Zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka. – Teraz jest

szósta trzydzieści. Najwyżej do ósmej trzydzieści. – Rzucił coś do sternika, odwrócił się i poszedł za Nicolsonem, który trzymał dla niego otwarte drzwi, mimo gwałtownego kołysania statku. Na zewnątrz wyjący wiatr napierał na nich pędzącą ścianą, której nie można odeprzeć, przyparł ich na kilka sekund do mostka od strony rufy. Z trudem łapali oddech, deszcz nie był już deszczem, lecz ulewą siekącą poziomo, zimną jak śnieg, tnącą jak brzytwa. Odkryte czoła i policzki jakby odzierał ze skóry. Wiatr już nie świszczwał w takielunku, lecz wył i skowyczał tak przeraźliwie, że wydawało się to nieprawdopodobne, wręcz ranił uszy. "Viroma" wpływała w oko tajfunu. Rozdział czwarty Dwie godziny, kapitan Findhorn dał im najwyżej dwie godziny, lecz równie dobrze mogłyby to być dwie minuty czy dwa dni, niewielkie bowiem mieli szanse. Wszyscy o tym wiedzieli, wiedzieli, że to tylko gest, może ze względu na ich własne sumienie, może ze względu na pamięć o kilku rannych żołnierzach, garstce pielęgniarek i radiotelegrafistów, który upadł twarzą na klucz nadajnika i umarł. Nadal jednak był to tylko gest w beznadziejnej sytuacji... Natrafili na "Kerry Dancera" dwadzieścia siedem minut po ósmej, trzy minuty przed czasem. Natrafili na niego głównie dzięki temu, że przewidywania Nicolsona były co do joty trafne, statek znajdował się niemal dokładnie w tym miejscu, w którym pierwszy oficer spodziewał się go zastać. Ponurego, wypalonego stracha na wróble oświetliła na chwilę niesamowitym światłem

błyskawica, zrobiło się tak jasno jak w słoneczne południe. Lecz mimo to nie zauważyliby statku, gdyby jednocześnie nie osłabł huragan i nie zamienił się w szemrzący wietrzyk, a oślepiający deszcz nie ustał tak raptownie, jakby ktoś zakręcił w niebie ogromny kran. O tym, że ta nagła odmiana, to przejście huczącego sztormu w nieprawdopodobną ciszę nie zdarzyło się cudem, Findhorn doskonale wiedział. W oku tajfunu zawsze znajduje się oaza spokoju. Nie dziwiła więc go ta bezwietrzna, pełna zadumy cisza. Poprzednio jednak w podobnych sytuacjach miał dookoła bezmiar wody umożliwiający mu w razie konieczności wykonanie dowolnego manewru. Tym razem sytuacja wyglądała odwrotnie. Na północy, zachodzie i południowym zachodzie drogę ucieczki tarasowały bowiem wyspy archipelagu. Nie mogli wpłynąć w oko tajfunu w gorszym miejscu. Lecz nie mogli też w lepszym. Jeśli na "Kerry Dancerze" ktokolwiek pozostał przy życiu, warunki do przeprowadzenia akcji ratunkowej nie mogły być bardziej sprzyjające. Jeżeli ktoś pozostał przy życiu. W świetle szperaczy i lampy sygnałowej na lewej burcie, lustrujących statek, wydawało się to jednak nieprawdopodobne. Właściwie wręcz niemożliwe. W ostrym świetle "Kerry Dancer" wydawał się tylko jeszcze bardziej opuszczony i porzucony. Jego dziób tak głęboko zanurzył się w wodzie, że pokład dziobowy stał się niewidoczny, kubryk zaś, jak samotna skała, to wynurzał się, to pogrążał w nacierających falach. Nie było wiatru ani deszczu, lecz morze nadal pozostawało wezbrane i jeszcze bardziej spienione. Findhorn patrzył w milczeniu na "Kerry Dancera" posępny wzrokiem. W snopie światła,

ustawiony w półwieźrze, burtą do bałwanów, kołysał się bezwolny w dolinach fal – środek ciężkości bowiem znacznie mu się obniżył na skutek obciążenia setkami ton wody. Martwy, pomyślał kapitan, martwy, jeśli statek może być martwy, lecz o tym na pewno można to powiedzieć. Martwy, to zaś jest jego duch, pomyślał wbrew logice, duch niesamowity i złowróżbny, przeświełtłony reflektorami, uwidaczniającymi poszczerbione, prostokątne dziury w wypalanej nadbudówce. Dręczyła kapitana myśl, że coś mu ten wrak przypomina, aż nagle uprzytomnił sobie, co – Statek Śmierci Starego Żeglarza na tle czerwonego słońca, którego promienie rozszczepiały się na drewnianym szkielecie. Nie istnieje bardziej martwy statek niż ten tutaj, pomyślał ponuro. Trudno o coś bardziej pozbawionego oznak życia... Nagle zdał sobie sprawę, że pierwszy oficer stoi tuż za jego plecami. – No i masz go, Johnny – mruknął. – Kandydat elekt na Morze Sargassowe, czy jak tam się nazywa morze martwych statków. Przyjemną mieliśmy wycieczkę. Wracajmy. – Tak, panie kapitanie. – Nicolson jakby go nie słyszał. – Proszę o pozwolenie spuszczenia szalupy. – Nie zgadzam się. – Findhorn rzucił to kategorycznie, stanowczo. – Widzieliśmy już wszystko, co chcieliśmy zobaczyć. – Przy płynęliśmy tu z daleka. – W tonie głosu Nicolsona nie było żadnego szczególnego nacisku. – Vannier, bosman, Ferris, ja i kilku innych, moglibyśmy dać radę. – Może i tak. – Podparł się, bo "Viroma" gwałtownie zakołysała i przeszedł na lewą stronę mostka. Patrzył w morze. Nawet od strony zawietrznej

różnica wysokości między dolinami fal a ich grzbietami wynosiła trzy, cztery metry, wały były krótkie, spienione i zdradliwe, załamywały się stromo. – A może i nie. Nie chcę ryzykować niczyjego życia tylko po to, żeby się o tym przekonać. Nicolson milczał. Mijały sekundy, aż w końcu Findhorn znów zwrócił się do niego, lecz w jego głosie nie było nawet śladu zdenerwowania. – No i o co właściwie chodzi? Nadal czuje się pan tak, jakby... no, jak to pan nazwał... jakby tracił pan rozum? W tym rzecz? – Zniecierpliwiony wyciągnął rękę pokazując na "Kerry Dancera". – Niech to wszyscy diabli, człowieku, przecież na nim na pewno nikogo nie ma. Jest wypalony, zbombardowany, wygląda jak utrzymujące się na wodzie sito. Naprawdę pan uważa, że ktoś na nim pozostał po tym drobnym wypadku, jaki mu się przydarzył? A nawet gdyby tak było, to przecież ten ktoś dostrzegłby nasze światła. Dlaczego wszyscy pozostali tam ludzie nie skaczą po górnym pokładzie... jeśli w ogóle został tam pokład... i nie wywijają koszulami nad głową? Może mi pan to wyjaśnić? – Findhorn wpadł w sarkastyczny ton. – Nie mam pojęcia, panie kapitanie, chociaż wydaje mi się, że ciężko ranny żołnierz... Mc\$kinnon mówił, że na pokładzie było kilka ciężkich przypadków... chyba nie bardzo mógłby, w ogóle nie dałby rady wstać z łóżka i zdjąć koszuli, a co dopiero wymachiwać nią nad głową, skacząc po górnym pokładzie – powiedział sucho Nicolson. – Proszę o jedno, kapitanie. Spróbujmy dać sygnał światłami, wystrzelić kilka dwunastek przeciwlotniczych i z sześć rakiet. Jeżeli ktoś tam

pozostał przy życiu, musi to zauważyć. Findhorn namyślał się przez chwilę, po czym skinął głową. – Na tyle mogę się zgodzić. Mam nadzieję, że w promieniu pięćdziesięciu mil nie znajdzie się żaden Japoniec. Niech pan wyda rozkazy. Lecz ani sygnalizowanie reflektorami, ani głuchy, gwałtowny huk wystrzałów z dwunastofuntowego dział, niosący się echem po morzu, nie wywołały żadnej reakcji. "Kerry Dancer" wyglądał tylko jeszcze bardziej jak opuszczony, ledwie utrzymujący się na wodzie, wypalony szkielec, o wiele głębiej zanurzony w wodzie; jego kubryk ukazywał się nad powierzchnią już tylko w najgłębszych dolinach fal. W końcu wystrzelono rakiety – siedem czy osiem oślepiąco białych rac w kompletnych ciemnościach zatoczyło łagodne łuki w kierunku zachodnim. Jedna z nich wylądowała na rufie "Kerry Dancera", leżała tam długie sekundy, oblewając rozkołysany pokład oślepiąco białym światłem, aż wreszcie skwiercząc zgasła. Na statku nadal nie było widać ani śladu życia. – No i po wszystkim – stwierdził kapitan znużonym głosem. Mimo że nie wierzył w powodzenie, teraz czuł się rozczarowany, nawet bardziej, niż chciałby się do tego przyznać. – Zadowolony pan? – Panie kapitanie! – zawołał Vannier, uniemożliwiając Nicolsonowi odpowiedź. Głos miał piskliwy, podniecony. – O tam, kapitanie, niech pan patrzy! Zanim Vannier skończył, Findhorn już oparł się o poręcz i przyłożył lornetkę do oczu. Przez kilka sekund stał nieporuszony, zaklął cicho, opuścił lornetkę i zwrócił się do Nicolsona. Ten go uprzedził.

–Widzę, panie kapitanie. Fale przybrzeżne. Niecałą milę na południe od "Kerry Dancera"... Wpakuje się tam za jakieś dwadzieścia minut, pół godziny. To musi być Metsana, a nie rafa. – Pewnie, że to Metsana – ryknął Findhorn. – Dobry Boże, nie spodziewałem się, że jesteśmy tak blisko! To przesądza o wszystkim. Zgasić światła. Cała naprzód, ster prawo na burtę i trzymać kurs dziewięćdziesiąt, kieruj się na pełne morze. W każdej chwili możemy teraz wyjść z oka tajfunu i tylko Bóg jeden wie, jaki zerwie się wiatr... niech to cholera! Prawa ręka Nicolsona spoczęła na jego ramieniu, wysmukłe palce wbiły się mocno w ciało. Jednocześnie lewa ręka wyciągnęła się w stronę tonącego statku i wskazywała na jego rufę. – Widziałem tam przed chwilą światło... zaraz po tym, jak zgasło nasze – powiedział głosem spokojnym, niemal cichym. – Bardzo słabe światło... świecy, a może nawet zapaliki. W iluminatorze blisko pokładu studniowego. Findhorn spojrzał na niego, potem na ciemną, mroczną sylwetkę parowca i pokiwał przecząco głową. – Obawiam się, że się pan myli. Po prostu złudzenie optyczne. Na siatkówce powstają dziwne odbicia obrazów, a może to tylko odbłask naszego gasnącego światła odbity od pokrywy... –



Nigdy się w podobnych sprawach nie mylę. – Nicolson przerwał mu kategorycznie. Minęło kilka sekund absolutnej ciszy, aż znów odezwał się kapitan: – Ktoś jeszcze widział to światło? – Głos miał spokojny, dostatecznie bezosobowy, wyczuwało się w nim ledwie

dostrzegalną nutę zdenerwowania. Znów zapadła cisza, tym razem na dłużej, w końcu Findhorn obrócił się gwałtownie na pięcie. – Cała naprzód... Nicolson, co pan wyprawia?! Ten bez najmniejszego pośpiechu odwiesił słuchawkę. – Prosiłem tylko o ich spostrzeżenie – mruknął lakonicznie. Odwrócił się plecami do kapitana i patrzył w morze. Findhorn zacisnął usta, zrobił kilka kroków naprzód, lecz nagle zwolnił, bo reflektor się zapalił, zachybotał i snop światła spoczął na nadbudówce w części rufowej "Kerry Dancera". Jeszcze wolniejszym krokiem zaczął iść ramię w ramię z Nicolsonem, usiłując obiema rękami chwycić się poręczy dla utrzymania równowagi, ale nie był to dostateczny powód, żeby tak mocno zaciskać na niej dłonie, coraz mocniej, aż napięte kłykcie w poświacie reflektora skierowanego na parowiec nabrały koloru kości słoniowej. "Kerry Dancer" znajdował się teraz ledwie trzysta metrów od nich i nie można było mieć najmniejszej wątpliwości co do jednego, wszyscy widzieli to wyraźnie: przez otwarty iluminator wysunęło się długie, nagie ramię i zaczęło szaleńczo wymachiwać białym ręcznikiem czy prześcieradłem. Nagle cofnęło się i znów wysunęło z płonącym pękiem papieru czy szmat. Trzymało go wytrwale, aż płomienie zaczęły lizać nadgarstki, po czym puściło syczący i dymiący pęk do morza. Findhorn westchnął ciężko, przeciągle, rozluźnił obolałe palce, puścił poręcz. Ramiona mu obwisły – był opadłym z sił, zmęczonym i zniechęconym człowiekiem, któremu zabrakło młodzieńczej wiary, człowiekiem,

który za długo dźwigał zbyt wielki ciężar. Pod ciemną opalenizną twarz pobiadła mu jak płótno. – Przepraszam, chłopcze – powiedział szeptem, nie oglądając się, powoli kiwając z boku na bok głową. – Bogu dzięki, że w porę to dostrzegłeś. Lecz nikt go nie słyszał, mówił tylko do siebie. Nicolsona już nie było – zanim kapitan otworzył usta, tamten zjechał na rękach po poręczy trapu nawet nie dotknąwszy nogą stopnia. A zanim kapitan skończył, Nicolson poluzował liny zabezpieczające szalupę i zwalniał blokadę wołając do bosmana, żeby biegiem zebrał grupę ratowniczą. \* \* \* Z toporkiem przeciwpożarowym w jednej ręce, z oprawioną w gumę latarką w drugiej Nicolson szybko posuwał się wzdłuż burty po wypalonym pokładzie "Kerry Dancera". Pod nogami miał stalowy pokład, który pod wpływem niesamowitego żaru wypaczył się i powyginał w fantastyczne kształty, w kątach i zakamarkach nadal tliło się zwęglone drewno. Kilkakrotne gwałtowne, ostre kołysanie statku rzuciło Nicolsonem o ścianę, a wtedy opierając się o nią rękami, nawet przez płócienne rękawice czuł, jaka jest nieznośnie gorąca. Jeżeli teraz była tak rozżarzona, mimo wiejącego wiele godzin huraganu i padającego ulewnego deszczu, mógł sobie doskonale wyobrazić, jaki niesamowity żar panował tu podczas pożaru. Pojawiło się podświadome pytanie, jaki ładunek przewoził statek, prawdopodobnie jakąś kontrabandę. Po przebyciu dwóch trzecich drogi nagle po prawej zauważył drzwi – nietknięte i zamknięte. Odchylił się do tyłu, zamachnął nogą i kopnął w zamek – drzwi ustąpiły o centymetr, lecz się nie otworzyły. Rąbnął porywczo w

zamek toporkiem, znów kopnął w drzwi i tym razem otworzyły się na oścież. Zapalił latarkę i przestąpił przez listwę uszczelniającą. Na podłodze u jego stóp leżały dwa zwęglone, nieforemne kształty. Może kiedyś byli to ludzie, może nie. Uderzył go taki nieznośny smród, że zwarły mu się nozdrza jak pod ciosem pięści. W trzy sekundy już był na zewnątrz, zabił toporkiem drzwi. Stał tam też Vannier z dużą czerwoną gaśnicą pod pachą. Nicolson natychmiast się zorientował, że mimo krótkiego czasu, on też zdążył zajrzeć do środka, oczy miał bowiem szeroko otwarte, malowała się w nich odraza, twarz pobielała mu jak papier. Nicolson raptownie ruszył dalej wzdłuż burty, Vannier za nim, a na końcu bosman z młotem i Ferris z łomem. Otworzył kopniakiem jeszcze dwie pary drzwi, zaświecił do środka latarką. Pusto. Dotarł do przerwy przed częścią rufową pokładu studniowego, gdzie wszystko było lepiej widać, bo padał tam snop światła reflektora "Viromy". Rozejrzał się za trapem czy innym zejściem i natychmiast je zobaczył – kilka zwęglonych drewnianych stopni leżało na stalowym pokładzie dwa i pół metra niżej. Drewniany trap był zupełnie zniszczony przez ogień. Nicolson zwrócił się raptownie do cieśli: – Ferris, wracajcie do szalupy i powiedzcie Amesowi i Docherty'emu, żeby podpłynęli aż tu pod pokład studniowy. Nie obchodzi mnie, jak to zrobią, ani ile ucierpi na tym łódź... nie damy rady przenieść tu chorych i rannych. Zostawcie łom. Zanim przebrzmiały jego słowa, już zsunął się na rękach po poręczach i wylądował lekko na niższym pokładzie. Kilkoma susami przeskoczył odległość

dzielącą go od drzwi, uderzył mocno styliskiem toporka w stalowe drzwi nadbudówki. – Jest tam kto? – zawołał. Przez dwie, trzy sekundy panowała kompletna cisza, po czym podniosła się bezładna wrzawa głosów. Nicolson odwrócił się szybko do Mc\$kinna, ujrzał na jego twarzy jakby odbity własny uśmiech, cofnął się o krok i zaczął lustrować stalowe drzwi latarką. Jedna zasuwa zwisała luźno, kołysząc się jak wahadło w rytm gwałtownego kołysania obciążonego wodą statku, pozostałe siedem zasuwa było mocno, prawidłowo zamkniętych. Trzy i pół kilogramowy łom w rękach Mc\$kinna śmigał jak zabawka. Uderzył nim wszystkiego siedem razy, po razie w każdą z siedmiu zasuwa. Po tonącym statku niósł się metaliczny szczepek rozbrzmiewający głuchym echem. Drzwi teraz

otworzyły się same, weszli do środka. Nicolson oświetlił je od wewnątrz i zacisnął usta – tylko do jednej zasuw, tej luźno zwisającej, był dostęp od środka, pozostałych siedem zakończonych było gładkimi główkami nitów. Odwrócił się przodem do pomieszczenia i zaczął je stopniowo oświetlać latarką. Był to ciemny i zimny, ociekający wilgocią loch, którego śliska stalowa podłoga nie miała żadnego pokrycia, tak niski, że wysoki mężczyzna ledwie mógł się wyprostować. Wzdłuż bocznych ścian stały trzypiętrowe metalowe koje, bez materaców i koców, a jakieś trzydzieści centymetrów nad każdą z nich wisiał przyspawany do grodzi ciężki żelazny pierścień. Środkiem, wzdłuż całego pomieszczenia ciągnął się stół z drewnianymi stołkami z obu stron. W pomieszczeniu znajdowało się

może ze dwadzieścioro ludzi, jak ocenił Nicolson. Niektórzy siedzieli na dolnych kojach, kilkoro stało opartych ciężko o górne, by utrzymać równowagę, lecz większość nawet teraz leżała. Tymi leżącymi osobami byli żołnierze, z których kilku wyglądało tak, jakby nigdy już nie miało się podnieść. Nicolson widział w życiu zbyt wiele trupów, żeby nie potrafić tego ocenić – woskowe policzki, puste spojrzenia matowych oczu, postacie jakby bez kośćca w nieforemnym ubraniu. Było też kilka pielęgniarek w spódnicach khaki i przewiązanych paskiem bluzach oraz dwóch czy trzech cywilów. Wszyscy bez wyjątku, nawet ciemnoskóre pielęgniarki, wydawali się biali jak płótno, wycieńczeni i chorzy. "Kerry Dancer" kołysał się w dolinach fal najprawdopodobniej od wczesnego popołudnia, kołysał się okropnie, nieprzerwanie przez długie godziny. – Kto tu dowodzi? – Głos Nicolsona odbił się głucho od żelaznych ścian pomieszczenia. – Chyba on. To znaczy, chyba on uważa, że tu dowodzi. – W wyrazie bladoniebieskich oczu szczupłej, niskiej, bardzo prosto się trzymającej starszej pani obok Nicolsona, o siwych włosach zebranych mocno w koczek ukryty pod swobodnie nałożonym słomkowym kapeluszem, można było dostrzec silne poczucie władzy. A kiedy wskazała na mężczyznę skulonego nad na wpół opróżnioną butelką whisky stojącą na stole, w oczach jej widać było odrazę. – Ale jest, oczywiście, pijany. – Pijany, proszę pani? Powiedziała pani, że jestem pijany? – Nicolson zdał sobie sprawę, że to jedyny człowiek, który nie wygląda blade i nie jest chory: twarz, szyję i nawet uszy miał tak opalone, że były koloru ciemnej cegły, co stanowiło ogromny kontrast z

białymi jak śnieg włosami i krzaczastymi białymi brwiami. – Ma pani czelność im... impu... – Zapluwając się wstał, obciągnął marynarkę białego Inianego garnituru. – Na Boga, gdyby była pani mężczyzną... – Wiem – przerwał mu Nicolson. – Wtedy na pewno dołożylibyście jej szpicrutą tak, żeby popamiętała. Zamknijcie się i siadajcie. – Teraz zwrócił się do kobiety: – Jak się pani nazywa? – Jestem panna Plenderleith. Costance Plenderleith. – Proszę pani, statek tonie – wyrzucił z siebie Nicolson. – Z każdą minutą dziób coraz bardziej się zanurza. Za jakieś pół godziny znajdziemy się na skałach, w każdej chwili może też ponownie uderzyć w nas tajfun. – Zapaliły się dwie, trzy latarki, mógł więc się przyrzuć wyzierającym półkolem z ciemności milczącym twarzom. – Musimy się śpieszyć. Większość was wygląda jak nieżywa i jestem pewien, że tak się czujecie, ale musimy się śpieszyć. Przy lewej burcie czeka szalupa, niecałe sto metrów stąd. Panno Plenderleith, ilu ludzi nie da rady przejść tam o własnych siłach? – Proszę spytać pannę Drachmann. Ona jest siostrą przełożoną. – Ton jej głosu świadczył niezbicie o tym, że darzy przełożoną wielkim szacunkiem. – Która z pań to panna Drachmann? – spytał. Spojrzała na niego dziewczyna siedząca w kącie. W mroku nie było widać jej twarzy. – Obawiam się, że tylko dwóch. – Powiedziała to tonem pełnym napięcia, lecz głos miała miękki, niski i śpiewny. – Obawia się pani? – Pozostali ciężko ranni zmarli dziś rano – odparła spokojnie. – To znaczy pięciu.

Byli w bardzo ciężkim stanie... i pogoda dała im się we znaki. – Głos jej lekko zadrżał. – Pięciu – powtórzył za nią Nicolson kiwając głową miarowo, z namysłem. – Tak jest. – Ciaśniej objęła ramieniem chłopca, który stał przy niej na siedzeniu, drugą ręką otuliła go szczelniej kocem. – A to maleństwo jest po prostu bardzo zmęczone i głodne. – Usiłowała wyjąć delikatnie chłopcu brudny kciuk z buzi, lecz mały uparcie robił swoje, przez cały czas patrząc na Nicolsona w sposób niepokojąco obojętny. – Dziś w nocy mały dobrze się wyśpi – przyrzekł Nicolson. – No, wszyscy, którzy mogą chodzić, proszę do szalupy. Najpierw najsilniejsi... będziecie pomagali utrzymać łódź w równowadze i sprowadzać do niej rannych. Ilu ludzi, oprócz ciężkich przypadków, ma obrażenia rąk i nóg, siostrzo? – Pięciu, panie kapitanie. – Proszę mnie tak nie nazywać. Tych pięciu niech więc zaczeka, aż ktoś im tam pomoże. – Klepnął podpitego mężczyznę po ramieniu. – Prowadźcie. – Ja? – wybuchnął. – Dowodzę tym statkiem... jestem kapitanem, a kapitan zawsze ostatni... – Prowadźcie – powtórzył cierpliwie Nicolson. – Przedstaw się panu, Foster – zachęciła go cierpko panna Plenderleith. – Niewątpliwie to zrobię. – Stał już trzymając czarną walizkę w jednej ręce, na wpół pustą butelkę w drugiej. – Nazywam się Farnholme, generał Foster Farnholme. – Skłonił się z ironią. – Do usług. – Niezmiernie mi miło. – Nicolson uśmiechnął się chłodno. – Ruszajcie. – Stłumiony chichot panny Plenderleith za jego plecami zabrzmiał nienaturalnie

głośno pośród ciszy, która nagle zapadła. – Na Boga, zapłacisz mi za to, ty bezczelna... – przerwał nagle i cofnął się o krok przed popędzającym go Nicolsonem. – Niech to wszyscy diabli – wyrzucił z siebie – zgodnie z tradycją, kobiety i dzieci pierwsze opuszczają statek. – Wiem. A potem wszyscy ustawimy się w szeregu na pokładzie i

umrzemy razem jak mali dżentelmeni, przy akompaniamencie orkiestry. Nie będę wam już następny raz powtarzał, Farnholme. – Jestem generał Farnholme, jak dla ciebie, ty... – Na pokładzie powita was salwa siedemnastu wystrzałów – przyrzekł mu Nicolson i wyciągnął rękę, by popchnąć go wprost w ramiona bosmana, który tylko na to czekał i w niecałe cztery sekundy wyprowadził go na pokład. Nicolson lustrował pomieszczenie latarką, aż nagle jej światło spoczęło na postaci w płaszczu, skulonej na koi. – A wy? Jesteście ranni? – Allah łaskawie obchodzi się z tymi, którzy go kochają. – Głos był niski, niemal grobowy, ciemne, głęboko osadzone oczy błyszczały po obu stronach orlego nosa. Wysoki mężczyzna wstał z godnością, naciągając czarną czapkę mocno na głowę. – Nie jestem ranny. – To dobrze, teraz wasza kolej do wyjścia. – Nicolson przesunął snop latarki dalej, zatrzymał go na kapralu i dwóch szeregowcach. – A w jakim wy jesteście stanie, chłopcy? – Och, nam nic nie jest. – Chudy, ciemnowłosa kapral oderwał zdumiony, podejrzliwy wzrok od drzwi, w których przed chwilą zniknął Farnholme, i uśmiechnął się do Nicolsona. Uśmiech ten jakby nie miał prawa pojawić się na żółtej, trawionej

gorączką twarzy o nabiegłych krwią oczach. – Dzielni synowie Brytanii. Jesteśmy w doskonałej formie. – Kłamczuch z was – powiedział Nicolson przyjaźnie. – Ale dziękuję wam bardzo. Wychodźcie. Panie Vannier, odprowadzi ich pan do szalupy? Niech skaczą za każdym razem, kiedy łódź podpłynie pod pokład studniowy... powinna podpłynąć na odległość kilkudziesięciu centymetrów. I niech każdy przywiąże się liną... na wszelki wypadek. Bosman wam pomoże. Począł, aż szerokie plecy mężczyzny w płaszczu zniknęły za drzwiami, i spojrzął z zaciekawieniem na drobną kobietę u swego boku. – Kim jest ten jegomość, panno Plenderleith? – To muła z Borneo. – Wydeła usta z dezaprobatą. – Kiedyś spędziłam tam cztery lata. Wszystkie rzezimieszki grasujące tam na rzekach były muzułmanami. – Musiał więc mieć zamożnych wiernych – mruknął Nicolson. – No, panno Plenderleith, teraz wasza kolej, pielęgniarek. A może panna Drachmann zostałaby jeszcze chwilę? Dopilnowałaby pani, żebyśmy przenosząc ciężko rannych nie wyrządzili im krzywdy. Nie czekając na odpowiedź wybiegł na pokład depcząc po piętach ostatniej z pielęgniarek. Przystanął na chwilę mrużąc oczy, odwykłe od oślepiającego blasku reflektora "Viromy", w którego świetle wszystko wyglądało jak płaskorzeźba o ostrym rysunku – bezlitosną biel łamały czarne, niezgłębione bryły cienia. "Viroma" stała nie dalej jak sto pięćdziesiąt metrów, co przy takiej fali oznaczało, że kapitan Findhorn ryzykował, ryzykował wysoką stawkę. Od czasu kiedy weszli na pokład "Kerry Dancera", nie

minęło nawet dziesięć minut, lecz statek już zdążył znacznie się pogrążyć – fale zaczęły się załamywać na prawej burcie od strony rufy. Szalupa czekała przy lewej burcie, to zapadając się trzy metry w dolinę fali, to podnosząc niemal na wysokość relingu. Ludzie w niej, kiedy dostawali się w zasięg reflektora, mrużyli oczy i odwracali głowy. Nicolson widział, jak kapral puszcza reling, wskakuje do szalupy, jak łapia go Docherty i Ames, po czym wszyscy znikają niczym kamień rzucony w wodę. Mc\$kinnon podniósł jedną z pielęgniarek i postawił z drugiej strony relingu, by stała tam gotowa do skoku, kiedy łódź podniesie się na odpowiednią wysokość. Nicolson podszedł do relingu, zapalił latarkę i poświecił nią w dół. Szalupa znajdowała się w dolinie fali, przyparta do burty statku mimo wysiłków załogi, która starała się przeciwdziałać sile napierających ze wszystkich stron mas wody – dwie górne deski burty wgniotły się i złamały, lecz okrężnica z twardego wiązusa amerykańskiego nie uległa zniszczeniu. Na dziobie Farnholme, a na rufie muła trzymali się kurczowo lin i robili wszystko, co w ich mocy, by utrzymać łódź w równowadze i zmniejszyć wstrząsy, na jakie była narażona wskutek uderzeń o "Kerry Dancera". Na ile Nicolson mógł się zorientować w zamieszaniu i ciemnościach, wysiłki ich dawały zadziwiająco dobre rezultaty. – Niech pan patrzy! – zawołał wstrząśnięty Vannier u boku Nicolsona wyciągając rękę w ciemność. – Za chwilę wpadniemy na rafy! Nicolson wyprostował się i spojrzął w kierunku, który wskazywała ręka. Na horyzoncie nadal szalały błyskawice płaskie, lecz nawet wtedy, gdy

na chwilę gasły, bez trudu można było dostrzec długą, nieregularną linię kipiącej bieli, która tryskała pianą, wrzała, pieniała się, uspokajała, w miarę jak wielkie bałwany załamywały się na linii raf w pewnej odległości od brzegu. Dwieście metrów, ocenił Nicolson, najwyżej dwieście pięćdziesiąt dzieli statek od rafy, a więc "Kerry Dancer" dryfuje na południe niemal dwukrotnie szybciej, niż przewidywali. Stał przez chwilę bez ruchu, myśl gonila myśl, oceniał szanse. Nagle zatoczył się i prawie upadł – statek uderzył ciężko, ze zgrzytem prutego metalu o podwodną skałę, po czym przechylił się mocno na lewą burtę. Nicolsonowi mignął Mc\$kinnon na szeroko rozstawionych nogach; opasywał silnie zaciśniętym ramieniem pielęgniarkę za relingiem – odwrócił się i popatrzył w snop światła reflektora szczerząc zęby i mrużąc mocno oczy. Nicolson wiedział, że tamten myśli o tym samym co on. – Vannier! – raptem zawołał ponaglająco. – Wyciągnijcie aldisa. Dajcie sygnał kapitanowi, żeby zachowywał większą odległość, bo tu mielizna, rafy, dryfujemy szybko. Ferris, zajmijcie miejsce bosmana. Ładujcie ludzi. Gna nas naprzód. Jeśli statek się obróci dziobem w morze, nie uda nam się nikogo uratować. Dobra, Mc\$kinnon ze mną. Po pięciu sekundach był już z powrotem w pomieszczeniu na rufie, Mc\$kinnon wraz z nim. Szybko oświetlił latarką metalowe koje. Zostało ośmioro ludzi – pięciu żołnierzy zdolnych do chodzenia, panna Drachmann i dwóch ciężko rannych, wyciągniętych na najniższych kojach. Jeden z nich oddychał chrapliwie przez otwarte usta,

pojękując i

przewracając się z boku na bok, pogrążony w głębokim, jakby narkotycznym śnie. Drugi leżał niezwykle spokojnie, oddech miał tak płytki, że prawie niewyczuwalny, twarz koloru wosku i kości słoniowej – tylko powolne wodzenie niewidzącym, pełnym bólu wzrokiem wskazywało na to, że żyje. – No, kolej na tę piątkę. – Nicolson wskazał na żołnierzy. – Ruszajcie jak najszybciej na pokład! Co wy najlepszego robicie?! – Wyciągnął rękę i wyrwał plecak z rąk żołnierza, który usiłował zarzucić go sobie na ramiona. Odrzucił plecak w kąt. – Będziecie mieli wielkie szczęście, jeśli sami z tego wyjdziecie, ten cholerny bagaż wam w tym nie pomoże. Pośpieszcie się, wychodzić! Czterech żołnierzy poganianych przez Mc\$kinnona wypadło na pokład. Piąty – blady chłopak w wieku około dwudziestu lat – nawet nie ruszył się z miejsca. Oczy miał szeroko otwarte, wciąż poruszał ustami i zaciskał kurczowo dłonie. Nicolson pochylił się nad nim. – Słyszeliście, co powiedziałem? – spytał cicho. – To mój kumpel. – Nie patrząc na Nicolsona wskazał na jedną z koi za sobą. – To mój najlepszy przyjaciel. Zostaję tu z nim. – Mój Boże! – mruknął Nicolson. – To mi czas na bohaterstwo. – Wskazał głową na drzwi. – Wychodźcie! – rzucił głośnie. Chłopak zaczął mamrotać pod nosem przekleństwa, lecz nagle umilkł – rozległ się głuchy huk, który poniósł się echem po całym statku, po czym pokład przechylił się ostro jeszcze bardziej na lewą burtę. – Zdaje się, że poszła wodoszczelna gródź maszynowni w części rufowej. – Mc\$kinnon powiedział to po swojemu, śpiewnie, głosem tak spokojnym,

jakby prowadził normalną rozmowę. – Tak, rufa zanurza się – przytaknął Nicolson. Nie tracił już czasu. Pochylił się nad żołnierzem, wykręcił mu lewą rękę, szarpnął nim wściekle, by tamten wstał, i znieruchomiał zdumiony, bo pielęgniarka rzuciła się naprzód chwytając obiema rękami jego prawe wolne ramię. Była wysoka, wyższa, niż przypuszczał, musnęła go po oczach włosami, poczuł lekki zapach drzewa sandałowego. Lecz najbardziej przykuły jego uwagę i wstrząsnęły nim jej oczy, czy właściwie jedno oko, światło latarki bowiem oświetlało tylko prawą stronę twarzy dziewczyny. Oko to miało taki kolor, jaki widział tylko raz w życiu – we własnym lustrze. Czysty błękit Arktyki, podobnie intensywny jak jego, naprawdę arktyczny błękit, wrogi. – Niech pan poczeka, niech pan go nie bije... można innymi sposobami. – Głos brzmiał tak samo jak przedtem, był miękki, wyraźnie modulowany, lecz poprzednio słychać w nim było ton szacunku, który zastąpiła teraz ostrzejsza nuta niemal pogardy. – Nie rozumie pan. Z nim nie jest wszystko w porządku. – Odwróciła się od Nicolsona i dotknęła lekko ramienia chłopaka. – Chodź, Alex. Naprawdę trzeba iść. Zaopiekuję się twoim przyjacielem... wiesz, że dotrzymam słowa. Proszę cię! Alex! Chłopak poruszył się niepewnie i spojrzał przez ramię na mężczyznę leżącego na koi. Dziewczyna chwyciła go za rękę, uśmiechnęła się do niego i delikatnie skłoniła do wstania. Wymamrotał coś, zawahał się i mijając Nicolsona wytoczył na pokład. – Gratulacje. – Nicolson pokiwał głową patrząc w stronę

otwartych drzwi. Teraz kolej na panią. – Skądże. – Potrząsnęła głową. – Słyszał pan, co mu obiecałam... a poza tym sam pan mnie przedtem prosił, bym tu dłużej została. – To było przedtem, teraz o to nie proszę – odparł z niecierpliwością. – Nie ma czasu na to, by tarnosić się teraz z noszami... pokład jest śliski, przechylony pod kątem dwudziestu stopni. Musiała to pani zauważyć. Stała przez chwilę niezdecydowana, po czym skinęła w milczeniu głową, odwróciła się i zaczęła szukać czegoś po omacku na pogrążonej w ciemnościach koi za sobą. – Niech się pani pośpieszy – rzucił Nicolson szorstko. – Po co zabierać rzeczy. Słyszała pani, co mówiłem żołnierzowi. – To nie są moje rzeczy – powiedziała cicho. – Odwróciła się i mocniej owinęła kocem dziecko śpiące w jej ramionach. – Na pewno to czyjś skarb. Przez chwilę patrzył na dziecko, po czym potrząsnął głową. – Niech mnie pani nazwie, jak tylko się pani podoba. Naprawdę zupełnie zapomniałem. I to też może pani nazwać według swojego uznania... może na przykład "zaniechaniem udzielenia pomocy". – Nasze życie jest w pana ręku. – Ton jej głosu już nie był wrogi. – Nie może pan pamiętać o wszystkim. Przeszła obok niego opierając się wolną ręką o koje, by się nie przewrócić na ostro pochyłonej podłodze. Znów poczuł delikatny zapach drzewa sandałowego, delikatny niby przelotne wspomnienie, zagubione w wilgotnym zaduchu pomieszczenia. Przy drzwiach poślizgnęła się i o mało nie upadła, lecz Mc\$kinnon wyciągnął

rękę i ją podtrzymał. Chwyciła się go bez wahania i wyszli razem na pokład. Po minucie obaj ciężko ranni też znaleźli się na zewnątrz – Nicolson niósł jednego, a Mc\$kinnon drugiego. "Kerry Dancer" zanurzył się już głęboko od strony rufy. Nadal dryfował szybko naprzód wstrząsany uderzeniami fal, które raz po razie przewalały się przez prawy reling i rozlewały po pokładzie, dziób zaś odwracał się powoli, nieubłagane ku morzu. Jeszcze najwyżej minuta, ocenił Nicolson, i szalupa zostanie pozbawiona jakiegokolwiek osłony, będzie całkiem wystawiona na uderzenia ogromnych, jeszcze krótszych i bardziej stromych grzywaczy pędzących po mieliźnie. Już teraz zanurzała się lub przechylała gwałtownie, kręcąc się niebezpiecznie, w sposób niekontrolowany na załamujących się bałwanach i nabierała przez lewą okrężnicę dziesiątki litrów wody. Nicolson był pewien, że nie została już nawet minuta. Przeskoczył przez reling, poczekał, aż bosman poda mu pierwszego z rannych. Pozostały sekundy, tylko sekundy, potem już nikt nie zdoła wskoczyć do szalupy, która, jeśli chce wyjść cało, będzie musiała się oddalić. Sekundy, a tu, do cholery, trzeba uporać się z rannymi, może nawet umierającymi, i to w zupełnych ciemnościach. "Kerry Dancer" bowiem już tak się obrócił, że jego nadbudówka całkiem zasłaniała światło reflektora "Viromy". Nicolson nachylił się w stronę opadającego stromo pokładu, przechwycił pierwszego rannego z rąk Mc\$kinnona, poczekał, aż ten wsunie palce za jego pasek, okręcił się i wychylił daleko naprzód, bo w wąskim snopie światła latarki Vanniera ukazała się szalupa. Docherty i Ames,

ubezpieczani przez żołnierzy siedzących z boku na ławkach, podpłynęli niemal na wysokość Nicolsona – ponieważ rufa "Kerry Dancera" zanurzona była głęboko, szalupa utrzymywała się wyżej na wodzie – i od razu zręcznie złapali rannego; umieścili go na ławce akurat w chwili, gdy łódź jakby zapadła się i zniknęła na dnie fali pośród kipieli wodnego pyłu i fosforyzującej piany. Drugi ranny znalazł się w łodzi dopiero sześć, siedem sekund później. Akcja była pośpieszna, siłą rzeczy brutalna, musiała sprawić rannym ból, lecz ani jeden nie jęknął. Nicolson zawołał pannę Drachmann, ona jednak popychała właśnie do skoku pozostałych dwóch rannych, którzy poruszali się o własnych siłach. Skoczyli razem i bezpiecznie wylądowali w łodzi. Jeszcze jeden żołnierz. Nawet jeśli odbędzie się to szybko, sytuacja będzie krytyczna, pomyślał ponuro Nicolson. "Kerry Dancer" obrócił się już bowiem zanadto w stronę pełnego morza. Ostatni żołnierz jednak się nie zjawiał. Nicolson nie widział go w ciemnościach, lecz słyszał jego piskliwy, przerażony głos dolatujący z odległości co najmniej pięciu metrów. Słyszał też głos pielęgniarki ponaglającej go miękko, przekonującym tonem, jej argumenty jednak nie odnosiły skutku. – Co się tam, do cholery, dzieje!?! – wrzasnął. Rozległ się nieskoordynowany pomruk, po czym dziewczyna zawołała: – Jeszcze chwilę! Nicolson odwrócił się, przebiegł wzrokiem wzdłuż lewej burty do dziobu, wyciągnął instynktownie rękę, by osłonić przywykłe do ciemności oczy przed reflektorem "Viromy" oświetlającym chybotliwą

nadbudówkę "Kerry Dancera". Statek obrócony był dziobem na fale, a szalupa, będąca ostatnim ratunkiem, znikła z pola widzenia. Widział, że pierwsze wysokie, upstrzone pianą wały gładko i cicho zaczęły omywać przechyloną burtę, za nimi zaś pędziły następne. Nie potrafił powiedzieć, jakie są wysokie, reflektor bowiem ślizgał się po powierzchni i jasno

oświetlał łamiące się białe szczyty fal, lecz ich doliny pozostawiał w nieprzeniknionej ciemności. Można było jednak się domyślić, że są wielkie, zbyt duże i zbyt strome – wystarczyłoby sześć takich, by szalupa napelniła się wodą i wywróciła. W najlepszym razie mogłyby zalać wlot powietrza do silnika, co samo przez się byłoby katastrofalne. Nicolson obrócił się, przechylił przez reling, wrzasnął, by Vannier i Ferris wskakiwali do szalupy, zawołał też do Mc\$kinnona, żeby ten opuścił rufę. Potem na wpół biegnąc, na wpół przewracając się ruszył przez pochylony pokład w stronę dziewczyny i żołnierza, którzy stali w połowie drogi między pomieszczeniem na rufie a trapez prowadzącym na pokład rufówki. Nie tracił czasu, tylko chwycił dziewczynę za ramiona, obrócił i bez ceregieli popchnął ją w stronę burty, po czym odwrócił się, by złapać żołnierza, i zaczął ciągnąć go przez pokład. Chłopak opierał się, a kiedy Nicolson chciał chwycić go mocniej, ten wymierzył mu cios między oczy. Nicolson zachwiał się i oparł rękami o pochylone stromo mokre deski, lecz po chwili zdołał się pozbierać. Skoczył do żołnierza. Zamachnął się i zaraz zaklął groźnie pod nosem, bo ręka, którą się zamachnął, o coś się z tyłu zaczepiła. Zanim zdołał ją uwolnić, chłopak już

zaczynał się wdrapywać po trapie, uważnie stawiając na metalowych stopniach nogi w nabijanych gwoździami butach. – Ty głupcze! – rzucił w jego stronę Nicolson. – Ty zwariowany głupku! – Wyszarpnął rękę i w tej samej chwili zobaczył w blasku reflektora ostro zarysowaną sylwetkę bosmana, który przywoływał go gestem zza relingu. Nicolson nie czekał już dłużej. Obrócił pielęgniarkę, pociągnął ją do relingu i przerzucił na jego drugą stronę. Mc\$kinnon złapał ją za rękę, spojrzał w dół na szalupę, której prawie nie było widać w mrocznej dolinie fali, i czekał na sposobną chwilę, by skoczyć. Na sekundę odwrócił się i wtedy Nicolson, dostrzegając na jego twarzy gniew i rozdrażnienie, zorientował się, że tamten wie, co się zdarzyło. – Jestem panu potrzebny? – Nie – Nicolson zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy. – Szalupa ważniejsza. – Zobaczył, że łódź podnosząc się powolnie na fali przekracza granicę światła reflektora, a przez jej burty przelewają się kaskady wody. – Boże, Mc\$kinnon, ona zaraz nabierze do pełna wody! Odpłyńcie stąd jak najszybciej! Rzucę linę z dziobu. – Tak jest. – Mc\$kinnon przytaknął ruchem głowy, jakby to było oczywiste, ocenił nieomylnie, ile ma czasu, by skoczyć, i nagle pociągając za sobą dziewczynę znalazł się w szalupie na skraju ławki. Wyciągnęły się ku nim ręce załogi i pomogły utrzymać równowagę, bo niemal w tym samym momencie łódź zagłębiła się w ciemną dolinę fali. Chwilę później z dziobu statku opadła do szalupy lina. Nicolson przechylił się przez reling, by śledzić ją wzrokiem. – Wszystko w porządku, bosmanie? – zawołał.

– Tak jest, nic się nie dzieje. Podpłynę do rufy od zawietrznej. Nicolson nie czekał, by się upewnić, jak tamten sobie poradzi. Szanse ustawienia łodzi rufą do wiatru i fali, gdy tylko zacznie się podnosić na ogromnym wale, były niewielkie, ale jeśli Mc\$kinnon powiedział, że uda mu się podpłynąć do rufy, na pewno można mu wierzyć. Z pewnością będzie tam czekał. Nicolson, podobnie jak kapitan Findhorn, miał zaufanie do przedsiębiorczości bosmana, jego poczucia odpowiedzialności i sztuki żeglowania. Znalazł się na szczycie trapez prowadzącego na pokład rufówki, stał tam z ręką opartą o reling, rozglądając się powoli dookoła. Przed sobą miał nadbudówkę, za nią i z boku widać było wydłużony, wąski

cień tankowca, ciemną smugę na wodzie, na wpół widoczną, na wpół wyobrażoną w mroku tym czarniejszym, że kontrastował z blaskiem rzucanym przez reflektor. Nicolson uprzytomnił sobie jednak, że światło to jest teraz słabsze i mniej intensywne niż choćby dziesięć minut wcześniej. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że "Viroma" uciekając z płyčizny odpłynęła dalej w morze, lecz chwilę później patrząc na mgliście zarysowane dziób i rufę tankowca zdał sobie sprawę, że wcale tak się nie stało. Statek nie zmienił pozycji, moc reflektora też się nie zmieniła, lecz snop światła wydawał się inny, słabszy, jakby wchłonięty przez morze i rozproszony w jego czerni. I jeszcze coś się zmieniło – morze było naprawdę czarne, jego mroku nie rozpraszało ani jedno pasmo bieli, ani jedna załamująca się biała grzywa fali. Nagle Nicolson uświadomił sobie, co spowodowało te zmiany – ropa. Nie było co do tego

wątpliwości – morze pomiędzy dwoma statkami pokrywała gruba warstwa rozlanej na dużej powierzchni ropy. Przez ostatnie pięć minut "Viroma" zapewne wypompowywała ją za burtę – setki litrów ropy, dostatecznie dużo, by unieszkodliwić niejedne sztormowe fale. Kapitan Findhorn widząc przechyły "Kerry Dancera" na pewno szybko się zorientował, że szalupie grozi niebezpieczeństwo zatopienia przez przewalające się przez burtę bałwany. Nicolson bezwiednie uśmiechnął się do siebie i odwrócił. Aczkolwiek ropa prawie gwarantowała bezpieczeństwo szalupie, jemu nie uśmiechała się perspektywa, że kiedy za kilka minut znajdzie się za burtą wraz z młodym żołnierzem Alexem, może im ona wypalić oczy, zakleić uszy, nozdrza i usta, oblepić od stóp do głów. Posuwał się bez trudu po pokładzie rufówki. Żołnierz stał sztywno na rufie przy relingu, w nienaturalnej pozycji, oparty plecami, obiema rękoma trzymając się wsporników, patrzył w dal. Kiedy Nicolson podszedł do niego, chłopak cały się trząsnął od zbyt długiego napięcia. Skok do wody z młodym Alexem, pomyślał Nicolson bez emocji, będzie jakby pierwszym krokiem do popełnienia samobójstwa albo przez utonięcie, albo przez uduszenie – paniczny strach bowiem rodzi w ludziach nieludzką siłę, ich kurczowo zaciśnięte palce może rozluźnić tylko śmierć. Nicolson westchnął, wyrzwał za reling i zapalił latarkę. Mc\$kinnon czekał dokładnie tam, gdzie obiecał – przy rufie od zawietrznej, niecałe pięć metrów od statku. Zgasił latarkę spokojnie, bez pośpiechu, odwrócił się od relingu i stanął przed żołnierzem. Alex nie poruszył

się, oddech miał krótki i płytki. Nicolson przełożył latarkę do lewej ręki, podniósł ją, zapalił i przez chwilę patrzył na białą, pełną napięcia twarz, wargi, z których odpłynęła krew, zaciśnięte na obnażonych zębach, i oczy mocno zmrużone przed rażącym światłem. Uderzył Alexa raz – wymierzył bardzo mocny cios dokładnie w szczękę pod uchem. Złapał go, by chłopak nie upadł, przerzucił przez reling, potem sobie przez ramię i na chwilę tak zamarł w ostrym świetle latarki, którą akurat zapalono w szalupie. To Mc\$kinnon przezornie czekał stosownej chwili, aż usłyszał głuchy odgłos ciosu. Nicolson objął silnie ramieniem żołnierza w pasie i skoczył. Wpadli do wody jakies półtora metra od łodzi, niemal bez plusku zniknęli pod powierzchnią uspokojonego przez ropę morza, wypłynęli i zaraz chwyciły ich czekające na tę chwilę ręce, wciągając obu do szalupy. Nicolson kłął między jednym atakiem kaszlu a drugim, wycierał zaklejone ropą oczy, nos i usta, młody żołnierz leżał nieruchomo na ławce z prawej burty, a Vannier i panna Drachmann wycierali go strzępami koszuli Vanniera. Powrót

na "Viromę" nie był niebezpieczny, ale mimo to bardzo ciężki. Prawie wszyscy pasażerowie dostali morskiej choroby i tak osłabli, że kiedy w końcu podpłynęli do tankowca, trzeba było im pomagać przy wysiadaniu. Minęło ledwie piętnaście minut od skoku Nicolsona z żołnierzem do wody, a już szalupa bezpiecznie powróciła na statek i zawisła na swoim miejscu na ostatnim nie uszkodzonym żurawiku. Nicolson obejrzał się, by po raz ostatni popatrzeć na "Kerry Dancera". Nie było jednak po nim ani śladu, jak gdyby nigdy nie istniał

–  
pograżył się w morzu, zsunął z rafy i osiadł na dnie. Przez chwilę Nicolson patrzył na ciemne wody, odwrócił się w stronę trapu i wszedł powoli na mostek. .nv Rozdział piąty Pół godziny później "Viroma" płynęła miarowo całą parą na południowy zachód, pozostawiając po prawej burcie mgliste, znikające w mroku wąskie pasmo Metsany. Dziwne, lecz tajfun nadal nie powracał, huraganowe wiatry też ustały. Możliwe, że płynęli śladem sztormu, ale przyjdzie czas, kiedy będą musieli zboczyć i wpłynąć w sam jego środek. Nicolson, który zdołał się z wysiłkiem umyć i oskrobać z ropy, stał na mostku przy oknie i rozmawiał z drugim oficerem. Podszedł do nich kapitan Findhorn i klepnął Nicolsona w ramię. – Panie Nicolson, chciałbym zamienić z panem słówko. Pan, panie Barrett, poradzi sobie, prawda? – Tak, panie kapitanie, oczywiście. Dam znać, jeśli coś wyskoczy? – odpowiedział na wpół pytająco, w typowy dla siebie sposób. Chociaż był o wiele lat starszy od Nicolsona, to jednak wciąż pełnił funkcję drugiego oficera, gdyż brakowało mu przedsiębiorczości i wyobraźni, a poza tym, mimo że miał poczucie odpowiedzialności, nie była ona najmocniejszą jego stroną. – Dobrze, oczywiście. – Findhorn poprowadził Nicolsona przez kabinę nawigacyjną do swojej kabiny, w której urzędował w ciągu dnia. Znajdowała się ona na tym samym pokładzie co mostek. Zamknął drzwi, sprawdził, czy zadbano o zaciemnienie, zapalił światło i ruchem ręki zaprosił Nicolsona, by usiadł. Pochylił się nad

szafką, otworzył ją, a kiedy się wyprostował, trzymał w ręce dwie szklanki i nie otwartą butelkę whisky. Odpieczętował ją, nalał płynu na trzy palce do każdej szklanki i podał jedną Nicolsonowi. – Johnny, napij się wody. Jeden Bóg wie, że na to zasłużyłeś... i na to, by się kilka godzin przespać. Połóż się, jak tylko skończymy. – Cudownie – mruknął jego gość. – Rzucam się natychmiast na koję, ale najpierw pan musi się przespać. Przez całą noc nie zszedł pan z mostka. Mam rację? – Dobrze, już dobrze. – Findhorn podniósł rękę udając, że się broni. – Potem będziemy się kłócić. – Wypił odrobinę whisky i spojrzał znad szklanki, zamyślony, na Nicolsona. – Powiedźże, Johnny, co o nim myślisz. – O "Kerry Dancerze"? Kapitan przytaknął skinieniem głowy. Czekał. – To statek do transportu niewolników – odpowiedział spokojnie Nicolson. – Pamięta pan ten arabski parowiec zatrzymany w ubiegłym roku przez marynarkę niedaleko Ras al Hadd? – Pamiętam. – Jest taki sam, prawie nie ma między nimi różnicy. Wszędzie stalowe drzwi, główny pokład i górne też z żelaza. Większość drzwi otwierana tylko od jednej strony. Dwudziestocentymetrowe zasuw... jeśli w ogóle były zasuw. Żelazne pierścienie przy każdej koi. Myślę, że krążył po wyspach, a nie handlował w okolicach Amoy i Makao. – W dwudziestym wieku? – powiedział cicho Findhorn. – Handel żywym towarem? – Tak – odparł lakonicznie Nicolson. – Ale przynajmniej nie zgładzają tych ludzi. Poczekajmy, aż dogonią cywilizowane narody



Zachodu i zaczął działalność hurtową: gazy

trujące, obozy koncentracyjne, bombardowanie miast i co tam jeszcze. To tylko kwestia czasu. Chwilowo działają jeszcze jak amatorzy. – To cynizm, młody człowieku, cynizm. – Findhorn potrząsnął głową z naganą. – Tak czy owak, to, co pan opowiada o "Kerry Dancerze", jest potwierdzeniem tego, co powiedział generał Farnholme. – Ach, więc rozmawiał pan z jego lordowską mością? – uśmiechnął się Nicolson. – Jutro zostaną postawiony pod sąd wojenny? – A cóż to ma znaczyć? – Nie podobałem mu się – wyjaśnił Nicolson. – Niespecjalnie zwlekał, by mi dać to do zrozumienia. – W takim razie zmienił zdanie. – Findhorn ponownie napełnił szklanki. – "To zdolny młody człowiek, bardzo zdolny, ale... no... porywczy". Tak to mniej więcej powiedział. Bardzo pukka, dodał, Tuan Besar w życiu. Nicolson skinął głową. – Wyobrażam go sobie, jak siedzi w Klubie Bengalskim napchany po uszy, nadęty tak, że robi mu się drugi podbródek, i chrapie tak głośno, że można ogłuchnąć. Ale to ciekawy ptaszek. Dobrze mu poszło z tą liną na łodzi. Jak pan myśli, na ile on udaje? – Chyba w niewielkim stopniu. – Findhorn zastanowił się jeszcze chwilę. – Trochę, ale nie bardzo. Na pewno to emerytowany oficer. Być może na emeryturze odrobinę podwyższył sobie rangę. – Ale co, u diabła, taki ktoś robi na pokładzie "Kerry Dancera"? – spytał Nicolson z nutą zaciekawienia z glosie. – Teraz wielu różnych ludzi brata się z dziwnymi typami – odparł Findhorn. – A co do Klubu Bengalskiego, to mylisz się,

Johnny. Farnholme nie mieszkał w Singapurze. Prowadził jakieś interesy na Borneo... niezbyt szczegółowo o tym opowiadał... a na "Kerry Dancera" wsiadł w Bajermasin razem z kilkoma innymi Europejczykami, którzy uważali, że Japończycy odrobinę przesadzają. Statek miał płynąć na Bali, a tam mieli się przesiąść na inny, który by ich zabrał do Darwin. Ale najwyraźniej Siran... tak się nazywał kapitan, w pojęciu starego Farnholme'a zdecydowanie zły duch... otrzymał przez radio rozkaz od swoich szefów, że ma płynąć do Kota Bharu. Farnholme przekupił go, by płynął do Singapuru, i tamten się zgodził. Dlaczego to zrobił, jeden Bóg wie, w sytuacji, kiedy Japońcy stoją prawie pod drzwiami, ale ludzie dostatecznie pozbawieni skrupułów zawsze znajdują sposób, by wykorzystać każdą sytuację. Albo może myśleli, że zaraz zbiją majątek żądając od ludzi fortuny za transport z Singapuru. Nie przewidzieli jednak tego, co się stało... że dowództwo "Kerry Dancera" przejmie wojsko. – Tak, wojsko – mruknął Nicolson. – Ciekawe, gdzie są ci żołnierze... Mc\$kinnon twierdzi, że było ich co najmniej dwudziestu czterech... mieli dopilnować, żeby "Kerry Dancer" bez żadnych sztuczek popłynął prosto do Darwin. – No właśnie, ciekawe. – Kapitan zacisnął usta. – Farnholme mówi, że zajmowali kubryk. – Może ten, w którym były te sprytne drzwiczki otwierane tylko z jednej strony? – Może. Widział pan to pomieszczenie? Nicolson pokiwał przecząco głową. – Kiedy znaleźliśmy się tam na pokładzie, praktycznie cała dziobówka była pod wodą. Nie

zdziwiło mnie to. A drzwi mogły się zablokować od wybuchu bomby. – Przełknął jeszcze odrobinę whisky i skrzywił się z niesmakiem, nie z powodu alkoholu, lecz własnych myśli. – Przyjemna alternatywa: utonięcie albo spalenie. Chciałbym kiedyś spotkać się z kapitanem Siranem. Myślę, że znalazłoby się jeszcze kilka innych osób, które też by miały na to

ochotę... Jak się czują pozostali nasi pasażerowie? Czy mogliby coś dodać do tej opowieści? Findhorn zaprzeczył ruchem głowy. – Nic. Są zbyt słabi i zmęczeni, przeżyli zbyt wielki wstrząs albo po prostu nic nie wiedzą. – Wszyscy podzieleni na grupy, umyć i ułożyć do snu? – Mniej więcej. Rozparcelowani po całym statku. Żołnierze razem na rufie... dwóch ciężko rannych w izolatce, pozostałych ośmiu w palarni i w dwóch wolnych kabinach mechaników na lewej burcie. Farnholme i mułła razem zajmują pomieszczenie mechaników. – Warto by to zobaczyć: brytyjski radża oddycha tym samym powietrzem co śniady poganin! – Zdziwiłby się pan – odmruknął Findhorn. – Każdy z nich ma tam leżankę, pomiędzy nimi stoi stół, a na nim butelka whisky, prawie pełna. Doskonale im tam razem. – Kiedy go przedtem widziałem, miał pół butelki whisky – Nicolson zauważył z namysłem. – Ciekawe... – Może wypił to sam jednym haustem. Taszczy ze sobą wielką walizkę i jeśli chce pan wiedzieć, ma w niej pełno butelek whisky. – A reszta? – Jaka reszta? Aha. Drobną starszą pani zajmuje pokój Waltersa... on przeniósł się z

materacem do kabiny radiowej. Przełożona pielęgniarek, ta, która opiekuje się... – Panna Drachmann? – Tak. Ona i dziecko są w kabynie praktykantów. A Vannier i piąty mechanik zajęli kabinę do spółki z Barrettem i czwartym mechanikiem... dwie pielęgniarki w kabynie Vanniera, a ostatnia w kabynie piątego. – Wszyscy są więc rozmieszczeni. – Nicolson westchnął, zapalił papierosa i patrzył, jak niebieski dym leniwie unosi się pod sufit. – Mam tylko nadzieję, że nie wpadli z deszczu pod rynnę. Spróbujemy znów przejść przez Cieśninę Karimata? – Dlaczego nie? A jak inaczej... Przerwał, bo Nicolson wyciągnął rękę po słuchawkę telefonu, który właśnie zadzwonił, i przyłożył ją do ucha. – Tu kabina kapitana... A, Willy, to ty... Tak, jest tutaj. Chwileczkę. – Wstał lekko, by zwolnić miejsce dla Findhorna. – Drugi mechanik, panie kapitanie. Findhorn rozmawiał może z pół minuty, głównie monosylabami. Nicolson zastanawiał się leniwie, czego Willoughby chce. Mówił znudzonym tonem, ale też nikt nigdy nie widział, by coś go wprawilo w stan podniecenia. Dla Ernesta Willoughby nie istniało w życiu nic, czym warto by się ekscytować. Zwariowany marzyciel i stary bałwan – był najstarszy na statku – zafascynowany literaturą, której to fascynacji dorównywała tylko pogarda dla wszelkich maszyn, a więc tego, dzięki czemu się utrzymywał, był niezwykle uczciwym człowiekiem i najmniejszym egoistą, jakiego Nicolson w życiu poznał. Willoughby nie pysznił się swoimi cechami charakteru, może nawet nie zdawał sobie z nich

sprawy – należał do ludzi, którzy niewiele mają, a jeszcze mniej oczekują. Nicolsona łączyło z nim niewiele wspólnego, w każdym razie tak mogło się z pozoru wydawać, lecz może na zasadzie przyciągania się przeciwieństw darzył starego mechanika ogromną sympatią i podziwem. Willoughby, który nie był żonaty i miał w singapurskim Klubie Towarzystwa tylko jeden pokój, spędził w domu Nicolsona sporo wieczorów. Pamiętał, że Caroline, która uwielbiała starego mechanika, zawsze bardzo się starała, żeby przygotowywać dla niego najlepsze potrawy i dużo napojów chłodzących. Nicolson spojrzął na szklankę, wspomnienie zmarłej żony napełniło go gorczyzą... Nagle zdał sobie sprawę, że Findhorn stoi i patrzy na niego ze szczególnym wyrazem twarzy. – Co ci jest Johnny? Dobrze się czujesz? – Po prostu błędzę myślami, kapitanie. – Uśmiechnął się i wskazał ręką na butelkę whisky. –

Bardzo pomaga, kiedy człowiek chce pospacerować po własnej pamięci. – Niech więc pan sobie jeszcze doleje i urządzi następny spacer. – Złapał czapkę i zwrócił się w stronę drzwi. – Proszę tu na mnie poczekać. Muszę zejść na dół. Dwie minuty po wyjściu kapitana znów zadzwonił telefon. Dzwonił sam Findhorn prosząc Nicolsona, by zszedł na dół do messy. Nie podał powodu. Idąc tam Nicolson natknął się na czwartego oficera, w chwili gdy wychodził on z kabiny radiowej. Vannier nie wyglądał ani na szczęśliwego, ani na zadowolonego. Nicolson spojrzał na niego podnosząc brew w niemym pytaniu, na co tamten zerknął do tyłu na drzwi kabiny, a kiedy znów się odwrócił, na jego twarzy malował się wyraz będący

mieszaniną oburzenia i lęku. – Ta stara halabarda tam w środku zupełnie zwariowała – powiedział półgłosem. – Co? – Chodzi o pannę Plenderleith – wyjaśnił Vannier. – Zajmuje kabinę Waltersa. Właśnie zasypiałem, kiedy zaczęła stukać w gródź między naszymi kabinami. Zignorowałem to, a wtedy wyszła na korytarz i zaczęła wołać. – Vannier zamilkł, po czym dodał, poruszony: – Ma bardzo donośny głos. – Czego chciała? – Wzywała kapitana. – Vannier potrząsnął głową z niedowierzaniem. – "Młody człowieku, chcę się widzieć z kapitanem. Natychmiast. Niech mu pan powie, żeby tu przyszedł." I wypchnęła mnie za drzwi. Co mam zrobić? – Dokładnie to, czego sobie życzy – uśmiechnął się Nicolson. – Chcę być przy tym, jak mu to pan powie. Jest na dole, w messie. Zeskoczyli na niższy pokład i razem weszli do messy. Było to duże pomieszczenie z dwoma ustawionymi wzdłuż niego stołami, przy których mogło się zmieścić dwudziestu członków załogi. Teraz jednak prawie świeciło pustkami – przebywały w nim tylko trzy osoby. Kapitan i drugi mechanik stali obok siebie zwrócenii w stronę dziobu, poddając się łatwo kołysaniu statku. Findhorn, jak zwykle ubrany w nieskazitelny mundur, uśmiechał się. Willoughby też, ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi. Drugi mechanik bowiem – wysoki, przygarbiony, o opalonej, pokrytej zmarszczkami twarzy i zmierzwionej siwej czuprynie – był postrachem krawców. Miał na sobie białą koszulę, to znaczy koszulę, która kiedyś była biała, nie uprasowaną, bez guzików, z

wytartym kołnierzykiem i krótkimi rękawami, drelichowe spodnie, pomarszczone jak skóra na nogach słonia i o wiele za krótkie, wełniane skarpetki we wzorek z rombów oraz płócienne buty bez sznurowadeł. Nie golił się tego dnia, a może i przez cały tydzień. Przodem do nich, na wpół wyprostowana, na wpół oparta o stół stała dziewczyna trzymając się mocno krawędzi blatu, by utrzymać równowagę. Kiedy Nicolson i Vannier weszli, zobaczyli tylko jej profil, lecz dostrzegli, że ona też się uśmiecha – prawy kącik ust się podnosił sprawiając, że w brzoskwiniowym, lekko oliwkowym policzku robiły się dołki. Miała prosty nos, pięknie wyrzeźbiony, wysokie gładkie czoło i długie jedwabiste włosy zebrane w puszysty pęk nad karkiem; włosy były czarne, tak czarne, że w ostrych promieniach słońca robiły się granatowe i połyskliwe jak skrzydło kruka. Patrząc na jej włosy, karnację i dość wydatne kości policzkowe można było orzec, że ma typową urodę łączącą w sobie cechy europejskie i azjatyckie. Lecz przyjrząwszy jej się bliżej – co robili wszyscy bez wyjątku mężczyźni – z reguły zmieniano zdanie, bo okazywało się, że jednak różni się od typowej piękności o wymienionych cechach: jej twarz nie była dostatecznie szeroka, rysy miała bardzo delikatne i te nieprawdopodobne oczy, z których wyzierała daleka północ Europy.

Kiedy Nicolson zobaczył je po raz pierwszy w ostrym świetle latarki na pokładzie "Kerry Dancera", były intensywne, porażająco niebieskie, przejrzyste, zniewalające, stanowiły najbardziej uderzający szczegół jej niezwyklej twarzy. Teraz oczy jej miały sine obwódki i były podkrążone ze

zmęczenia. Nicolson zauważył, że zdjęła czapkę i kurtkę z paskiem. Miała na sobie tylko poplamioną spódnicę khaki i czystą białą koszulę, kilka rozmiarów za dużą, z rękawami podwiniętymi wysoko na smukłych ramionach. To koszula Vanniera, orzekł Nicolson. Siedział on przy niej w szalupie, przez całą drogę rozmawiając półgłosem i troszcząc się niezwykle o jej wygodę. Nicolson uśmiechnął się do siebie, powracając myślą do tych czasów, kiedy on też był wrażliwym młodym Raleighem, zawsze gotowym podać opończę, błędnym rycerzem wobec każdej damy w opałach. Lecz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to było – może nigdy. Wprowadził Vanniera do pomieszczenia naprzeciwko – warto by zobaczyć reakcję Findhorna na prośbę panny Plenderleith. Cicho zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i gdyby nagle nie wyhamował, wpadłby na Vanniera, który raptownie się zatrzymał i stanął jak wryty niecałe półtora metra od drzwi, z opuszczonymi rękami i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Kiedy Nicolson i Vannier weszli, trzy osoby w messie zamilkły. Vannier nawet nie spojrzał na Findhorna i Willoughby'ego – wzrok jego przyciągnęła pielęgniarka, patrzył na nią coraz szerzej otwartymi oczami, usta rozchyliły mu się z wrażenia. Panna Drachmann stała bowiem odwrócona tak, że lampa oświetlała jej lewy policzek. Nie wyglądał najpiękniej. Od linii włosów na skroni aż do miękko zarysowanej owalną linią brody biegła długa, poszarpana szrama – świeża, posiniąta, ściągająca ciało naprędce założonym, niewprawnym szwem. W górnej części, tuż nad kością policzkową miała ponad centymetr

szerokości. Wyglądałaby okropnie na każdej twarzy, ale na gładkiej i ślicznej twarzyczce tej młodej dziewczyny rysowała się karykaturalnie i nieprawdopodobnie, była wstrząsająca jak najbardziej bezceremonialne bluźnierstwo. Dziewczyna przez kilka sekund patrzyła milcząco na Vanniera, po czym uśmiechnęła się. Nie był to prawdziwy uśmiech, lecz wystarczył, by na jednym policzku powstał dołek, a na drugim – w kąciku ust i przy oku – zbieła szrama. Dziewczyna podniosła lewą rękę i lekko dotknęła twarzy. – Obawiam się, że to nie najlepiej wygląda, prawda? – odezwała się. W głosie jej nie wyczuwało się ani nagany, ani potępienia, ton był raczej przepraszający, wzruszał dziwną odmianą żalu, ale nie był to żal nad sobą. Vannier nic nie odpowiedział. Twarz odrobinę mu pobladła, lecz teraz, kiedy dziewczyna przemówiła, ponownie się zaróżowił, a nawet poczerwieniał, również na karku. Odwrócił wzrok – widać było, ile wysiłku kosztuje go oderwanie oczu od tej szkaradnej szramy – i otworzył usta, by coś powiedzieć. Nie wydał jednak żadnego dźwięku, może trudno było cokolwiek powiedzieć. Nicolson przeszedł szybko obok niego, skinął głową do Willoughby'ego i stanął przed dziewczyną. Findhorn bacznie mu się przyglądał, lecz tamten nie zdawał sobie z tego sprawy. – Dobry wieczór pani. – Powiedział to tonem chłodnym, ale przyjaznym. – Wszyscy pacjenci mają się dobrze? Findhorn pomyślał, że pierwszy oficer jest niezawodny w robieniu banalnych uwag. – Tak, dziękuję, panie kapitanie – odparła. – Proszę nie nazywać mnie

kapitanem – burknął poirytowany Nicolson. – Już raz o to panią prosiłem. – Podniósł rękę i lekko dotknął szramy na policzku. Dziewczyna nie odsunęła się, nie wykonała w ogóle żadnego ruchu, na chwilę tylko rozszerzyły jej się niebieskie oczy, twarz pozostała bez wyrazu. – Domyślam się, że zrobili to nasi źółci braciszkwowie, prawda? – spytał głosem podobnie łagodnym jak przedtem gest jego ręki. – Tak – skinęła głową. – Złapano mnie niedaleko Kota Bharu. – To od bagnetu? – Tak. – Takiego tradycyjnego, z naciętymi karbami? – Przyglądając się bliżej szramie dostrzegł, że na policzku jest ona wąskim głębokim cięciem, a pod skronią brzezi ma ostro postrzępione. – Leżała pani wtedy na ziemi? – Ale pan domyślny! – zauważyła, powoli wymawiając słowa. – Jak się pani stamtąd wy dostała? – spytał z zaciekawieniem. – Do pomieszczenia wszedł duży mężczyzna... było to w baraku, który służył nam za szpital polowy. Bardzo duży mężczyzna o rudych włosach... powiedział, że jest z Argyllshire, czy coś w tym rodzaju. Zabrał bagnet tamtemu, który mi to zrobił, i powiedział, bym się nie patrzyła. Kiedy w końcu spojrzałam, żołnierz japoński leżał na podłodze martwy. – Niech więc żyją faceci z Argyllshire – mruknął Nicolson. – A kto założył pani szew? – Też on. Mówił, że nie bardzo potrafi to robić. – Hm, rzeczywiście można było lepiej sobie poradzić – przyznał Nicolson. – I nadal to aktualne. – Okropna jest ta szrama! – Położyła mocny nacisk na

pierwsze słowo. – Wiem, że jest okropna. – Na kilka sekund utkwiała wzrok w podłodze, znów spojrzała na Nicolsona i usiłowała się uśmiechnąć. Nie był to szczególnie bez troski uśmiech. – Niewiele lepiej teraz wygląda, prawda? – To zależy. – Wskazał kciukiem na drugiego mechanika. – Gdyby miał ją Willy, dobrze by wyglądała, z niego już tylko stary wyleniały kocur. Ale pani jest kobietą. – Zamilkł na chwilę, spojrzał na nią z uwagą i kontynuował spokojnym głosem: – Jest pani bardziej niż ładna, myślę, panno Drachmann, że jest pani piękna, i na pani twarzy szrama wygląda naprawdę fatalnie, jeśli mi pani wybaczy to sformułowanie. Musi pani pojechać do Anglii – zakończył niespodzianie. – Do Anglii? – Wydatne policzki nabrały kolorów. – Nie rozumiem. – Tak, do Anglii. Jestem pewien, że w tej części świata nie ma dostatecznie wprawnych chirurgów plastycznych. W Anglii jest natomiast dwóch czy trzech... Chyba też nie więcej... którzy poradziłoby sobie z tą szramą i miałyby pani bliznę grubości włosa tak cienkiego, że nie zauważyłby jej nawet partner w tańcu. – Machnął lekceważąco ręką. – Naturalnie, przydałoby się troszkę pudru i tynku. Popatrzyła na niego w milczeniu, spojrzenie jej jasnych niebieskich oczu było pozbawione wyrazu, wreszcie odezwała się głosem spokojnym, bezbarwnym: – Zapomina pan, że sama jestem pielęgniarką. Nie wierzę panu. – "W nic tak mocno nie wierzymy jak w to, co najmniej znamy" – wyśpiewał Willoughby. – Co? Co pan powiedział? – Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę. – Niech pani nie zwraca na

niego uwagi. – Findhorn zbliżył się do niej o krok i uśmiechnął. – Pan Willoughby pragnie, byśmy myśleli, że zawsze ma odpowiedni cytat na podporządku, ale pan Nicolson i ja znamy całą prawdę... on je wymyśla na poczekaniu. – "Bądź nieskazitelny jak lód, czysty jak śnieg, lecz nie uciekniesz przed kalumnią". – Willoughby smutno pokiwał głową. – Nie uciekniesz – zgodził się Findhorn. – Ale on ma rację, panno Drachmann, nie powinna pani od razu z takim brakiem wiary traktować tego, co powiedział pan Nicolson. On wie, co mówi. Tylko trzech

chirurgów w Anglii, a jeden z nich jest jego wujem. – Machnął ręką, na znak, że uznaje ten temat za wyczerpany. – Nie sprowadziłem was tutaj, byśmy rozmawiali o chirurgii ani po to, bym miał przyjemność być arbitrem w waszych utarczkach. Panie Nicolson, zdaje się, że brakuje nam... Przerwał raptownie, dłonie zacisnęły mu się w pięści – tuż nad jego głową nagle ryknęła przebudzona, natarczywa syrena. Jej ochryple klangor, zgrzytliwy, nieharmonijny dźwięk, ogłuszający w zamkniętym pomieszczeniu, wypełnił meszę tłumiąc słowa kapitana. Dwa długie, jeden krótki, dwa długie, jeden krótki – wezwanie do zajęcia stanowisk. Nicolson wybiegł pierwszy, Findhorn tylko o krok za nim. Daleko na horyzoncie przetaczał się na północny wschód stłumiony grzmot nad Cieśniną Rhio, błyskawice rozdzierały nieprzerwanie niebo. Na wewnętrznym obrzeżu oka tajfunu i w górze zaczynały się gromadzić ledwie widoczne chmury, kłęby na kłębach. O dach sterówki "Viromy" zabębniły z wahaniem pierwsze krople

deszczu, tak ciężkie i powolne, że było słycać każdą z osobna i można było je policzyć. Na południowym zachodzie jednak nie padało ani nie grzmiało, od czasu do czasu tylko niebo nad wyspami rozdzierała błyskawica, na wpół widoczna, na wpół wyobrażona, migotała w oddali i gasła pozostawiając ciemność jeszcze bardziej nieprzeniknioną. Lecz niecałkiem nieprzeniknioną. Po raz piąty w ciągu dwóch minut obserwatorzy na mostku "Viromy", oparci łokciami o osłonę przeciwwietrzną, przycisnąwszy mocno do oczu lornetki, wyęzając wzrok, dostrzegli w ciemności na południowym zachodzie ten sam sygnał – serię błysków, około sześciu, bardzo słabych, nie trwających dłużej niż dziesięć sekund. – Tym razem dwadzieścia pięć stopni na prawo – mruknął Nicolson. – Chyba ma stałą pozycję, panie kapitanie. – Nie robi to różnicy. – Findhorn opuścił lornetkę, potarł bolące oczy wierzchem dłoni, znów podniósł lornetkę i czekał. – Panie Nicolson, proszę myśleć na głos. Ten uśmiechnął się w mroku. Findhorn jakby chciał uciąć sobie pogawędkę w salonie swojego bungalowu, gdy tymczasem siedział w oku tajfunu, nie mając pojęcia, z której strony uderzy wichura, odpowiedzialny za pięćset ton i pięćdziesięciu ludzi. W dodatku z ciemności wyłania się trudne do określenia niebezpieczeństwo. – Jeśli to się na coś przyda, panie kapitanie. – Opuścił lornetkę i patrzył zamyślony w ciemność. – Mogłaby to być latarnia morska, boja lub stawa, ale nie jest, bo wiadomo, że tu ich nie ma, a poza tym nigdzie nie byłyby ustawione w takiej kolejności. Mogliby to być ratownicy... dżentelmenom z

Romney, Rye i Penzance nic nie wiadomo, żeby tacy faceci tu się kręcili... ale też nie, najbliższa wyspa położona jest co najmniej sześć mil stąd na południowy zachód, a to światło bije z odległości nie większej niż dwie mile. Findhorn podszedł do drzwi sterówki, zawołał, by o połowę zmniejszono szybkość, i wrócił do Nicolsona. – Proszę mówić dalej. – Mógłby to być japoński okręt... niszczyciel czy jakiś inny, ale też nie... przecież tylko tacy samobójcy jak my tkwią w oku tajfunu zamiast się schronić... a poza tym każdy rozsądny dowódca niszczyciela siedziałby cicho tak długo, aż mógłby nas oświetlić reflektorami o najmniejszej mocy. – Jestem dokładnie tego samego zdania – przytaknął Findhorn. – Cóż to może być? O, znowu się zaczyna! – Tak, i jeszcze się to coś zbliżyło. A może to okręt podwodny. Słyszysz nas hydrofonem jako coś dużego, nie jest pewien, jakim płynie kursiem i z jaką szybkością, chce, byśmy odpowiedzieli i tym samym podali tej konserwie rybnej

naszą linię celowania. – Z pana tonu nie wynika, że jest pan o tym przekonany. – O niczym nie jestem przekonany, panie kapitanie. Tyle tylko, że się nie martwię. W taką noc każdym okrętem podwodnym tak by rzuciło, że nie mógłby trafić nawet w "Queen Mary" z odległości trzydziestu metrów. – Zgadzam się. Pewnie byłoby to oczywiste dla każdego, nawet gdyby nie był tak podejrzliwy jak my. To ktoś dryfuje... na łodzi lub rafie... i potrzebuje pomocy. Ale nie ma mowy. Niech pan wyda rozkazy, by wszystkie działa zwrócono w tamtą stronę i by trzymano palec na spuście. I

niech Vannier tu przyjdzie. Niech pan zadzwoni na dół, by zmniejszyli szybkość. – Tak jest, panie kapitanie. Nicolson wszedł do sterówki, Findhorn znów podniósł lornetkę do oczu. Nagle ktoś trącił go w łokieć, mruknął więc coś, poirytowany, opuścił lornetkę, lekko się odwrócił i zanim tamten się odezwał, już wiedział kto to. Nawet na zewnątrz trudno było nie poczuć oparów whisky. – Co się tu, do diabła, dzieje, panie kapitanie? – Farnholme był wściekły, zdenerwowany. – Po co to całe zamieszanie? O mało nie ogłuchłem od tej waszej cholery syreny. – Przykro mi z tego powodu, panie generale. – Findhorn powiedział to nawet grzecznym tonem, a właściwie obojętnie. – To nasz sygnał alarmowy. Zauważyliśmy jakieś podejrzanе światło. Może znajdziemy się w niebezpieczeństwie. – Ton lekko mu się zmienił. – Obawiam się, że będę musiał poprosić, by pan stąd odszedł. Nikomu nie wolno wchodzić na mostek bez zezwolenia. Przepraszam. – Co? – spytał Farnholme tonem człowieka, któremu każą zrozumieć coś, czego się nie da zrozumieć. – Ale chyba nie uważa pan, że to odnosi się również do mnie? – Owszem, uważam. Przykro mi. – Zaczynał padać deszcz, coraz to gęściejszy. Duże krople bębniły o ramiona Findhorna z taką siłą, że czuł je przez ubranie sztormowe. Na pewno znów przemoknie, co mu się nie uśmiechało. – Panie generale, musi pan zejść pod pokład. Dziwne, lecz Farnholme nie protestował. Nawet nie otworzył ust, odwrócił się tylko na pięcie i znikł w ciemnościach. Kapitan był niemal pewien, że tamten nie zszedł pod pokład, tylko stoi po ciemku za

sterówką. Nie miało to znaczenia, na mostku było bowiem dość miejsca, chodziło tylko o to, by mieć całkowitą swobodę, kiedy trzeba szybko się ruszać i podejmować decyzje. Kiedy podniósł do oczu lornetkę, światło znów się pokazało, tym razem o wiele bliżej, lecz było słabsze – wyczerpywała się bateria w latarce, nie na tyle jednak, by stało się ledwie widoczne. Odczytali wiadomość. Seria takich samych błysków jak poprzednio, teraz niewątpliwie zamieniła się w S.O.S. – trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie, powszechnie używany sygnał wzywania pomocy na morzu. – Potrzebuje mnie pan? Findhorn opuścił lornetkę i obejrzał się. – Ach, Vannier to pan. Przepraszam, że wyciągam pana na tę cholerną ulewę, ale potrzebny mi ktoś, kto szybko nada odpowiedź reflektorem. Widzi pan tamten sygnał? – Tak, panie kapitanie. Chyba ktoś jest w opałach? – Mam nadzieję, że tylko o to chodzi – mruknął ponuro Findhorn. – Niech pan wyciągnie aldisa i zapyta tamtych, kim są. – Otworzyły się drzwi siatkowe, odwrócił się. – To pan, Nicolson? – Tak. Jesteśmy przygotowani. Wszyscy na stanowiskach przy działach, ale też wszyscy są tak napięci po ostatnich przejściach, że boję się, by któryś z nich za wcześnie nie wystrzelił. Bosman ustawia na prawej burcie parę reflektorów przy zbiorniku numer trzy, a kilku starszych marynarzy, tych, co nie muszą być przy działach, umocowuje na burcie siatkę do

wchodzenia na pokład. – Dziękuję panu. Myśli pan o wszystkim. Co z pogodą? – Mokra – odparł Nicolson posępnie. Otulił szyję szczelniej

ręcznikiem, posłuchał trzasków włącznika aldisa i patrzył, jak biały snop światła przesywa płachtę deszczu. – Mokra i niedługo zerwie się sztorm. Nie mam pojęcia, co się dzieje i z której strony w nas uderzy. Myślę, że prawo Buy's Ballot's i książka o sztormach w tropikach są nam tu tak samo potrzebne jak zapałka w piekle. – Nie tylko pan tak myśli – przyznał Findhorn – od godziny i piętnastu minut znajdujemy się w centrum sztormu. Jakies dziesięć lat temu spędziłem w takim położeniu dwadzieścia pięć minut, co uznałem za rekord. – Pokiwał powoli głową strząsając krople deszczu. – To szaleństwo. O sześć miesięcy za wcześnie lub za późno na prawdziwy huragan. Ale nie zanosi się na wielki, nie na prawdziwą dwunastkę. Zresztą jeszcze nie pora na takie wiatry, przeczyłoby to wszelkim regułom. Jestem pewien, że znajdujemy się w punkcie zwrotnym toru tajfunu, a prawie pewien, że zerwie się na północnym wschodzie, ale czy znajdziemy się w niebezpiecznym kwadrancie, czy... – Przerwał nagle i wpatrywał się w malutki punkcik żółtawego światła blade migającego w lejącym deszczu. – To coś zaraz zatonie. Walters, co oni jeszcze nadają? – "Van Effen tonie". Nic poza tym... przynajmniej tyle odczytałem. Pechowiec ten "Van Effen". – O Boże, co za noc. – Findhorn znów pokiwał głową. – Następny "Kerry Dancer". "Van Effen". Czy ktoś słyszał kiedyś o takim statku? Panie Nicolson, może pan? – Nigdy. – Odwrócił się i zawołał przez drzwi siatkowe: – Jesteście tam, drugi? – Panie kapitanie... – Głos dobiegł z mroku z odległości kilku metrów. – Szybko dajcie rejestr. "Van

Effen". Dwa słowa, holenderskie. Szybko. – Van Effen? Czy ktoś powiedział Van Effen? – Trudno było nie rozpoznać przeciągania słów typowego dla wychowanków szkoły oficerskiej w Sandhurst. Tym razem w głosie mówiącego była też nuta podniecenia. Z mroku za sterówką wyłonił się wysoki cień Farnholme'a. – Zgadza się. Zna pan taki statek? – To nie statek, ludzie, to mój znajomy. Van Effen, Holender. Pływał na "Kerry Dancerze", wszedł na pokład razem ze mną w Bajermasin. Musiał odpłynąć szalupą, kiedy wybuchł na statku pożar... O ile pamiętam, była tam tylko jedna szalupa. – Farnholme wszedł przez drzwi siatkowe i stał teraz na skrzydle mostka, wyglądając nerwowo poza brezentową osłonę, niepomyślny na to, że deszcz leje mu się na kark. – Podejdźcie do niego, ludzie, wyratujcie go! – Skąd mamy wiedzieć, że to nie pułapka? – Swobodny, rzeczowy ton głosu kapitana porównać można było do zimnego tuszu po okrzykach rozgorączkowanego Farnholme'a. – Może to ten człowiek, to znaczy Van Effen, a może nie. A jeśli nawet to on, skąd mamy wiedzieć, że można mu ufać? – Skąd mamy wiedzieć? – spytał Farnholme tonem człowieka, który usiłuje się opanować, bardzo chce się opanować. – Niech pan posłucha, dopiero rozmawialiśmy z tym młodym człowiekiem tam w środku, z Vannierem, czy jak mu tam... – Niech się pan trzyma tematu – przerwał mu zimno kapitan. – Ta łódź... jeśli to łódź... znajduje się ze dwieście metrów od nas. – Czy pan posłucha? – Farnholme prawie wykrzyczał te słowa, lecz po chwili zaczął

mówić spokojniej: – Jak pan myśli, dlaczego stoję tu przed panem żywy? Dlaczego te pielęgniarki pozostały przy życiu i ci ranni żołnierze, których przed godziną sprowadził pan z "Kerry Dancera"? Jak pan myśli, dlaczego my wszyscy wyratowani z "Kerry Dancera",



prócz panny Plenderleith i mułły, jesteście jeszcze żywi? Dzięki jednej rzeczy, a mianowicie, kiedy kapitan "Kerry Dancera" zwiewał z Singapuru, by ratować własną skórę, ktoś przytknął mu do pleców lufę rewolweru i zmusił do powrotu. Tym kimś był Van Effen, który teraz dryfuje w łodzi. Wszyscy żyjemy dzięki niemu, kapitanie Findhorn. – Dziękuję, generale – powiedział spokojnym głosem, nie śpiesząc się, jak zwykle. – Panie Nicolson, reflektor. Kiedy dam znak, niech bosman zapali dwa mocniejsze. Mała wstecz. Snop światła reflektora przeniknął mrok oświetlając wzburzone, rozkołysane morze, pieniące się mleczną bielą w ulewnym deszczu. Przez chwilę promienie były nieruchomo, jakby podświetlając strugi deszczu, potem zaczęły się zapuszczać dalej i raptem natrafiły na łódź – była blisko, na dryfkotwie, kołysała się gwałtownie w górę i w dół na krótkich, stromych falach, które uderzały w jej burty. W oku tropikalnego sztormu fale nie płyną w żadnym określonym kierunku, toteż często zdarza się, że poprzeczne zalewają kokpit. W łodzi było siedem czy osiem osób, które pochylały się, prostowały, znów się pochylały i znów prostowały balastując w walce o życie. Była to walka przegrana, łódź zanurzyła się bowiem już głęboko i z każdą minutą pogrążała się coraz bardziej. Tylko jeden człowiek robił wrażenie obojętnego – siedział na rufie,

przodem do tankowca, osłaniając przedramieniem oczy przed snopem światła reflektora. Tuż nad przedramieniem migotało coś białego, może była to czapka, lecz z daleka trudno to było stwierdzić. Nicolson rzucił się z mostka po trapie w dół, przebiegł szybko koło szalupy, znów spuścił się po trapie i tak dotarł do trzeciego trapu, który prowadził na górę zbiornika numer trzy. Puścił się biegiem klucząc między zaworami, wśród labiryntu rurociągów wyladunkowych, gazowych i parowych, aż dotarł na prawą burtę. Farnholme cały czas podążał w niewielkiej odległości za nim. Kiedy Nicolson oparł się o reling i wychylił, zapaliły się naraz dwa reflektory. Dwanaście tysięcy ton, a tylko jedna śruba, lecz statek kapitana Findhorna nawet na wzburzonych falach wydawał się tak duży jak niszczyciel. Szalupa znajdowała się teraz nie dalej niż czterdzieści metrów, zalana światłem reflektorów. Ludzie w niej, czując się bezpiecznie po zawietrznej "Viromy", przestali balastować, siedzieli odwróceny w stronę tankowca i wpatrywali się w ludzi na jego pokładzie. Przygotowywali się do skoku na siatkę, po której mieli się wspinać na pokład. Nicolson przyglądał się bacznie mężczyźnie na rufie i w końcu zdał sobie sprawę, że nie ma on na głowie czapki, lecz prowizorycznie założony bandaż, poplamiony krwią. Dostrzegł jeszcze jedno – prawe ramię mężczyzny było sztywne i nienaturalnie ułożone. – Ten pana znajomy siedzi na rufie? – Nicolson zwrócił się do Farnholme'a wskazując mężczyznę. – Tak, to Van Effen – odparł Farnholme z zadowoleniem. – A co, mówiłem?

– Miał pan rację. – Nicolson milczał przez chwilę, po czym stwierdził: – Wygląda na takiego, co to w niektórych sytuacjach myśli jednotorowo. – Co to znaczy? – To znaczy, że on wciąż trzyma rewolwer w garści. Trzyma wycelowany w kumpli na przedzie. Odkąd go obserwuję, ani razu nie spuścił z nich oka. Farnholme popatrzył, potem gwizdnął cicho. – Ma pan absolutną rację. – Dlaczego trzyma ich na muszce? – Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Ale może pan mi wierzyć, że jeśli Van Effen uważa za stosowne trzymać ich na muszce, na pewno musi mieć ku temu powód. \* \* \* Van Effen miał ku temu powód.

Opowiedział o wszystkim szybko, zwięźle i przekonująco, siedząc w messie oparty o gródź, z dużą whisky w ręku. U jego stóp stały na podłodze kałuże wody ściekającej z jego przemoczonego ubrania. Opowieść brzmiała następująco: Kiedy na "Kerry Dancerze" wybuchł pożar, rzucili się do szalupy, która szybko oddaliła się od statku, bo płynęła na silniku. Zanim rozszalał się sztorm, zdążyli już się schronić w pobliżu jednej z wysepek, kilka mil na południe. Podpłynęli na mieliznę od zawietrznej, przycupnęli tam na kilka godzin, aż wiatr nagle ustał. Niedługo potem zobaczyli, że na północnym zachodzie ktoś wystrzelił rakiety. – To były nasze rakiety – powiedział Findhorn. – Postanowiliście więc zrobić dla nas przerwę? – Tak. – Holender chłodno się uśmiechnął nieruchomymi, brązowymi oczami do grupy ciemnokich, smagłych ludzi, którzy zgromadzili się w rogu. – Siran i jego mali kumple nie

mieli na to ochoty. Nie bardzo trzymają stronę aliantów, a wiedzieli, że na tych wodach nie ma japońskich okrętów. Poza tym były to rakiety wzywające na ratunek tonącego statku. – Van Effen wychylił resztkę whisky jednym haustem i postawił ostrożnie szklankę na stole. – Ale miałem broń. – Widziałem – odezwał się Nicolson. – I co potem? – Wyruszyliśmy w kierunku północno\_zachodnim. Dostaliśmy się w długi pas niespecjalnie wzburzonego morza, szło więc dobrze. Potem uderzyły na nas wielkie fale i załamywały silnik. Po prostu musieliśmy tam tkwić. Myślałem, że już po nas, kiedy nagle zobaczyłem fosforyzujące koło was morze... W taką ciemną noc widać to z bardzo daleka. Gdyby deszcz zaczął padać pięć minut wcześniej, nigdy byśmy was nie dostrzegli. Udało się jednak. Poza tym miałem latarkę. – I broń – dokończył za niego Findhorn. Długo przyglądał się Van Effenowi zimnym, badawczym wzrokiem. – Wielka szkoda, że nie użył jej pan wcześniej. – Można się bez trudu domyślić, o co panu chodzi – Holender uśmiechnął się z przymusem. Podniósł rękę, skrzywił się, zerwał z głowy poplamiony krwią kawałek płótna: znad skroni do ucha biegła głęboka szrama o purpurowo\_siniach brzegach. – Jak pan myśli, skąd to mam? – Nie wygląda pięknie – rzucił Nicolson. – To od Sirana? – Od jego człowieka. "Kerry Dancer" palił się, zaczęli spuszczać szalupę... jedyną na statku... to znaczy Siran i resztkę jego załogi. Byli gotowi wszyscy się do niej zwalić. – Po prostu ratować własną ukochaną skórę – przerwał mu ponuro Nicolson. – Po prostu ratować własną ukochaną skórę – przyznał Van

Effen. – Chwyciłem Sirana za gardło, przegiąłem przez reling, chciałem go zmusić, żeby przeszukał statek. To był błąd... powinienem być użyć broni. Ale wtedy nie wiedziałem, że wszyscy jego ludzie są... no, jak to się mówi?... są ulepieni z tej samej gliny. Musiał to być kołek do mocowania lin. Obudziłem się na dnie szalupy. – Co pan zrobił? – Findhorn nie dowierzał. – Wiem. – Van Effen uśmiechnął się, był trochę zmęczony. – Wszystko to brzmi, oczywiście, bezsensownie. Powinni mnie zostawić, bym się usmażył. Tymczasem byłem w łodzi... nie tylko żywy, lecz jeszcze z bandażem na głowie. Dziwne, prawda, panie kapitanie? – Trudno nazwać to dziwnym – zauważył Findhorn obojętnym tonem. – Panie Effen, mówi pan prawdę? To głupie pytanie, bo czy mówi pan prawdę, czy nie, i tak odpowie pan "tak". – On mówi prawdę, panie kapitanie. – Głos Farnholme'a nabrał na chwilę zupełnie innej barwy, wyczuwało się w nim osobiwą pewność. – Jestem o tym

absolutnie przekonany. – Ach tak? – Findhorn odwrócił się i spojrzał na niego, podobnie jak pozostali, których też uderzyło coś szczególnego w tonie Farnholme'a. – Co daje panu tę pewność, generale? Ten machnął lekceważąco ręką, jak ktoś, kogo traktuje się zbyt poważnie, niżby sobie tego życzył. – Przecież znam Van Effena lepiej niż ktokolwiek z was. Ta opowieść musi być prawdziwa. Gdyby nie była, nie siedziałby tu z nami. Trochę to przypomina irlandzki sposób rozumowania, panowie, ale chyba wiecie, o co mi chodzi? Findhorn skinął głową w zamyśleniu, lecz powstrzymał się od komentarza. W messie

zapanowało na jakiś czas milczenie, cisza, którą zakłócały tylko odległe uderzenia dziobu w dolinach fal, skrzywienie statku z wysiłkiem przedzierającego się przez wzburzone bałwany i szuranie nóg członków załogi "Kerry Dancera". Wreszcie Findhorn zwrócił się do Nicolsona: – Nam pozostaje mostek. Warunki atmosferyczne wskazują na to, że znów czeka nas niezła przeprawa. Kapitanowi Siranowi i jego załodze chyba należy zapewnić straż na pozostałą część nocy. – Oczy jego miały ponury i zimny wyraz. – Ale jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym najpierw wyjaśnić. Zbliżył się kilka kroków do załogi "Kerry Dancera" balansując bez trudu ciałem, by utrzymać równowagę mimo kołysania statku. Van Effen zatrzymał go ruchem ręki. – Na pana miejscu uważałbym na nich – powiedział cicho. – Połowa ma co najmniej po jednym nożu i nie powiem, żeby w posługiwaniu się nim była powolna. – Przecież pan ma broń. – Findhorn wyciągnął automat, który tamten miał zatknięty za pasek. – Można? – Popatrzył na broń, zobaczył, że jest zabezpieczona. – Aha, colt kaliber 38. – Zna się pan na broni? – Trochę. – Jakby skradając się, Findhorn podszedł do najbliższego stojącego mężczyzny z grupy zebranej w rogu. Był on wysoki, szeroki w ramionach, twarz miał opaloną, gładką, pozbawioną wyrazu – wyglądał tak, jakby już dawno temu pozbył się nawyku wyrażania czegokolwiek. Miał wąziutkie wąsiki, czarne bokobrody sięgające siedem centymetrów poniżej uszu i czarne, puste oczy. – Siran to pan? – spytał

Findhorn niemal obojętnie. – Tak, jestem kapitan Siran. Do usług. – Odpowiedź zabrzmiała bezczelnie przez to, że położył nacisk na słowo "kapitan". Lekko, o kilka milimetrów przechylił głowę, twarz nadal pozostała bez wyrazu. – Nudzą mnie formalności. – Findhorn popatrzył na niego z nagłym zainteresowaniem. – Jest pan Anglikiem, prawda? – Być może. – Tym razem usta wykrzywiły mu się niby w uśmiechu, a właściwie w grymasie leniwej pogardy. Świetnie to wyreżyserował. – Powiedzmy, że Anglosasem. – Nieistotne. Jest pan... był pan kapitanem "Kerry Dancera". Porzucił pan swój statek... i wszystkich ludzi na nim, skazał ich pan na pewną śmierć, zamkniętych za stalowymi drzwiami. Mogli utonąć, mogli się spalić, teraz nieważne, co się mogło z nimi stać. Ważne jest to, że skazał ich pan na pewną śmierć. – Co za melodramatyczny wywód! – Siran, ziewając, leniwie poklepał się dłonią po otwartych ustach. Był to mistrzowski sposób okazania bezczelności i znużenia. – Zapomina pan, jaka jest tradycja morza. Zrobiliśmy dla tych nieszczęśników wszystko, co w naszej mocy. Findhorn powoli skinął głową i odwrócił się, by spojrzeć na sześciu towarzyszy Sirana. Ani jeden z nich nie wydawał się zadowolony, po jednym zaś szczególnie było widać zdenerwowanie i strach. Był to mężczyzna o szczupłej twarzy, zezowatym oku, bez przerwy szurający nogami; jego ręce i palce zdawały się żyć własnym życiem. Findhorn podszedł i stanął przed nim. – Mówi pan po angielsku? Nie było odpowiedzi, mężczyzna tylko ściągnął

brwi, podniósł ramiona i rozłożył ręce w

powszechnie znanym geście wyrażającym brak zrozumienia. – Wybrał pan właściwą osobę, panie kapitanie – wycedził Van Effen. – Ten człowiek mówi po angielsku tak jak pan. Findhorn szybko podniósł rewolwer, przyłożył lufę do ust mężczyzny i popchnął ją z dość dużą siłą. Mężczyzna cofnął się, lecz Findhorn nie ustąpił. Drugi krok w tył i mężczyzna oparł się o gródź plecami i dłońmi, bo ręce miał wyciągnięte wzdłuż boków, zdrowym okiem wpatrywał się, przerażony, w rewolwer, który dotykał jego zębów. – Kto pozabijał wszystkie zasuwę na drzwiach pokładu rufówki? – spytał cichym głosem Findhorn. – Daję wam pięć sekund. – Mocniej przycisnął lufę do jego zębów. Nagły trzask odbezpieczanej broni zabrzmiał nienaturalnie głośno pośród pełnej napięcia ciszy. – Raz, dwa... – To ja, ja to zrobiłem! – wymamrotał, ze strachu ledwie poruszając ustami. – Ja zamknąłem te drzwi. – Na czyj rozkaz? – Kapitana. Powiedział, że... – Kto zamknął drzwi forkasztelu? – Yussif. Ale on nie żyje... – Na czyj rozkaz? – pytał Findhorn bezlitośnie. – Na rozkaz kapitana Sirana. – Patrzył teraz na Sirana wzrokiem chorym z przerażenia. – Zginę za to. – Być może – rzucił Findhorn niedbale. Wepchnął rewolwer do kieszeni i podszedł do Sirana. – Interesująca rozmówka, co pan na to, kapitanie Siran? – Ten facet to głupiec – stwierdził z pogardą tamten. – Każdy przerażony człowiek z lufą wetkniętą między zęby przyzna się do wszystkiego. – W forkasztelu byli brytyjscy żołnierze... najprawdopodobniej wasi rodacy. Ze dwudziestu, może

dwudziestu czterech, nie wiem. Ale nie mógł pan pozwolić na to, by zapchali panu jedyną szalupę, którą można było uciec. – Nie wiem, o czym pan mówi. – Opalona twarz Sirana wciąż wyglądała tak samo, była pozbawiona wyrazu. Lecz w głosie wyczuwało się teraz ostrożność. Siran nie pozwalał już sobie na bezczelność. – Na rufie też było ponad dwadzieścioro ludzi. – Findhorn coraz bardziej naciskał. – Byli tam ranni, umierający, kobiety... i jedno małe dziecko. Tym razem Siran nic nie powiedział. Gładka twarz pozostała jak zawsze obojętna, lecz oczy zwęziły się tak, że było to zauważalne. Kiedy jednak się odezwał, w tonie jego głosu znów wyczuwało się bezczelność i obojętność. – Kapitanie Findhorn, co ma pan nadzieję uzyskać dzięki tej całej głupiej, bezsensownej gadaninie? – Niczego nie mam nadziei uzyskać. – Porysowana zmarszczkami twarz Findhorna przybrała posępny wyraz, wyblakłe niebieskie oczy patrzyły zimno i bezwzględnie. – To nie kwestia nadziei, szanowny panie Siran, ale pewności... pewności, że dostanie pan wyrok za morderstwo. Rano przesłuchamy osobno członków pańskiej załogi, którzy podpiszą swoje zeznania w obecności neutralnych świadków z mojej. Sam osobiście dopilnuję, żeby dopłynął pan do Australii bezpiecznie i w dobrym zdrowiu. – Chwycił czapkę i szykował się do wyjścia. – Będzie pan miał uczciwy proces, kapitanie Siran, i nie powinien trwać zbyt długo, a kara za morderstwo jest nam wszystkim, oczywiście, znana. Po raz pierwszy na masce obojętności Sirana pojawiła się rysa, a w ciemnych oczach zatlił się strach, lecz Findhorn już wyszedł i nie mógł tego

zobaczyć. Śpieszył po zejściówce na mostek "Viromy", na którym wiał wiatr. Rozdział szósty  
Świt, bezchmurny, bezwietrzny świt na jaśniejącym na wschodzie niebie opalizującym jak piękna perła zastał "Viromę" daleko na południowy wschód od Kanału Rhio, dwadzieścia mil

na północ od Rifleman Rock i niemal w połowie drogi do Cieśniny Karimata. Duży tankowiec płynął pełną parą, z jego komina snuła się ku rufie mglistoniebieska wstęga dymu, pokład rufowy drżał i wibrował, bo Carradale, główny mechanik, postanowił wykorzystać całą moc głównego silnika, a nawet zaryzykować jej przekroczenie. Tajfun, który szalał przez całą długą noc, już się uspokoił, po porywistych wiatrach też nie było ani śladu, jakby nigdy nie dały się "Viromie" we znaki. Mogłoby się wydawać, że to wszystko był sen, gdyby nie ślady soli na pokładach i nadbudówkach, gdyby nie wezbrane morze, którego wody jeszcze przez wiele godzin były niespokojne. Kiedy tajfun szalał, nikt jednak nie myślał o nim jak o śnie. Raczej jak o sennym koszmarze, w którym kapitan Findhorn przez nieskończenie długie godziny prowadził rozkołysany, rozhuśtany tankowiec przez wielkie wezbrane bałwany, wśród huraganu, nie mając czasu, by się zastanawiać, za co "Viroma" ponosi taką ciężką karę. Nie miał też czasu, by dbać o wygodę i dobro pasażerów i załogi, nie miał czasu, by myśleć o czymś więcej niż tylko o tym, że należy przed świtem jak najbardziej oddalić się od Singapuru, żeby wróg nie mógł ich dostrzec. Lekko zabarwione pastelowymi

kolorami cienie na wschodzie zblakły, zbieleły i znikły w kilka minut, nad horyzont wysunął się szybko duży, niewyraźny kontur słońca, rozścielając po morzu aż do "Viromy" szeroki, lśniący pas oślepiającej bieli. Pas ten nie był jednak całkiem jednolity – w oddali, za widnokretem było coś widać na wodzie, może duży kuter albo mały statek przybrzeżny, czarny jak noc na tle wschodzącego słońca. Płynął on miarowo w kierunku wschodnim, wkrótce wyglądał już tylko jak czarny punkcik, po czym zupełnie znikł. Kapitan Findhorn razem z Barrettem obserwowali go z mostka, zastanawiając się, co to może być. Może widział ich, a może nie. Może to okręt japoński lub pro\_japoński, a może nie. Może ma radio, a może nie. Tak czy owak, byli bezradni. Słońce, jak to zawsze dzieje się na morzu, wzeszło od razu wysoko. O wpół do ósmej już prażyło tak mocno, że wysuszyło złane deszczem i morską wodą pokłady i nadbudówki "Viromy". Findhorn skorzystał z tego i rozwiesił ubranie sztormowe, po czym sam stanął i grzał się w promieniach słońca na skrzydle mostka, wdychając wielkimi haustami rześkie poranne powietrze. Wiedział, że niezbyt długo pozostanie rześkie. On sam też był rześki, czuł tylko lekkie zmęczenie w kościach – mniej więcej w połowie środkowej wachty, kiedy stępiły się odrobinę kły tajfunu, Nicolson przekonał go, by poszedł położyć się w kabinie. Spał jak zabity ponad trzy godziny. – Dzień dobry, panie kapitanie. Inaczej to wszystko dziś wygląda, prawda? – cichy głos Nicolsona, tuż za plecami, wyrwał Findhorna z zamyślenia. Kapitan odwrócił się. – Dzień dobry, Johnny. Dlaczego nie śpisz o tej

niesamowitej porze? – Wiedział, że Nicolson nie spał dłużej niż ze dwie godziny, a mimo to wyglądał wypoczęty, jakby po co najmniej ośmiu godzinach snu. Nie po raz pierwszy musiał sobie powtórzyć, że jeśli chodzi o wytrzymałość i odporność, organizm Johna Nicolsona rządzi się własnymi prawami. – To jest niesamowita pora? – Nicolson spojrzał na zegarek. – Już prawie ósma. – Uśmiechnął się. – Wzywa mnie sumienie i obowiązek. Właśnie zrobiłem obchód naszych pasażerów bez biletu. – Jakies zażalenia? – spytał Findhorn żartobliwie. – Wydaje mi się, że większość z nich nie bardzo dobrze się czuła w nocy, ale nikt się na nic nie skarży. – Pewnie ci, którzy mogliby się skarżyć, wolą tego nie robić –

pokiwał głową Findhorn. – Jak się mają chore pielęgniarki? – Dwie młode Chinki i te starsze o wiele lepiej. Kiedy tam byłem, dwie urzędowały w izolatce i palarni, zmieniały bandażę. Wszystkich pięciu żołnierzy zastałem w dobrym stanie, głodni byli jak wilki. – To wspaniale – przerwał mu oschle Findhorn. – A dwóch chłopaków w izolatce? – Nie poddają się, mówią pielęgniarki. Chyba nieźle cierpią. A nasz nieoceniony generał i jego kumpel chrapią tak, że słyhać ich z odległości dziesięciu metrów. POza tym w kabinie mechaników śmierdzi jak w gorzelni. – A jak tam panna Plenderleith? – Właśnie odbywa spacer dla zdrowia, oczywiście. Z dziobu na rufę i z powrotem. Anglicy lubią myśleć o sobie jako o narodzie morskim, więc panna Plenderleith czuje się jak ryba w wodzie. Jest jeszcze trzech żołnierzy w messie... kapral Frazer i dwóch

jego ludzi. Każdemu przypada jedno krzesło, wszyscy wygodnie siedzą ściskając trzysta trójki i breny. Myślę, że modlą się, by Siran czy któryś z jego ludzi w sposób podejrzany westchnął, a natychmiast by mieli niepodważalny powód podziurawienia go jak sito. Siran i jego kumple doskonale wiedzą, co te chłopaki czują, oddychają więc płytko i mrugają raz jednym, raz drugim okiem na zmianę. – Podzielam pańskie zaufanie do straży. – Findhorn zerknął spod oka na swojego pierwszego oficera z żartobliwym wyrazem twarzy. – A jak wygląda dziś rano nasz nieoceniony kapitan Siran? Pewnie odrobinę podłamany? – Skądże znowu. Każdy byłby zdania, że spał głębokim, spokojnym snem człowieka o sumieniu czystym jak u noworodka. – Nicolson patrzył przez chwilę w morze, po czym dodał: – Cieszyłbym się, gdybym mógł się przydać, kiedy będą go wieszać. – Prawdopodobnie musiałby się pan ustawić w długiej kolejce – zauważył ponuro Findhorn. – Nie chcę, by zabrzmiało to melodramatycznie, ale moim zdaniem ten człowiek to wcielony diabeł, powinno się go zastrzelić jak wściekłego psa. – Pewnie kiedyś do tego dojdzie. – Nicolson potrząsnął głową. – Nawet jeśli nie jest wściekły, to jakby niespełna rozumu. – To znaczy? – Jest Anglikiem, przynajmniej w trzech czwartych, założę się o to stawiając ostatniego pensa. Chodził do jednej z tych dużych szkół prywatnych i samo się przez się rozumie, że jest o całe niebo lepiej wykształcony niż ja. Co taki człowiek robi jako dowódca takiego

stateczku jak "Kerry Dancer"? – Bóg jeden wie. – Findhorn wzruszył ramionami. – Mógłbym próbować to wyjaśnić na kilkanaście sposobów, z których każdy byłby inny, ale jedno miałyby wspólne: żaden nie byłby właściwy. W promieniu kilku setek mil wokół Singapuru działa połowa światowej liczby pasożytów i czarnych owiec, ale jego nie można zaliczyć do żadnej z tych kategorii, nie będzie to więc odpowiedź na pańskie pytanie. Naprawdę nie mam pojęcia. – Findhorn zabębnił palcami po ramie osłony. – Zdumiewa mnie, ale na miłość boską, nie on jeden! – Van Effen też? I nasz nieoceniony generał? – Między innymi. – Findhorn przytaknął głową. – Nasi pasażerowie to osobliwa gromadka, ale nawet nie w połowie tak osobliwa jak ich sposób bycia. Na przykład generał i mułta. Rozumieją się jak para złodziei. Niezwykłe, prawda? – Nieprawdopodobne. Na zawsze zamknęłyby się przed generałem drzwi Klubu Bengalskiego w Singapurze. Źle widziany, wypisano by to dużymi literami. – Nicolson uśmiechnął się. – Niech pan pomyśli, jak by to wstrząsnęło wyższymi sferami... to znaczy w kręgach wojskowych... i jak by wzrosła śmiertelność: wszystkie

najlepsze bary na Wschodzie byłyby zapchane ofiarami apopleksji, które by kurczowo trzymały w sztywniejących rękach złapanych tam włóczęgów. Na generale Farnholmie ciąży przerażająca odpowiedzialność. Findhorn lekko się uśmiechnął. – Nadal pan uważa, że to nie oszust? – Nie, nie uważam, zresztą pan też nie. Raz się zachowuje jak pułkownik wywiadowca, prawdziwy as, raz robi lub mówi coś

zupełnie z innej parafii. Trudno go wyczuć. To bardzo nierozważne z jego strony. – Bardzo – przytaknął oschle Findhorn. – No i jeszcze ten drugi, jego kumpel, Van Effen. Jakie miał Siran powody, żeby tak dbać o jego zdrowie? – Trudno powiedzieć – przyznał Nicolson. – Zwłaszcza że Van Effen nie wykazał szczególnej troski o niego, nawet straszył, że naszpikuje go kulami, czy też próbował go udusić. Ale ja wierzę Van Effenowi. Podoba mi się. – Ja też mu ufam. Lecz Farnholme nie tylko mu ufa... on wie, że Van Effen mówi prawdę. A kiedy pytam go, dlaczego, on szybko kontruje i zaczyna tak bajdurzyć, że nie uwierzyłoby mu pięcioletnie dziecko. – Findhorn westchnął znużony. – Opowiada takie wierutne bzdury, jak panna Plenderleith, kiedy chciała ze mną się widzieć. Poszedłem do jej kabiny zaraz po tym, jak pan z Siranem skończyliście waszą... no... dyskusję. – Ach, więc poszedł pan? – uśmiechnął się Nicolson. – Szkoda, że nie byłem przy tym. – A wiedział pan? – Vannier mi powiedział. Właściwie musiałem go zaciągnąć do messy, żeby przekazał panu jej prośbę. Co mówiła? – Po pierwsze, zaprzeczyła, że mnie w ogóle wzywała, potem zaczęła mi zadawać jakieś nonsensowne pytania, kiedy zawiniemy do portu i czy będzie mogła wysłać telegram do siostry w Anglii. Po prostu bzdury wymyślone na poczekaniu. Coś ją nurtuje i już chciała mi o tym powiedzieć, ale zrezygnowała. – Findhorn wzruszył ramionami, żeby skończyć z tym tematem. – Czy wie pan, że ona też przybyła z Borneo? Była tam dyrektorką szkoły żeńskiej, wyczekała do ostatniej chwili. – Wiem o tym. Odbiliśmy dziś

rano długą rozmowę na pomoście. Przez cały czas zwracała się do mnie per "młody człowieku" i czułem się przy niej tak, jakbym zapomniał umyć uszu i zaraz miało się to wydać. – Nicolson spojrzał badawczo na kapitana. – Żeby miał pan jeszcze więcej zmartwień, powiem panu o czymś, o czym panu nic nie wiadomo. Otóż panna Plenderleith przyjmowała w nocy w swojej kabynie gościa. Mężczyznę. – Co takiego? Powiedziała panu o tym? – Skądże znowu! To Walters mi powiedział. Akurat wyciągnął się na swojej leżance po zejściu z wachty, kiedy usłyszał pukanie do drzwi panny Plenderleith. Dość ciche, ale je usłyszał, bo leżanka w kabine radiowej stoi przy grodzi sąsiadującej z tamtą kabiną. Walters mówi, że chciał z ciekawości ich podsłuchać przez drzwi między kabinami, ale były zamknięte i niewiele słyszał. Rozmowa odbyła się szeptem, pełna konspiracja. Jeden głos był bardzo głęboki, niewątpliwie należał do mężczyzny, który siedział tam prawie dziesięć minut, po czym wyszedł. – Schadzka o północy w kabine panny Plenderleith! – Findhorn jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia. – Myślałbym, że będzie wrzeszczała na całe gardło. – Skądże znowu! – Nicolson uśmiechnął się i stanowczo pokręcił przecząco głową. – Owszem, cieszy się powszechnym szacunkiem, żaden nocny gość by jej się nie wywinał. Dostałby nauczkę, wygłosiłaby mu kazanie wymachując palcem i odesłała go jako człowieka skruszonego, zdecydowanego prowadzić uczciwsze życie. Ale tym razem myślę, że nie było

kazania, tylko cichusieńka rozmowa. – Walters ma jakiś pomysł, kto to mógł być?

–Nie, nie ma pojęcia. Wie tylko tyle, że głos był męski i że on sam zbyt był zmęczony i senny, żeby naprawdę się tym przejąć. – No tak. Może i słusznie. – Findhorn zdjął czapkę i wytarł głowę chusteczką. – Dopiero ósma, a słońce już zaczyna palić. – Mamy inne zmartwienia. Nie potrafię rozszyfrować tych ludzi. Dziwne towarzystwo... co jeden to dziwniejszy. – Panna Drachmann też? – spytał Nicolson. – Ależ skądże! Wszystkich ich bym oddał za tę dziewczynę. – Findhorn włożył czapkę i powoli pokiwał głową patrząc w dal. – Co za okropna sprawa, Johnny... Jak makabrycznie oszpecili jej twarz ci mali rzeźnicy. – Powrócił wzrokiem na pokład, spojrzał ostro na Nicolsona. – Ile z tego, co jej pan powiedział wczorajszej nocy, jest prawdą? – Chodzi panu o to, co mówiłem o chirurgach? Że naprawdę mogliby jej pomóc? – Tak. – Niewiele. Wiem na ten temat też niewiele. Ale zanim ktoś zabierze się do tej blizny, rozstąpi się ona i tak zrośnie. Oczywiście, że coś można by zrobić i później, nikt jednak nie zdziała cudów, żaden z tych chirurgów nie twierdzi, że jest cudotwórcą. – To po co pan, do cholery, zawracał jej głowę, że może na nich liczyć? – Findhorn wpadł w gniew, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała jego natura. – Boże Święty, niech pan pomyśli, jak ona może się rozczarować! – Jedz, pij i używaj życia – zacytował Nicolson cichym głosem. – Czy naprawdę pan myśli, że jeszcze zobaczy pan Anglię? Findhorn patrzył na niego dłuższą chwilę spod kosmatych brwi, skinął głową jakby ze

zrozumieniem i odwrócił się. – Zabawne, że wciąż myślimy tak, jakby panował pokój i wszystko przebiegało normalnie – mruknął. – Przepraszam, chłopcze, przepraszam. Mimo to od wschodu słońca nie myślę o niczym innym. O maluchu imieniem Peter, pielęgniarkach, o wszystkich... ale przede wszystkim o chłopczyku i tej dziewczynie. Nie wiem, dlaczego. – Zamilkł na kilka chwil, lustrując wzrokiem bezchmurny horyzont, po czym zakończył tylko na pozór bez związku: – Piękny dziś dzień, Johnny. – Tak, piękny dzień, żeby umrzeć – rzucił ponuro Nicolson. Spojrzenia ich się spotkały, uśmiechnął się przelotnie. – Czekanie się dłuży, ale Japończycy to uprzejmi mali dżentelmeni... wystarczy spytać pannę Drachmann. Zawsze tacy byli, nie myślę więc, że każą nam zbyt długo czekać. \* \* \* Japończycy jednak kazali im czekać. Kazali im czekać bardzo, bardzo długo. Może nie było to długo, gdyby przyjąć powszechnie znane sposoby odmierzenia czasu, podzielić go na sekundy, minuty i godziny, lecz dla ludzi będących w krytycznej sytuacji, zbyt długo dręczonych niepewnością, ludzi, którzy w każdej chwili spodziewają się tego, co nieuniknione, sekundy, minuty i godziny przestają być tylko jednostkami czasu. Oznaczają wyczekiwanie w skrajnym napięciu, podświadome, ciągłe przewidywanie tego, co ma nieubłagane nastąpić. Sekundy wlokły się więc i zamieniały w minuty, minuty rozciągały się bez końca i wydłużały w godziny, lecz niebo nadal było puste, a lśniąca linia horyzontu pozostawała gładka, nieporuszona i jednolita. Findhorn zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego wróg – mimo

że na pewno zaangażował setki okrętów i samolotów, żeby ich namierzyć – tak długo nie decyduje się na uderzenie. Kapitan mógł tylko ryzykować przypuszczenie, że Japończycy przeczesali te wody dzień wcześniej, kiedy "Viroma" zawróciła, by nieść pomoc "Kerry Dancerowi", teraz więc pewnie przeszukują obszar dalej na południe. A może uważają, że



"Viroma" zatonała podczas tajfunu? Kiedy jednak ta myśl przyszła mu do głowy, odsunął ją jako pobożne życzenie, przekonany, że Japończycy na nic podobnego by nie wpadli... Niezależnie więc z jakich względów, lecz fakt pozostawał faktem – tankowiec nadal samotnie płynął na południowy zachód przez nieskończony bezmiar pustego morza i nieba. Minęła następna godzina, jeszcze następna i zrobiło się południe. Rozżarzone, gorące słońce niemal pionowo wspinało się po rozpalonym jak piec niebie. Findhorn po raz pierwszy stwierdził, że może sobie pozwolić na luksus ostrożnych, lecz pełnych nadziei przewidywań – jeszcze tylko Cieśnina Karimata, ciemności, Morze Jawajskie i ośmielą się znów myśleć o domu. Słońce przetoczyło się przez zenit, minęło południe, minuty nadal się wlokły – pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, każda następna dłuższa od poprzedniej, bo zaświtała nadzieja. Aż nagle, dwadzieścia cztery minuty po dwunastej nadzieja obróciła się w proch, oczekiwanie dobiegło kresu. Pierwszy spostrzegł ją strzelec na pokładzie dziobówki – małą czarną plamkę daleko na południowym zachodzie. Zmaterializowała się wynurzając z zamglonego na skutek upału powietrza wysoko nad horyzontem. Przez kilka sekund wydawało się,

że jest nieruchoma, że tkwi na niebie: czarna, pozbawiona znaczenia kropka zawieszona w powietrzu. Aż nagle, całkiem niespodzianie, przestała być mała, zaczęła najwyraźniej rosnąć z każdą chwilą, przestała też być bez znaczenia, bo przybrała nowy kształt, coraz bardziej konkretny w lśniącem, mglistym powietrzu, coraz bardziej wyraźny i łatwy do rozpoznania, kształt kadłuba samolotu i skrzydeł. Japoński myśliwiec zero, prawdopodobnie wyposażony w zbiorniki do lotów na długie dystanse. W tej samej chwili kiedy na "Viromie" rozpoznano samolot, ciszę na morzu przerwał głuchy huk jego silnika. Myśliwiec zbliżał się miarowo; leciał prosto na "Viromę", z każdą sekundą tracąc wysokość. Początkowo wydawało się, że pilot chce przepuć statek, lecz niecałą milę od niego skierował się gwałtownie ku prawej burcie i zaczął krążyć nad pokładem na wysokości niecałych dwustu metrów. Nie wykonał ani jednego manewru, który by wskazywał, że szykuje się do ataku, na "Viromie" też nie wystrzeliło ani jedno działo. Rozkazy Findhorna były jednoznaczne: ogień tylko w razie konieczności obrony. Mieli ograniczoną ilość amunicji i musieli ją zachować na wypadek ataku bombowców, który wydawał się nieunikniony. Poza tym mieli jeszcze jedną szansę: że pilota zwiedzie nowo wymalowana nazwa tankowca "Siyushu Marn" na starej nazwie "Resistencia" i duża bandera Wschodzącego Słońca, którą wciągnięto kilka dni wcześniej zamiast bandery Republiki Argentyny. Według ponurych przewidywań Findhorna mieli jedną szansę na tysiąc, że pilot da się w ten sposób oszukać. "Viroma" dotarła tak daleko tylko dzięki nadrabianiu

bezczelnością i liczeniu na naiwność, co nie przynosi wiecznie pozytywnych rezultatów. Myśliwiec krążył nad tankowcem niemal dziesięć minut, ani razu nie zbliżając się bardziej niż na pół mili, prawie przez cały czas przechylony ostro na skrzydło. W pewnym momencie z południowego zachodu nadleciały z hukiem dwa następne myśliwce i przyłączyły się do pierwszego. Wszystkie trzy dwukrotnie okrążyły tankowiec, po czym pilot pierwszego wyłamał się z szyku i przeleciał dwa razy nad pokładem od dziobu do rufy na wysokości nie większej niż sto metrów. Pilot otworzył szklaną osłonę kabiny – tak że ludzie na mostku

widzieli jego twarz, to znaczy jej części nie zasłonięte przez hełm, okulary na czole i nadajnik przy ustach – on tymczasem przyjrzał się dokładnie tankowcowi. Nagle wykonał ostry zwrot i dołączył do dwóch pozostałych. W kilka sekund ustawili się jeden za drugim, zaszalowali dla żartu skrzydłami i odlecieli na północny zachód nabierając coraz większej wysokości. Nicolson odetchnął bezgłośnie, z ulgą i zwrócił się do Findhorna. – Ten facet nigdy się nie dowie, jaki z niego szczęściarz. – Wskazał kciukiem w górę na stanowisko hotchkissów. – Nawet nasi chłopcy od pukawek mogli go rozerwać na kawałki. – Wiem, wiem. – Findhorn stał oparty plecami o brezentową osłonę patrząc ponuro na znikające myśliwce. – Ale co to by dało? Tylko byśmy stracili cenną amunicję, nic poza tym. Nic nam złego nie zrobił... Wszystko załatwił na długo przedtem, zanim tu przyleciał, daleko stąd. Przecież już o wiele wcześniej podał dowództwu przez radio nasz opis z dokładnością do najmniejszego

nitu, nasze położenie, kurs i szybkość. – Opuścił lornetkę i obrócił się z wysiłkiem. – Nie możemy nic zmienić w naszym wyglądzie ani położeniu, ale możemy zmienić kurs. Panie Nicolson, proszę kurs dwieście. Spróbujemy popłynąć na Kanał Macclesfield. – Tak jest, panie kapitanie. – Ale chwilę później jednak się zawahał. – Myśli pan, że to coś da? – Nic nie da – stwierdził Findhorn lekko znużonym głosem. – Jakieś dwieście pięćdziesiąt mil stąd, z japońskich lotnisk startują bombowce. Dziesiątki bombowców. Najważniejszy jest prestiż. Gdybyśmy uciekli, Japończycy staliby się pośmiewiskiem swojej nieocenionej Azjatyckiej Wspólnoty Dobrobytu, a nie mogą sobie pozwolić na to, by stracić zaufanie. – Spojrzał prosto na Nicolsona spokojnym, smutnym, nieobecny wzrokiem. – Przykro mi, Johnny, przykro ze względu na małego Petera, dziewczynę i całą resztę. Dopadną nas. Wykończyli "Prince of Wales" i "Repulse", nas też zmasakrują. Będą tu za jakąś godzinę. – Po co więc zmieniamy kurs? – Trzeba coś zrobić. Da nam to może dodatkowe dziesięć minut, bo będą musieli nas namierzyć. Gest, po prostu gest, wiem o tym, ale chcę go wykonać. Nawet owca ucieka przed wilkiem. – Zamilkł na chwilę, potem uśmiechnął się. – Jeśli już mowa o owcach, to mógłby pan zejść na dół i zagnać nasze stadko do zagrody. Nicolson wrócił na mostek po dziesięciu minutach. Kapitan patrzył na niego wyczekująco. – Wszyscy już w owczarni? – Obawiam się, że nie. – Dotknął trzech złotych belek na ramieniu. – Dzisiejsi żołnierze niewiele mają szacunku dla wyższych rangą. Czy coś pan

słyszy? Findhorn spojrzał na niego zdumiony, skinął głową. – Kroki. Jakby na górze maszerował pułk. Nicolson przytaknął ruchem głowy. – To kapral Frazer i jego dwóch chłoptasiów. Kiedy kazałem im iść do pentry i tam pozostać, kapral kazał mi się wypchać. Chyba obraziłem jego uczucia. Mogą rozdzielić między siebie trzy karabiny i pistolet maszynowy i myślę, że radziliby sobie dziesięć razy lepiej niż te dwa typy na górze przy hotchkissach. – A co robią pozostali? – Z żołnierzami ta sama historia... wszyscy z bronią na rufie. Nie szarżują... Cała czwórka ponura i zamyślona. Po prostu dziecinada. Ranni leżą w izolatce... nie można ich ruszyć. Myślę, że są tam tak samo bezpieczni jak w każdym innym miejscu. Są przy nich dwie pielęgniarki. – Mówi pan "czwórka"? – Findhorn zmarszczył brwi. – Myślałem... – Tak, było pięciu – przyznał Nicolson. – Piąty ma uraz po bombardowaniu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Alex jakiś tam... Nie znam jego nazwiska. Nic z niego nie będzie... nerwy zupełnie zszarpane. Zaciągnąłem go, żeby siedział z innymi

w pentrze. Nikogo nie pominąłem. Stary Farnholme niespecjalnie miał ochotę wychodzić z kabiny mechaników, ale kiedy mu powiedziałem, że pentra to jedyne pomieszczenie w nadbudówce, które nie otwiera się na zewnątrz, które ma stalowe grodzie, a nie drewniane i jeszcze kilka dodatkowych od strony dziobu i rufy oraz trzy po bokach, rzucił się tam biegiem. – Nasze waleczne wojsko – wykrzywił usta Findhorn. –

Pułkownik Wywiadowca nadaje się do okopów, ale nie wtedy, gdy są pod obstrzałem. Mam niesmak, Johnny, on źle gra swoją rolę. Wywiadowców tego świata ratuje tylko to, że nie wiedzą, co to strach. – I Farnholme do nich należy – stwierdził stanowczo Nicolson. – Długo ważyłem za i przeciw. Myślę jednak, że coś go nurtuje, coś poważnego. – Potrząsnął głową. – To cwany ptaszek i ma jakieś osobiste powody, żeby się ukrywać, ale nie ma to nic wspólnego z ratowaniem własnej skóry. – Może ma pan rację. – Findhorn wzruszył ramionami. – W każdym razie nie ma to znaczenia, przynajmniej teraz. Van Effen jest z nim? – Nie, w messie. Uważał, że Siran i jego kumple mogą wykorzystać tę chwilę i zacząć rozrabiać. Trzyma ich na muszce. Na nic sobie nie pozwolą. – Uśmiechnął się blado. – Van Effen robi na mnie wrażenie bardzo sprawnego dżentelmena. – Pozwolił pan zostać Siranowi i jego ludziom w messie? – Kapitan wydał usta. – To salon samobójców. Otwarty szeroko na ogień bombowców i od dziobu, i od rufy, a od pocisku z działa nie zdążą się nawet zatrząść tam okna. Wypowiedź Findhorna brzmiała właściwie jak pytanie, tym bardziej że spojrzał na Nicolsona na wpół pytająco, na wpół wyczekująco, lecz ten tylko wzruszył ramionami i odwrócił się. Niebieskie oczy patrzyły zimnym, obojętnym wzrokiem lustrując zamglony słońcem horyzont na północy. \* \* \* Japończycy powrócili po południu, dwanaście minut po drugiej. W mocnym składzie. Wystarczyłyby trzy lub cztery samoloty, a oni przysłali pięćdziesiąt. Nie było opóźnień,

próbnych potyczek, wstępnych bombardowań z większej wysokości, tylko nalot długim łukiem w kierunku południowo\_wschodnim i jeden druzgocący atak od strony słońca, podjęty z premedytacją, precyzyjny atak wszystkich samolotów jednocześnie: torpedowych, bombardujących z lotu nurkowego i myśliwców zero. Dokonano go z taką sprawnością, że mogły ją jedynie przewyższyć towarzyszące mu bestialstwo i okrucieństwo. Tylko trzy minuty minęły od chwili, gdy pierwszy myśliwiec ostrzelał pokład i pociski z bliźniaczego działa uderzyły w mostek, do chwili gdy ostatni samolot torpedowy zwiększył wysokość i wycofał się, by uciec przed podmuchem wybuchu własnej torpedy. Były to jednak trzy minuty, które "Viromę", najsprawniejszy, najbardziej nowoczesny takowiec Floty Anglo\_Arabskiej, zbudowany z dwunastu tysięcy ton nieskazitelnej stali, stawiający wszystkimi działami na pokładzie słabowity opór nacierającemu wrogowi, przeobraziły w zbombardowaną, płonącą, spowitą dymem kupę złomu. Ucichły na niej wszystkie działa, stanęły maszyny, a cała załoga albo konała, albo już zdążyła skonać. Masakra, bezwzględna, nieludzka masakra, której jedyną dobrą stroną było tylko to, że bezlitosną siłą ataku łagodziła szybkość, z jaką go dokonano. Masakra, której celem jednak nie było przede wszystkim zniszczenie tankowca, lecz jego załogi. Japończycy wykonali ściśle rozkaz, i to nienagannie. Skoncentrowali atak na maszynowni, mostku, dziobówce i stanowiskach ogniowych. Pierwsze pomieszczenie ciężko ucierpiało: dwie torpedy i co

najmniej dwanaście bomb zniszczyło nie tylko je, lecz także pokłady znajdujące się powyżej, połowa

rufy w ogóle przestała istnieć i nikt tam nie przeżył. Spośród ludzi obsługujących działka ocalało tylko dwóch: starszy marynarz Jenkins i kapral Frazer. Temu ostatniemu pozostało jednak niewiele życia, ponieważ stracił część lewego, już wcześniej kontuzjowanego ramienia, był więc zbyt słaby, zbyt zszokowany, by naprawdę podjąć zadanie i zatamować sobie krwotok z tętnicy. Na mostku, na podłodze za wzmocnionymi stalą grodziami sterówki, na wpół ogłuszeni podmuchami i wstrząsami wybuchów leżeli rozplaszczeni Findhorn i Nicolson. Zdawali sobie niejasno sprawę, jaką wróg przyjął taktykę, dlaczego do ataku użyto ciężkich bombowców w tak licznej asyście myśliwców zero. Zrozumieli również, dlaczego mostek w cudowny sposób okazał się odporny na bombardowanie, dlaczego ani jedna torpeda nie trafiła w żaden ze zbiorników z ropą – chociaż trudno było nie trafić w taki cel – i nie rozsadziła "Viromy". Zrozumieli, że Japończycy nie mieli zamiaru zniszczyć tankowca, wprost przeciwnie, chcieli go zachować, a zlikwidować jedynie jego załogę. Bez znaczenia było to, że uległa zniszczeniu rufa, albowiem dziewięć wielkich zbiorników ropy, nadal nietkniętych, i dziobówka wystarczało, by statek utrzymał się na wodzie – wprawdzie tylko na poziomie jej zwierciadła, lecz by nie zatonął. Gdyby Japończycy mieli pewność, że nikt z załogi nie przeżył i w związku z tym nie wysadzi ani nie zatopi zbombardowanego statku, mieliby dla siebie dziesięć tysięcy ton ropy: miliony litrów wysokooktanowego paliwa dla okrętów, czołgów i samolotów. Aż nagle, całkiem niespodzianie ucichł niemal

ciągły gwizd i ryk bomb i torped wstrząsających statkiem. Warkot silników ciężkich bombowców też rozpląnął się szybko w oddali. Raptowna cisza, pogłębiona przez kontrast, aż dzwoniła w uszach, uciskając bębny podobnie boleśnie jak przedtem huk. Nicolson z wysiłkiem poruszał głową. Hałas, dym i zatykający gardło kurz dały mu się we znaki. Ledwie się podniósł na kolana, chwycił za klamkę drzwi siatkowych i podciągnął, by stanąć na nogi, gdy nagle upadł na pokład jak kamień powalony przez dziki gwizd pocisków, które siekły w roztrzaskane okna nad jego głową, rozrywały gródz kabiny nawigacyjnej, wypełniały sterówkę hukiem i śmiercionośnym deszczem kawałeczków rozłupanej stali. Przez kilka sekund Nicolson leżał wyciągnięty jak długi, twarzą w dół, zasłaniając dłońmi uszy i ochraniając przedramieniem głowę. Na wpół oślepiiony, przeklinał siebie w duchu za pośpiech i głupotę, bo nie powinien tak szybko się podnosić. Nie powinien nawet dopuścić myśli, że Japończycy wycofali wszystkie siły. Powinien był przewidzieć, że pozostawią kilka samolotów, by zajęły się tymi, którzy uszli z życiem i będą usiłovali pozbawić ich zdobyczy. I że te myśliwce pozostaną tak długo, jak długo wystarczy im paliwa. Tym razem powoli, z największą ostrożnością Nicolson znów podniósł się na nogi i wychylił nad szczyby stłuczonej szyby w ramie okna. Zaskoczony, usiłował się zorientować w rozmiarach zniszczenia. Spostrzegł czarne pasmo cienia przedniego masztu i już wiedział, co się stało. Torpeda musiała rozerwać czy zmiażdżyć ster, "Viroma" bowiem obracała się na wodzie, a kiedy wreszcie stanęła, okazało się, że przekręcona jest o sto

osiemdziesiąt stopni, czyli dziób skierowany ma w stronę, z której przy płynęli. Niemal w tej samej chwili spostrzegł jeszcze jedno – coś, wobec czego pozycja statku w ogóle

przestawała mieć znaczenie, a czuwanie samolotów krążących na niebie stało się farsą. Nie było to następstwem błędnych obliczeń ze strony pilotów bombowców, lecz po prostu ich niewiedzy. Zaatakowali dziobówkę niszcząc stanowisko ogniowe i zabijając ludzi, użyli pocisków przeciwpancernych, by przebić pokład dziobówki i zabić schronioną pod nim załogę. Zakładali, że na tym kończy się dokonane przez nich dzieło. Tymczasem, nie wiedzieli, bo nie mogli o tym wiedzieć, że przestrzeń pod pokładem dziobówki i ładownie pod międzypokładem oraz jeszcze większa ładownia poniżej nie są puste. Były wypełnione po brzegi setkami ustawionych jedna przy drugiej baryłek wysokooktanowego paliwa do silników samolotowych. Maszyny, dla których przeznaczono to paliwo, zaśmiecały teraz swoimi zbombardowanymi, wypalonymi wrakami lotnisko Selengar. Płomienie strzelały w nieruchomym, dusznym powietrzu na wysokość trzydziestu – siedemdziesięciu metrów wielkim, potężnym słupem, tak białym, gorącym i zupełnie nie wydzielającym dymu, że niemal nie było go widać w oślepiającym blasku popołudniowego słońca. Właściwie nie były to płomienie, lecz szerokie lśniące pasmo rozpalonego powietrza, zwężające się ku górze i zakończone chybotliwym punkcikiem daleko powyżej szczytu maszty, punkcikiem, nad którym wiała się pierzasta smuga bladoniebieskiego dymu. Co jakiś czas w czeluściach tankowca

wybuchła następna baryłka, smuga gęstego dymu osnuwała na chwilę niemal niewidoczny płomień i równie szybko znikwała. A pożar, z czego Nicolson zdał sobie sprawę, dopiero się zaczynał. Kiedy płomienie się rozprzestrzenią, kiedy baryłki zaczną wybuchać dziesiątkami, paliwo do silników samolotowych w zbiorniku numer dziesięć pod pokładem dziobówki eksploduje niczym skład amunicji. Nicolson czuł już żar płomieni na czole. Popatrzył jeszcze chwilę na dziobówkę, by ocenić, ile im pozostało czasu. Było to jednak niemożliwe, trudno było cokolwiek przewidzieć. Może tylko dwie minuty, może aż dwadzieścia – po dwóch latach wojny waleczność tankowców, ich silna wola, by nie ulec wrogowi stały się niemal legendarne... Z pewnością nie więcej niż dwadzieścia minut. Uwagę Nicolsona przykuło nagle jakieś poruszenie wśród labiryntu rur na pokładzie, za przednim masztem. Po chwili zobaczył tam mężczyznę, którego jedyne ubranie stanowiła para postrzępionych drelichowych spodni. Potykał się on i padał posuwając w stronę trapu prowadzącego na pomost. Robił wrażenie na wpół ślepego, bo wciąż pocierał przedramieniem oczy, jakby niedowidział, udało mu się jednak dotrzeć do trapu, wdrapać na górę i zataczając się ruszyć przez pomost w stronę nadbudówki mostka. Teraz Nicolson widział go wyraźnie – był to starszy marynarz Jenkins, celowniczy z pokładu dziobówki. Dostrzegł go jeszcze jeden człowiek. Nicolson miał czas tylko rozpaczliwie wrzasnąć, by go ostrzec, po czym sam padł na pokład i z zaciśniętymi pięściami nasłuchiwał, jak wybuchają pociski z dział myśliwca, który w czasie krótkiego lotu nurkowego

ostrzelał pokład od dziobówki do mostka. Tym razem Nicolson nie wstał. Wiedział, że byłoby to równoznaczne z samobójstwem. Jedyńm powodem, który by usprawiedliwił taki krok, było sprawdzenie, jak się czuje Jenkins. Starszy marynarz powinien był poczekać na stosowną chwilę i dopiero wtedy wykonać skok, lecz może zbyt słabo widział, a może miał tylko dwa wyjścia: albo biec i zginąć, albo zostać i spalić się na popiół. Nicolson potrząsnął

głową – trudno było znieść smród kordytu. Usiadł i rozejrzał się po strzaskanej sterówce. Prócz niego były tam cztery osoby, z których ostatnia dotarła chwilę wcześniej. Był to bosman Mc\$kinnon, zjawił się w sterówce, kiedy wybuchały ostatnie pociski. Na wpół kucając, na wpół leżąc na progu kabiny nawigacyjnej, oparł się na łokciu i rozglądał dookoła. Nie był ranny, lecz nie próbował się ruszyć ze swego miejsca. – Głowa w dół! – zawołał do niego Nicolson. – Nie wstawać, bo oberwiecie w głowę! – Nawet jemu samemu wydawało się, że to nie jego własny głos, tylko jakiś ochryply szept. Kwatermistrz Evans siedział na drewnianej kratownicy, oparty plecami o koło. Słyszał było, jak swoim cienkim głosem rzuca cicho soczyste walijskie przekleństwa. Z podłużnej rany na czole kapata mu na kolana krew, lecz nie zwracał na to uwagi, skoncentrowany na bandażowaniu lewego przedramienia. Czy rana na przedramieniu jest poważna, Nicolson nie potrafił powiedzieć, widział tylko, że kolejne pasy białego płótna oddzierane z koszuli natychmiast robią się jaskrawoczerwone. Vannier leżał na podłodze w

kącie. Nicolson doczołgał się do niego i podniósł mu delikatnie głowę. Czwarty oficer był ranny w skroń, innych obrażeń nie odniósł. Był nieprzytomny, oddychał jednak spokojnie i równo. Nicolson położył ostrożnie jego głowę z powrotem na podłodze i odwróciwszy się spojrzał na Findhorna. Kapitan siedział po przeciwnej stronie mostka i przyglądał mu się oparty plecami o gródź, dłonie z wykręconymi palcami spoczywały na podłodze. Nicolson pomyślał, że starszy pan wygląda blado, nie dla niego były takie zabawy. Wskazał ręką na Vanniera. – Tylko nieprzytomny, panie kapitanie. Miał szczęście, tak jak i my wszyscy... żyjemy, i to najważniejsze. – Wysilał się, by mówić tonem weselszym niż nastrój, który go ogarnął. Kiedy przerwał, Findhorn pochylił się naprzód usiłując wstać, a wtedy pod wpływem ucisku zbieleły mu palce. – Wolnego, panie kapitanie! – zawołał ostro. – Niech pan się nie rusza. Na zewnątrz czeka na pana z utęsknieniem kilku typów. Findhorn pokiwał głową, oparł się z powrotem swobodnie o gródź. Milczał. Nicolson spojrzał na niego bacznie. – Dobrze się pan czuje? Findhorn znów skinął głową i otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zamiast słów wydobył się z nich dziwny kaszel. Nagle na jego wargach wykwitły jaskrawe pęcherzyki krwi, krwi, która zaczęła spływać po brodzie na świeżą, białą koszulę munduru. Nicolson natychmiast zerwał się na nogi, jednym skokiem przemierzył sterówkę i przyklęknął przed kapitanem. Findhorn usiłował się uśmiechnąć i coś powiedzieć, lecz znów tylko zakaształ pęcherzykami krwi, która pociekła mu z ust – jasna krew

tętnicza, której kolor w żaloszny sposób kontrastował z bielą ust. Oczy miał szkliste. Nie zwlekając, Nicolson szybko obejrzał całe ciało kapitana, by stwierdzić, gdzie został raniony. Początkowo nic nie rzucało mu się w oczy, lecz nagle dostrzegł coś, co najpierw wziął za jedną z plamek krwi na koszuli. Nie była to jednak plamka, lecz dziurka – mała, nieznaczna, okrągła, czerwieniejąca na skrajach. Wstrząśnięty, pomyślał najpierw tylko o tym, że dziurka jest taka mała, taka nieznaczna. Prawie na środku klatki piersiowej. Może ze dwa centymetry w lewo od mostka i ze cztery nad sercem. Rozdział siódmy Nicolson chwycił delikatnie, ostrożnie kapitana za ramiona, żeby nie opierał się o gródź, i obejrzał się za bosmanem. Lecz Mc\$kinnon już przy nim klęczał. Jedno spojrzenie wystarczyło Nicolsonowi, by wyczytać w jego twarzy, że plamka na gorsie koszuli kapitana stale się

powiększa. Nicolson milczał, gdy tymczasem Mc\$kinnon wyciągnął nóż i jednym cięciem rozplątał koszulę na plecach Findhorna, złożył nóż, chwycił skraje koszuli i rozerwał ją do końca. Przez chwilę oglądał dokładnie plecy, zakrył je z powrotem koszulą i spojrzał na Nicolsona kiwając głową. Ten oparł z powrotem kapitana ostrożnie o gródź. – Nieładnie wygląda, co, panowie? – Findhorn wymamrotał to z wysiłkiem, bulgocząc krwią napływającą mu do gardła. – Niespecjalnie, ale mogło być gorzej. – Nicolson starannie dobierał słowa. – Czy bardzo boli? – Nie. – Kapitan zamknął na chwilę oczy, po czym znów je

otworzył. – Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Czy przeszła na wylot? – Nie, panie kapitanie. – Głos Nicolsona zabrzmiał oficjalnie jak odpowiedź lekarza. – Musiała musnąć płuco i usadowiła się z tyłu w żebrach. Będziemy musieli jej poszukać. – Dziękuję. – Określenie "musnąć" było jawnym niedomówieniem, tylko dobrze wyposażony szpital mógł się podjąć operacji klatki piersiowej. Lecz jeśli nawet Findhorn zdawał sobie z tego sprawę, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Zakaszał z trudem, potem usiłował się uśmiechnąć. – Wykopaliska muszą poczekać. Jak tam statek? – Utrzymuje się na powierzchni – rzucił krótko Nicolson. Wskazał kciukiem za swoje ramię. – Tam widać płomienie. Jeśli szczęście nam dopisze, mamy piętnaście minut. Mogę zejść pod pokład? – Ależ oczywiście! O czymże to ja myślę? – Findhorn usiłował się podnieść, lecz Mc\$kinnon na to nie pozwolił. Wyperswadował to kapitanowi śpiewnym głosem mieszkańca gór Szkocji, czekając na wskazówki Nicolsona. Przyszły one jednak z zupełnie innej strony – nagle rozległ się narastający ryk silnika samolotu, przerażający huk działa i gwizd pocisku, który wpadł przez roztrzaskane okno nad ich głowami i wyrwał z zawiasów górną część drzwi do kabiny nawigacyjnej. Findhorn zaprzestał swoich wysiłków i oparł się, zmęczony o gródź patrząc na Mc\$kinnona z półuśmiechem na ustach. Chciał coś powiedzieć do Nicolsona, ale tego już nie było – wypadł przez trzymające się jeszcze na zniszczonych zawiasach drzwi, które rozkołysały się za nim. Pędził do kabiny nawigacyjnej. Zsunął się po trapie, pobiegł

naprzód i wpadł do messy. Na podłodze przy drzwiach siedział Van Effen z bronią w ręku. Nie był ranny. Spojrzał na przybysza. – Ale huk, prawda, panie Nicolson? Już po wszystkim? – Mniej więcej. PO statku raczej na pewno. Pilnują nas jeszcze ze trzy myśliwce, czekając na ostatnią kroplę krwi. A jak tu? – Chodzi o nich? – Van Effen machnął pogardliwie bronią w stronę załogi "Kerry Dancera": pięciu jej członków leżało skulonych ze strachu na podłodze przy leżankach, dwóch plackiem pod stołami. – Martwią się o własną bezcenną skórę. – Któryś jest ranny? – Złego diabli nie wezmą, panie Nicolson. – Van Effen pokiwał głową z żalem. – Szkoda. – Nicolson był już w drodze do drzwi od strony lewej rufy. – Statek trzyma się na wodzie. Niewiele czasu pozostało. Niech pan wyprowadzi naszą trzódkę na górny pokład... chwilowo niech ich pan zatrzyma na pomoście. Nie otwierać drzwi siatkowych... – raptownie przerwał i zatrzymał się w pół kroku. Drewniana pokrywa zasłaniająca okienko, przez które podawano z pentry posiłki, była podziurawiona i roztrzaskana. Zza niej dochodził słaby, drżący płacz dziecka. Nicolson wyskoczył na zewnątrz, zaczął się zмагаć z klamką w drzwiach do pentry. Klamka ustąpiła, lecz drzwi się nie otworzyły – może były zamknięte, a może zablokowane czy spaczne. Na grodzi

przy kabynie piątego mechanika znalazł się jakby na zawołanie toporek przeciwpożarowy. Nicolson walnął nim w zamek. Drzwi ustąpiły za trzecim ciosem, otwierając się na oścież. Uderzyły w Nicolsona kłęby dymu, smród spalenizny i

wszechogarniający odór whisky. Wszędzie walały się skorupy naczyń. Kiedy powiew świeżego powietrza rozpędził kłęby dymu, Nicolson zobaczył, że na podłodze, niemal u jego stóp siedzą dwie pielęgniarki – młoda Malajka Lena o czarnych jak sadza oczach, szeroko otwartych z przerażenia, a obok niej panna Drachmann o pobladłej twarzy zdradzającej napięcie. Dziewczynie udawało się zachować spokój. Nicolson ukląkł przy niej. – Co z chłopcem? – spytał chrapliwym głosem. – Niech się pan nie martwi. Z Peterem wszystko dobrze. – Uśmiechnęła się uroczyście do niego odsłaniając ciężkie metalowe drzwi schowka, które stały otworem. W środku był chłopczyk owinięty szczelnie grubym kocem. Patrzył na niego szeroko otwartymi ze strachu oczyma. Nicolson wsunął rękę i delikatnie pogłaskał chłopca po blond włosach, wstał raptownie i głęboko westchnął. – Dzięki Bogu. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – I dzięki pani. Bardzo sprytny pomysł. Proszę zabrać chłopca na zewnątrz, dobrze? Tu można się udusić. – Odwrócił się, stanął i spojrzał z niedowierzaniem na obrazek u swoich stóp. Rozciągnięci na podłodze leżeli obok siebie młody szeregowiec Alex i mułła, obaj najwyraźniej nieprzytomni, a może i nieżywi. Farnholme, który pochylił się, by obejrzeć głowę mułły, właśnie się prostował. Bił od niego odór whisky tak silny, jakby moczył w niej ubranie. – Co tu się, do diabła, dzieje? – Nicolson spytał lodowatym tonem. – Czy nie może pan odstawić butelki nawet na pięć minut? – Ale pan zawzięty, młody człowieku – dobiegł czyjś głos z kąta pentry. – Nie powinien pan

pochopnie wyciągać wniosków, zwłaszcza niewłaściwych. Nicolson usiłował dojrzeć w mroku, kto to powiedział. Prądnica wysiadła, nie było światła, toteż w pentrze pozbawionej okien było ciemno. Zdołał jednak rozpoznać zarys sylwetki panny Plenderleith, która siedziała sztywno, oparta o skrzynię z lodem. Kobieta miała pochyloną głowę nad czymś, co trzymała w rękach. Doszło go szybkie pobrzękiwanie drutu o drut, dźwięk, który wydawał się nienaturalnie głośny. Nicolson patrzył na nią nie mogąc uwierzyć. – Co pani robi? – Nawet on sam uważał, że w głosie jego słychać napięcie, niedowierzanie. – Robię na drutach. Czy nigdy pan nie widział, jak się robi na drutach? – Robótka na drutach! – mruknął ze zgrozą. – Naturalnie, robótka na drutach! Słodzi pan, proboszczu? Jedną kostkę czy dwie? – Pokręcił, zdumiony, głową. – Gdyby Japońce o tym wiedzieli, jutro domagaliby się zawieszenia broni. – O czym pan, na Boga, mówi? – spytała szorstko panna Plenderleith. – Czyżby pan też postradał zmysły? – Też? – No, przecież zdarzyło to się temu młodemu nieszczęśnikowi. – Wskazała na szeregowca. – Okienko do obsługi zablokowaliśmy tacami... zaraz jak tu się schroniliśmy... jest tylko z drewna, wie pan. Generał był zdania, że może nas to osłonić przed kulami. – Mówiła bardzo szybko, zwięźle, robótkę odłożyła. – Kiedy spadły pierwsze bomby, ten młodzieniec usiłował stąd wyjść. Generał zamknął drzwi... nie powiem, działał bardzo szybko. Młodzieniec zaczął więc wyciągać te tace, pewnie chciał wyjść przez okienko. Wtedy ten...

no... mułła próbował go stamtąd odciągnąć, ale okienko właśnie przeszyły kule. Nicolson szybko się odwrócił, spojrzał na Farnholme'a i w dół na leżącego mułłę. – Przepraszam,



panie generale. Czy on nie żyje? – Dzięki Bogu żyje. – Farnholme wyprostował się na klęczkach, przestał nawet przeciągać po swoim wyrazy. – Jest tylko zmordowany i ogłuszony. – Spojrzał na szeregowca i ze złością pokiwał głową. – Cholerny głupiec! – Ale co mu jest? – Ułożyłem go z butelką whisky – zaczął wyjaśniać zwięźle Farnholme. – Butelka pękła. Pewnie miała skazę. Co za strata, co za strata! – Niech go pan wyniesie. Reszta niech też wyjdzie. – Nicolson odwrócił się do drzwi, lecz ktoś zastąpił mu drogę. – Walters! Całkiem o was zapomniałem. Nic wam nie jest? – Nie, nic mi się nie stało. Ale obawiam się, że kabynie radiowej trochę się dostało. – Wyglądał blado, nie czuł się dobrze, lecz jak zwykle był rzeczowy. – Nie ma to teraz znaczenia. – Nicolson odczuwał wdzięczność wobec Waltersa za to, że się pojawił, że jest solidny i kompetentny. – Proszę wyprowadzić tych ludzi na pokład łodziowy... mogą tam stać na pomoście albo lepiej w pana kabynie. Niech ich pan nie wypuszcza na pokład. Jeśli będą chcieli coś zabrać ze swoich kabin, niech im pan da na to kilka minut. Na twarzy Waltersa pojawił się wymuszony uśmiech. – Wybieramy się w krótką podróż? – Tak, i to już wkrótce. Tak na wszelki wypadek. Nicolson nie chciał powiedzieć nic więcej, niczego wyjaśniać,

był bowiem przekonany, że nie podniosłoby to morale pasażerów, a Walters i tak sam zdawał sobie sprawę z sytuacji – jeśli statek wyleci w powietrze, czeka ich albo splotnienie, albo rozerwanie na kawałki. Wyszedł szybko, lecz zaraz zatoczył się i niemal upadł – od strony nie istniejącej już rufy rozległ się potworny huk wybuchu, który uniósł tył statku nad wodę i wstrząsnął najmniejszą płytką i nitem kadłuba. Nicolson instynktownie chwycił się framugi drzwi, chwycił pannę Drachmann, która zatoczyła się na niego niosąc małego Petera, podtrzymał ją i zwrócił się do Waltersa. – Wycofuję ostatni rozkaz. Niech nikt nie idzie do kabin. Proszę ich tylko zaprowadzić na górę i niech tam czekają. – Jednym susem znalazł się przy drzwiach siatkowych, otworzył je ostrożnie i już był na zewnątrz, na szczycie żelaznego trapu, który prowadził na główny pokład. Patrzył w stronę rufy. Poczł uderzenie żaru tak namacalne, jakby ktoś dał mu pięścią w oczy wyciskając z nich łzy. Pomyślał ponuro, że nie będzie się skarżył na to, że nie widać płomieni. Przewalające się, kotłujące kłęby oleistego czarnego dymu biły w górę na wysokość kilkudziesięciu metrów, z każdą sekundą coraz to wyżej. Nie tworzyły jednak na szczycie stożka, lecz rozprzestrzeniały się nad statkiem, tworząc wielki czarny całun. Na poziomie pokładu było jednak niewiele dymu, stała tam jednolita ściana płomieni o grubości jakichś dwudziestu metrów, strzelająca w górę na wysokość około piętnastu, gdzie jakby pękała rozdzielając się na osobne słupy ognia, lizane przez języki płomieni. Sięgały one łakomie coraz to wyżej, migocące iskrami, które pożerała

skłębiona czerń dymu. Mimo nieprawdopodobnego żaru Nicolson odruchowo osłonił sobie nie twarz, lecz uszy – nawet z odległości pięćdziesięciu metrów ryk ognia był nie do zniesienia. Następny bład ze strony Japońców, pomyślał ponuro. Bomba, która miała trafić w maszynownię, wybuchła w ładowni pełnej ropy, wysadzając również gródź maszynowni, obie ściany koferdamu i zbiornik numer jeden. Najprawdopodobniej palił się właśnie on – milion litrów paliwa spalał się podsycany powietrzem buchającym przez roztrzaskany koferdam. Nawet gdyby ocalał sprzęt przeciwpożarowy i ludzie do jego obsługi, to piekło

pochłonęłoby każdego, kto by się zbliżył na odległość piętnastu metrów. Wszelkie próby ugaszenia pożaru byłyby równoznaczne z samobójstwem. Nagle ponad huk płomieni zaczął się wybijać inny, jeszcze bardziej donośny ryk, a właściwie warkot silnika samolotu wyjącego na maksymalnych obrotach. W ułamku sekundy Nicolsonowi ukazał się na wysokości szczytu masztu myśliwiec pikujący na prawą burtę. Nicolson rzucił się gwałtownie do tyłu w otwór drzwi za sobą – pociski wybuchły w miejscu, z którego przed chwilą uciekł. Klnąc na swoje zapominalstwo podciągnął się na nogi, zamknął drzwi i rozejrzał dookoła. Zarówno pentra, jak i korytarz były już puste – Walters nie tracił czasu. Nicolson szybko posuwał się korytarzem, minął messę i dotarł do zejściówki prowadzącej na pokład łodziowy. Był już tam Farnholme, który idąc po stopniach dźwigał szeregowca. Nicolson pomógł mu bez słowa, na górze natknął się na Waltersa, który go wyręczył. Popatrzył na przejście

prowadzące do kabiny radiowej. – Sparks, wszyscy już się zebrali? – Tak jest. Arabowie już też idą, a panna Plenderleith pakuje torbę, jakby się wybierała na dwa tygodnie nad morze. – Aha, zauważyłem. Dziesięć światów z nią. – Spojrzał, co się dzieje z przodu przejścia. Siran i jego ludzie skulili się przy trapie prowadzącym do kabiny nawigacyjnej, przestraszeni i niezadowoleni. To znaczy wszyscy prócz Sirana. Jego opalona twarz była nadal spokojna, pozbawiona wyrazu, mimo zadrapań i sińców. Nicolson spojrzał ostro na Waltersa. – A gdzie jest Van Effen? – Nie mam pojęcia. Nie widziałem go. Nicolson podszedł do Sirana. – Gdzie jest Van Effen? Ten wzruszył ramionami, wykrzywił usta w uśmiechu i milczał. Nicolson przytknął mu rewolwer do splotu słonecznego. Z opalonej twarzy znikł uśmiech. – Bo będzie koniec z tobą! – zagroził Nicolson uprzejmym tonem. – Poszedł na górę. – Siran wskazał głową na trap. – Minutę temu. – Sparks, macie broń? – W kabinie. – To idźcie po nią. Van Effen nie miał prawa ich zostawić. – Poczekał na Waltersa. – Do tych tu można strzelać bez powodu. Wystarczy byle pretekst. Wskakiwał po trzy stopnie naraz, minął kabinę nawigacyjną i wpadł do sterówki. Vannier odzyskał już przytomność i choć wciąż kręcąc głową walczył z resztkami oszołomienia, był w stanie pomóc Evansowi bandażować rękę. Mc\$kinnon nadal siedział przy kapitanie. – Bosmanie, widzieliście Van Effena? – Był tu przed chwilą. Poszedł

na górę. – Na górę? Co na miłość... – powstrzymał się jednak. POzostało niewiele czasu. – Jak się macie, Evans? – Wręcz wspaniale, do cholery – mruknął Evans zgodnie z prawdą, bo wyglądał niespecjalnie dobrze. – Gdybym mógł dorwać tych morder... – Dobrze już, dobrze – uśmiechnął się Nicolson. – Widzę, że przeżyjecie. Zostańcie tu z kapitanem. Jak się macie, czwarty? – W porządku. – Vannier był bardzo błądy. – Tylko rana głowy. – To dobrze. Weźcie ze sobą bosmana i sprawdźcie szalupy. Tylko pierwszą i drugą... trzeciej i czwartej nie ma. – Przerwał i spojrzał na kapitana. – Mówił pan coś? – Tak – odparł Findhorn głosem nadal słabym, ale mniej chrapliwym. – Trzeciej i czwartej nie ma? – Roztrzaskane w drzazgi, spalone na popiół – powiedział Nicolson bez goryczy w głosie. – Bardzo sumiennie wykonali zadanie. Zbiornik numer jeden pali się, panie kapitanie. Findhorn pokiwał głową. – Czy jest nadzieja, chłopcze? – Żadnej, po prostu żadnej. – I Nicolson zwrócił się do Vanniera: – Jeśli obie się nadają, użyjemy obu. – Zerknął na Findhorna

podnosząc brwi w oczekiwaniu potwierdzenia. – Nie chcemy, by Siran i jego nożownicy, kiedy zapadnie noc, znaleźli się z nami w tej samej łodzi. – Findhorn przytaknął mu ruchem głowy, po czym Nicolson mówił dalej: – Zabrać jak najwięcej koców, żywności, wody, broni i amunicji. I zestawów pierwszej pomocy. Wszystko to załadować do lepszej szalupy... to znaczy naszej. Jasne? – Jasne. – Jeszcze jedno. Kiedy

skończycie, przygotować składane nosze dla kapitana. I nie dajcie się podziurawić pociskami. Sam dopiero co uciekłem w ostatniej chwili. I pośpieszcie się, na miłość boską! Mamy pięć minut na wszystko. Nicolson wyszedł ze sterówki przez drzwi od strony prawej burty. Stał tam kilka sekund, robiąc w duchu spis inwentarza. Od dziobu i rufy uderzał żar niby z otwartego pieca, lecz nie zwrócił na to uwagi. Gorąco go nie zabije, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili, w sprzyjającej sytuacji mogą jednak tego dokonać myśliwce. Niemniej teraz były oddalone o milę – krążyły wokół "Viromy" jeden za drugim, pochylone na lewe skrzydło. Obserwowały i czekały. Przebiegł pięć kroków, znalazł się przy górnym trapie sterówki. Przeskoczył trzy stopnie i nagle zahamował tak gwałtownie, że tylko dzięki zgiętej w porę ręce złagodził impet, z jakim uderzył o szczeble. Z góry zaczynał schodzić Van Effen broczący krwią. Na wpół podtrzymywał, na wpół niósł kaprała Frazera. Był on w bardzo ciężkim stanie, najwyraźniej już tylko cudem nie tracił przytomności. Z wykrzywionej bólem twarzy odpłynęła pod ciemną opalenizną krew, prawą ręką podtrzymywał to, co pozostało z jego lewego przedramienia – poszarpany i okropnie okaleczony kikut. Mogło to być tylko dziełem pocisku. Frazer jednak przestał już obficie krwawić, Van Effen zawiązał mu opaskę nad łokciem. Nicolson natknął się na nich w połowie trapu, złapał kaprała, by odciążyć trochę Van Effena. Lecz zanim się zorientował, co się dzieje, tamten całkiem puścił Frazera i znów rzucił się biegiem w górę. – Człowieku, dokąd? – Nicolson musiał wrzeszczeć, żeby

przekrzyczeć huk płomieni. – Do diabła z tym wszystkim na górze. Opuszczamy statek. Zejdź! – Muszę zobaczyć, czy tam jeszcze ktoś nie pozostał przy życiu – zawołał Van Effen. Wołał dalej, lecz Nicolson już nie był pewien, o co mu chodzi, chyba o jakąś broń. Jego słowa zagłuszał huk dwóch wielkich pożarów, a ponadto Nicolson już skoncentrował uwagę na czymś innym. Myśliwce – było ich tylko trzy – przestały krążyć wokół statku i zaczęły ostro nacierać, wszystkie jednocześnie, w jednej linii, celując w śródkręcie. Nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, by uświadomić sobie, jaki stanowią wspaniałą i kuszący cel stojąc na najwyższym poziomie statku. Nicolson chwycił mocniej Frazera, a wolną ręką wykonał błyskawiczny ruch, wskazując na morze. – Nie masz szans, wariacie! – wrzasnął. Van Effen był już na szczycie trapu. – Ślepy jesteś, zwariowałeś?! – Martw się o siebie, przyjacielu! – zawołał Van Effen i zniknął. Nicolson nie czekał już ani chwili – tak, będzie musiał się martwić o siebie, nie ma żartów. Tylko kilka kroków, kilka sekund dzieli go od sterówki, lecz przeciw dźwiga Frazera, który zwisa bezwładnie w jego ramionach jak ciężki worek. Myśliwce potrzebują około sześciu sekund, nie więcej, żeby się znaleźć nad nimi. Słyszał już piskliwy warkot silników, przytłumiony, lecz mimo to górujący nad miarowym hukiem płomieni. Nie miał odwagi spojrzeć, bo wiedział, że myśliwce są już blisko, dwieście metrów od nich, z celownikami wymierzonymi w jego nie osłonięte plecy. Rozsuwane drzwi sterówki

były zablokowane, zdołał mimowolnie popchnąć je lewą

ręką, aż nagle otworzyły się z impetem i bosman już wciągał Frazera do środka. Nicolson rzucił się na pokład zaciskając mimowolnie zęby w oczekiwaniu na paraliżującą serię w plecy. Przekręcił się i wturlał do środka, gdzie było bezpiecznie. Usłyszał krótki, narastający grzmot samolotów, które przeleciały zaledwie kilka metrów nad sterówką. Nie rozległ się jednak ani jeden wystrzał. Nicolson, nie mogąc uwierzyć, potrząsnął głową. Wstał powoli na nogi. Może pilotów oślepił dym i płomień, a może nawet im skończyła się już amunicja – liczba pocisków w myśliwcu była przecież ograniczona. Zresztą nie miało to już znaczenia. Zobaczył na mostku Farnholme'a, który pomagał znosić żołnierza. Vanniera nie było, lecz Evans nie opuścił kapitana. Nagle drzwi kabiny nawigacyjnej otworzyły się gwałtownie na uszkodzonych zawiasach i twarz Nicolsona znów stężała w wyrazie zdumienia. Mężczyzna stojący przed nim był prawie nagi, wisiały na nim tylko postrzępione łachy, resztki dawnych niebieskich spodni. Jeszcze się paliły, tliły na skrajach. Brwi i włosy miał opalone i przytopione, pierś i ramiona czerwone, poparzone. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, mężczyzna oddychał szybko, płytko, jak ktoś spragniony od dłuższego czasu powietrza, a nie mający czasu na zaczerpnięcie głębokiego oddechu. Twarz miał bardzo bladą. – Jenkins! – Nicolson rzucił się do niego, złapał za ramiona, lecz zaraz go puścił, bo tamten zasyczał z bólu. – Jakże, na Boga... widziałem samoloty... – Ktoś nie może się wydostać – przerwał mu tamten – z pompowni na dziobie. – Mówił gwałtownie i szybko, lecz z przerwami na

oddech. – Zeskoczyłem z pomostu... na pokrywę luku. Słyszałem pukanie. – Wyciągnąłeś go? O to chodzi? – spytał cicho Nicolson. – Nie. Pokrywa zamknięta. – Jenkins pokiwał, zmęczony, głową. – Nie mogłem otworzyć. – Do pokrywy przymocowana jest rura – rzucił gwałtownie Nicolson. – Wiecie o tym równie dobrze jak ja. Jenkins nie odpowiedział, pokazał mu dłonie. Nicolson skrzywił się – nie pozostał na nich ani kawałek skóry, tylko czerwone, żywe mięso i lśniący biały kość. – Boże jedyny! – patrzył jeszcze przez chwilę na te ręce, po czym podniósł wzrok i spojrzał w przepiękne bólem oczy. – Przepraszam was bardzo, Jenkins. Zejdźcie na dół. Poczekajcie przy kabine radiowej. – Odwrócił się, bo ktoś dotknął jego ramienia. – Aha, Van Effen, wie pan, że nie tylko jest pan idiotą, lecz też największym na świecie szczęściarzem? Wysoki Holender rzucił na pokład dwa karabiny, pistolet automatyczny, amunicję i wyprostował się. – Miał pan rację – powiedział cicho. – Tylko strata czasu. Nikt tam nie żyje. – Wskazał głową na Jenkinsa, który wychodził. – Słyszałem go. Chodzi o małą pokładówkę przed mostkiem, prawda? Pójdę tam. Nicolson patrzył przez chwilę w jego spokojne szare oczy i skinął głową. – Niech pan pójdzie ze mną, jeśli pan chce. Może potrzeba będzie dwóch, żeby go wyciągnąć. Na pomoście poniżej wpadli na Vanniera, który zataczał się pod ciężarem naręcza koców. – Jak tam szalupy? – spytał pośpiesznie Nicolson. – W doskonałym stanie. Nawet prawie nie draśnięte. Można by

pomyśleć, że Japońcy specjalnie je zostawili. – Obie? – Nicolson był zdumiony. – Tak. – Spadło to nam z nieba – mruknął. – No, chodźmy. Nie zapomnijcie noszy dla kapitana. Poniżej na głównym pokładzie żar niemal zapierał dech, zanim więc upłynęło dziesięć sekund, obu mężczyznom zabrakło tlenu. Benzyna w ładowniach paliła się dwa, trzy razy

gwałtowniej niż przed pięcioma minutami. Z oddali, przez huk płomieni dolatywał ich niemal nieprzerwany huk wybuchów – to metalowe baryłki pękały i wybuchały pod wpływem żaru. Lecz Nicolson rejestrował to jakby mimochodem. Stał przy wodoszczelnych stalowych drzwiach prowadzących do luku i stukał w nie końcem metrowej rury, która służyła za blokadę tych drzwi. Czekał na odpowiedź pochylony nisko nad lukiem widział, jak z czoła cieknie mu pot niemal nieprzerwaną strużką. Powietrze było tak suche, stal taka gorąca – nawet przez podeszwy butów czuli, jaki rozżarzony jest pokład – że krople potu wyparowywały niemal w tej samej chwili, w której na niego spadały... Nagle rozległo się pukanie od wewnątrz – dwaj mężczyźni podskoczyli, jakby wcale się tego nie spodziewali. Pukanie było bardzo ciche, lecz nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Nicolson dłużej nie czekał. Zaczepy zamykające były zablokowane, pewnie przesunęło się coś czy wypaczyło na skutek wybuchów; dopiero za dwunastym uderzeniem młota, który Nicolson przyniósł, dwa zaczepy ustąpiły. Z trzecim nie było kłopotu. Z mrocznych czeluści pompowni buchnęło gorącym i cuchnącym powietrzem, lecz Nicolson i Van

Effen nie zwracali na to uwagi, próbowali dojrzeć coś w ciemnościach. Van Effen zapalił latarkę – wtedy zobaczyli siwe, pomazane ropą włosy mężczyzny, który wspinał się po trapie. Po chwili dwa długie ramiona sięgnęły w dół i mężczyzna już stał na pokładzie przy nich, osłaniając się odruchowo przedramieniem przed żarem płomieni. Cały był w ropie, od stóp do głów, w czarnej, umazanej twarzy błyszcząły niemal z komicznym efektem białka jego oczu... Nicolson patrzył na niego przez chwilę. – Willy! – zawołał w końcu, zdumiony. – No, właśnie – zaśpiewał Willoughby. – Nikt inny tylko ja, Stary Willy. Złoci młodzieńcy i panny muszą i tak dalej, ale nie emerytowani drudzy mechanicy. Z nas nie są zwykli śmiertelnicy. – Wytarł ropę z twarzy. – Willoughby'emu nie śpiewa się smutnych piosenek. – Ale co, u diabła, tu robiłeś?... no, nieważne. Potem o tym. Chodź, Willy. Nie mamy czasu. Opuścimy statek. Kiedy wspinali się na mostek, Willoughby zasapał się i przystanął. – Wskoczyłem tam, by się schować. Odcięło mnie niemal w najlepszej chwili mojego życia. Dokąd idziemy? – Jak najdalej od tego statku – rzucił ponuro Nicolson. – W każdej chwili może wylecieć w powietrze. Willoughby odwrócił się osłaniając ręką oczy. – To tylko pali się ropa, Johnny. Zawsze jest szansa, że sama się wypali. – Ale wybuchł zbiornik numer jeden. – W takim razie do szalup, pędem – rzucił pośpiesznie mechanik. – Stary Willy pożyje

sobie i powalczy innym razem. \* \* \* Obie szalupy załadowano i przygotowano do spuszczenia na wodę w pięć minut. Wszyscy, którzy przeżyli, czekali razem; wśród nich ranni. Nicolson spojrzał na kapitana. – Gotowe, czekamy tylko na pana rozkaz. Findhorn uśmiechnął się blado, lecz nawet ten uśmiech musiał być dla niego wysiłkiem, bo kapitan skrzywił się z bólu. – Za późno na taką skromność, panie Nicolson. Jesteś tu dowódcą, chłopcze. – Zakaszał, zacisnął powieki, a kiedy znów otworzył oczy, spojrzał na Nicolsona z namysłem. – Samoloty. Przecież kiedy będziemy opuszczać statek, mogą nas poszatkować. – Po co mieliby sobie zadawać tyle trudu. Łatwiej im będzie nas dorwać, kiedy już będziemy w szalupie. – Nicolson wzruszył ramionami. – Nie mamy innego wyjścia. – Oczywiście, przepraszam za tę głupią uwagę. – Findhorn odchylił się do tyłu i zamknął

oczy. – Z samolotami nie będzie problemu – odezwał się Van Effen, dziwnie pewny siebie. Uśmiechnął się do Nicolsona. – Przecież i pan i ja mogliśmy już od dawna nie żyć. Nie chcą strzelać lub nie mogą. Mają też inne powody, ale teraz nie czas na to, panie Nicolson. – Tak, nie czas na to. – Nicolson skinął głową i nagle zacisnął pięści, bo statkiem wstrząsnęła potworna eksplozja. Przez całą nadbudówkę przetoczył się głęboki, długi grzmot, grzmot, który spowodował, że pokład nagle się zachwiał i zakołysał uciekając im spod nóg ostrym przechylem w stronę rufy. Nicolson uśmiechnął się blado do Van Effena. – Rzeczywiście, nie czas teraz na to. Czy musi pan

tak dokładnie uzasadniać swoje argumenty? – podniósł głos: – Wszyscy do szalup! Przedtem należało się śpieszyć, teraz pędzić z prędkością światła. Pękły grodzie zbiornika numer dwa, tak że jeden ze zbiorników czy nawet dwa stały otworem. "Viroma" pogrążyła się w morzu od strony rufy. Szybkie opuszczanie statku było jednak obosieczną bronią, z czego Nicolson doskonale zdawał sobie sprawę. Wśród niedoświadczonych pasażerów zbyt wielki pośpiech i napięcie mogły wywołać panikę lub co najmniej zamieszanie opóźniające całą akcję. Mc\$kinnon i Van Effen byli nieocenieni – przeprowadzali pasażerów w odpowiednie miejsca, nosili rannych, układali ich między ławkami w szalupie, spokojnym głosem podtrzymywali wszystkich na duchu. Musieli krzyczeć, żeby ich słyszano pośród huk płomieni. Był to osobliwy, przerażający huk; wśród innych dźwięków rozpoznać można było cienki, piskliwy syk, od którego bolały zęby i nerwy napinały się jak postronki, oraz głęboki, nieprzerwany odgłos jakby rozdieranego perkalu, tyle że tysiąc razy potężniejszy. Żar już nie dawał im się tak we znaki, choć był niesamowity – dwie ściany ognia zaczęły się gwałtownie zlewać w jedną: bladoniebieska przejrzysta mgła, drżąca i nierzeczywista, powstała w wyniku spalania się benzyny na dziobie, mieszała się z krwistoczerwoną, tłumioną przez dym i płomienie na rufie. Oddychanie stało się męką, gardła piekły i bolały, cierpiał jednak przede wszystkim Jenkins, bo gorące powietrze w niemiłosierny sposób drażniło jego poparzoną skórę i krwawiące dłonie. Najmniej z nich wszystkich męczył się mały Peter Tallon, owinięty przez

Mc\$kinnona od stóp do głów w duży, włochaty koc, namoczony uprzednio w zlewie w pentrze. W trzy minuty od chwili wydania rozkazu szalupy znalazły się na wodzie. Najpierw spuszczone szalupę z lewej burty, mieli w niej bowiem płynąć tylko Siran i jego sześciu ludzi. Nie było wśród nich ani jednego rannego, szybciej więc mogli uporać się z całą operacją. Niemniej Nicolsonowi wystarczył jeden rzut oka przed powrotem na prawą burtę, by się zorientować, że odpłynięcie na pewną odległość od płonącego statku zajmie im dużo czasu. Mieli trudności z obluźowaniem fałów, mimo że podał im instrukcję obsługi urządzenia zwalniającego, a ponadto dwóch z nich, owładniętych strachem, zaczęło się gwałtownie bić, wszyscy pozostali wymachiwali zaś rękami i wrzeszczeli na cały głos. Nicolson odszedł, było mu wszystko jedno. Niech sobie sami radzą, a jeśli im się nie uda, świat na tym tylko zyska. I tak dał im szansę, której oni odmówili dziecku – szansę przeżycia. W niecałą minutę później, jako ostatni pozostały na statku, zjeżdżał już po linie do spuszczonej na wodę szalupy numer jeden. Widział ją w dole pod sobą, wypełnioną ludźmi i sprzętem. Uświadomił sobie, że niezwykle trudno będzie płynąć nią na wiosłach, zwłaszcza że tylko

trzech czy czterech ludzi było do tego zdolnych, lecz kiedy dotknął stopą ławki, silnik zakaszłał, zakrzuszył się, znów zakaszłał, aż w końcu zapalił i zaczął miarowo pomrukiwać. Ledwie go było słyhać pośród huku ognia. W minutę odpłynęli na pokaźną odległość od "Viromy" i zaczęli okrążyć dziób w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara.

Mimo że od dziobówki dzieliło ich około stu pięćdziesięciu metrów, żar nadal piekł w oczy i gardła. Nicolson nie chciał jednak rozpędzać szalupy i okrążał dziób trzymając się go jak najbliżej. Nagle ukazała im się cała długość lewej burty statku i szalupa numer dwa. Minęły już co najmniej trzy minuty, jak spuszczone ją na wodę, a nie odpłynęła dalej od burty niż jakieś dwadzieścia metrów. Siranowi udało się w końcu przywołać swoich ludzi do porządku ciętym językiem oraz ciężkim bosakiem. Nie przebierał w środkach. Niemniej po tej operacji pozostało mu tylko trzech sprawnych członków załogi, bo dwaj leżeli jęcząc na dnie szalupy, a trzeci usiłował coś zrobić, żeby mniej mu dokuczało niesprawne ramię. Nicolson ściągnął usta i spojrzał na Findhorna. Kapitan właściwie zinterpretował jego spojrzenie – z trudem, niechętnie skinął głową. Pół minuty później Mc\$Kinnon wprawnym ruchem rzucił nad wodą zwój liny. Siran chwycił ją i przywiązał do przedniej ławki. Szalupa motorowa niemal natychmiast naciągnęła linę i zaczęła holować Sirana i jego załogę. Teraz Nicolson już nie próbował okrążyć statku, tylko zaczął płynąć prosto w morze, by w ostatnich chwilach "Viromy" znajdować się od niej jak najdalej. W pięć minut przepłynęli pięćset metrów, lecz nadal nic się nie wydarzyło. Szalupa motorowa holując drugą, płynęła z możliwie największą szybkością około trzech i pół węzła. Każdy metr zapewniał im większe bezpieczeństwo. W górze – teraz beczynnienie – wciąż krążyły myśliwce. Odkąd zaczęto spuszczać szalupy na wodę, myśliwce nie wykonały ani jednego manewru, który mógłby

wskazywać, że zamierzają zaatakować. Widocznie nie miały takiego rozkazu. Minęły następne dwie minuty. "Viroma" płonęła coraz gwałtowniej. Ogień buchający z dziobówki było teraz wyraźnie widać, nie pochłaniał go bowiem blask słońca. Gęsty całun dymu walącego z dwóch zbiorników w części rufowej rozprzestrzenił się nad połową mili kwadratowej morza i nawet ogniste słońce tropików nie mogło się przebić przez jego gęstą czerń. Pod tym mrocznym baldachimem dwa słupy ognia zlewały się coraz bardziej, bezlitosne, majestatyczne i nieugięte w swoich dążeniach. Ich szczyty nachylały się w górze ku sobie – osobliwe zjawisko spowodowane rozgrzaniem powietrza do wyjątkowo wysokiej temperatury. Findhorn odwrócił się, by obejrzeć śmierć swojego statku. Był przekonany, że koniec nastąpi w chwili, gdy słupy się zetkną. Tak też się stało. Agonia przebiegała z barbarzyńskim przepychem, śmierć była skromna. Zza mostka wystrzelił słup białego ognia, coraz to wyższy, aż osiągnął ze sto pięćdziesiąt metrów, po czym znikł równie nagle, jak się pojawił. Kiedy znikł, nad spokojną powierzchnią morza przetoczył się niski, głęboki, przeciągły grzmot. Niebawem jego echa ucichły w oddali i zapanowała cisza. Koniec nastąpił spokojnie, bez zamieszania, nawet z pewnego rodzaju godnością i elegancją – "Viroma" pogrążyła się powoli w wodzie, miarowo, bez wstrząsów. Zmęczony, śmiertelnie ranny statek, który doświadczył wszystkiego, czego tylko mógł doświadczyć, z zadowoleniem odchodził na spoczynek. Ludzie przyglądający mu się z szalup słyszeli lekki syk, który szybko ucichł – to woda wpływała do

rozżarzonych ładowni; potem zobaczyli, jak dwa smukłe maszty pogrążają się pionowo w morzu, następnie kilka baniek powietrza, później już nic. Na oleistej wodzie nie unosił się ani kawałek drewna, ani w ogóle nic. Tak, jakby "Viroma" nigdy nie istniała. Kapitan Findhorn obrócił do Nicolsona swoją kamienną twarz, jego spojrzenie było puste, pozbawione wyrazu. Patrzyli na niego prawie wszyscy w szalupie, jedni otwarcie, inni starając się to ukryć, lecz on jakby zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy – mężczyzna owładnięty całkowitą obojętnością. – Ten sam kurs, panie Nicolson, jeśli pan pozwoli. – Głos miał niski, stłumiony, lecz tylko na skutek odniesionych ran. – O ile pamiętam, kurs dwieście. Cel ten sam. Za dwanaście godzin powinniśmy dopłynąć do Kanału Macclesfield. Rozdział ósmy

Mijały godziny, niekończące się, duszne godziny pod niebieskim, bezwietrznym niebem, w promieniach tropikalnego słońca. Szalupa numer jeden nadal miarowo płynęła zdyszana na południe holując drugą. Normalnie zapas paliwa na szalupie starcza tylko na sto mil przy szybkości około czterech węzłów. Szalup używa się wyłącznie w wyjątkowych wypadkach, takich jak odholowanie innej łodzi od tonącego statku, wylawianie rozbitków, nagłe udzielenie pomocy czy też w warunkach sztormowych. McSkinnon jednak był przewidujący i załadował dodatkowe bańki z benzyną, które nawet przy złej pogodzie pozwolą im dopłynąć do wyspy Lepar, mniej więcej tej samej wielkości co wyspa Sheppey. Minęli ją z

prawej burty przepływając przez Kanał Macclesfield. Kapitan Findhorn, który spędził na archipelagu piętnaście lat, wiedział, gdzie można dostać benzynę na wyspie Lepar. Dużo benzyny. Jediną niewiadomą stanowiły więc poczynania Japończyków – może już zajęli tę wyspę, lecz wydawało się to dość nieprawdopodobne, gdyż ich wojska lądowe zajęły już tak wielki obszar i tak były rozczłonkowane, że ich dowódcy mogli uznać zajmowanie takiej małej wyspy za bezcelowe. Mając dużo benzyny i słodkiej wody szalupy będą płynąć jeszcze bardzo długo, może aż do Cieśniny Sundajskiej między Sumatrą a Jawą, zwłaszcza gdyby zaczął znów wiać pasat północno\_wschodni, który ułatwiłby im zadanie. Teraz jednak pasat nie wiał, nie było w ogóle najłżejszego wiatru czy powiewu, panowała absolutna cisza, było duszno i gorąco nie do wytrzymania. Leciutki powiew, będący rezultatem posuwania się łodzi, jak na urągowisko jeszcze tylko pogarszał sytuację, bo nie przynosił żadnej ulgi. Rozżarzone słońce zachodziło, chowało się daleko na zachodzie, lecz jego promienie nadal paliły. Nicolson kazał postawić dla osłony oba żagle – kliwer, żeby rzucił cień na część dziobową i żagiel lugrowy, wciągnięty tylko do połowy masztu, żeby osłaniał jak największą część rufy. Lecz nawet w ich cieniu było nieznośnie gorąco, temperatura sięgała około trzydziestu pięciu stopni, przy wilgotności przekraczającej osiemdziesiąt pięć procent. Na terenach Indii Wschodnich rzadko kiedy, niezależnie od pory roku, temperatura spada poniżej trzydziestu stopni. Najmniejszej ulgi nie przyniosłoby też

zanurzenie się w wodzie za burtą, bo temperatura morza miała jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć stopni. Pasażerom nie pozostawało więc nic innego jak tylko usadowić się w pozycji półleżącej i tkwić tam bezradnie i apatycznie pod osłoną żagla, cierpieć i modlić się, żeby słońce zaszło. Pasażerowie. Nicolson siedząc na rufie, z rumplem w ręku przyglądał się bacznie ludziom w szalupie. Rozumiał, w jakiej znaleźli się sytuacji, rozumiał, dlaczego ogarnęła ich inercja. Zaciśnął usta. Gdyby mógł kiedyś wybierać, z kim chciałby się znaleźć



w łodzi, którą by płynął w tropikach setki, tysiące mil z dala od jakiegokolwiek pomocy, otoczony przez wroga, wśród zajętych przez niego wysp, trudno by mu było wybrać komplet pasażerów gorzej radzących sobie w szalupie i mających mniejsze szanse przeżycia. Oczywiście były wśród nich wyjątki, na przykład Mc\$kinnon czy Van Effen, którzy zawsze w podobnej sytuacji stanowiliby wyjątek, lecz reszta... W szalupie znajdowało się prócz niego siedemnaście osób. Spośród nich tylko tamci dwaj byli kompetentni i cenni, jeśli chodzi o umiejętność żeglowania i obsługi łodzi. Mc\$kinnon, niewzruszony, kompetentny, niezwykle pomysłowy starczał za dwóch. Van Effen wykazał już odwagę i poświęcenie w krytycznych sytuacjach, trudno było jednak powiedzieć, czy miał jeszcze inne zalety. Co do Vanniera, nie wiadomo – prawie jeszcze dziecko, może wytrzyma długi okres napięcia i trudów, ale czas to dopiero pokaże. Walters, który wciąż wyglądał niedobrze i pozostawał w szoku, pewnie okaże się użyteczny, tylko musi dojść do siebie. Chyba tylko na nich mógł ewentualnie liczyć.

Drugi steward Gordon, o szczupłej twarzy, wilgotnych oczach, to osobnik podejrzany, znany ze złodziejstwa. Nawet nie stawiał się dzisiaj po południu na swoje stanowisko bojowe, nie nadawał się więc ani na marynarza, ani żołnierza, można było mieć pewność, że zawsze zadba wyłącznie o własne bezpieczeństwo i korzyść. Dziś po południu nie wypadli też obiecująco nawet mułta i zdumiewający, tajemniczy Farn- holme – siedzieli teraz na tej samej ławce pogrążeni w cichej rozmowie. Co do Willoughby'ego, to trudno o bardziej serdecznego i życzliwego człowieka, lecz znajdując się poza swoją maszynownią i bez ukochanych książek nie bardzo potrafił być pomocny, mimo najlepszych chęci, należał bowiem do najbardziej delikatnych i bezradnych ludzi na świecie. Kapitan, Evans, kwatermistrz, Frazer i starszy marynarz Jenkins byli zbyt ciężko ranni, żeby naprawdę móc się nadawać do jakiegokolwiek pomocy. Szeregowiec Alex – Nicolson dowiedział się, że ma na imię Sinclair – nadal pozostawał tak samo rozstrojony i roztrzęsiony jak przedtem. Bez przerwy wodził niespokojnie szeroko otwartymi oczami od jednego pasażera do drugiego, nieustannie pocierając dłońmi uda, jakby musiał zetrzeć z nich jakąś truciznę. Pozostały prócz tego tylko trzy kobiety i mały Peter, lecz gdyby chcieć jeszcze bardziej obniżyć średnią ocen, pomyślał z goryczą Nicolson, niecałe osiem metrów dalej znajdowali się Siran i jego sześciu nożowników. Jediną zadowoloną, beztroską osobą w szalupie był mały Peter Tallon. Ubrany tylko w podwinięte białe króciutkie szorty, jakby w ogóle nie odczuwał upału ani innych trudów – przez cały czas podskakiwał

sobie na rufie i dziesięć razy na minutę trzeba go było powstrzymywać, by nie wypadł za burtę. Przywykł już do sytuacji, stał się ufny, nie odczuwał już strachu przed członkami załogi. Lecz przy Nicolsonie brakowało mu nadal swobody – ilekroć ten, siedząc przy rumplu, najbliżej chłopczyka, dał mu kawałek suchara czy rozpuszczone w wodzie słodkie mleko skondensowane, mały uśmiechał się do niego nieśmiało, pochylał do przodu, chwycił suchar lub kubek, cofał się i z pochyloną głową, łypiąc spod oka, zabierał do jedzenia. Lecz gdy Nicolson wyciągał rękę, by dotknąć chłopca czy go złapać, mały uciekał do panny Drachmann, która siedziała na rufie z prawej burty, wsuwał pulchną rączkę w jej czarne błyszczące włosy i pociągał na ogół tak mocno, że dziewczyna krzywiąc się wydawała

krótki okrzyk bólu. Mały przekręcał wtedy główkę na bok i patrzył na Nicolsona srogo przez rozprostowane palce lewej rączki. Była to jego ulubiona sztuczka, pewnie wyobrażał sobie, że zasłonięty palcami staje się niewidzialny. W takich chwilach Nicolson na jakiś czas zapominał o wojnie, rannych i prawie beznadziejnej sytuacji ich wszystkich, lecz zaraz powracał do twardej rzeczywistości i jeszcze bardziej się martwił i bał, co się stanie z chłopcem, kiedy Japończycy w końcu ich dopadną. Bo przecież na pewno to nastąpi. Nicolson był o tym przekonany ponad wszelką wątpliwość, wiedział, że Findhorn też tak uważa, a o dopłynięciu do wyspy Lepar i cieśniny Sunde mówi tylko po to, by dodać im odwagi. Japończycy znają ich położenie z dokładnością do kilku mil, mogą ich dopaść w dowolnej chwili. Pytanie, dlaczego dotychczas

tego nie zrobili. Nicolson zastanawiał się, czy pozostali zdają sobie sprawę, że godziny ich wolności i bezpieczeństwa są policzone, że kot bawi się myszą. Jeśli zdawali sobie sprawę z sytuacji, to żadne z nich tego nie okazywało. Bezbronna, w wielu wypadkach nieudolna gromada, która mogłaby być nieznośnym ciężarem dla każdego człowieka pragnącego dopłynąć tą szalupą w bezpieczne miejsce. Nicolson musiał jednak przyznać, że oprócz Gordona i Sinclaira wszystkich łączy jedno: wysokie morale. Nie uskarżając się dołożyli wszelkich starań, by ułożyć porządnie koce i zapasy, kosztem własnej wygody przygotowali miejsce dla rannych, którzy też, mimo cierpień, na nic się nie uskarżali, wykonywali posłusznie wszystkie polecenia Nicolsona i z pogodą znosili ciasnotę, pełni dobrej woli. Dwie pielęgniarki, którym o dziwo pomagał ze znajomością rzeczy Farnholme, prawie przez dwie godziny opatrywały rannych. Jeszcze nigdy zarządzenie Ministerstwa Komunikacji, żeby wszystkie szalupy wyposażone były w apteczki pierwszej pomocy, nie okazało się tak uzasadnione, rzadko kiedy też pewnie robiono z nich lepszy użytek. Panna Drachmann miała ponadto zestaw chirurgiczny. Na jej prośbę McSkinnon w ciągu dziesięciu minut przygotował przy pomocy siekiery i noża idealne deszczułki, którymi można było usztywnić okaleczoną rękę Frazera. Panna Plenderleith też zachowywała się wspaniale. To jedyne odpowiednie słowo. Miała fantastyczną umiejętność przeobrażania sytuacji krytycznych w normalne. Mogłaby z powodzeniem spędzić w łodzi całe życie. Brała rzeczy takimi, jakimi są, wydobywała ich

najlepsze strony i ciesząc się ogromnym autorytetem wśród pozostałych skłaniała ich do zachowania podobnej postawy. To ona owinęła kocami rannych, oparła im głowy o kapoki, a kiedy nie chcieli wykonać jakiegoś jej polecenia, łajała ich jak małe nieposłuszne, krnąbrne dzieci. Panna Plenderleith nigdy nie musiała nikomu dwukrotnie zwracać uwagi. Sama zajęła się żywnością i dopilnowała, by ranni zjedli wszystko, do ostatniego podanego im kęsa. Pilnowała też, by nie dokuczało im pragnienie. To ona wyrwała walizkę Farnholme'owi, wsunęła ją pod swoją ławkę i grożąc siekierą, którą odłożył McSkinnon, poinformowała z błyskiem w oku kipiącego gniewem generała, że koniec z jego pijaństwem. Zawartość walizki, którą on właśnie chciał naruszyć, zarezerwowana jest od tej chwili tylko do użytku, jak powiedziała, medycznego. Skończywszy perorę wyciągnęła z przepastnej torby po prostu druty i włóczkę i spokojnie zabrała się do roboty. To ona położyła sobie potem na kolanach deskę i starannie kroїła wołowinę i chleb, wydzielając suchary, cukierki i

rozcieńczone mleko skondensowane, rozstawiała po kątach poważnego, powstrzymującego uśmiech Mc\$kinnona, którego zmusiła do kelnerowania, upominając go ciągle tak, jakby był jednym z jej godnych zaufania, ale niezbyt błyskotliwych uczniów. Wspaniała, myślał Nicolson, usiłując naśladować niewzruszoną minę bosmana, po prostu wspaniała. Nie ma słów. Nagle podniosła głos niemal o oktawę: – Panie Mc\$kinnon! A cóż to pan robi? Bosman bowiem czołgał się obok niej na czworakach szukając na dnie łodzi chleba i wołowiny, które niestety upuścił. Wysunął

głowę aż za osłonę, całkiem ignorując okrzyk panny Plenderleith, która go znów powtórzyła. Kiedy powtórzyła go po raz trzeci i nie otrzymała odpowiedzi, zacisnęła usta i szturchnęła bezlitośnie Mc\$kinnona trzonkiem noża między żebra. Tym razem zareagował. A ona na to: – Niech pan łaskawie uważa! Co pan narobił? Co za niezgara! – Wskazała nożem na kolano Mc\$kinnona: między nim a boczną ławką leżało ćwierć kilograma mięsa zgniecione niemal na placek. – Przepraszam, bardzo przepraszam. – Bosman wstał, mimowolnie strzepując ze spodni kawałeczki wołowiny i zwrócił się do Nicolsona: – Nadlatuje samolot. W pół prawej burty, dość blisko. Nicolson zmrużył oczy, spojrzał na niego i odwrócił głowę, by spod osłony popatrzeć na zachód. Prawie od razu dostrzegł samolot, nie dalej niż dwie mile, na wysokości około siedmiuset metrów. Walters, który miał za zadanie obserwować morze i niebo z dziobu, nie zauważył samolotu i nic dziwnego – pod słońce nie było go widać. Wrażliwe ucho Mc\$kinnona wyłapało jednak odległy warkot silnika. Nicolson nie rozumiał, jak bosman mógł to usłyszeć wśród nieustającej gadaniny panny Plenderleith i miarowego pykania ich własnego silnika. Sam nawet teraz jeszcze nic nie słyszał. Cofnął się, spojrzał w stronę kapitana, który leżał na boku: albo po prostu spał, albo dostał śpiączki. Nie było czasu na to, by stwierdzić, co mu jest. – Bosmanie, spuść żagiel – rzucił szybko. – Gordon, pomóżcie mu. Szybko. Proszę czwartego! – Tak jest... – Vannier był blady, lecz wyglądał nie najgorzej.

– Broń. Rozdzielić: dla was, generale, dla bosmana, Van Effena, Waltersa i mnie. – Spojrzał na Farnholme'a. – Mamy tu jakiś karabinek automatyczny. Wie pan, jak się z nim obchodzić? – Oczywiście! – Bładoniebieskie oczy Farnholme'a rozblęły zadowoleniem, wyciągnął rękę, chwycił karabinek, wprawnym ruchem palców odbezpieczył go i ostrożnie trzymał wpatrując się z nadzieją w nadlatujący samolot – stary weteran zwąchał zapach walki, którą uwielbiał. Nawet w tak pełnym napięcia momencie Nicolson zdołał zauważyć zmianę, jaka się dokonała w Farnholme'ie tego popołudnia – mężczyzna, który uciekł, by się bezpiecznie ukryć w pentrze, jakby nigdy nie istniał. Było to nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Nicolson jakby podświadomie podejrzewał, że generał zbyt konsekwentnie decyduje się na niekonsekwentne kroki, że w swoim dziwnym zachowaniu kieruje się on dobrze obmyśloną, ale przez niego jeszcze nie rozszyfrowaną, metodą. Było to jednak tylko podejrzenie, nie wszystko się zgadzało, może więc ze zmiennego zachowania Farnholme'a próbował odczytać coś, czego w nim w ogóle nie ma. Cokolwiek się za tym kryje, nie czas teraz na rozpatrywanie tego problemu. – Opuścić broń! – rozkazał. – Wszyscy. Ma być schowana. Reszta na deski, płasko, jak najniżej. Usłyszał płacz przestraszonego chłopczyka, kiedy położono go obok pielęgniarki – i natychmiast odepchnął od siebie myśl o

nim. Samolot, dziwny hydroplan nie znanego mu typu, nadal leciał wprost na nich, dzieliło go od łodzi jakieś pół mili. Cały czas obniżał lot i leciał bardzo powoli – nie był to samolot do rozwijania dużych

szybkości. Położył się na jedno skrzydło, zaczął łukiem okręzać szalupy. Nicolson obserwował go przez lornetkę. Na kadłubie dostrzegł godło Wschodzącego Słońca. Samolot zatoczył łuk z południa na wschód – ciężka, niezdarna maszyna, pomyślał, nadająca się chyba tylko na rekonesans. Nagle uprzytomnił sobie, że przecież trzy myśliwce też krążyły obojętnie nad stojącą w ogniu "Viromą". Doszedł do wniosku, że może to oznaczać tylko jedno. – Możecie odłożyć broń – powiedział spokojnie. – I usiąść. On nie nastaje na nasze życie. Japońce mają dość myśliwców i bombowców, którymi mogliby nas szybko załatwić. A gdyby chcieli to zrobić, nie przysyłałoby starego grzmota, który sam może zostać łatwo zestrzelony. Przysłałoby myśliwce i bombowce. – Nie byłbym tego taki pewien – w Farnholm'ie zagrała krew i niechętnie zęgnął się z myślą, że ma nie trzymać samolotu na muszce. – Nic a nic nie wierzę tym draniom! – A kto wierzy? – zauważył Nicolson. – Wątpię jednak, czy ten facet ma coś więcej niż karabin maszynowy. – Hydroplan nadal krążył, zachowując tę samą bezpieczną odległość. – Uważam, że chcą nas dostać, ale żywych, Bóg jeden wie, dlaczego. Ten facet, jak powiedzieliby Amerykanie, ma nas tylko upewniać, że stąpamy po cienkim lodzie. – Nicolson spędził za wiele lat na Dalekim Wschodzie, żeby nie brać pod uwagę licznych przerażających opowieści o barbarzyńskim okrucieństwie Japończyków w czasie Wojny Chińskiej i wiedział, że cywil, który znalazł się na terenach zajętych przez wroga, witał śmierć jako wspaniałe wyjście, ucieczkę przed losem jeńca Japończyków. – Nie mam jednak

najmniejszego pojęcia, z jakiego względu jesteśmy dla nich tacy ważni. Ale póki czas, cieszymy się z tego. – Zgadzam się z panem – odezwał się Van Effen, który już schował broń. – Ten samolot... jak to się mówi... tylko trzyma rękę na pulsie. Niedługo odleci, niech się pan generał nie martwi. – Może tak, może nie. – Farnholme trzymał karabinek na wierzchu. – Nie ma powodu więc, bym sobie do niego w razie czego nie popukał. Przecież to, do cholery, wróg. – Zadyszał się. – Kulka w jego silnik... – Nie zrobisz tego, Fosterze Farnholme. – Ton głosu panny Plenderleith był zimny, zjadliwy i nie znoszący sprzeciwu. – Zachowujesz się jak idiota, nieodpowiedzialne dziecko. Natychmiast odłóż broń! – Farnholme pod jej spojrzeniem już tracił rezon chłostany ciętym językiem. – Po co wsadzać kij w mrowisko? Strzelisz do niego, a on straci panowanie nad sobą i zacznie do nas strzelać. Wybije połowę nas w pień. Niestety, nie ma żadnej pewności, że ty znajdziesz się w tej połowce. Nicolson z trudem zachowywał powagę. Nie miał pojęcia, jak długo będą płynąć, lecz jednego był pewien: otwarta wojna między Farnholme'm a panną Plenderleith na pewno przez cały czas będzie im dostarczała niezłej rozrywki. Jeszcze ani razu nie odezwali się do siebie w normalny sposób. – Słuchaj no, Constance – zaczął Farnholme tonem na wpół zaczepnym, na wpół pojednawczym – nie masz prawa... – Tylko nie zwracaj się do mnie per "Constance" – rzuciła lodowatym tonem. – Odłóż broń. Nikt z nas nie życzy sobie stać się ofiarą na ołtarzu twojego niewczesnego męstwa i zapału do walki. – Raczyła jeszcze rzucić mu zimne, trzeźwe spojrzenie i ostentacyjnie odwróciła się

tyłem. Temat wyczerpał się, Farnholme został złamany. – Czy pani i generał... znacie się dłużej? – odważył się spytać Nicolson. Przez chwilę patrzyła na niego lodowatym wzrokiem, pomyślał więc, że posunął się za daleko, ale nagle ściągnęła usta i skinęła głową. – Tak, znamy się długo. Jeśli chodzi o mnie, to o wiele za długo. Dowodził pułkiem w Singapurze, jeszcze na długo przed wojną, ale wątpię, czy w tym pułku choć raz go widziano, głównie spędzał czas w Klubie Bengalskim. Pijany, oczywiście. Bez przerwy. – Moja szanowna pani! – wrzasnął Farnholme poruszając gwałtownie krzaczastymi brwiami – gdybyś była mężczyzną... – Uspokójże się – przerwała mu z niecierpliwością. – Ile razy można to samo powtarzać, przecież to niemiłosiernie nudne. Farnholme mruknął coś gniewnie do siebie, lecz uwagę wszystkich przykuł teraz ponownie hydroplan. Warkot silnika nasilił się, Nicolson więc pomyślał, że samolot zamierza zaatakować, lecz niemal w tym samym momencie zrozumiał sytuację: samolot tylko się oddala, by zataczać nad nimi szersze koło. Silnik dostał więcej paliwa, ale tylko po to, żeby samolot wszedł na większą wysokość. Nadal krążył, cały czas jednak zwiększając wysokość, nad czym niemało się natrudził, lecz jakoś mu się to udawało. Osiągnąwszy około dwustu metrów wyrównał lot i zaczął zataczać nad nimi krąg o średnicy około pięciu mil. – Jak pan myśli, po co to zrobił? – odezwał się Findhorn głosem o wiele silniejszym i czystszy niż można się było tego spodziewać. – Dziwne to, nie uważa pan?

Nicolson uśmiechnął się. – Myślałem, że pan śpi. Jak się pan czuje? – Jestem głodny i chce mi się pić. Ach, dziękuję, panno Plenderleith. – Wyciągnął rękę po kubek, skrzywił się z bólu. Spojrzał ponownie na Nicolsona. – Nie odpowiedział pan na moje pytanie. – Przepraszam, panie kapitanie. Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że może chce sprowadzić tu swoich kumpli, wzniosł się więc wyżej, żeby było go widać. No, ale to tylko domysły. – Pańskie domysły niestety aż nazbyt często jak na mój gust się sprawdzają. – Findhorn zamilkł zatapiając zęby w kanapce z wołowiną. Minęło pół godziny, a samolot wywiadowczy wciąż krążył na tej samej wysokości. Było to dość denerwujące, karki rozboleły od patrzenia bez przerwy w górę. Lecz przynajmniej jedno było oczywiste – samolot nie miał wobec nich bezpośrednio wrogich zamiarów. Po następnej półgodzinie krwistoczerwone słońce zaczęło szybko opadać pionowo w dół, za krawędź morza, gładkiego jak lustro, mroczniejącego ku zamazanej linii horyzontu na wschodzie i lśniącego wielką nieruchomą taflą cynobru na zachodzie, zabarwioną przez krąg udającego się na spoczynek słońca. Z tafli tej wyrastały jednak dwie malutkie wysepki, wokół których marszczyło się cynobrowe lustro wody, a one na jego tle, w poziomych promieniach słońca wydawały się czarne. Odrobinę na lewo zaś od dziobu, może ze cztery mile na południowy zachód, znad spokojnej powierzchni morza zaczynała niedostrzegalnie wyrastać jakaś większa, płaska wyspa. Wkrótce po tym, jak ją

zauważyli, samolot zaczął się opuszczać i lecieć długim płytkim lotem nurkowym w kierunku wschodnim. Vannier spojrział na Nicolsona z nadzieją w oku. – Koniec z pilnowaniem nas? Pewnie leci do domu wskoczyć do łóżka, prawda? – Obawiam się, że nie. – Nicolson wskazał głową na odlatujący samolot. – W tamtym kierunku nie ma nic, tylko setki mil morza, dopiero potem Borneo... a przecież tam nasi przyjaciele jeszcze się nie zadomowili.

Stawiam sto do jednego, że wypatrzył kumpla. – Spojrzał na kapitana. – A jak się panu wydaje? – Pewnie znów, do cholery, ma pan rację. – Uśmiech Findhorna całkiem złagodził jego ostry ton. Lecz po chwili kapitan już się nie uśmiechał, tylko ponurym wzrokiem patrzył na samolot, który znów powrócił i zaczął nad nimi krążyć. – Tak, racja po pana stronie – powiedział cicho. Obrócił się z trudem i spojrzał przed siebie. – Jak daleko według pana jest ta wyspa? – Ze dwie i pół mili. Może trzy. – Niech będzie trzy. – Findhorn rzucił spojrzenie Willoughby'emu i wskazał ruchem głowy na silnik. – Czy da się wycisnąć więcej obrotów z tej waszej maszyny do szycia? – Jeszcze najwyżej węzeł, panie kapitanie. – Drugi mechanik wskazał ruchem ręki na linię holowniczą łączącą ich z szalupą Sirana. – Dwa węzły, jeśli ich odetnę. – Niech mnie pan nie wodzi na pokuszenie. Niech pan skupi się na silniku. – Skinął głową w stronę Nicolsona, który oddał rumpel Vannierowi i przysunął się do kapitana. – Co o tym wszystkim myślisz, Johnny? – To znaczy, o czym? Co to za statek, czy jak się będzie

rozwickała sytuacja? – O jednym i drugim. – Co do pierwszego, to nie mam pojęcia... może to niszczyciel, może zbiornikowiec, może kuter... nie wiem. Co do drugiego, to już całkiem jasne, że nie chcą naszej krwi, interesujemy ich żywi. – Nicolson skrzywił się. – Krew zainteresują się później. Tymczasem wezmą nas do niewoli... słyszał pan o torturze zielonego bambusa, paznokci u nóg, zębów, kuracji wodnej, silosach i tym podobnych typowych dla nich urozmaiceniach. – Usta Nicolsona wyglądały jak biała blizna na ciemnej twarzy. Patrzył na Petera i pannę Drachmann, którzy bawili się razem na rufie, roześmiani, jakby ta dziewczyna nie miała w życiu żadnego zmartwienia. Findhorn powiódł wzrokiem w tę samą stronę i skinął głową. – Tak, ja też, Johnny. To boli... boli sam ich widok. Doskonale im razem. – Potarł z namysłem szarą szczecinę na brodzie. – "Przejrzysty bursztyń"... tak jeden z tych facetów, którzy piszą, określił karnację swojej bohaterki. Co za dureń... przynajmniej wtedy tak pomyślałem. Chciałbym mieć okazję go kiedyś przeprosić. To nieprawdopodobne, prawda? – Uśmiechnął się. – Wyobrażasz sobie te korki na Piccadilly, gdyby ją tam z powrotem zawieźć? Nicolson odwzajemnił mu uśmiech. – To tylko przez zachód słońca, panie kapitanie, i przez pana nabiegłe krew oczy. – Wdzięczny był starszemu panu za to, że celowo zmienił temat. – Co z tą okropną szramą na jej twarzy? Trzeba by chyba odplacić za to naszym żółtym braciom? Findhorn pokiwał głową. – Powinniśmy... no... może

odwlec wzięcie nas do niewoli? Niech koła tortur jeszcze trochę na nas poczekają. Pomysł ten może mieć swoje dobre strony. – Zamilkł, po czym spokojnie powiedział: – Chyba coś widzę. Nicolson natychmiast przyłożył lornetkę do oczu. Patrzył przez nią dobrą chwilę – zza widnokregu zaczęła się wynurzać jakaś jednostka, złote promienie zachodzącego słońca odbijały się od jej nadbudówki. Nicolson opuścił lornetkę, przetarł oczy i ponownie zaczął obserwować horyzont. Mijały sekundy, znów opuścił lornetkę i bez słowa podał ją kapitanowi z takim wyrazem twarzy, z którego nic nie można było wyczytać. Ten wziął lornetkę, przyłożył do oczu i oddał Nicolsonowi. – Nie wygląda na to, żeby los zaczął nam sprzyjać, prawda? Niech pan wszystkich powiadomi, ja nie dałbym rady przekrzyknąć tego przeklętego silnika, zdarłbym sobie gardło. Nicolson skinął głową i odwrócił się. – Przykro mi, ale... cóż, chyba nadciąga kolejne niebezpieczeństwo. To okręt podwodny Japońców,

tak pędzi, jakbyśmy stali w miejscu. Gdyby pojawił się z piętnaście minut później, pewnie zdążylibyśmy dopłynąć do tej tam wyspy. – Wskazał ruchem głowy na ląd widoczny po prawej burcie. – Teraz dopadnie nas mniej więcej w połowie drogi. – I co wtedy się stanie, panie Nicolson? – spytała panna Plenderleith tonem tak opanowanym, że niemal obojętnym. – Kapitan Findhorn uważa... i ja z nim się zgadzam, że pewnie będą chcieli wziąć nas do niewoli. – Uśmiechnął się kwaśno. – Mogę tylko tyle pani powiedzieć, że będziemy próbowali nie dać się ująć, ale to będzie trudne. – Wręcz niemożliwe – rzucił

Van Effen z dziobu zimnym tonem. – Przecież to okręt podwodny, człowieku. Na co mogą się przydać nasze pukawki przy tak zwanym kadłubie sztywnym. Nasze kulki będą się po prostu od niego odbijały. – To znaczy uważa pan, że powinniśmy się poddać? – Nicolson wiedział, że wywód Van Effena jest logiczny i że jemu samemu nie brakuje odwagi, jednak słowa tego człowieka go rozczarowały. – Po co robić coś, co byłoby samobójstwem? – Van Effen postukiwał pięścią w okrężnicę, by dodać swoim słowom stanowczości. – Potem łatwiej nam będzie uciec. – Najwyraźniej nie zna pan Japońców – powiedział znużonym głosem Nicolson. – Ucieczka może nam się udać teraz albo nigdy. – A według mnie to bzdura! – Z twarzy Van Effena aż biła wrogość. – Urządźmy więc głosowanie. – Rozejrzał się po łodzi. – Ile osób jest za... – Niech pan zamilknie, co za głupie pomysły! – wrzasnął Nicolson. – Nie jesteśmy na zebraniu partii politycznej, panie Van Effen. Znajduje się pan na jednostce należącej do Brytyjskiej Floty Handlowej, i decyzji na tych jednostkach nie podejmuje żaden komitet, tylko jeden człowiek, kapitan. A kapitan Findhorn uważa, że powinniśmy stawić opór... i to wystarczy. – Czy to nieodwołalna decyzja? – Nieodwołalna. – W takim razie przepraszam. – Van Effen przepraszając skłonił głowę. – To ukłon w stronę władzy kapitańskiej. – Dziękuję. – Nicolson był lekko poruszony, odwrócił więc wzrok i patrzył na okręt podwodny. Widział już wyraźnie jego sylwetkę, okręt znajdował się nie więcej niż o milę od nich. Hydroplan wciąż krążył w

górze. Nicolson spojrział na niego i nachmurzył się. – Żeby już sobie odleciał, drań – mruknął. – Tak, trochę komplikuje sytuację – zgodził się Findhorn. – Czasu ubywa, Johnny. Okręt dopłyne do nas za pięć minut. Nicolson w zamyśleniu skinął głową. – Czy widzieliśmy już taki okręt podwodny, panie kapitanie? – Chyba tak. – Tak, na pewno. – Nicolson nagle coś sobie uprzytomnił. – Wyposażony w lekkie działo przeciwlotnicze na rufie, karabin maszynowy na mostku i ciężkie działo na dziobie, kaliber 3,7 lub 4, nie jestem pewien. Jeśli będą chcieli zabrać nas na pokład, będziemy musieli posuwać się wzdłuż kadłuba... pewnie pod pomost dowodzenia. Ani jedno, ani drugie działo aż tak nisko nie będzie mogło strzelać. – Zagryzł wargę i patrzył przed siebie. – Za dwadzieścia minut ściemni się... kiedy okręt nas zatrzyma, będziemy niewiele dalej niż pół mili od wyspy. To nasza szansa, cholernie marna szansa, ale zawsze... – znów podniósł lornetkę i obserwował okręt. Potrząsnął głową. – Tak, dobrze mi się wydawało. To działo kaliber 3,7 czy coś w tym rodzaju, ma osłonę pancerną dla obsługi. Coś takiego jakby na zawiasach. – Zamilkł i zaczął niecierpliwie bębnić palcami po okrężnicy. Spojrział zamyślonym wzrokiem na kapitana. – Prawda, że komplikuje sytuację? – Nie nadażam za tobą, Johnny. – Głos Findhorna zdradzał zmęczenie. – Obawiam się, że głowa niezbyt dobrze mi pracuje. Jeśli ma pan jakiś pomysł... – Mam. Szalony, ale może się uda – rzucił pośpiesznie Nicolson i zwrócił się do Vanniera, który oddał ster bosmanowi i przysunął się do

Nicolsona. – Zdaje się, że nie palicie? – Nie, nie palę. – Vannier spojrział na swego rozmówcę, jakby ten postradał zmysły. – A więc dziś wieczorem zaczniecie palić. – Sięgnął do kieszeni i wygrzebał z niej płaskie pudełko Benson i Hedges i zapalki. Podał je Vannierowi jednocześnie go instruując. – Siądźcie na dziobie, zaraz za Van Effenem. Tylko pamiętajcie, wszystko od was zależy. Generale, mogę prosić na słówko? Farnholme spojrział zdumiony, przepchnął się o dwie ławki i usiadł obok Nicolsona. Ten patrzył na niego jakiś czas w milczeniu, po czym odezwał się z powagą: – Pan, generale, naprawdę umie się obchodzić z tym karabinkiem automatycznym? – Dobry Boże, no pewno, że umiem! – parsknął Farnholme. Przecież to, do cholery, mój wynalazek! – Czy ma pan dobre oko? – nalegał Nicolson. – Jak Bisley – tamten odparł lakonicznie. – To mistrz. Taki jestem dobry. – A kto to Bisley? – Nicolsonowi uniosły się brwi w wyrazie zdziwienia. – To strzelec królewski. – Farnholme jakby wypadł ze swojej roli, powiedział to głosem tak spokojnym jak Nicolson. – Niech pan rzuci puszkę za burtę, odpłyniemy z czterdzieści metrów i pokażę panu – mówił rzeczowym tonem, nawet przekonującym. – Żadnego pokazywania – pośpiesznie zaoponował Nicolson. – Tylko tego nam jeszcze brakowało. Dopóki mamy do czynienia z naszym japońskim bratem, to nie będziemy strzelać nawet z kapiszonów. Chciałbym, żeby się pan podporządkował. – Dał mu pośpiesznie ściśle wskazówki, po czym równie szybko wydał instrukcje pozostałym

osobom. Nie było czasu na szczegółowe wyjaśnienia i upewnianie się, czy wszyscy dobrze zrozumieli polecenia – wróg był już tuż, tuż. Niebo na zachodzie nadal żarzyło się na czerwono, pomarańczowo i złoto. Chmury na horyzoncie płonęły, lecz słońce już zaszło, na wschodzie zrobiło się szaro, nad morzem zaczął gwałtownie zapadać zmrok tropikalnej nocy. Okręt podwodny nadpływał od prawej burty, ponury, szary i groźny w coraz to



gęściejszym mroku. Po obu stronach jego dzioba szkliste morze falowało fosforyzującą bielą, silniki ledwie było słycać, złowróźbna paszcza dużego działa na dziobie kołysała się w górę i w dół, zbliżając się bezlitośnie do powolnej szalupy. Nagle z pomostu dowodzenia na okręcie doleciał ostry głos, niezrozumiały rozkaz. Mc\$kinnon, posłuszny ruchowi ręki Nicolsona, zgasił silnik. Żelazny kadłub okrętu otarł się ze zgrzytem o burtę szalupy. Nicolson wyciągnął szyję, by zerknąć na pokład i pomost dowodzenia. Duże działko na dziobie wycelowane było w ich stronę, lecz pod większym kątem nie można już go było pochylić i zgodnie z tym, co przewidział, trajektoria pocisku przechodziła nad ich głowami. Lekkie działko przeciwlotnicze na rufie też było w nich wycelowane – wprost w sam środek szalupy. Co do tego, niestety, pomylił się, ale i tak muszą spróbować. Na pomoście dowodzenia stało trzech ludzi, z tego dwóch uzbrojonych – oficer w rewolwer, a marynarz w coś, co wyglądało jak broń podwodna – a u podnóża pomostu pięciu czy sześciu marynarzy, którzy nie mieli broni. Jako komitet powitalny robili przerażające wrażenie, lecz nie aż tak przerażające, jak

Nicolson oczekiwał. Myślał, że nagły, wykonany w ostatniej chwili zwrot szalupy lewą burtą – którego efektem miało być ustawienie jej od wschodu wzdłuż lewej burty okrętu, w półmroku, podczas gdy Japończycy stali na tle poświaty słońca schowanego za horyzontem – będzie się wydawało Japończykom ogromnie podejrzane, lecz najwyraźniej zinterpretowali ten zwrot jako zamiar ucieczki ze strony spanikowanej załogi szalupy, zamiar, którego daremność zrozumiano w chwili jego podjęcia. Szalupa nie stanowiła żadnego zagrożenia, dowódca okrętu na pewno był przekonany, że podjął o wiele dalej posunięte środki ostrożności, niż to należało wobec tak słabej możliwości stawienia oporu. Trzy jednostki: okręt i dwie szalupy nadal płynęły z szybkością około dwóch węzłów. Nagle z okrętu zrzucano linę na dziób szalupy numer jeden. Vannier złapał ją odruchowo i obejrzał się na Nicolsona. – Może i dobrze, że tak szybko – stwierdził zrezygnowanym, zabarwionym goryczą tonem Nicolson. – Przecież pięści i kilka scyzoryków na nic się tu zdadzą. – No, to rozsądne, jakże rozsądne z waszej strony. – Z pomostu dowodzenia pochylił się japoński oficer, w splecionych rękach trzymał karabin, którego lufa ułożyła się wzdłuż jego lewego ramienia. Mówił dobrą angielszczyzną, ton głosu zdradzał zadowolenie z siebie, zęby połyskiwały bielą w ciemnej twarzy. – Stawianie oporu byłoby bardzo nieprzyjemne dla nas wszystkich, prawda? – Idź do diabła! – mruknął Nicolson. – Co za brak kultury! Co za brak dobrego wychowania... typowe jak na Anglika. – Oficer potrząsnął ze smutkiem głową,

spojrzał ostro na Nicolsona znad lufy karabinu. – Radzę ci, uważaj! – Głos jego zabrzmiał jak smagnięcie biczem. Nicolson powoli, nieśpiesznie wyciągnął papierosa z paczki podanej mu przez Willoughby'ego, równie powoli zapalił zapałkę, podpalił swojego papierosa, podał ogień Willoughby'emu i rzucił zapałkę za burtę. – No, oczywiście! – Oficer zaśmiał się pogardliwie. – Flegmatyczny Anglik! Nawet kiedy zęby mu szczękają ze strachu, musi dbać o swoją reputację... zwłaszcza w oczach załogi. No, i jeszcze jeden! – W świetle zapałki zobaczył pochyloną głowę Vanniera, który też trzymał papierosa w ustach. – Niech to wszyscy... To żalosne, naprawdę żalosne. – Lecz ton jego głosu raptownie się zmienił: –

No, dość tego... tego wygłupiania się! Wchodzić na pokład! Natychmiast! Wszyscy! – Wycelował broń w Nicolsona. – Ty pierwszy. Nicolson wstał, jedną ręką oparł się o kadłub okrętu, drugą trzymał przy udzie. – Co, do cholery, macie zamiar z nami zrobić? – spytał głośno, prawie krzycząc, w głosie jego słychać było drżenie. – Chcecie nas zabić? Torturować? Zaciągnąć nas do tych waszych przeklętych obozów jenieckich? – krzyczał zapamiętale, w głosie jego był gniew i strach, zapalka Vanniera nie znalazła się za burtą i syk dolatujący z dziobu był nawet głośniejszy niż oczekiwał. – Dlaczego, w imię Boże, nie zastrzelicie nas tutaj, zamiast... Raptem rozległ się na dziobie szalupy syk i świst, w ciemniejące niebo wystrzeliły dwa snopy iskier, dymu i ognia, przemknęły nad pokładem okrętu pod kątem około trzydziestu stopni, po czym kilkadziesiąt metrów nad wodą rozpękły się

dwie rozżarzone, ogniste kule – były to rakiety spadochronowe, obie wystrzeliły niemal jednocześnie. Trudno by było zapanować nad typowo ludzkim odruchem i nie spojrzeć w tej chwili w górę, toteż załoga japońskiego okrętu też nad nim nie zapanowała. Wszyscy jak jeden mąż, podobni do kukiełek, których ruchami ktoś steruje pociągając za sznurki, podnieśli głowy w górę i wszyscy jak jeden mąż zginęli w tej pozycji – na wpół odwrócenie plecami do szalupy, z podniesionymi głowami. Zamarł huk karabinków automatycznych, rewolwerów i pistoletów, tylko jeszcze jego echo niosło się po szklistym morzu, lecz po chwili też ucichło. Nicolson krzyknął, by wszyscy padli na dno łodzi. Dwa trupy marynarzy zsunęły się z pochyłości pokładu okrętu i grzmotnęły o rufę szalupy, jeden z nich omal nie wbił się w okrężnicę, drugi, z rozkrzyżowanymi ramionami, leciał wprost na małego Petera i dwie pielęgniarki, lecz Mc\$kinnon zdążył na czas. Jeden plusk rozległ się prawie jednocześnie za drugim. Minęła sekunda, dwie, trzy. Nicolson, na kolanach, patrzył przed siebie w napięciu. Zacisnął pięści. Najpierw usłyszał szuranie nóg i urywane szepty za osłoną dużego działa. Minęła sekunda, następna. Wodził wzrokiem po pokładzie okrętu – może ktoś tam jeszcze pozostał przy życiu i szuka chwalebnej śmierci za cesarza. Nicolson nie miał żadnych złudzeń co do fanatyzmu i odwagi Japończyków. Wciąż jednak panowała cisza, śmiertelna cisza. Trup oficera zwiślał smętnie z pomostu dowodzenia, dyndająca ręka nadal trzymała broń – trafiła go kula Nicolsona. Dwóch pozostałych nie było widać. U podnóża pomostu dowodzenia leżały cztery

następne trupy w groteskowym uścisku. Po dwóch marynarzach obsługujących lekkie działko przeciwlotnicze nie pozostał nawet ślad – karabinek automatyczny Farnholme'a zdmuchnął ich za burtę. Napięcie stawało się nie do zniesienia. Wprawdzie Nicolson wiedział, że dużego działa nie można już ustawić niżej, pod większym kątem, lecz przypominały mu się opowieści oficerów marynarki o tym, jak to pocisk przelatujący powyżej człowieka może pozbawić go głowy. Nie wiadomo, podmuch wybuchu mógłby się okazać śmiertelny dla ludzi, którzy by się znaleźli bezpośrednio poniżej. Nagle zaczął kląć po cichu na własną głupotę. Odwrócił się szybko do Willoughby'ego. – Bosmanie, włączyć silnik. I wstecz... jak najszybciej. Pokład dowodzenia może odgradzić to działko, jeśli... Dalsze słowa zagłuszył huk działa. Był to właściwie głuchy trzask bicza, który przewiercał bębrenki uszu. Z lufy wystrzelił długi, czerwony język ognia, który niemal dosięgnął szalupy. Pocisk chlupnął w

morze wzbijając w niebo dwudziestometrową fontannę wody i morskiego pyłu. Po chwili huk zamarł, dym się rozpieczęł. Nicolson potrząsnął głową, ogłuszony, wiedział, że wszyscy przeżyli. Japończycy jednak znów w szalonym pośpiechu ładowali działą. Wiedział, że się zaczęło. – Generale... niech pan poczeka, aż dam rozkaz. Farnholme dźwignął się na nogi. Nagle Nicolson usłyszał huk wystrzału na dziobie. – Nie trafiłem – skomentował swój wyczyn rozczarowany Van Effen. – Chciałem zastrzelić oficera, wychylił się zza pomostu. – Broń w pogotowiu – rozkazał

Nicolson. Słyszał płacz chłopca, którego z pewnością przestraszył wybuch. Twarz wykrzywiła mu się w strasznym grymasie. Wrzasnął: – Vannier! Zestaw sygnałowy! Rzucić na pomost czerwone pochodnie! Będą mieli zajęcie. – Przez cały czas nasłuchiwał też, co robi załoga działą. – Obserwować wszyscy pomost i luki na rufie i dziobie! Może minęło jeszcze z pięć sekund, aż wreszcie Nicolson usłyszał dźwięk, na który czekał: zgrzyt pocisku o blok i odgłos jego wędrownki na właściwe miejsce. – Teraz! – wrzasnął. Farnholme nawet nie raczył złożyć się do strzału, wystrzelił z karabinka trzymając kolbę pod pachą, jakby w ogóle nie celował. Okazało się to rzeczywiście zbędne, jego umiejętności przewyższały nawet jego własną o nich opinię. Wypruł pięć naboń, nie więcej, i wszystkie trafiły w lufę wielkiego działą. Padł na dno szalupy jak kłoda – ostatni nabój trafił w zapalnik i spowodował detonację. Z tak bliskiej odległości wybuch pocisku tkwiącego w zamku działą był wprawdzie donośny i wywołał znaczny wstrząs, lecz został jakby stłumiony. Niemniej było na co patrzeć. Całe wielkie działą zostało wyrwane z posad, kawałki metalu wystrzeliły jak fajerwerk w powietrze, sypały się z głośnym brzękiem na pomost i z donośnym gwizdem wpadały do morza rozbryzgując wokół okrętu fontanny wody. Obsługa na pewno zginęła, nie zdając sobie z tego sprawy – na odległość wyciągniętego ramienia wybuchł przy nich ładunek trotylu, którym można by wysadzić most. – Dziękuję, panie generale – Nicolson już podniósł się na nogi i usiłował mówić opanowanym głosem. – Przepraszam za wszystko, co o panu mówiłem.

Cała naprzód, bosmanie. – Kilka pochodni ręcznych zatoczyło skwiercząc łuk w powietrzu i wylądowało na pomoście dowodzenia. Listwa uszczelniająca luk zarysowała się na tle ich czerwonej poświaty. – Doskonale, czwarty. Uratowałeś sprawę. – Panie Nicolson? – Słucham, panie kapitanie. – A może lepiej byśmy tu jeszcze chwilę zostali? Nikt nie ośmielił się teraz wystawić głowy zza pomostu czy z luku. Za dziesięć, piętnaście minut ściemni się na tyle, że dopłyniemy spokojnie do wyspy, bo te dranie nie będą mogły do nas strzelać ze swoich pukawek. – Obawiam się, że to nie byłoby dobre – powiedział Nicolson przeproszającym tonem. – Teraz chłopaki tam wewnątrz są jeszcze w szoku, ale za chwilę się ockną i zaczną się rozglądać za granatami. Mogą nas nimi obrzucić nawet nie wysuwając palca na zewnątrz... a wystarczy jeden granat, żeby było po nas. – Oczywiście, słusznie. – Findhorn ze znużeniem opadł na ławkę. – Proszę robić swoje. Nicolson chwycił rumpel, obrócił obie szalupy o sto osiemdziesiąt stopni, okrążył smukłą jak rybi ogon rufę okrętu. Podczas wszystkich tych manewrów czterech ludzi z bronią w ręku obserwowało jego pokład wytyężając wzrok. Szalupy zwolniły tuż przed mostkiem, by umożliwić Farnholme'owi strzał w delikatny mechanizm zapalnika działą przeciwlotniczego. Strzał,

choć z dość dużej odległości, był celny. Findhorn skłonił głowę, coś sobie uświadomił. – No i już po ich dziele obłąńczącym. Myśli pan o wszystkim, panie Nicolson. – Mam nadzieję, że się pan nie myli – potrząsnął ten głową. – Cała nadzieja w Bogu, że się pan

nie myli. Wyspa odległa była od okrętu o jakieś pół mili. Kiedy przebyli jedną czwartą drogi, Nicolson pochylił się, chwycił jedną z dwóch znajdujących się w szalupie pławek świetlnych Wessex do wzywania pomocy, zerwał górną część obudowy, odpalił wrywając zawleczkę i w tej samej chwili rzucił ją za rufę. Pławka zatoczyła łuk w powietrzu oświetlając szalupę Sirana i wylądowała w morzu. Buchnął z niej gęsty kłęb pomarańczowego dymu, dymu, który jakby zawisł nieruchomo w bezwietrznym zmroku tworząc nieprzeniknioną zasłonę przed wrogiem. Minutę czy dwie później zaczęły ją przeszywać kule, którymi strzelano z okrętu. Gwizdały im nad głowami lub trafiały w powierzchnię morza, lecz ani jedna nie trafiła na tyle blisko, by spowodować jakiegokolwiek straty – Japończycy strzelali na chybił trafił, gniew zasnuwał im bielmem oczy. Cztery minuty po rzuceniu pierwszej pławki dymnej, która właśnie dopalała się z sykiem, rzucono drugą. Na długo zanim i ona się dopaliła, szalupy dopłynęły do brzegu wyspy i bezpiecznie na nim wylądowały.

## Rozdział dziewiąty

Trudno było nazwać ją wyspą, w najlepszym razie wysepką. Była owalna, rozciągała się ze wschodu na zachód, miała nie więcej niż trzysta metrów długości i około stu pięćdziesięciu z północy na południe. Owal jej nie był jednak idealny – w najszerszym miejscu przeciwległe brzegi były głęboko wcięte, robiła więc wrażenie jakby przepołowionej. Wylądowali w zatoczce południowej, lecz zanim przycumowali do głazów, Nicolson – zachowując środki bezpieczeństwa – postanowił opłynąć wyspę dookoła. W najbardziej przewężonym miejscu od strony wschodniej brzeg był niski, skalisty i nie porośły żadną roślinnością; stronę zachodnią wyspy porastały karłowate krzewy i trawa lalang. Pośrodku wyspa wznosiła się około pięć metrów nad poziom morza. Od strony południowej tego wzniesienia, mniej więcej w połowie wysokości stoku, Nicolson zauważył płytką nieckę i właśnie tam skierował po wylądowaniu pasażerów szalup. Kapitana i kaprała Frazera trzeba było nieść, lecz odległość była niewielka i w dziesięć minut od przybicia do brzegu cała gromada znalazła się w wyznaczonym miejscu, obłożona żywnością, zapasami wody i całym sprzętem, który można było przenieść – zabrano nawet wiosła i dulki. Skoro słońce zaszło, zerwała się lekka bryza i od północnego wschodu zaczęły się na niebie zbierać chmury zasłaniając gwiazdy wczesnego wieczoru. Było jednak na tyle widno, że Nicolson mógł używać lornetki. Patrzył przez nią ze dwie minuty, odłożył, przetarł oczy. Wiedział, że wszyscy zebrani w niecce niecierpliwie mu się

przyglądali, wszyscy prócz chłopczyka, który owinięty w koc, już zasypiał. – No i co? – przerwał milczenie Findhorn. – Opływają zachodni kraniec wyspy. Dość blisko brzegu. – Nie słyszę ich. – Pewnie włączyli agregat. Nie wiem, dlaczego. To, że oni nas nie widzą, nie oznacza, że my mamy ich nie widzieć. Nie jest aż tak ciemno. Van Effen odchrząknął. – Jaki według panów będzie następny ruch? – Nie mam pojęcia. To, niestety, zależy od nich. Gdyby mieli jedno czy drugie działło, wystarczyłyby im dwie minuty, żeby nas stąd

zdmuchnąć. – Nicolson wskazał ręką na niski występ odgradzający nieckę od południa, ledwie widoczny w mroku, mimo że odległy tylko o dwa metry. – Ale myślę, że jeśli dopisze nam szczęście, to nas osłoni przed ogniem karabinów. – A jeśli nie? – Będziemy się o to martwić w odpowiednim czasie – rzucił mu w odpowiedzi Nicolson. – Może będą próbowali wysadzić ludzi w kilku miejscach i otoczyć nas. Może przystąpią do frontalnego ataku. – Znow przyłożył lornetkę do oczu. – Jakkolwiek to będzie wyglądało, nie mogą teraz wrócić do domu i powiedzieć, że nas ot tak, po prostu zostawili... ich głowy w ich rękach, może nawet i dosłownie tak by było. Albo zbiorowe harakiri. – Nie wrócą teraz do bazy – powiedział kapitan Findhorn, a w jego głosie brzmiało przekonanie. – Zginęło zbyt wielu ich towarzyszy. Za ich plecami rozległ się szmer głosów, po czym odezwał się głośno Siran: – Panie Nicolson... Ten opuścił lornetkę i obejrzał się przez ramię. – Czego chcecie?

– Moi ludzie i ja właśnie odbyliśmy naradę. Chcemy złożyć panu propozycję. – Złóżcie ją kapitanowi. On tu dowodzi. – Nicolson raptownie się odwrócił i znow podniósł do oczu lornetkę. – Doskonale. A więc, panie kapitanie... To oczywiste, smutne, ale oczywiste, jeśli tak można powiedzieć... że pan nam nie ufa. Zmusił nas pan do zajęcia osobnej szalupy... i jestem pewien, że miał pan ku temu inny powód niż zaniedbywanie przez nas kąpeli dwa razy dziennie. Pana zdaniem... które jest niesłuszne, zapewniam pana... należy nas przez cały czas mieć na oku. Jesteśmy... hm... ciężarem, stanowimy wręcz zagrożenie. Nasza propozycja, za pańskim pozwoleniem, ma na celu uwolnienie pana od tego ciężaru i odpowiedzialności. – Niech pan się streszcza, na miłość boską – rzucił ze złością Findhorn. – Już to robię. Otóż chcielibyśmy, by pozwolił nam pan działać na własną rękę i już nie czuć się za nas odpowiedzialny. Wolimy być jeńcami Japończyków. – Co?! – wyrwało się rozwścieczonemu Van Effenowi. – Panie kapitanie, Bóg mi świadkiem, że ich przedtem powystrzelam! – Proszę o spokój! – Findhorn machnął ręką w ciemności patrząc z zaciekawieniem na Sirana, ale nie mógł dojrzeć jej wyrazu. – Pytam tylko z ciekawości: jak macie zamiar się poddać? Po prostu wyjść stąd na brzeg? – Mniej więcej. – A jaką będziecie mieli gwarancję, że was nie zastrzelą, zanim zdążycie się poddać? A nawet jeśli zdążycie, to jaką macie gwarancję, że nie będą was torturować i nie zabiją? – Proszę ich nie puszczać,

panie kapitanie – nalegał Van Effen. – Niech pan się nie denerwuje – rzucił oschło Findhorn. – Nie mam zamiaru spełnić ich idiotycznej prośby. Zostaniecie tu, Siran, chociaż Bóg jeden wie, że wcale was tu nie chcemy. Proszę, nie uciążcie naszej inteligencji. – Ależ panie Nicolson – zaprotestował Siran – rozumie pan bez wątplenia... – Przestań pan! – przerwał mu obcesowo Nicolson. – Słyszał pan, co powiedział kapitan Findhorn. Bierze nas pan aż za takich naiwniaków? Żaden z was na pewno nie nadstawiałby nieocenionego karku, gdyby ze strony Japońców groziła wam śmierć czy złe traktowanie. Założę się, że... – Zapewniam pana... – przerwał mu Siran, lecz Nicolson nie pozwolił mu dokończyć zdania. – Szkoda gadania – rzucił pogardliwie. – Uważacie, że ktoś wam uwierzy? To oczywiste, że macie jakieś układy z Japońcami... a nam głód jeszcze na tyle nie doskwiera, żebyśmy mieli się oddawać w ręce następnym siedmiu wrogom. – Zamilkł na chwilę, po czym zaczął mówić z namysłem: – Co za szkoda, panie kapitanie, że przyrzekł pan posłać tego

człowieka na szubienicę. Moim zdaniem Van Effen od razu utrafił w sedno: na pewno w tej sytuacji byłoby prościej wszystkich ich wystrzelać. I tak później będziemy zmuszeni to zrobić. Zapadła długa cisza, którą wreszcie przerwał Findhorn: – Coś niewiele macie do powiedzenia, Siran. Czyżbyście popełnili błąd? Strzelili ostatnią gafę? Powinniście być nam wdzięczni za to, że nie jesteśmy bezlitosnymi mordercami waszego pokroju. Ale proszę nie zapominać, że najmniejszy

podejrzany ruch z waszej strony może nas skłonić do działania. – I cofnijcie się trochę – rzucił Nicolson. – Do samego końca tej niecki. I chyba nie zaszkodzi przeszukać wam szybciotko kieszenie. – To już zrobione, panie Nicolson – zapewnił go kapitan. – Wczoraj wieczorem, kiedy wyszedł pan z messy, znaleźliśmy u nich cały arsenał... Nadal widać okręt? – Tak, na południe od nas, panie kapitanie. Z dwieście metrów od brzegu. Nagle opuścił lornetkę i cofnął się przykucając. Na pomoście dowodzenia okrętu zapalono reflektor; oślepiający snop światła omiółł raptownie skalisty brzeg wysepki. Prawie natychmiast natrafił on na małą zatoczkę, gdzie stały szalupy, zatrzymał się tam na kilka sekund i ruszył powoli w górę, prześlizgując się po krawędzi niecki, która skrywała przycupniętych w niej zbiegów. – Generale! – rzucił Nicolson pośpiesznie. – Cała przyjemność po mojej stronie. – Farnholme przesunął po ziemi karabinek do przodu, przyłożył go do ramienia, westchnął i wystrzelił – zrobił to wszystko jednym szybkim ruchem. Jeden strzał wystarczył: pośród niknących ech wystrzału usłyszeli brzęk szkła; białe oślepiające światło raptownie przygasło, jeszcze chwilę żarzyło się na czerwono, po czym zapanowały ciemności. – Generale, niech pan z nami zostanie jeszcze parę dni, dobrze? – zaproponował z udaną obojętnością Findhorn. – Widzę, że nam się pan przyda... Chyba nie był to zbyt mądry ruch z ich strony, jak pan myśli, Nicolson? Przecież mieli już okazję się przekonać, co potrafi generał. – A jednak nie było to takie głupie – zaproponował Nicolson. –

Skalkulowane ryzyko, które im się opłaciło, bo zlokalizowali szalupy i mogli się przekonać, widząc błysk wystrzału... gdzie się ukryliśmy. Niezwykle łatwo więc ustalili te dwa fakty. Gdyby w tym celu wysadzili załogę na brzeg, zajęłoby to jej o wiele więcej czasu i mogłoby kosztować życie. Ale głównie chodziło im o zlokalizowanie szalup, nie naszej kryjówki. Jeśli nie chcą dopuścić do tego, byśmy stąd odpłynęli, mogą to zrobić teraz w dowolnym czasie, pewnie najlepiej w dzień. – Niestety, ma pan rację – powiedział powoli Findhorn. – Teraz dobrać się do szalup. Myśli pan, że je zatopią z okrętu? Nie możemy temu przeciwdziałać. – Nie, nie z okrętu – potrząsnął głową Nicolson. – Przecież nie widzą teraz szalup i mogliby całą noc strzelać na chybił trafił i wcale ich nie zatopić. Co najmniej ze sto razy. Bardziej prawdopodobne, że wysadzą na brzeg ludzi, żeby porąbali dna szalup i przedziurawili pojemniki z paliwem... czy może wyciągnęli je w morze i zatopili. – Ale... ale jak mają się dostać na brzeg? – spytał Vannier. – Dopłyną wpław, jeśli będą musieli, ale przecież nie muszą. Na większości okrętów podwodnych mają składane lub nadmuchiwane łodzie. To niezbędne dla okrętów na wodach przybrzeżnych, kiedy muszą pozostawać w kontakcie z własnymi siłami stacjonującymi na wyspach. Zapadła kilkuminutowa cisza. Chłopczyk mruzczał coś przez sen, Siran i jego ludzie szeptali na uboczu, lecz trudno było rozróżnić ich

słowa. Nagle Willoughby odchrząknął na znak, że chce przerwać ciszę. – Czas upływa i tak dalej, i tak dalej – zaczął

sentencjonalnie. – Mam pewien pomysł. Nicolson uśmiechnął się w ciemności. – Tylko nie przesadzaj, Willy. – Niska zawiść nienawidzi doskonałości, której nie może osiągnąć – powiedział górnolotnie Willoughby. – Mój plan jest prosty i przez to absolutnie genialny. Odpłynmy. – Rzeczywiście genialny – zauważył z ostrą ironią Nicolson. – Na wiosłach, których plusk wytłumią promienie księżyca. Jak daleko, twoim zdaniem, dopłyniemy? – No cóż, nie doceniasz mnie. Willoughby wzbija się na wyżyny czystej abstrakcji, a nasz nieoceniony pierwszy oficer nadal grzęźnie w błocie. Odpłyniemy, oczywiście, na silnikach! – Och, no pewnie! A jakim sposobem chciałbyś naszym kolegom stamtąd pozatykać uszy? – Wcale bym im tego nawet nie proponował. Pozwól mi spędzić godzinę przy rurze wydechowej i zaworach, a gwarantuję, że silnika nie będzie słychać z odległości stu metrów. Oczywiście rozwijałby trochę mniejszą szybkość, ale niewiele mniejszą. A jeśli nawet go usłyszą, to sam wiesz, jak trudno jest się zorientować na morzu w nocy, skąd dochodzi cię jakiś nikły dźwięk. Wolność wzywa, panowie, dłużej nie zwlekajmy. – Willy – zaczął łagodnie Nicolson – mam dla ciebie nowinę. Otóż rzeczywiście trudno polegać na ludzkim słuchu w nocy, ale Japońce nie muszą na nim polegać. Mają hydrofony... dostatecznie precyzyjne... którym jest wszystko jedno, czy stłumisz pracę silnika, czy nie; im wystarczy fakt, że w wodzie obraca się śruba. – Do diabła z nimi! – rzucił z przejęciem Willoughby, po czym

na chwilę zamilkł. – Nie rozpaczajmy jednak – powiedział w końcu. – Willoughby wymyślił coś innego. – Nie wątpię – mruknął uprzejmie Nicolson. – Nie zapominaj jednak, że monsun północno\_zachodni wiać będzie jeszcze tylko przez jakieś dwa miesiące, dobrze by więc było, gdybyś... Padnij, wszyscy padnij! Dookoła nich kule siekły z głuchym hukami ziemię, odbijały się z przeraźliwym świstem od skał, gwizdały złowrogo nad głowami. Z pokładu okrętu doleciał ich głos otwieranego luku. Okręt podpłynął o wiele bliżej do brzegu i wyglądało na to, że ostrzeliwuje ich z co najmniej kilkunastu rodzajów broni, w tym dwóch karabinów maszynowych. Na okręcie musiano bardzo dokładnie zapamiętać miejsce ich kryjówek, bo ogień skierowany był dokładnie w tym kierunku. – Ktoś ranny? Czy ktoś jest ranny? – Pośród terkotu broni z trudem można było rozróżnić słowa kapitana wypowiedziane niskim, ochryplym głosem, nikt więc się nie odezwał. – Chyba nie, panie kapitanie – Nicolson odpowiedział za innych. – Tylko mnie mogli na początku trafić. – To dobrze... I teraz do nich nie strzelać – ostrzegł Findhorn. – Nie ma powodu nadstawiać głowy. – Z widoczną ulgą ściszył głos: – Zdumiewa mnie to w największym stopniu. Odkąd opuściliśmy "Viromę", myśliwce nawet nas nie tknęły, okręt nie usiłował nas zatopić, hydroplan zostawił nas w spokoju, mimo że wygrzmociliśmy ich kolegów. A teraz robią wszystko, by nam urządzić masakrę. Nie potrafię się w tym zupełnie rozeznać. – Ja też tego zupełnie nie rozumiem – przyznał Nicolson. Zerknął mimowolnie w górę, gdzie kilkanaście centymetrów nad jego

głową kula trafiła w ziemię. – Nie możemy tu zostać stosując strusie metody. To kryjówka dobra w razie ataku na szalupy, w innym wypadku jest do niczego. Findhorn skinął z

namysłem głową w ciemności. – Co chcesz zrobić, Johnny? Niestety, ja już nic nie wymyślę, znalazłem się w martwym punkcie. – Nie szkodzi, póki sam nie jest pan martwy – rzucił ponuro Nicolson. – Proszę o pozwolenie ustawienia kilku ludzi na brzegu. Musimy odeprzeć atak. – Wiem, wiem... Powodzenia, chłopcze. Kilka sekund później, kiedy nastąpiła krótka przerwa w strzelaniu, Nicolson z sześcioma ludźmi prześlizgnęli się nad krawędzią niecki i ruszyli w dół. Nie uszli jednak nawet pięciu kroków, kiedy Nicolson szepnął coś Vannierowi do ucha, złapał generała za ramię i wycofał się razem z nim na wschodnie obrzeże niecki. Położyli się tam i wpatrywali w ciemność. – Niech pan pamięta, idziemy na całość – szepnął generałowi do ucha. W ciemnościach tylko wyczuł, że Farnholme skinął głową. Nie musieli długo czekać. Już po niecałej minucie usłyszeli pierwszy cichy ostrożny szmer, po którym natychmiast rozległ się głos Findhorna – ostro, gwałtownie rzucone pytanie. Lecz jedyną odpowiedzią był następny złowieszczy ruch, szybkie szuranie nogami, nagły trzask latarki włączonej przez Nicolsona. W jej świetle ukazały się dwie biegnące postacie z rękami do góry. Rozległ się jękliwy zgrzyt karabinka Farnholme'a i głuchy odgłos ciał padających na ziemię. Cisza i ciemności zapadły jednocześnie. – Ale ze mnie głupiec, do cholery! Zupełnie o nich

zapomniałem. – Nicolson czołgał się po niecce z osłoniętą latarką w ręce, wyciągnął broń z zaciśniętych dłoni trupów. – Panie kapitanie, dwa toporki z szalupy numer dwa. Nieźle by nimi siekli w walce wręcz. Puścił snop światła latarki, by oświetlić przeciwną stronę niecki. Siedział tam nadal Siran, twarz miał gładką, pozbawioną wyrazu. Nicolson wiedział, że to on jest winien, winien jak cholera, że to na jego rozkaz rzucili się ci trzej z toporkami, podczas gdy on sam dbał o swoje bezpieczeństwo. Lecz na pewno nie zmieni się niezbadany wyraz twarzy Sirana, który będzie się zapierał, iż to nie on kazał tym trzem zaatakować. Umarli milczą. Nie ma czasu do stracenia. – Chodźcie tu, Siran – rzucił Nicolson tonem równie pozbawionym wyrazu jak twarz tamtego. – Z pozostałymi, panie kapitanie, nie będzie problemów. Siran wstał, postąpił kilka kroków naprzód i padł jak kłoda na ziemię, uderzony przez Nicolsona kolbą colta za uchem. Cios był dostatecznie silny, by strzaskać czaszkę, i sądząc po odgłosie, pewnie miał taki skutek, lecz Nicolson odszedł, zanim Siran zdążył upaść. Tuż za nim pośpieszył Farnholme. Cały incydent nie trwał dłużej niż pół minuty. Zbiegali szybko ze wzgórzka na chybił trafił, potykając się, padając i znów się podnosząc. Trzydzieści metrów od brzegu zdali sobie sprawę, że sypie się grad kul, usłyszeli okrzyki bólu, przekleństwa, piskliwe, oszalałe głosy, znów serię strzałów, odgłosy uderzeń, walki i głośnie pluski ludzi walczących w wodzie. Znalazłszy się dziesięć metrów od brzegu wyprzedziwszy sporo Farnholme'a, wciąż biegnąc naprzód wielkimi krokami Nicolson zapalił

latarkę. W jej świetle niezbyt wyraźnie zobaczył ludzi toczących zacieklą walkę w płytkiej wodzie przy szalupach. Zauważył, że jakiś oficer pochyla się nad Mc\$kinnonem i zamierza na niego szablą czy bagnetem chcąc mu odciąć głowę. Skoczył, jednym ramieniem przytrzymał od tyłu za szyję, wystrzelił w plecy i zwinny jak kot, stanął na nogach. Znów puścił przed siebie snop światła latarki i zatrzymał go po chwili na Waltersie, który walczył z japońskim marynarzem: młócili rękami i tarzali się w zmaconej wodzie. Niewiele mógł pomóc, łatwo bowiem w takiej sytuacji zabić niewłaściwego człowieka. Przesunął snop w



górze. Zobaczył w nim jedną z szalup głębiej wciągniętą na brzeg, niemal równolegle ustawioną do jego linii. Stało przy niej dwóch japońskich marynarzy po kolana w wodzie, ich sylwetki rysowały się ostrym konturem w świetle latarki. Marynarze stali przy rufie, jeden mocno pochylony, drugi wyprostowany, z podniesioną lewą ręką, prawą zaś daleko wyciągniętą za głowę. Przez długą chwilę obaj mężczyźni, oślepieni przez latarkę, mrużyli oczy i stali nieporuszeni, jakby tancerze zamarli w scenie baletowej z sennego koszmaru. Nagle paraliż i bezruch ustąpiły i obaj mężczyźni jednocześnie zaczęli wykonywać gwałtowne ruchy: pochylony wyprostował się i wyciągnął coś prawą ręką zza paska, drugi zaś opuścił lewy bark, i wyciągnął gwałtownym ruchem rękę do przodu. Mimo że Nicolson wydobył colta i trzymał palec na spuście, wiedział, że jest za późno. Za późno dla niego i za późno dla Japończyków. Po raz drugi zeszytywnieli, znieruchomieli – na skutek gwałtownego szarpnięcia niewidocznej ręki,

po czym znów wykonali ruch, powolny, bardzo powolny wokół własnej osi i padli naprzód, jakby celowo ociężale, na wrosłych w ziemię, sztywnych nogach. Latarka Nicolsona zgasła, a trzask karabinka Farn-holme'a był już tylko zacierającym się wspomnieniem – Japończycy upadli twarzą w dół: jeden jak długi w wodę, drugi przegiął się przez okrężnicę szalupy i rąbnął w rufę. Odgłos ten jednak został zagłuszony głuchym wybuchem granatu, który rozerwał mu się w rękę. Wszystkich nagle oślepił biały błysk wybuchu. Ciemność, która po nim zapadła, wydawała się jeszcze czarniejsza. Panowała wszędzie: na wyspie, na morzu i na niebie; ciemność zupełna, nieprzenikniona. W oddali na południowym zachodzie kilka ostatnich gwiazd słabo pomrugiwało na niebie koloru indygo, lecz i one gasły jedna po drugiej za zasłoną niewidocznych chmur, które zaciągnęły horyzont. Ciemność i cisza, ani dźwięku, ani ruchu. Nicolson zaryzykował i błysnął latarką, po czym zaraz ją wyłączył. Zobaczył swoich ludzi, wszystkich na nogach, a wróg przestał już być wrogiem – w mroku dookoła leżały trupy niewielkich wzrostem Japończyków. Nie mieli wszak prawie żadnej szansy, nie spodziewali się bowiem, że zostaną zaatakowani przez załogę "Viromy", którą – jak sądzili – wystrzelali w niecce na wzgórkach. Poza tym ich sylwetki były wyraźnie widoczne na tle jaśniejszego niż ląd morza, a ponadto ludzie z "Viromy" zaskoczyli ich w nie sprzyjającym obronie momencie, kiedy wychodzili z pontonów. – Jest ktoś ranny? – spytał Nicolson cicho. – Walters – Vannier dostosował

ton swojego głosu do poprzednika. – Chyba dość ciężko. – Zobaczą. Ruszył w stronę, z której dolatywał głos, przestłonił latarkę palcami i włączył. Vannier trzymał Waltersa za lewy nadgarstek. Poniżej nasady kciuka ziała krwawiąca rana, nadgarstek rozerwany był do połowy. Vannier zawiązał już koledze chustkę do nosa jako opaskę uciskową, jasnoczerwona krew płynęła więc z rany bardzo powoli. Nicolson zgasił latarkę. – Od noża? – Nie, od bagnetu. – Głos Waltersa wydawał się spokojniejszy niż Vanniera. – On mnie tak urządził. – Trącił nogą jakąś niekształtną masę leżącą nieruchomo u jego stóp w wodzie. – Tak myślałem – mruknął Nicolson. – Rzeczywiście załatwił wam nadgarstek. Panna Drachmann was opatrzy. Obawiam się jednak, że upłynie trochę czasu, zanim będziecie mieli pożytek z tej ręki. – Co właściwie oznacza, że "nigdy", pomyślał Nicolson z goryczą. Ścięta została przecięta i z pewnością również nerw promieniowy. W każdym razie

paraliż. – Lepiej niż dostać w serce – stwierdził wesoło Walters. – Potrzebuję pomocy. – Idźcie tam jak najszybciej. Pozostali razem z nim... i nie zapominajcie się opowiedzieć. Kapitan spodziewa się, że przegraliśmy... ma broń pod ręką. Bosmanie, zostańcie ze mną. – Urwał raptownie, bo w pobliżu szalupy rozległ się plusk. – Kto tam? – To ja, Farnholme. Sprawdzam tylko. Mają ich dziesiątki, po prostu dziesiątki. – O czym, do diabła, pan mówi? – spytał poirytowany Nicolson. – O granatach. Powypychali nimi torby. Ten tutaj ma cały arsenał.

–Zabierzmy je, przydadzą się nam. Niech ktoś panu pomoże. Nicolson i Mc\$kinnon poczekali, aż ostatni z ludzi odszedł, i ruszyli w stronę najbliższej szalupy. Kiedy już znaleźli się przy niej, od południa otwarto do nich ogień z dwóch karabinów maszynowych – pociski smugowe świeciły biało i gasły wzbijając fontanny wody. Od czasu do czasu kapryśna kula odbiła się od powierzchni morza i z cienkim świstem śmignęła w ciemność, rzadziej zadudniła trafiając w jedną czy drugą szalupę. Wyciągnięty jak długi za łodzią, tylko z głową nad wodą Mc\$kinnon dotknął ramienia Nicolsona. – Co to znów za zagrywka? – powiedział pytająco, śpiewnym głosem mieszkańca gór Szkocji, lecz jego ton nie zdradzał zatroskania. – A kto ich wie, bosmanie. Prawdopodobnie ci, którzy tu wylądowali, mieli zasygnalizować... latarką czy jakoś inaczej... że bezpiecznie dotarli do celu. Mechanizmy sygnalizacyjne, wycieczki na brzeg, czyli wygląda na to, że nasi koledzy na okręcie chodzą po ścianach z niepokoju. W końcu otwierają ogień, a tu znów nie ma sygnału. – Jeśli tylko na tym im zależy, to może spełnimy ich życzenie? Nicolson patrzył na niego przez chwilę w mroku i zaśmiał się cicho. – Genialne, prawdziwy z was geniusz, Mc\$kinnon. Jeżeli są już całkiem dezorientowani i jeżeli wyobrażają sobie, że ich koledzy na brzegu są co najmniej tak samo dezorientowani, wystarczy któryś ze starych sygnałów. Tak też się okazało. Nicolson wyciągnął rękę ponad okrężnicę, błysnął kilkakrotnie latarką w

nieregularnych odstępach i pośpiesznie cofnął rękę. Świetlny punkt jego latarki mógłby być odpowiedzią na modlitwę niejednego zapaleńca naciskającego spust karabinu maszynowego, lecz teraz z ciemności nie padła następna seria pocisków smugowych. Wręcz przeciwnie – oba karabiny raptownie umilkły. Noc znów stała się cicha i spokojna. I wyspa, i morze mogłyby być całkiem opustoszałe, bez śladu życia. Nawet zamazana sylwetka okrętu widoczna na morzu wydawała się tylko cieniem, niematerialnym i całkiem nierealnym, jakby wyobrażonym. Wszelkie próby pozostawiania w ukryciu nie tylko były niepotrzebne, lecz także niebezpieczne. Obaj mężczyźni podnieśli się bez pośpiechu na nogi i w świetle latarki przeprowadzili przegląd szalup. Numer drugi, czyli łódź Sirana, miała kilka dziur, lecz wszystkie ponad linią zanurzenia. Szalupa nabrała zresztą niewiele wody, a może wcale – podziurawiono kilka komór hermetycznych, lecz pozostała dostateczna liczba nie uszkodzonych, by łódź była bezpieczna. Z szalupą numer jeden sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Była to łódź motorowa. Trafiło ją zaledwie kilka pocisków, które przedziurawiły kadłub, lecz już pogrążyła się głębiej w płytkiej wodzie. Na dnie stała woda zabarwiona na czerwono, poznaczona ciemniejszymi smugami krwi japońskiego marynarza, którego okropnie okaleczony trup leżał na okrężnicy. Nicolson przesunął te szczątki ledwie przypominające nieżywego człowieka i nagle sprawa się wyjaśniła – ten sam granat, który

urwał marynarzowi rękę i pozbawił większej części twarzy,

wyrwał też dziurę na wylot w dnie szalupy i połamał sąsiednie deski aż do wzdłużnika na prawej burcie. Nicolson powoli się wyprostował i spojrzał na Mc\$kinnona stojącego w świetle latarki. – Podziurawione – mruknął nie wdając się w szczegóły. – Przez tę dziurę w dnie precyzyjnie się głową. Cholera, reperacja potrwa kilka dni. Lecz Mc\$kinnon nie słuchał. Światło latarki padało teraz na inną część łodzi. Odezwał się tonem zdradzającym dystans, obojętnym: – To i tak nie ma znaczenia. Załatwili silnik. – Zamilkł, lecz po chwili mówił dalej: – Poszło też magneto... granat musiał wybuchnąć pod nim. – Och Boże, tylko nie to! Magneto? Może drugi mechanik... – Nikt nie da rady go zreperować – tłumaczył mu cierpliwie Mc\$kinnon. – Poza tym wiele innych rzeczy wymaga naprawy. – Rozumiem. – Nicolson skinął ociężale, spojrzał na uszkodzoną część; bolała go głowa, kiedy zastanawiał się, jakie konsekwencje może mieć jej zniszczenie. – Zostały tylko nędzne resztki? Mc\$kinnona przeszył dreszcz. – Ktoś przeszedł po moim grobie – jęknął. Pokiwał powoli głową, wpatrywał się w szalupę, nie zwracając uwagi na to, że Nicolson wyłączył latarkę, aż w końcu położył mu rękę na ramieniu. – Wie pan, co? Długo będziemy płynąć na wioślach do Darwin. \* \* \* Powiedziała mu, że ma na imię Gudrun, Gudrun J~orgensen Drachmann. J~orgensen to nazwisko jej dziadka ze strony matki. Jest w trzech czwartych Dunką, ma dwadzieścia trzy lata, urodziła się w Odense, w dniu zawieszenia broni w 1918 roku.

Dwukrotnie przebywała krótki czas na Malajach, resztę życia spędziła w mieście rodzinnym, aż jako dyplomowana pielęgniarka przeniosła się na plantacje ojca pod Penang. Było to w sierpniu 1939 roku. Nicolson leżał na plecach, oparty o obrzeże niecki, z rękami pod głową, patrzył niewidzącym wzrokiem w ciemne, zaciągnięte chmurami niebo. Miał nadzieję, że dziewczyna znów przemówi, i czekał. Jak brzmiał ten cytat, którym stary Willoughby – najbardziej zatwardziały kawaler na świecie – częstował go dawniej tyle razy? Aha – "Jej głos jakże miękki". To z "Króla Leara". "Jej głos jakże miękki, łagodny i cichy". Willoughby ma to w swoim repertuarze, kiedy chce się wytłumaczyć, dlaczego nigdy nie wstąpił w święty związek małżeński. Nigdy bowiem nie spotkał kobiety – słowo to brzmiało w jego ustach szyderczo – o głosie miękkim, łagodnym i cichym. Może jednak zmieniłby zdanie, gdyby siedział tu, gdzie on teraz, po zamelodwaniu się dwadzieścia minut temu Findhornowi i sprawdzeniu, czy z chłopczykiem wszystko w porządku. Minęły dwie minuty, trzy, lecz dziewczyna już się nie odezwała. Wkrótce Nicolson poruszył się i odwrócił w jej stronę. – Jest pani teraz daleko od domu. Dania... lubiła pani tam mieszkać? – spytał ot tak sobie, by coś powiedzieć, zdumiała go więc spontaniczność jej odpowiedzi. – Uwielbiałam. – W tonie jej głosu wyczuwało się jakąś ostateczność, przekonanie, że tamto nie powróci. Przeklęci Japończycy, przeklęty okręt podwodny, pomyślał gniewnie Nicolson. Postanowił zmienić temat. – A Malaje? Pewnie ma pani do

nich zupełnie inny stosunek? – Malaje? – Ton, jakim to powiedziała, mógł być odpowiednikiem obojętnego wzruszenia ramionami. – W Penang było chyba sympatycznie. Ale nie w Singapurze. Nienawidziłam Singapuru. – Obojętność przemieniła się w raptowność, zanim dziewczyna nawet zdała sobie z tego sprawę. – Też bym chciała

zapalić. Czy może pan Nicolson uważa, że nie powinnam? – Ton jej głosu, podobnie jak temat, znów się zmienił. – Obawiam się, że panu Nicolsonowi zabrakło przedwojennej galanterii. – Podsunął jej paczkę papierosów, zapalił zapałkę. Kiedy dziewczyna pochylała się, by zanurzyć koniuszek papierosa w płomieniu, znów poczuł ulotną woń drzewa sandałowego i zapach jej włosów. Wyprostowała się i cofnęła w mrok. Wbił zapałkę w ziemię i spytał: – Dlaczego nienawidzi pani Singapuru? Odpowiedziała dopiero po jakiejś pół minucie: – Nie wydaje się panu, że może to być zdecydowanie osobiste pytanie? – Bardzo możliwe. – Zamilkł na chwilę. – Jakie to teraz ma znaczenie? Od razu zrozumiała, co ma na myśli. – Ma pan rację. Słusznie. Jeśli nawet to czysta ciekawość z pana strony, jakie to ma teraz znaczenie? Dziwne, ale chętnie odpowiem panu... może dlatego, że jestem przekonana o pańskiej szczerości. Nie zniosłabym fałszu. – Zamilkła na kilka sekund, koniuszek jej papierosa żarzył się mocno w mroku. – To prawda, co powiedziałam. Nienawidzę Singapuru. Nienawidzę, bo mam w sobie dumę, osobistą dumę, bo lituję się sama nad sobą i nienawidzę nie mieć swojego miejsca. Wszystko

to jest panu obce. – Bardzo dużo pani o mnie wie – mruknął łagodnie. – Proszę mówić dalej. – Chyba rozumie pan, o co mi chodzi – powiedziała powoli. – Jestem Europejką, urodziłam się w Europie, wychowałam i wykształciłam w Europie, uważałam się wyłącznie za Dunkę... podobnie jak inni Duńczycy. Drzwi wszystkich domów w Odense stały przede mną otworem. W Singapurze nie zaproszono mnie do ani jednego europejskiego domu. – Usiłowała mówić lekkim tonem. – Nadwyżka na rynku towarzyskim, można by powiedzieć. Nie byłam dość atrakcyjna, by mnie zapraszać. Nie jest zabawne usłyszeć, jak ktoś mówi: "Wiesz stary, ona miała chyba w rodzinie jakiegoś smolucha". I mówi to nawet nie zniżając głosu, wszyscy więc zaczynają mi się przyglądać, a ja nigdy więcej nie przestępuję tego progu. Wiem, że matka mojej matki jest Malajką, ale to cudowna, miła starsza pani, która... – Spokojnie, proszę się uspokoić. Wiem, że tam pachniało zgnilizną i zepsuciem. A najgorsi byli Brytyjczycy, prawda? – Tak, najgorsi. – Zawahała się. – Ale dlaczego tak pan mówi? – Jeśli chodzi o budowanie imperium i kolonializm, jesteśmy najlepsi na świecie... i najgorsi. Singapur jest wspaniałym terenem łowów dla najgorszych. I nie należy o tym zapominać. Wybrany przez Boga naród, z podwójną misją do wykonania... miał w nieprawdopodobnie krótkim czasie zamarynować tubylców i dopilnować, by ci, którzy nie należą do wybrańców, przez całe życie nie mogli o tym zapomnieć. Niech synowie Chama pozostaną drwalami i do końca życia ciągną

wodę ze studni. Wszyscy, oczywiście, mienią się dobrymi chrześcijanami i wiernymi filarami kościoła... jeśli zdążą na czas wytrzeźwieć w niedzielę rano. Nie wszyscy są tacy, nawet w Singapurze, ale pani nie miała szczęścia zetknąć się z tymi innymi. – Nie spodziewałam się, że pan może powiedzieć coś podobnego – stwierdziła powoli, ze zdziwieniem. – Dlaczego miałbym nie mówić o tym. To prawda. – Nie o to mi chodzi. Po prostu nie spodziewałam się, że z pana ust usłyszę słowa... hm, nieważne. – Roześmiała się z zażenowaniem. – Kolor mojej skóry nie jest aż tak istotny. – Słusznie. No dalej. Niechże pani mocniej przyłoży. – Zdeptał papierosa obcasem. Mówił tonem celowo ostrym, niemal brutalnym. – Oczywiście, że to dla pani cholernie ważne, ale bez przesady. Singapur nie jest całym

światem. My lubimy panią i funta kłaków nie warto byłoby to wszystko, gdybyśmy się przejmowali pani pochodzeniem. Dla mnie mogłaby pani być nawet heliotropem. – Dla pańskiego młodego oficera... pana Vanniera... dla niego to nie warto funta kłaków – mruknęła. – Przesadza pani... proszę się zdobyć na sprawiedliwość. Zobaczył pani szramę i wstrząsnęło to nim, ale wstyd mu, że to okazał. Jest bardzo młody. A kapitan uważa, że jest pani rzadkim klejnotem. Że pani skóra wygląda jak "przejrzysty bursztyn". – Nicolson burknął coś do siebie. – Po prostu jest z niego podstarzały Lothario. – Nieprawda. Jest przemiły, po prostu przemiły... i bardzo go lubię. – Po czym dodała z brakiem konsekwencji: – To przez pana czuje się staro. – Bzdury! – Nicolson

wykrzyknął niegrzecznie. – Mając kulę w płucach każdy czułby się staro. – Pokiwał głową. – Och Boże, znów zaczynam. Przepraszam, bardzo przepraszam, że na panią napadłem. Odłóżmy miecze... zgoda, panno Drachmann? – Mam na imię Gudrun. – To słowo wystarczyło za odpowiedź i było zarazem prośbą, pozbawioną nawet cienia kokieterii. – Gudrun? Podoba mi się i pasuje do pani. – Ale pan... jakby tu powiedzieć... nie rewanżuje mi się tym samym. – W jej matowym głosie pojawiły się filuterne tony. – Słyszałam, jak kapitan zwracał się do pana "Johnny". Ładne imię – dodała taktownie. – W Danii byłoby to imię dla bardzo małego chłopca. Ale chyba łatwo mi się będzie do niego przyzwyczać. – Niewątpliwie – mruknął Nicolson, stropiony. – Ale widzisz... – Oczywiście, wiem, o co chodzi! – Śmiała się z niego, był tego pewien, tym bardziej więc się stropił. – Przecież nie do pomyslenia byłoby, gdybym tak się do ciebie zwracała w obecności załogi! Będę oczywiście mówić "panie Nicolson" – dodała z przesadną skromnością. – A może lepiej by było "proszę pana"? – Na miłość boską! – zniecierpliwził się Nicolson, zamilkł i nagle zdał sobie sprawę, że lekko chichocze, jakby odbijając echem cichutki śmiech dziewczyny. – Nazywaj mnie, jak chcesz. Pewnie na to zasłużyłem. Wstał, ruszył naprzód, gdzie na skraju niecki od strony morza stał na straży mułta, zamienił z nim kilka słów i zszedł niżej do Van Effena pilnującego nadającą się do żeglugi szalupę. Przysiadł koło niego na kilka minut zastanawiając się, jaki

jest sens pilnować łodzi, i powrócił do niecki. Gudrun Drachmann nadal nie spała, siedziała przy chłopczyku. Nicolson usiadł obok. – Nie ma sensu czuwać przez całą noc – powiedział łagodnie. – Z małym wszystko dobrze. Może się jednak położyć? – Powiedz mi szczerze – poprosiła cicho – jakie mamy szanse? – Żadnych. – Powiedziane dostatecznie jasno i otwarcie – przyznała. – Jak długo to potrwa? – Jutro do południa... najpóźniej. Po pierwsze z okrętu przyślą na brzeg kolejnych ludzi... albo będą próbowali. Potem wezwą pomoc... samoloty nadlecą pewnie o świtaniu. – Może wystarczy, że przyślą ludzi z okrętu. Może nie będą musieli wzywać pomocy. Ilu... – Zrobimy z nich sieczkę – przerwał jej rzeczowym tonem. – Na pewno więc będą potrzebowali pomocy. I ona nadciągnie. Potem dopadną nas i jeśli nie zbombardują czy nie powystrzelają, mogą ciebie, Lenę i pannę Plenderleith wziąć do niewoli. Mam jednak nadzieję, że tak się nie stanie. – Widziałam ich w Kota Bharu. – Otrząsnęła się na samo wspomnienie. – Też mam więc nadzieję, że tak się nie stanie. A co z małym Peterem? – Wiem. No cóż... Peter to dla nich tylko jeszcze jeden przypadek – powiedział z goryczą. – Kogo to obchodzi, że to dwuletnie dziecko? – Wiedział jednak, że

obchodzi, chociażby jego samego. Coraz bardziej przywiązywał się do chłopca, bardziej, niżby chciał komukolwiek się przyznać. Gdyby żyła Caroline... – Czy nic nie możemy zrobić? – pytanie dziewczyny przerwało mu rozmyślenia. – Niestety, nic. Możemy tylko

czekać, nic ponadto. – A nie mógłbyś popłynąć na okręt i... i coś zrobić? – Tak, wiem, z nożem w zębach. Potem opanowałbym okręt i triumfalnie odpłynął nim do domu? Droga pani, czytała pani niewłaściwe komiksy. – Chciała coś powiedzieć, lecz wyciągnął rękę i złapał ją za ramię. – Obrzydliwą tandetę. Przykro mi. Tylko marzą, byśmy porwali się na coś podobnego. – A nie moglibyśmy odpłynąć szalupą tak, by nas nie usłyszano i nie zauważono? – Moja droga, to pierwsza rzecz, jaka nam przyszła do głowy. Ale to beznadziejne. Może i byśmy odpłynęli, lecz niedaleko. Albo oni, albo samoloty dopadliby nas już o świcie... a wtedy ci, którzy by nie zostali zastrzeleni, potopiliby się. Zabawne, Van Effenowi też ten pomysł przyszedł do głowy. To sposób na szybkie samobójstwo – skończył raptownie. Przez kilka chwil zastanawiała się. – Ale czy myślisz, że można stąd odpłynąć tak, by nas nie usłyszano? – Moja uparta panno... czyż nie mam racji? Otóż tak, można, zwłaszcza jeśli dokonałoby się jakiejś dywersji w innej części wysepki, by odwrócić ich uwagę. Dlaczego pytasz? – Jedynym sposobem, w jaki można się stąd wydostać, jest przekonanie Japończyków, że już nas tu nie ma. Dwóch czy trzech z was mogłoby wziąć szalupę... może na jedną z tych małych wysepek, które widzieliśmy wczoraj... a my pozostali moglibyśmy przeprowadzić jakąś dywersję. – Mówiła teraz szybko, z zapalem. – Z okrętu zauważiliby, że was nie ma, i popłynęliby za wami, a wtedy... – Popłynęliby prosto na jedną z tych wysepek... bo dokąd

mieliby popłynąć... zobaczyliby, że jest nas tam niewielu, zabiliby nas, zatopili łódź, wrócili tutaj i wykończyli resztę. – Och, nie pomyślałam o tym – ton jej głosu zdradzał, że czuje się pokonana. – Ale nasz brat Japoniec wpadłby na to. Panno Drachmann... – Gudrun. Zawiesiliśmy broń, pamiętasz? – Przepraszam. Oczywiście. Gudrun, czy możesz przestać przebijać głową mur? Może cię tylko ta głowa rozboleć. Sami przemyśleliśmy wszystko, ale nic się nie da zrobić. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, spróbuję się przespać. Niedługo muszę zwolnić Van Effena. Zasypiał już, kiedy znów się odezwała. – Johnny? – O Boże – jęknął – chyba nie doznałaś znów olśnienia? – Myślałam właśnie... – Uparta jesteś, nie ma co do tego wątpliwości. – Westchnął z rezygnacją i usiadł. – Co wymyśliłaś? – Nie miałoby znaczenia, gdybyśmy pozostali tu aż do odpłynięcia okrętu, prawda? – Do czego zmierzasz? – Odpowiedz mi, Johnny. – Nie, nie miałoby znaczenia. Byłoby to dobrym posunięciem... gdybyśmy mogli nie wzbudzając podejrzeń zakopać się tu na jakiś dzień, oni prawdopodobnie zaprzestaliby poszukiwań. Przynajmniej w tej okolicy. Ale jakim sposobem chciałabyś ich skłonić do odpłynięcia? I jak ich przekonać, że nas już tu nie ma? Chcesz tam popłynąć i ich zahipnotyzować? – To wcale nie jest zabawne – powiedziała spokojnie. – Gdyby o świcie zauważyli, że naszej szalupy nie ma... to znaczy tej nie uszkodzonej... pomyśleliby, że nas też tu nie ma. Prawda?

–Na pewno. Każdy normalny człowiek by tak pomyślał. – Uważasz, że nie będą podejrzliwie przeszukiwali wyspy? – O co ci, do diabła, chodzi? – Johnny, proszę cię. – No dobrze – warknął. – Przepraszam, naprawdę przepraszam. Tak, uważam, że nie będą przeszukiwali

wyspy. Do czego zmierzasz, Gudrun? – Do tego, by ich przekonać, że nas tu nie ma – odparła niecierpliwie. – Schowajmy szalupę. – Ha, ona mówi, by schować szalupę! Na wybrzeżu tej wyspy nie ma ani jednego miejsca, w którym można by ją ukryć tak, by Japońce nie znaleźli jej w pół godziny. Nie możemy też ukryć jej na wyspie... jest za ciężka, by wciągnąć ją w głąb lądu, a poza tym narobiliśmy takiego hałasu, że wszystkich nas by wystrzelali, nawet po ciemku, zanim uciągnęlibyśmy ją ze trzy metry. A gdyby nawet dało się ją udźwignąć, to i tak na tych przeklętych skałach nie ma dostatecznie dużej kępy krzaków, w której można by ukryć przyzwoitej wielkości łódkę, a co dopiero ośmioipółmetrową szalupę. Przykro mi i tak dalej, ale po prostu się nie da. Nie ma gdzie jej ukryć... ani na morzu, ani na lądzie... tak, by Japońce nie znaleźli jej z zamkniętymi oczami. – To twoje pomysły, nie moje – stwierdziła ze spokojem. – Nie można jej ukryć ani na wyspie, ani wokół wyspy... zgadzam się. Mój pomysł polega na tym, byście ukryli ją pod wodą. – Co?! – Nicolson na wpół usiadł wpatrując się w nią w ciemności. – Dokonać jakiejś dywersji na jednym krańcu wyspy – rzuciła szybko. – O płynąć łodzią przeciwny kraniec aż do tej małej zatoczki od północy, napełnić łódź kamieniami,

wyciągnąć szpunt, czy jak to się nazywa, zatopić ją w dość głębokiej wodzie, a kiedy Japońce odpłyną... – Oczywiście! – powiedział przeciągłym szeptem. – Oczywiście, że to jest dobry pomysł! Mój Boże, Gudrun, wymyśliłaś sposób, wymyśliłaś sposób! – niemal krzyczał. Usiadł raptownie, złapał wyrwijącą mu się ze śmiechem dziewczynę w objęcia i przytulił z radością i nową nadzieją. Gramoląc się wstał na nogi i pobiegł na drugi koniec niecki. – Kapitanie! Czwartym! Bosmanie! Obudźcie się, obudźcie się! \* \* \* W końcu zaczęło dopisywać im szczęście. Wszystko poszło gładko, choć wynikł spór co do tego, jak przeprowadzić dywersję, bo niektórzy utrzymywali, że kapitan okrętu czy też ten, kto zastępuje nieżyjącego już kapitana, może powziąć podejrzenia, gdyby przeprowadzić ją otwarcie. Nicolson jednak był zdania, że człowiek na tyle głupi, że wysłał swoich ludzi prosto na brzeg, by zniszczyli szalupy, zamiast najpierw zaatakować ogniem bocznym, na pewno nie okaże się przezorny i da się oszukać. To zaważyło. Ponadto za jego planem przemawiał fakt, że wiatr zmienił kierunek na północny. Przebieg wydarzeń również potwierdził słuszność jego argumentów. Vannier miał za zadanie odwracać uwagę Japończyków i bardzo inteligentnie się z niego wywiązał. Przez jakieś dziesięć minut posuwał się wzdłuż brzegu południowo\_zachodniego krańca wyspy i mrugał osłoniętą latarką w niezbyt częstych odstępach. Miał przy sobie nocną lornetkę Nicolsona i jak tylko zobaczył, że ciemna sylweta okrętu zaczyna cichutko podpływać włączywszy agregat, odłożył latarkę i ukrył

się za głazem. Dwie minuty później, kiedy okręt znalazł się na wprost niego, niecałe sto metrów od brzegu, wstał, wyrwał zawleczkę jednej z pławek dymnych szalupy numer dwa i rzucił ją jak mógł najdalej w morze – po trzydziestu sekundach lekka bryza z północy zapędziła gęsty pomarańczowy dym w pobliże okrętu. Na pomoście dowodzenia ludzie zaczęli się dusić. Normalnie pławka dymna wypala się w ciągu czterech, pięciu minut, co w tej sytuacji dawało aż nadto czasu. Już minutę wcześniej czterech ludzi, pracując cichutko wiosłami, popłynęło szalupą numer dwa na północny brzeg wyspy. Okręt nie zmienił

położenia, pozostał tam, dokąd zwabił go Vannier. Nicolson przeciągnął szalupę po cichu wzdłuż stromego wybrzeża głębokiej zatoki północnej. Zastał tam Farnholme'a, mułłę Ahmeda, Willoughby'ego i Gordona, którzy już czekali z przygotowaną wielką stertą gładkich, krągłych kamieni. Willoughby nalegał, by zniszczyć komory powietrzne łodzi – pomysł przedziurawienia ich ranił staremu mechanikowi serce. Mogło to zająć sporo czasu, zwłaszcza że mieli ograniczoną liczbę narzędzi, poza tym trudno było tego dokonać po ciemku. Gdyby narobili przy tym sporo hałasu, dowódca okrętu może w każdej chwili wpaść na pomysł, by szybko okrążyć wyspę oświetlając sobie drogę rakietami. Musieli jednak podjąć to ryzyko. Wyciągnęli szybko zatyczki z pasa przystępkowego, pracowali w opętającym tempie, w zupełnym milczeniu. Założyli już dno łodzi kamieniami uważając, by nie pozatykać wpustów, przez które napływała woda. Po dwóch minutach Nicolson powiedział coś cicho do generała i ten ruszył w górę, by po kilku sekundach

oddać ze wzniesienia parę strzałów w stronę okrętu. Głuchy huk karabinka nakładał się na metaliczne odgłosy dolatujące z dołu, gdzie Nicolson i pozostali wrywali zastawki ze zbiorników powietrza i wyciągali z nich metalowe zbiorniczki. Pozostawili jednak dostateczną ich liczbę, by łódź całkiem nie straciła wyporności. Dokładali kamieni, coraz więcej wody wpływało do szalupy, jej poziom wewnątrz i na zewnątrz wyrównał się, woda przelewała się już przez najniższą część rufy, dołożyli jeszcze kilka kamieni i łódź zatoneła, znikając powoli pod powierzchnią morza, przymocowana cumami na dziobie i rufie. Zanurzyła się na głębokość pięciu metrów, równo, bez kołysania i osiadła na wyłożonym drobnymi kamieniami dnie. Kiedy wrócili do swojej niecki, zobaczyli wzbijającą się w górę ze wschodniego krańca wyspy i zataczającą łuk na północny wschód raketę spadochronową. Vannier dobrze wyliczył czas – gdyby ci z okrętu chcieli sprawdzić, co się dzieje, stwierdziliby, że w tej części wybrzeża, podobnie jak po przeciwnej stronie wyspy, panuje absolutny spokój. Poczuliby się zupełnie zdezorientowani, w ich umysłach powstałyby dziesiątki podejrzeń, a rankiem nie mieliby już wątpliwości, że rozbitkowie z "Viromy" przechytrzyli ich i w nocy odплыnęli. Tak też się stało, do tego niewątpliwie wniosku doszli szarym i chmurnym brzaskiem. Wiatr przybierał na sile, nie było śladu słońca. Kiedy tylko się rozwidniło, starannie ukryci wśród gęstych krzewów obserwatorzy na wyspie widzieli, jak postacie na pomoście okrętu podnoszą lornetki do oczu i mówią coś do siebie wymachując rękami – okręt odплыnął jeszcze

w nocy na sporą odległość od brzegu. Wkrótce potem włączono silniki i okręt okrążając wyspę odплыnął na dobre. Zatrzymał się jeszcze naprzeciwko uszkodzonej szalupy, by ją ostrzelać z działa przeciwlotniczego, które udało się naprawić w nocy. Wystrzelono tylko sześć razy, lecz to wystarczyło, by łódź przemieniła się w podziurawiony, strzaskany wrak. Z chwilą gdy ostatni pocisk uderzył w pływającą, znów rozległ się warkot silników i okręt ruszył na zachód. Rozwinął dużą szybkość, przeszukał wybrzeża dwóch małych wysepek i pół godziny później zniknął na południu za horyzontem. Rozdział dziesiąty Szalupa kołysała się ospale na gładkiej, nie zmaconej nawet zmarszczką powierzchni morza. Wszędzie panował bezruch, lustro ani drgnęło, w błyszczącej metalowoniebieskiej tafli odbijały się z bezlitosną dokładnością najdrobniejsze szczegóły burt, nad którymi pocił się kiedyś skutnik.



Martwa łódź na martwym morzu, w martwym i pustym świecie. Bezkresna, połyskliwa tafla sięgała nieskończonej, mgliście się z nią łączącej przestrzeni pustego nieba. Ani jednej chmury, i tak już od trzech dni. Puste, straszliwe niebo, majestatyczne w swej okrutnej obojętności, tym bardziej puste, że oślepiające słońcem, które biło z niego na rozprażony ocean jak ogień z otwartego paleniska. Szalupa zdawała się martwa, lecz nie dlatego, że była pusta. Wręcz przeciwnie – załadowana była do ostatnich granic. W cieniu tak nędznym, jaki tylko mogły dawać strzępy żagla, na ławkach i dnie leżeli ludzie, mężczyźni i kobiety, umęczeni ponad wszelkie wyobrażenie,

wyczerpani do ostateczności żarem; niektórzy zapadli w śpiączkę, niektórzy nękani sennymi koszmarami, inni w półśnie, nieporuszeni, strzegli z zapamiętaniem ostatniej tłącej się w nich iskierki życia. Czekali, aż zajdzie słońce. Tylko dwie osoby z całej tej gromady wyniszczonych, spalonych słońcem rozbitków dawały wyraźne oznaki życia. Były w podobnie złym stanie jak pozostali: wychudzone policzki, zapadnięte oczy, spękane, pokryte bąblami wargi i okropne czerwone, zropiałe oparzenia na skórze w miejscach, w których podarło się wypalone słońcem i przeżarte solą ubranie. Obaj mężczyźni znajdowali się na rufie łodzi; widać było, że żyją, ale tylko dlatego, że siedzieli. Ponieważ jednak się nie poruszali, równie dobrze mogli uchodzić za martwych lub wykutych z kamienia. Jeden siedział z ręką na rumplu, chociaż niemal od czterech dni nie było śladu wiatru, który mógłby wypełnić podarte żagle; brakowało też ludzi do obsadzenia wiosł. Drugi trzymał w ręku broń, nieporuszony niczym głaz; tylko wyraz jego oczu wskazywał na to, że żyje. W łodzi było dwadzieścioro ludzi. Kiedy przed sześcioma dniami opuszczali małą wysepkę na Południowym Morzu Chińskim, było ich dwadzieścioro dwoje, lecz teraz tylko dwadzieścioro. Dwóch mężczyzn zmarło. Nie było nadziei, że przeżyje kapral Frazer, który był osłabiony trawiącą go gorączką, jeszcze zanim pocisk myśliwca oderwał mu część lewego ramienia, kiedy z mostka "Viromy" próbował ostrzelać samolot ze swojej przypominającej zabawkę broni. Brakowało lekarstw, wyczerpały się wszystkie środki uśmierzające, lecz mimo to kapral trzymał się kurczowo

życia przez cztery dni – zmarł dopiero przed czterdziestoma ośmioma godzinami, cierpiąc bardzo, ale zachowując pogodę ducha; ramię czerniało mu aż do barku. Kapitan Findhorn zgodnie z tradycją morskich pogrzebów wygłosił zapamiętane fragmenty mowy pożegnalnej, po czym sam zapadł w niespokojny sen, z którego jakby nigdy nie miał się przebudzić. Drugim zmarłym był człowiek Sirana, jeden z trzech pozostałych przy życiu członków jego załogi. Zmarł dzień wcześniej, nagłą śmiercią, na skutek tego, że przeliczył się co do Mc\$kinnona, zwiedziony jego łagodnym uśmiechem i śpiewnym szkockim akcentem. Otóż niedługo po śmierci Frazera Mc\$kinnon, którego Nicolson uczynił odpowiedzialnym za zapasy wody, odkrył, że poprzedniej nocy został zniszczony jeden ze zbiorników, prawdopodobnie przedziurawiony, lecz trudno to było stwierdzić z całą pewnością. W każdym razie zbiornik stał pusty, a więc pozostało im w drugim zbiorniku ledwie niecałe piętnaście litrów wody. Nicolson od razu zarządził, że w tej sytuacji na jedną osobę przypadać będzie pięćdziesiąt gramów wody dwa razy dziennie, wydzielonej z kubka mającego podziałkę, który znajdował się w wyposażeniu każdej szalupy. Tylko chłopczyk

miał dostawać tyle wody, ile będzie chciał. Rozległo się wówczas tylko kilka pomruków niezadowolenia, lecz Nicolson je zignorował. Następnego dnia, kiedy McSkinnon podawał pannie Drachmann trzecią w ciągu kilku godzin porcję wody dla chłopczyka, dwóch ludzi Sirana podniosło się ze swoich miejsc w części dziobowej i ruszyło ku rufie z ciężkimi metalowymi dulkami w rękach. McSkinnon zerknął szybko na Nicolsona,

lecz stwierdziwszy, że tamten, zmęczony po niemal całonocnej wachcie śpi, spokojnie poprosił dwóch bandziorów, żeby wrócili na swoje miejsca. Na poparcie swojej prośby chwycił rewolwer. Jeden z nich zawahał się, lecz drugi skoczył naprzód wyjąc jak zwierzę i zamachnął się z impetem dulką na bosmana. Pewnie zmiażdżyłby mu czaszkę niczym zgnity melon, lecz McSkinnon rzucił się w bok jednocześnie naciskając na spust. Kula trafiła tamtego w locie; padł na rufę głową naprzód i martwy przeokołkował do wody. McSkinnon bez słowa wymierzył rewolwer w drugiego bandziora, lecz było to zbyteczne: tamten wpatrywał się jak zahipnotyzowany w cieniutką smużkę niebieskiego dymu snującą się jeszcze z lufy colta. Twarz miał wykrzywioną z przerażenia. Odwrócił się i szybkim, lecz niepewnym krokiem powrócił na swoje miejsce. Po tym wydarzeniu na szalupie zapanował spokój. Na początku, przed sześcioma dniami, kiedy wyruszali, obyło się bez incydentów. Panowało wysokie morale, wszystkim przyświecała nadzieja i nawet Siran, który nadal odczuwał skutki napięcia na wyspie, zdobył się na współdziałanie i zmusił do niego swoich ludzi. Siran nie był głupi i jak każdy zdawał sobie sprawę z tego, że mogą przeżyć tylko zdobywając się na wspólny wysiłek, że musi się kierować dobrem ogółu, oczywiście tak długo, jak długo będzie mu to wygodne. Odpłynęli z wysepki trzydzieści sześć godzin potem, jak opuścił ją okręt podwodny, dwadzieścia cztery godziny po wizycie samolotu, który przyleciał na rekonesans, lecz nie zauważył na wysepce śladu życia. Odpłynęli o zachodzie, kiedy zaczynał się przyływ i z północy wiał monsun. Przez całą

noc i prawie cały dzień wiatr dopisywał, niebo pozostawało puste, a na morzu, daleko na wschodzie widzieli tylko jedno prao. Wieczorem, kiedy nad czerwonożłotym horyzontem na zachodzie ukazał się wschodni kraniec wyspy Banka, dostrzegli w odległości dwóch mil wynurzający się okręt podwodny, który płynął miarowo na północ. Może widział ich, może nie – szalupa mogła być niewidoczna na tle ciemniejszego morza i nieba na wschodzie, a poza tym jak tylko okręt zaczął się wynurzać, Nicolson kazał zrzucić zdradliwe pomarańczowe żagle, zwłaszcza że na żaglu lugrowym widniał jeszcze bardziej obciążający ich znak "V\$A". Tak czy owak, okręt nie powziął chyba żadnych podejrzeń i znikł z pola widzenia, jeszcze zanim słońce zaszło. Nocy tej przepłynęli przez Kanał MacClesfield. Uważali, że będzie to najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne z czekających ich zadań, gdyby bowiem wiatr ucichł lub zmienił kierunek o kilka stopni, byłiby straceni – rankiem na pewno wypatrzone by ich z lądu. Lecz z północy wiał umiarkowane pasat, tuż po północy po lewej burcie zostawili za sobą Liat i na długo przed świtaniem minęli wyspę Lepar. Szczęście przestało im dopisywać dopiero w południe tego samego dnia. Wiatr wówczas ucichł. Stało się to nagle, ucichł zupełnie. Przez resztę dnia tkwili w tym samym miejscu, niewiele ponad dwadzieścia pięć mil od wyspy Lepar. Późnym popołudniem z zachodu nadleciał samolot – może ten sam, który widzieli przedtem – krążył przez jakąś godzinę nad

nimi, po czym odleciał nie próbując im się naprzykrzać. Słońce właśnie zachodziło i zrywała się lekka bryza, również i tym razem z północy, kiedy

pojawił się drugi samolot – znów nadlatywał z zachodu. Leciał na wysokości około tysiąca metrów, prosto na nich. Nie był to hydroplan, lecz myśliwiec, który nie miał zamiaru robić żadnych wstępów i nie tracił czasu. Niecałą milę od nich zaczął pikować prosto z nieba w dół – dwa działka po obu stronach kadłuba siekły w zapadający mrok czerwonymi sztyletami, pociski rozbryzgiwały wodę wzbijając równoległe rzędy fontann na spokojnej powierzchni morza, zbliżając się coraz bardziej do unieruchomionej i bezradnej szalupy, przesywając ją i sunąc dalej. A może jednak nie była aż tak bezradna, w każdym razie nie wtedy, gdy generał Farnholme chwycił za karabinek automatyczny i zmusił myśliwiec do zatoczenia łuku i odwrotu na zachód w stronę Sumatry. Błyszczący kadłub ociekał strugami czarnego paliwa. Niecałe dwie mile dalej samolot spotkał się z powracającym hydroplanem i obie maszyny zniknęły razem w jasnożółtej poświacie zachodu. Szalupa została przedziurawiona poważnie w dwóch miejscach, lecz o dziwo, tylko jedna osoba była ranna – Van Effen dostał w udo odłamkiem szrapnela. Niecałą godzinę później zaczął wiać wiatr o sile sześciu, siedmiu stopni i zanim się zorientowali, zerwał się tropikalny sztorm. Trwał dziesięć godzin, dziesięć nie kończących się godzin wichru, ciemności i niezwykle zimnego deszczu. Potem nastąpiły nie kończące się godziny kołysania. Wyczerpani ludzie w łodzi walczyli o życie przez całą noc, przez rufę i burty przelewały się fale, nieustannie też woda napływała przez dziury w dnie – zapas drewnianych szpuntów dawno się wyczerpał. Nicolson płynął pełnym wiatrem, zrzuciwszy

kliwer, ze zrefowanym żaglem lugrowym, by utrzymać szybkość sterowną: każda mila dalej na południe przybliżała ich do Cieśniny Sunda. Nic więcej nie mógł zrobić, mógł tylko pozwolić, by sztorm gnał szalupę naprzód. Rufa przedziurawionej łodzi zanurzona była głęboko, kotwica prądowa pogrążyłaby ją tylko głębiej, nie mógł też rzucić kotwicy głównej, by stać w dryfie. Dostateczna szybkość, dostateczna szybkość sterowna oznaczałaby, że żagle muszą pracować taką powierzchnią, jaka mogłaby szalupę pozbawić masztów lub przewrócić przy zwrocie. Brak szybkości sterownej doprowadziłby do tego, że powolna, obciążona wodą szalupa "wypadłaby" z wiatru i została zalana przez bałwany. Wreszcie długa, tragiczna noc dobiegła końca, równie raptownie jak się zaczęła, i wtedy nastąpił początek prawdziwej udręki. Nicolson, oparty o bezużyteczny teraz rumpel, siedząc przy Mc\$kinnonie, który nadal trzymał broń w pogotowiu, usiłował zwalczyć dręczące go, dominujące nad wszystkim uczucie pragnienia. Tłumił ból spuchniętego języka, spękanych warg, poparzonych słońcem, pokrytych pęcherzami pleców i szacował straty. Rozmyślał o tym, jakie zmiany przyniosły te straszne dni, odkąd sztorm się skończył. Godziny ciągnęły się w nieskończoność, mordercze godziny pod bezlitosnym biczem słońca, od początku przerażająco bezwzględne i zaciekle ponad wszelkie wyobrażenie, słońca, które stawało się z każdą chwilą coraz bardziej nie do zniesienia, aż doprowadziło bezradnych, zubożniętych ludzi do załamania fizycznego, moralnego i psychicznego. Nie było już dawnego poczucia wspólnoty, zupełnie ono znikło, jakby nigdy nie istniało.

Wcześniej każda z osób dbała o innych, teraz obchodziło ją tylko własne dobro. Kiedy jakaś

osoba otrzymywała swoją nędzną porcję wody, skondensowanego mleka czy cukierków – zapas sucharów wyczerpał się już przed dwoma dniami – kilkanaście par głodnych oczu śledziło z wrogością łapczywe ruchy jej wychudzonych rąk i spękanych z pragnienia warg. Ważne było jedynie to, czy porcja jest dokładnie odmierzona co do okruszka i kropli. Łapczywość i głód z przerażającą wyrazistością malowały się w nabiegłych krwią oczach ludzi zwłaszcza wówczas, gdy mały Peter dostawał dodatkową porcję wody, której krople ściekały mu po brodzie i kapiąc na gorącą ławkę natychmiast parowały. W takiej chwili zaciskali oni chciwie spalone słońcem dłonie tak mocno, że kłykcie ich przybierały barwę kości słoniowej. Wszyscy osiągnęli taki stan, w którym nawet śmierć wydawała się najlepszym zakończeniem tych tortur i męczarni. McSkinnon czuł, że nie może wypuścić rewolweru z ręki. Jeszcze gorsze od załamania moralnego były zmiany w stanie fizycznym rozbitków. Kapitan Findhorn trawiony bólem zapadł w głęboką lecz niespokojną śpiączkę. Nicolson na wszelki wypadek przywiązał go luźno do rufy i jednej z ławek. Jenkins też leżał przywiązany, ale przytomny. Przytomny, lecz przeżywający własne piekło – strasznie cierpiał, nie było już bowiem bandaży ani niczego innego, czym można by opatrzyć jego straszliwe oparzenia z "Viromy", rozżarzone słońce paliło więc odsłonięte ciało tak niemiłosiernie, że doprowadzało biedaka do szaleństwa. Drapał bez opamiętania głębokie, sięgające do żywego mięsa rany, a pod paznokciami miał zakrzepłą

krew. Teraz ręce miał skrępowane w nadgarstkach liną przywiązaną do ławki – nie dlatego, by mu uniemożliwić rozdrapywanie bolesnych oparzeń, lecz po to, by nie mógł rzucić się z rozpaczą za burtę, czego już dwukrotnie próbował. Potrafił siedzieć nieporuszony przez długie minuty, aż nagle dysząc chrapliwie zaczynał z całej siły szarpać linę, która krępowała mu skrwawione dłonie. Ból doprowadzał go do szaleństwa. Nicolson zastanawiał się, czy nie powinien rozwiązać mu rąk, zastanawiał się, czy ma moralne prawo skazywać tego marynarza na powolną śmierć w męczarniach, czy nie powinien dać mu szansy, by skończył z tym wszystkim szybko i nieodwołalnie, rzucając się do wody. I tak musiał umrzeć, wyczuwało się, że wokół niego krąży śmierć. Rana na ramieniu Evansa i rozplątany nadgarstek Waltersa też wyglądały coraz gorzej. Nie było już na szalupie żadnych zapasów lekarstw i opatrunków, siły żywotne rannych wyczerpały się, sól wody morskiej, wysychającej na poszarpanych bandażach, w gryzała się w otwarte rany. Stan Van Effena był trochę lepszy, bo został on ranny później, a poza tym miał niespotykaną odporność i wytrzymałość. Całymi godzinami leżał bez ruchu, potem w pozycji pólężącej na dnie łodzi opierał się ramionami o ławkę i patrzył przed siebie. Jakby przekroczył już granicę, kiedy sen jest ludziom niezbędny. Przede wszystkim jednak byli załamani psychicznie. Vannier i stary drugi mechanik jeszcze całkiem nie utracili władz umysłowych, lecz u obu rzucały się w oczy oznaki coraz częstszego braku kontaktu z rzeczywistością. Obaj popadali na długo w stan depresji, milczeli lub mamrotali coś pod

nosem, aż nagle zdając sobie sprawę, że ktoś może ich słuchać, uśmiechali się przeprasząco, po czym znów milkli i popadali w depresję. Młoda pielęgniarka Lena okazywała w ogóle brak zainteresowania otoczeniem, zupełnie się nie odzywała, nawet nie mówiła do siebie. Muła odwrotnie – nie popadł w apatię, lecz mimo to też nic nie mówił ani

nie okazywał żadnych uczuć. U niego jednak stan ten niewiele się różnił od normalnego, gdyż zawsze był małomówny. Trudno też było właściwie ocenić stan Gordona, który czasem uśmiechał się szeroko patrząc w dal niewidzącym wzrokiem, a czasami spuszczał głowę i popadał w bezruch. Nicolson od początku nie ufał mu, uważając, że jest wyrachowany i sprytny, w związku z czym kilkakrotnie namawiał – bezskutecznie – kapitana Find-horna, żeby się go pozbyć. Teraz patrzył na niego z udaną obojętnością, usiłując dociec, czy objawy u Gordona są autentyczne, czy też próbuje on naśladować stan, którego opis wyczytał kiedyś w jakimś na poły medycznym artykule – opis zachowań w psychozie maniakalno\_depresyjnej. Natomiast nie można było mieć, niestety, żadnych wątpliwości co do stanu młodego szeregowca Sinclaira – utracił on zupełnie kontakt z rzeczywistością: miał objawy ostrej schizofrenii. Nie wszyscy jednak załamali się fizycznie i psychicznie. Prócz Nicolsona jeszcze dwóch mężczyzn zachowało siły i nie poddawało się wątpliwościom i rozpaczom. Byli to bosman i generał. Mc\$kinnon pozostał dawnym Mc\$kinnonem, nie zmienił się, jakby był niezniszczalny, na jego twarzy nawet malował się ten sam łagodny uśmiech, nadal mówił śpiewnym głosem i nie zapominał o tym, że musi być

uzbrojony. A generał... Nicolson spojrział na niego setny raz i pokiwał głową z niedowierzaniem. Farnholme był wspaniały. W im trudniejszych i bardziej beznadziejnych znajdowali się sytuacjach, tym bardziej generał stawał na wysokości zadania. Za każdym razem kiedy mógł komuś ulżyć w bólu, pomóc osłabionym, osłonić ich od słońca czy wylać wodę z szalupy – rzadko kiedy teraz nie chlupotała ona na dnie, ręczną pompę zniszczył pocisk Japończyków na wyspie – natychmiast ruszał, by spełnić zadanie, z uśmiechem, bez słowa skargi, nie licząc na podziękowanie czy nagrodę. Jak na mężczyznę w tym wieku – już dawno przekroczył sześćdziesiątkę – było to wszystko niebywałe. Nicolson patrzył na niego zdumiony i zafascynowany. Jakby nigdy nie istniał porywczy i głupkowaty pułkownik wywiadowca z tonącego "Kerry Dancera", facet, którego dewizą było: my – im – tu – panie... Dziwne, lecz generał przestał też przeciągać wyrazy w sposób typowy dla absolwentów Sandhurst, tak że Nicolson zastanawiał się, czy sobie tego kiedyś po prostu nie wymyślił. Poza tym niewątpliwie częste w jego ustach jeszcze przed tygodniem niewybredne wyrazy i wiktoriańskie przekleństwa teraz słyszało się tylko w sytuacjach naprawdę usprawiedliwiających ich użycie. Może najbardziej przekonujący dowód na to, że generał się nawrócił – jeśli to właściwe określenie – stanowił fakt, że starszy pan nie tylko zakopał topór wojenny z panną Plenderleith, lecz większość czasu spędzał obok niej, szepcząc coś do ucha. Była teraz bardzo słaba, jakkolwiek język jej nie stracił na ciętości. Z wdzięcznością przyjmowała niezliczone drobne usługi, które świadczył jej Farnholme. Czuło

się, że są teraz razem, co Nicolson obserwował z niewzruszonym wyrazem twarzy, lecz uśmiechając się w duchu. Gdyby byli o trzydzieści lat młodszy, założyłby się, że generał ma pewne plany co do panny Plenderleith. Oczywiście, poważne plany. Przy kolanie Nicolsona coś się poruszyło. Spojrział w dół. Od prawie trzech dni siedziała tam na niższej ławeczce Gudrun Drachmann i co pewien czas przytrzymywała skaczącego na ławce przed nią chłopczyka – dzięki nie ograniczonym porcjom jedzenia i wody, jakie dostawał od panny Plenderleith i Mc\$kinnona, mały był jedyną osobą, która miała nadwyżki energii. Długie

godziny trzymała go w ramionach i tuliła do snu. Musiały jej bardzo dokuczać skurcze i zdrętwienia, lecz ani razu się nie poskarżyła. Twarz miała teraz wychudłą, wystające kości policzkowe, a szrama na lewym policzku, jeszcze bardziej sina, wyglądała coraz okropniej na ciemniejącej z godziny na godzinę w słońcu twarzy. Uśmiechnęła się lekko do Nicolsona zbolalymi, spękanymi od słońca ustami, odwróciła się i ruchem głowy wskazała na chłopczyka. Zauważył to Mc\$kinnon, który właściwie zinterpretował jej intencje, uśmiechnął się i zanurzył czerpak w resztkach ciepłej, stęchłej cieczy w pojemniku. Jakby na dany sygnał kilkanaście głów uniosło się i zaczęło śledzić każdy ruch czerpaka, wpatrywać się w rękę Mc\$kinnona uważnie przelewającą wodę do kubka, obserwować łapczywość, z jaką chłopiec chwycił naczynie w pulchne rączki i natychmiast zachłannie wypił. Potem wszystkie głowy odwróciły się od Petera i pustego kubka w stronę Mc\$kinnona. Nabiegłe krwią oczy ludzi zmętniały były od

cierpienia i nienawiści, lecz Mc\$kinnon uśmiechnął się łagodnie po swojemu, a ręka, w której trzymał rewolwer, nawet mu nie drgnęła. \* \* \* Noc, która wreszcie zapadła, przyniosła im tylko niewielką ulgę. Znikł żar rozpalonego słońca, lecz powietrze nadal było bardzo gorące, obezwładniające i duszne. Nędzna porcja wody, którą wszyscy dostali tuż po zachodzie, tylko zaostrzyła im pragnienie, i tak nieznośne i niepohamowane. Przez jakieś trzy godziny po zachodzie ludzie kręcili się niespokojnie na swoich miejscach w szalupie, niektórzy nawet próbowali rozmawiać, lecz rozmowy były krótkie i urywane – odmawiały im posłuszeństwa wysuszone gardła i pokryte pęcherzami wargi. Ponadto każdy podświadomie liczył się z tym, w tej beznadziejnej sytuacji – jeśli nie zdarzy się jakiś cud – zachód słońca tego wieczoru będzie dla niektórych ostatnim zachodem w życiu. Lecz doznali wreszcie ulgi – wyczerpani psychicznie i fizycznie głodem, pragnieniem i całodziennym żarem słońca, wysysającym z nich siły, wkrótce zasnęli niespokojnym snem. Nicolson i Mc\$kinnon też zasnęli. Nie mieli zamiaru tego robić, chcieli na zmianę pełnić wachtę, ale wyczerpanie też dało się im we znaki, drzemali więc z głowami pochylonymi na pierś, budząc się raptownie co jakiś czas. Za którymś razem Nicolson miał wrażenie, że słyszy jakiś hałas. Zawołał cicho, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Zawołał ponownie i znów nikt się nie odezwał. Sięgnął więc pod siedzenie i wyciągnął latarkę. Bateria była już prawie wyczerpana, lecz nikłe żółte światło wystarczyło, by się upewnić, że w łodzi panuje

spokój – wszyscy leżeli na swoich miejscach – czarne, bezkształtne nieporuszone cienie były rozciągnięte na ławkach i dnie niemal dokładnie tam, gdzie leżały o zachodzie. Jakiś czas później, kiedy znów się przebudził, mógłby przysiąc, że zza mgły jakby narkotycznego snu dociera do niego plusk wody. Znów więc sięgnął po latarkę. Lecz i tym razem nic się nie działo, wszyscy leżeli nieruchomo, nikt się nie poruszał. Policzył cienie, była ich właściwa liczba – oprócz niego, dziewiętnaście. Przez pozostałą część nocy już nie zmrużył oka, z wysiłkiem walczył z powalającym go zmęczeniem, ciężkimi jak ołów powiekami, otępiąłym umysłem, nie zważając na potrzeby wysuszonego gardła i spieczonego, spuchniętego języka, który zdawał się wypełniać mu całe usta. Powinien przecież pozwolić oczom, aby się zamknęły i zakosztowały kilku błogosławionych godzin zapomnienia. Lecz coś w jego podświadomości powtarzało mu, że nie może sobie na to pozwolić, że szalupa i życie

dwadzieścioro ludzi jest w jego rękach. A kiedy te argumenty nie wystarczały, myślał o małym Peterze, który spał niecały metr dalej, i znów przestawała go nękać senność. I tak ciągnęła się w nieskończoność noc, która była ucieleśnieniem wyobrażenia najgorszej nie przespanej nocy. Wreszcie, po długich, długich godzinach na horyzoncie od wschodu pokazały się pierwsze bladoszare smugi. Mijały minuty. Na tle szarzejącego nieba zaczynał wyraźnie widzieć sylwetkę masztu, potem linię rufy, później zaś mógł już rozróżnić sylwetki ludzi leżących w łodzi. Najpierw spojrzął na chłopca. Peter nadal spokojnie spał tuż

obok, owinięty w koc, spod którego wyglądała tylko twarzyczka, robiąca w mroku wrażenie białej, zamazanej plamy. Głowę chłopczyk miał złożoną w załamaniu ramienia Gudrun Drachmann. Ona sama nadal siedziała na niższej ławeczce, odchylona, z głową opartą o ławkę. Pochyliwszy się Nicolson stwierdził, że głowa Gudrun nie jest oparta swobodnie, lecz dotyka kantu ławki, który brutalnie wrzyna jej się w lewy policzek. Ostrożnie więc uniósł jej głowę i podłożył pod nią róg podwójnie złożonego koca. Wiedziony osobliwym impulsem, delikatnie odsunął z twarzy dziewczyny granatowoczarne pasmo włosów, które opadło na długą siną szramę. Zatrzymał na chwilę rękę na policzku dziewczyny, aż nagle dostrzegł w mroku blask jej oczu – zorientował się, że Gudrun nie śpi. Nie poczuł się jednak zakłopotany ani winny, uśmiechnął się tylko do niej bez słowa. Musiała dostrzec błysk jego białych zębów na tle mocno opalonej twarzy, bo odwzajemniła mu uśmiech, dwa razy lekko otarła się zranionym policzkiem o jego dłoń i powoli się wyprostowała, ostrożnie, by nie zbudzić chłopca. Szalupa była teraz głębiej zanurzona, na jej dnie stało nad podłogą z dziesięć centymetrów wody. Nicolson wiedział, że najwyższy czas wodę wyczerpać. Narobiłby przy tym jednak hałasu i zbudził ze snu pozwalającego zapomnieć o twardej rzeczywistości kolejnego dnia. Jeszcze z godzinę można było z tym poczekać, mimo że wiele osób miało nogi po kostki w wodzie, a kilka dosłownie w niej siedziało. Czym jest jednak taka niewygodna w porównaniu z męczarniami, które ich czekają do następnego zachodu. Nagle zobaczył coś, co całkiem go odwiodło od myśli, by nic nie

robić, od myśli, że jest senny. Obudził natychmiast Mc\$kinnona – musiał to zrobić, bo inaczej, gdyby go nie ostrzegł, oparty o niego bosman mógł upaść – wstał, przekroczył ławkę i ukląkł na niższej ławeczce. Leżał tam w dziwacznej pozie, na wpół rozkraczony, na wpół klęcząc Jenkins. Był straszliwie poparzony. Pokrwawione nadgarstki nadal miał przywiązane liną do ławki, głowę opartą o poszycie dna. Nicolson pochylił się, złapał go za ramię i potrząsnął, lecz Jenkins tylko przewrócił się na bok, nie wykonawszy żadnego ruchu. Nicolson znów nim potrząsnął, tym razem gwałtowniej, zawołał po imieniu, lecz Jenkins już nigdy nie miał się obudzić ani usłyszeć swojego imienia. Albo przez przypadek, albo celowo zsunął się w nocy z ławki – mimo krępującej go liny – i utopił w głębokiej na kilkanaście centymetrów wodzie, która stała na dnie. Nicolson wyprostował się i spojrzął na Mc\$kinnona, który ze zrozumieniem skinął głową. Widok trupa pośród nich wpłynąłby niekorzystnie na morale rozbitków. Powinni więc, zanim wszyscy się obudzą, wrzucić ciało po cichu do morza. Fakt, że muszą to zrobić nie dokonując nawet najkrótszego obrządku pogrzebowego, wydawał się niewielką ceną za spokój pozwalający pozostałym zachować zdrowe zmysły i nie zwariować na widok towarzysza, którego już spotkało to, co miało w

końcu spotkać ich wszystkich. Ciało Jenkinsa było jednak cięższe, niż przypuszczali, poza tym zablokowało się między ławkami. Zanim Mc\$kinnon zdążył rozciąć nożem liny i pomóc Nicolsonowi przeciągnąć ciało na boczną ławkę, co najmniej połowa osób już się obudziła i przyglądała ich zmaganiom,

wiedząc, że Jenkins nie żyje. Osoby te jednak patrzyły na nich przygasłym wzrokiem, jakby nie rozumiały, co się dzieje. Nikt się nie odezwał. Wyglądało na to, że Nicolson z Mc\$kinnonem mogą wyrzucić trupa za burtę i nikt nie zacznie histerycznie krzyczeć ani urządzać scen. Nagle jednak na dziobie rozległ się piskliwy okrzyk, a właściwie wrzask, który poderwał głowy nawet tych najbardziej znużonych i apatycznych. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Nicolson i Mc\$kinnon, osłupiali, upuścili ciało i odwrócili się w stronę dziobu. W ciszy tropikalnego świtu krzyk zdawał się tym głośniejszy. Wydobywał się z ust szeregowca Sinclaira. Chłopak jednak nie patrzył ani na trupa, ani nawet w tym kierunku. Klęczał na deskach podłogi kołysząc się naprzód i w tył, wpatrzony w kogoś, kto leżał rozciągnięty na plecach. Kiedy Nicolson spojrział na niego, chłopak rzucił się w bok, złożył głowę na rękach opartych na rufie i zaczął cicho jęczeć. Po trzech sekundach Nicolson był już przy nim. Spojrział w dół na człowieka, który leżał na dnie. Nie leżał jednak całkiem wyciągnięty, bo nogi miał oparte podudziami o ławkę; sterczały dziwacznie w niebo, jak gdyby spadł z siedzenia na plecy. Tył głowy zanurzony miał w wodzie głębokiej na kilka centymetrów. Był to mułła Ahmed, dziwny i małomówny przyjaciel Farnholme'a. Nie żył. Nicolson pochylił się nad nim, wsunął szybko rękę za połę jego czarnej szaty, by zbadać, czy bije serce, lecz równie szybko ją cofnął. Ciało było zimne i wilgotne – mężczyzna od dawna już nie żył. Niemal nieświadomie Nicolson pokiwał w osłupieniu głową, spojrział na Mc\$kinnona i ujrzał

w jego twarzy swoje własne osłupienie. Znow zerknął w dół, pochylił się nad ciałem, żeby podnieść je za ramiona. I wtedy doznał wstrząsu. Nie mógł unieść ciała wyżej niż na kilka centymetrów. POnownie spróbował, lecz i tym razem mu się nie udało. Dał znak Mc\$kinnonowi, by podniósł ciało z drugiej strony, sam zaś ukląkł i pochylił się tak nisko, że niemal dotknął twarzą wody. Wtedy zrozumiał, dlaczego jego wysiłki były daremne. Mułła miał wbity między łopatki nóż aż po rękojeść, która zablokowała się między deskami podłogi. Rozdział jedenasty Nicolson powoli wstał i otarł czoło przedramieniem. Jak na tę porę dnia było już gorąco, lecz nie z tego powodu wykonał ten gest. Jego lewa ręka zwisała swobodnie wzdłuż boku, w mocno zaciśniętej dłoni trzymał colta. Nie pamiętał chwili, kiedy wyciągnął go zza paska. Wskazał na leżące ciało mułły. – On nie żyje. – Cichy głos zabrzmiał donośnie pośród panującej ciszy. – Ktoś wbił mu nóż między łopatki. Ktoś z nas go zamordował. – Nie żyje? Powiedział pan, że nie żyje? Wbito mu nóż między łopatki? – Farnholme z wykrzywioną twarzą rzucił się naprzód i przyklęknął u boku zamordowanego. Po chwili był już z powrotem na nogach; zaciskał zbiele usta, tym bielsze, że twarz miał ściemniałą od słońca. – Tak, nie żyje. Nicolson, niech mi pan da tego colta. Wiem, kto to zrobił. – Niech pan to puści! – Nicolson odepchnął go na odległość wyciągniętej ręki. – Przepraszam, generale, póki jednak kapitan jest niesprawny, ja tu dowodzę. Nie mogę pozwolić, by pan sam wymierzał



sprawiedliwość. Kto to zrobił? – Oczywiście, że Siran! – Farnholme już odzyskał równowagę, lecz z jego oczu ziała furia. – Niech pan spojrzysz, jak głupio się uśmiecha ten przeklęty pies, ten morderca. – "Uśmiechnięty, a nóż dzierży pod opończę" – powiedział Willoughby cicho i spokojnie, był opanowany, sen dobrze mu zrobił. – Nikt nie dzierży noża pod opończę, nóż sterczy między łopatkami Ahmeda – zaproponował rzeczowym tonem Nicolson. – I to dlatego, że nie przedsięwzięłem środków ostrożności – dodał z goryczą, jakby nagle coś sobie przypomniał czy zrozumiał. – Zapomniałem, że w tej szalupie był nóż i dwa toporki... Generale, dlaczego myśli pan, że to Siran? – Dobry Boże, człowieku, przecież to oczywiste, że Siran! – Farnholme wskazał na ciało. – Szukamy człowieka, który mógł zabić z zimną krwią, prawda? Kto inny więc mógł to zrobić? Nicolson spojrział na niego. – Ma pan jeszcze inne argumenty? – Co pan przez to rozumie? – Doskonale pan wie. Nie uroniłbym nad Siranem ani jednej łzy więcej niż pan, ale musimy się opierać na faktach. – A jakich jeszcze faktów pan chce? Ahmed siedział twarzą do rufy, prawda? Nóż wbito mu w plecy. Zrobił więc to ktoś z części dziobowej... a tylko trzy osoby siedziały bliżej dziobu niż on: Siran i jego dwóch bandziorów. – Nasz przyjaciel jest przemęczony – odezwał się Siran gładko, głosem tak pozbawionym wyrazu jak jego twarz. – Zbyt wiele dni spędzonych w otwartej łodzi na morzu w tropikach może człowiekowi strasznie zaszkodzić.

Farnholme chciał się rzucić na niego z zaciśniętymi pięściami, lecz Nicolson i McSkinnon chwycili go za ramiona i powstrzymali. – Niech pan nie będzie głupcem – rzucił ostro Nicolson. – Bijatyka nic tu nie pomoże, nie możemy sobie na nią pozwolić w tej małej szalupie. – Puścił ramię Farnholme'a i spojrział z namysłem na Sirana. – Pewnie ma pan rację, generale. Rzeczywiście słyszałem w nocy, że ktoś się rusza na dziobie, i słyszałem też jakby głuchy odgłos. Potem plusk. Lecz sprawdziłem miejsce muły. – Nie ma jego worka. Ciekaw jestem, czy domyśla się pan, co z nim się stało? – Widziałem jego worek – odparł cicho Nicolson. – Był z płótna, nieciężki. Nie zatonałby. – Niestety, chyba by zatonał. – McSkinnon wskazał głową na dziób. – Znikła też kotwiczka. – Przyczepili ją do worka, by łatwo poszedł na dno. – No właśnie, tak to wyglądało – wtrącił niecierpliwie Farnholme. – Zabili Ahmeda, a jego worek wyrzucili za burtę. Raz i drugi słyszał pan hałas i za każdym razem widział pan, że muła siedzi. Ktoś go na pewno podtrzymywał... może za rękojeść noża wbitego w plecy. A ten, kto go podtrzymywał, musiał siedzieć za nim, bliżej dziobu. Wiadomo, że siedziało tam tych trzech przeklętych morderców. – Farnholme oddychał ciężko, pięści zacisnął tak, że zbieleły mu kłykie, nie spuszczał wzroku z Sirana. – Wygląda na to, że macie rację – przyznał Nicolson. – A jak wyglądała reszta? – Czego reszta? – Doskonale pan wie. Przecież nie zabili go tylko po to, by nie wyjść z wprawy. Dlaczego więc go zabili? – A skąd ja mam to, do diabła,

wiedzieć? – Niech pan słucha, generale – westchnął Nicolson. – Nie jesteśmy tu wszyscy kretydami. Oczywiście, że pan wie. Od razu podejrzewał pan Sirana. Podejrzewał pan, że zniknął worek Ahmeda. A poza tym Ahmed był przecież pana przyjacielem. W głębi oczu Farnholme'a zamigotała na chwilę iskierka, zmieniły przez to wyraz, który znalazł swe odbicie w wyrazie ust Sirana, raptownie zaciśniętych, jak gdyby dwaj mężczyźni wymieniali baczne spojrzenia, może porozumiewawcze, a może zupełnie inne. Lecz ponieważ słońce

jeszcze nie wstało, Nicolson nie miał pewności, czy mu się nie wydawało, że oni spojrzeli na siebie znacząco, a poza tym podejrzenie, że pozostają w zмовie, wydawało mu się niedorzeczne. Wystarczy przecież dać Farnholme'owi rewolwer, by Siran stał się wspomnieniem. – Rzeczywiście, ma pan prawo to wiedzieć. – Farnholme jakby bardzo się pilnował goniąc jednocześnie myślami szaleńczo naprzód, by wymyślić historię, która wydawałaby się prawdopodobna. – To już teraz bez znaczenia, można wszystko powiedzieć. – Odwrócił wzrok od Sirana i spojrzał na leżące u jego stóp ciało zamordowanego. – Mówi pan, że Ahmed był moim przyjacielem. – Wyraz jego twarzy i ton głosu zmiękły. – Owszem, to prawda, ale dopiero od bardzo niedawna, i to dlatego, że strasznie potrzebował kogoś bliskiego. Nazywał się Jan Bekker, był ziomkiem Van Effena. Przez wiele lat mieszkał na Borneo... holenderskim Borneo... niedaleko Samarindy. Jako przedstawiciel dużej amsterdamskiej firmy i nadzorca całej sieci nadrzecznych plantacji kauczuku. Robił poza tym wiele innych

rzeczy. – To znaczy, jakich rzeczy? – nalegał Nicolson, gdyż generał zamilkł na chwilę. – Dokładnie nie wiem. Był czymś w rodzaju agenta rządu holenderskiego. Wiem tylko tyle, że kilka tygodni temu otwarcie zdemaskował dobrze zorganizowaną japońską Piątą Kolumnę na Wschodnim Borneo. Dziesiątki Japończyków aresztowano, wielu od razu zastrzelono. Udało mu się też zdobyć pełną listę japońskich agentów i ludzi Piątej Kolumny w Indiach, Birmie, na Malajach i w Indiach Wschodnich. Miał ją w tym worku, dla aliantów była warta fortunę. Japońce wiedzieli o tym, że ją ma, wyznaczyli za jego głowę fantastyczną cenę... za żywego lub martwego... i podobnie fantastyczną nagrodę wyznaczyli za dostarczenie czy zniszczenie tej listy. Sam mi o tym mówił. Siran skądś wiedział o tym wszystkim... ot, i cała historia. Zarobił swoją forszę, ale przysięgam przed Bogiem, że nie dożyje chwili, kiedy miałby ją dostać. – Aha, to z tych wszystkich względów Bekker, czy jak tam naprawdę się nazywał, nosił przebranie? – To był mój pomysł – odparł Farnholme ciężko wzdychając. – Wydawało mi się, że jest nadzwyczaj sprytny. Mułta to taki sam kapłan jak każdy inny... kapłan, który staje się renegatem, pije whisky i tak dalej, jest godny pogardy, wszyscy go unikają. Starąłem się, jak mogłem udawać jego najbardziej rozwiązłego towarzysza. A jednak okazało się, że nie starczyło nam sprytu. Na Bekkera polowano jak Indie Wschodnie długie i szerokie. – I tak miał szczęście, że udało mu się dotrzeć aż tutaj – przyznał Nicolson. – To z jego

powodu Japońce tak się na nas zawzięli? – Jak Bóg na niebie, czułowieku, to chyba oczywiste! – Farnholme niecierpliwie potrząsnął głową i spojrzał na Sirana, lecz teraz bez gniewu, tylko zimno i nieugięte. – Prędzej bym uwolnił kobrę na tej szalupie, niż puścił wolno tę świnię, tego mordercę. Nie chcę, by jego krew splamiła panu ręce. Proszę mi dać rewolwer. – Jak to świetnie pomyślane – mruknął Siran. Nicolsonowi przyszło do głowy, że czego jak czego, lecz odwagi mu nie brakuje. – Gratulacje, Farnholme. Chylę głowę. Nicolson spojrzał na niego z zaciekawieniem, potem na Farnholme'a. – O czym on mówi? – A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć? – rozżłościł się Farnholme. – Marnujemy tylko czas. Proszę mi dać broń! – Nie. – Dlaczego, na miłość boską? Człowieku, nie bądźże głupcem. Póki on cieszy się wolnością na tej szalupie, życie nas wszystkich wisi na włosku.

– Prawdopodobnie tak – zgodził się Nicolson. – Ale podejrzenia, nawet najpoważniejsze, to jeszcze nie dowody. Nawet Siran ma prawo do procesu. – W imię Boga, zrozumże, człowieku! – Farnholme był już na dobre zirytowany. – Czy nie wie pan, że stosowanie niebywałych anglosaskich zasad fair play i sprawiedliwości wymaga odpowiedniego miejsca i czasu? A tu ani czas, ani miejsce. Tu chodzi o przetrwanie. – Wiem o tym – skinął głową Nicolson. – Siran nie rozpoznałby nawet palanta do krykieta. Niech pan wraca na swoje miejsce, generale. Życie pozostałych ludzi na tej szalupie też mnie obchodzi.

Bosmanie, proszę przeciąć rzutkę na trzy części i związać te trzy typy. Nie zaszkodzi zrobić to mocno. – Naprawdę? – Siran uniósł brwi. – A co będzie, jeśli nie damy tego z sobą zrobić? – Jak wam się podoba – rzucił obojętnie Nicolson. – Mogę generałowi przekazać broń. Mc\$kinnon zabrał się bardzo skrupulatnie do roboty, by unieszkodliwić Sirana i jego dwóch ludzi, nie odmawiając sobie przyjemności zaciągnięcia mocno węzłów. Kiedy skończył, trzech mężczyzn skrępowani byli za ręce i nogi, tak by nie mogli się ruszyć. Bosman zdecydował się też na dodatkowe środki ostrożności i przywiązał liny do żelaznego kołka przy nakładce dziobnicy. Farnholme już nie protestował. Wyraźnie jednak było widać, że wróciwszy na miejsce usadowił się teraz na ławce między panną Plenderleith a rufą, by móc stamtąd widzieć i kobietę, i część dziobową łodzi. Obok niego leżał na ławce karabinek. Po wykonaniu zadania Mc\$kinnon przeszedł na rufę i usiadł obok Nicolsona. Przyniósł czerpak i kubek z podziałką, gotów podawać poranne racje wody. Nagle zwrócił się do Nicolsona licząc na to, że skoro kilka osób rozmawia – a wszyscy szybko ucichną, gdy słońce ukaże się zza horyzontu – nie będzie słyszał jego słów dalej niż na pół metra. – Do Darwin jeszcze koszmarnie długa droga – powiedział zagajając. Nicolson niby to wzruszył ramionami i uśmiechnął się, lecz jego ściągnięta troską twarz i tak się nie rozjaśniła. – Wy też, bosmanie? Może podjąłem niesłuszną decyzję. Jestem pewien, że Siran nigdy nie stanie przed sądem. Ale nie mogę go zabić. Jeszcze nie

teraz. – On tylko czeka na okazję. – Mc\$kinnon martwił się podobnie jak Nicolson. – To morderca. Przecież słyszał pan opowieść generała. – W tym problem. Tak, słyszałem jego opowieść. – Opuścił ciężko głowę, spojrzał na Farnholme'a, zerknął na Mc\$kinnona i przeniósł wzrok na swoje ręce. – Nie uwierzyłem ani jednemu jego słowu, do cholery. To wszystko łgarstwa. \* \* \* Słońce wytoczyło się zza horyzontu jak wielka rozpalona kula. Po niecałej godzinie ucichły wszelkie rozmowy, ludzie wycofali się do swoich skorup, w których mogli trwać obojętnie, każdy sam na sam we własnym piekle pragnienia i bólu. Godziny wlokły się w nieskończoność, słońce wspinało się coraz wyżej w pustej przestrzeni wypłowiałego, bezwietrznego błękitu, szalupa tkwiła nieruchomo od kilku dni w tym samym miejscu. Nicolson jednak wiedział, że przesunęli się przez ten czas o wiele mil na południe, bo znosił ich prąd, który przez jedenaście miesięcy miał taki kierunek: ze Straat Banka do Cieśniny Sunda. Lecz nie było tego oczywiście widać – wydawało się, że szalupa tkwi nieruchomo na wodzie. Na szalupie też panował bezruch. Słońce sięgało zenitu, najlżejszy ruch wymagał wielkiego wysiłku i powodował ogromne zmęczenie, ludzie łapali oddech rżąc chrapliwie przez wyschłe na wiór usta i spękane, pokryte bąblami wargi. Od czasu do czasu chłopczyk ruszał się i mówił do siebie własnym językiem, lecz w miarę upływu

dnia, kiedy gorące i wilgotne powietrze stawało się coraz bardziej duszne i nie do zniesienia, mały robił się nieruchawy i małomówny, aż w

końcu kładł się na kolanach Gudrun i wpatrywał w jej jasne, niebieskie oczy. Niebawem jednak powieki robiły mu się coraz cięższe, aż opadały, i chłopiec zasypiał. Nicolson wyciągnął ramiona na znak, że chciałby ulżyć dziewczynie i wziąć na pewien czas małego, lecz ona tylko potrząsnęła głową z uśmiechem. Nagle uświadomił sobie wyraźnie, jakby odkrył coś cudownego, że ona zawsze się uśmiecha, kiedy mówi, no, może nie zawsze, lecz jeszcze nie słyszał z jej ust skargi ani nie widział na jej twarzy niezadowolenia. Zorientował się, że dziewczyna dziwnie na niego patrzy, uśmiechnął się więc z przymusem i odwrócił wzrok. Od czasu do czasu z bocznych ławek na prawej burcie dolatywały głosy. Nicolson nawet nie mógł się domyślać, jaki temat do rozmów znaleźli sobie generał z panną Plender-leith, lecz niewątpliwie znaleźli, i to niejedną. W przerwach siedzieli patrząc sobie w oczy, generał trzymał przez cały czas jej wychudłą rękę. Przed dwoma, trzema dniami wydawało się to Nicolsonowi trochę śmieszne, wyobrażał sobie Farnholme'a, jak o wiele młodszy stoi przy eleganckim powozie przed wyjściem dla aktorów, elegancko ubrany w nieskazitelnie biały krawat, we fraku z goździkiem w butonierce, o kruczoczarnych włosach i wąsach, które dzisiaj były śnieżnobiałe. Lecz teraz już nie widział w tym nic śmiesznego. Było to raczej spokojne, tragiczne oczekiwanie na koniec, Darby i Joan czekają razem niczego się nie bojąc. Przesunął powoli wzrokiem po innych postaciach. Od wczoraj nie zaszły żadne widoczne zmiany, prócz tego, że wszyscy byli słabsi, bardziej wyczerpani, niemal bez sił,

które mogłyby im pozwolić przesunąć się tam, gdzie jeszcze padał nikły cień strzępów żagla. Pogrążyli się w apatii. Nie trzeba było mieć oka lekarza, by stwierdzić, że w ich przypadku naprawdę niewiele dzieliło ich od śmierci. Niektórzy tak głęboko popadli w ten stan, że podnosili się po południową ramię wody z przymusem, a kilka osób miało nawet trudności z jej przełykaniem. Niewielu przetrzyma dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Nicolson wiedział, gdzie w przybliżeniu znajduje się teraz szalupa, miał ze sobą sekstant – w okolicy latarni Noordwachter, jakieś pięćdziesiąt mil na wschód od wybrzeży Sumatry. Jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie przyjdzie deszcz ani wiatr, będą mogły już nigdy nie przychodzić. W ich sytuacji było jednak też coś pozytywnego, jedna radosna rzecz: to, że kapitan miał się lepiej. Niedługo po wschodzie słońca przebudził się ze śpiączki, siedział teraz na poprzecznej ławeczce między dwoma ławkami wioślarzy i zdawało się, że postanowił już nie tracić przytomności. Mówił normalnie – to znaczy na tyle normalnie, na ile pozwalało mu, podobnie jak innym, wyschłe z pragnienia gardło – i nie pluł już krwią. Przez ostatni tydzień bardzo stracił na wadze, lecz mimo to wyglądał teraz na silniejszego niż w ciągu ostatnich dni. To, że ten człowiek przeżył z kulą w płucach lub między żebrami trudy ostatniego tygodnia, całkiem pozbawiony opieki lekarskiej i leków, wydawało się Nicolsonowi cudem i nigdy by nie uwierzył na słowo, że to możliwe. Lecz nawet widząc to na własne oczy, z niedowierzaniem myślał o tym, jak wiele jeszcze sił żywotnych ma w sobie kapitan, który jest

już przecież w wieku emerytalnym. Tym bardziej to zadziwiające, że nie miał przecież dla

kogo i dla czego żyć: ani żony, ani rodziny, po prostu nie pozostało mu nic, co mogłoby mu dodać odwagi i przyśpieszyć powrót do zdrowia. Mimo jego dobrego samopoczucia trudno było zapomnieć o tym – i tym bardziej to przygnębiało – że stan jego zdrowia jest poważny i że koniec może nastąpić bardzo szybko. Może sił dodawało mu poczucie odpowiedzialności? Trudno powiedzieć, właściwie nie sposób to stwierdzić. Nicolson uświadomił sobie, że jest zmęczony, zbyt zmęczony i obojętny, by się tym nadal wszystkim przejmować. Nie ma to znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Zamknął oczy, by odpocząły od ostrego, migotliwego blasku morza, i cichutko zasnął w południowym słońcu. Obudziły go odgłosy bulgotania, jakby ktoś obok pił wodę, lecz nie te małe racje gorącego, stęchłego płynu rozdawanego przez Mc\$kinnona trzy razy dziennie, tylko wodę z przytkniętego do ust wiadra; jakby ten ktoś pił ją wielkimi haustami bulgocąc i prychnając. Najpierw Nicolson pomyślał, że może ktoś przebił pojemnik z resztkami zapasów, zaraz jednak się przekonał, że dzieje się coś zupełnie innego. Na ławce przy maszcie siedział szeregowiec Sinclair. Głowę miał odrzuconą do tyłu, w ręce trzymał przytknięty do ust duży czerpak, z którego właśnie wysączał resztki wody. Nicolson wstał sztywno na nogi, ostrożnie przeszedł między rozciągniętymi na ławkach ciałami bliżej dziobu i wyjął chłopakowi czerpak z ręki, która nie stawiała oporu. Podniósł czerpak do ust i wlał w nie ostatnie krople. Skrzywił się,

bo miały gorzkosłony smak. Była to woda morska. Spodziewał się tego. Chłopak patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma, z których wзираło szaleństwo i godna pożałowania przekora. Co najmniej kilku ludzi przyglądało im się z wyrazem przygnębienia i obojętności. Nic ich to nie obchodziło. Niektórzy na pewno widzieli, jak Sinclair nabierał czerpakiem wody i jak ją pił, lecz nikt się nie ruszył, by mu w tym przeszkodzić. Nikt nawet nie wydał głosu. Może uważali, że to dobry pomysł. Nicolson pokiwał głową i spojrzał na chłopaka. – Piłeś wodę morską, prawda? Sinclair nie odpowiedział. Poruszał wargami, jak gdyby formułując słowa, lecz z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Oczy szaleńca, szeroko otwarte, matowe i puste, wpatrywały się w Nicolsona, lecz powieki ani drgnęły. – Czy dużo wody wypijeś? – nalegał Nicolson. Tym razem chłopak odpowiedział długą, monotonną wiązką przekleństw wyrzeszczanych łamiącym się głosem. Nicolson stał przez chwilę patrząc na niego w milczeniu, po czym ze znużeniem wzruszył ramionami i odwrócił się. Sinclair na wpół uniósł się z ławki wyciągając szponiaste dłonie po czerpak, lecz Nicolson pchnął go lekko z powrotem na ławkę. Chłopak usiadł ciężko, pochylił się naprzód, ukrył twarz w dłoniach i powoli kiwał głową z boku na bok. Nicolson wahał się chwilę, po czym powrócił na rufę. Południe nastało i minęło, słońce przeszło przez zenit, z nieba lał się jeszcze większy żar. Na szalupie panowało absolutne milczenie i bezruch, ucichły nawet szepty Farnholme'a i panny Plenderleith – ci dwoje też zapadli w niespokojny sen. I wówczas, tuż po trzeciej po

południu, kiedy nawet najbardziej roztropni uwierzyli, że znajdują się w bezmiarze czyśćca, nagle nastąpiła zmiana. Zmiana sama w sobie niewielka, lecz równie nagła jak niespodziewana, początkowo ledwie widoczna, tak że nikt jej nawet nie zauważył ani nie objął jej ogromu wyczerpanym umysłem. Pierwszy dostrzegł ją Mc\$kinnon, dostrzegł i zrozumiał, co ona oznacza, lecz siedział nadal wyprostowany na rufie, mrużąc oczy od odbitego od powierzchni morza blasku słońca, bądź przeszukując wzrokiem horyzont z

północy na wschód. Kilka sekund później wbił palce w ramię Nicolsona i potrząsnął nim. – Co się stało, bosmanie? – spytał szybko obudzony. – O co chodzi? Lecz Mc\$kinnon nie odezwał się, siedział patrząc na niego, rozciągając spękane, obolałe usta w uśmiechu wyrażającym absolutne szczęście. Nicolson wpatrywał się w niego przez chwilę nic nie rozumiejąc, podejrzewając, że bosman też, niestety, stracił panowanie nad sobą, aż raptem pojął, co się stało. – Wiatr! – Głos jego był ledwie chrapliwym szeptem, lecz wyraz jego twarzy mówił wszystko, twarzy, na której poczuł pierwsze powiewy o kilka stopni chłodniejsze niż duszny żar panujący jeszcze przed kilkoma minutami. Niemal natychmiast zrobił to samo, co przedtem Mc\$kinnon, to znaczy zaczął się wpatrywać w horyzont od północy po wschód. Nagle, po raz pierwszy w życiu, klepnął mocno uśmiechniętego bosmana w plecy. – Wiatr! I chmura! Widzicie? – Wskazał ręką daleko na północny wschód: zza horyzontu zaczęła wypływać niebieskawopurpurowa chmura. – Oczywiście. Nie ma co do

tego wątpliwości. Sunie w naszą stronę. – I wiatr z każdą chwilą przybiera na sile. Czujecie to? – Potrząsnął za ramię śpiącą pielęgniarkę. – Gudrun! Obudź się, obudź się! Poruszyła się, otworzyła oczy i spojrzała na niego. – Johnny, co się stało? – Pan Nicolson do ciebie – zażartował poważnym tonem, lecz uśmiechał się zachwycony. – Chcesz zobaczyć najwspanialszy widok na świecie? – Dostrzegł cień rozpaczy w jasnym błękicie jej oczu, zrozumiał, o czym pomyślała, znów więc się uśmiechnął. – Chmura deszczowa, ty zakuta głowo! Wspaniała, cudowna chmura. Proszę cię, obudź kapitana. Miało to zdumiewający wpływ na wszystkich w szalupie. Zaszła w nich niewiarygodna odmiana. Po dwóch minutach wszyscy już byli przebudzeni, obrócili głowy i ochoczo zaczęli patrzeć w stronę północnego wschodu, rozmawiając z uniesieniem. Wszyscy prócz Sinclaira, którego to nic nie obchodziło – siedział ze wzrokiem wbitym w dno szalupy, absolutnie obojętny. Lecz tylko on. Jeśli chodzi o pozostałych, to zachowywali się tak, jakby byli skazańcami, którym nagle darowano życie, co zresztą było prawie dosłownie zgodne z prawdą. Findhorn zarządził, by wszystkim rozdano dodatkowe racje wody. Długi wał chmur wyraźnie się zbliżał. Coraz silniejszy i chłodniejszy wiatr omywał im twarze. Powróciła nadzieja, znów warto było żyć. Nicolson zdawał sobie jednak sprawę, że podniecenie i ruch, jakie zapanowały, mają podłoże wyłącznie psychiczne, wysysają więc ze wszystkich – o czym nikt nie wie – ostatnie zapasy sił. Potem każde rozczarowanie, każda nagła zmiana sytuacji na gorszą będą równoznaczne z wyrokiem

śmierci. Wyglądało jednak na to, że los zaczął im sprzyjać. – Za ile, chłopcze? Jak myślisz? – spytał Farnholme. – Trudno powiedzieć. – Nicolson spojrzał na północny wschód. – Może za półtorej godziny, może prędzej, jeśli wiatr będzie się wzmacniał. – Spojrzał na kapitana. – Jak pan uważa, panie kapitanie? – Prędzej – Findhorn wskazał głową w górę. – Moim zdaniem wiatr się wzmacnia. – "Przynoszą rześkie deszcze, by zrosić spragnione róże" – rzucił poważnym tonem drugi mechanik. Zatarł ręce. – A tu zamiast róż jest Willoughby. Deszcz, deszcz, cudowny deszcz! – Nie łów ryb przed niewodem, Willy – ostrzegł go Nicolson. – Co pan chce przez to powiedzieć? – odezwał się nagle Farnholme ostrym tonem. – Tylko tyle, że nie z każdej chmury jest deszcz – odparł Nicolson jak mógł

najbardziej uspokajająco. – To znaczy, nie od razu. – Czy chce mi pan powiedzieć, młody człowieku, że sytuacja nie odmieni się teraz na lepsze? – Tylko jedna osoba w szalupie zwracała się do niego per "młody człowieku". – Oczywiście, że nie, panno Plenderleith. Wygląda na to, że te chmury są gęste i zbite, po pierwsze więc osłonią nas przed słońcem. Kapitana i mnie interesuje jednak głównie wiatr. Jeśli się naprawdę zerwie i utrzyma, już w nocy dopłyniemy do Cieśniny Sunda. – Dlaczego więc nie postawiliście żagli? – nalegał Farnholme. – Bo wydaje mi się, że jednak spadnie deszcz – odparł cierpliwie Nicolson. – Musimy jakoś nazbierać wody w kubki, czerpak czy cokolwiek. A wiatr nie jest jeszcze dostatecznie silny, byśmy mogli płynąć

kilkanaście metrów na sekundę. Po tych wyjaśnieniach milczenie zapadło na dłużej niż godzinę. Kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że muszą jeszcze poczekać na ocalenie, znów popadli w lekką apatię, lecz tylko w lekką. Nadzieja przyświecała im nadal i nikt nie miał zamiaru jej sobie odbierać. Nikt nie zamknął oczu ani nie zasnął. Chmura nie zniknęła, przeciwnie – nadciągała od prawej burty, coraz to większa i ciemniejsza. Przykuwała uwagę wszystkich. Tylko w nią się wpatrywali, niczemu innemu nie poświęcali uwagi, może więc dlatego nikt nie zauważył, co robi Sinclair, aż było już za późno. Pierwsza zwróciła na niego uwagę Gudrun. Spojrzawszy na niego natychmiast rzuciła się w stronę dziobu. Chłopak miał oczy przewrócone, tak że widać było tylko białka, rzucało nim, jakby dostał drgawek, szcząkał gwałtownie zębami, jak ktoś w ataku malarii, twarz miał poszarzałą niczym kamień. Kiedy dziewczyna podeszła wołając go cicho po imieniu błagalnym tonem, zerwał się na nogi, odepchnął ją tak, że zatoczyła się na generała, i zanim ktokolwiek zdążył oprzytomnieć i coś zrobić, rozerwał koszulę, rzucił ją w zbliżającego się Nicolsona, a sam wyskoczył za burtę uderzając płasko brzuchem o powierzchnię morza. Wzbił fontanny wody ochlapując szalupę. Przez kilka sekund nikt się nie poruszył. Wszystko stało się tak szybko i niespodziewanie, że równie dobrze mogło być złudzeniem. Lecz puste miejsce na ławce i rozchodzące się kręgi drobnych fal na lustrzanej powierzchni morza nie należały do sfery wyobraźni. Nicolson stał znieruchomiał w półkroku, z podartą koszulą Sinclaira w

ręce. Dziewczyna, oparta o Farnholme'a, powtarzała bez związku, uparcie: "Alex, Alex". Raptem od strony burty usłyszeli plusk, tym razem niespecjalnie głośny. To bosman wskoczył do wody za chłopakiem. Ten drugi plusk wyrwał Nicolsona z odrętwienia. Pochylił się szybko, chwycił bosak i klęcząc na ławce ustawił się twarzą w stronę burty. Niemal bezwiednie wyciągnął rewolwer zza paska i trzymał go w drugiej ręce. Bosak przeznaczony był dla McSkinnona, rewolwer dla chłopaka. Tonący człowiek jest tak przerażony, że kurczowo chwytą się ratownika i może być niebezpieczny – a Bóg jeden wie, jak groźny może się okazać tonący szaleniec. Sinclair młócił wodę niecałe dziesięć metrów od szalupy. McSkinnon, który właśnie pokazał się na powierzchni, ruszył w jego stronę zamasyście wymachując rękami i chlapiąc – podobnie jak inni wyspiarze nie był wytrawnym pływakiem. Nagle Nicolson zobaczył coś, co przeszyło go jak powiew lodowatego wiatru. Zamachnął się bosakiem, który zatoczył szeroki łuk i trafił drugim końcem w wodę, kilkanaście centymetrów od McSkinnona. Ten instynktownie uchwycił się go i odwrócił głowę patrząc pytająco. – Wracaj, człowieku, wracaj! – wrzasnął Nicolson. Mimo przerażenia sam

usłyszał, jaki ma chrapliwy, łamiący się głos. – Pośpiesz się, na miłość boską! Mc\$kinnon zaczął powoli płynąć do szalupy, lecz nie o własnych siłach, tylko uczepiony bosaka, który wciągał na łódź Nicolson. Na twarzy bosmana wciąż malował się ten sam komiczny wyraz dezorientowania. Obejrzał się przez ramię w stronę Sinclaira – ten nadal młócił wodę rękami i nogami, oddalony teraz o ponad dziesięć metrów – spojrzał z

powrotem w kierunku szalupy, otworzył usta, by coś powiedzieć i nagle wrzasnął z bólu. Po ułamku sekundy znów krzyknął, i jeszcze raz; jakby zelektryzowany czymś niewidocznym, płynął jak oszalały, by jak najszybciej znaleźć się w łodzi. Jeszcze pięć szaleńczych ruchów i był już przy burcie, wyciągnęło się do niego kilka par rąk i wtaszczyło głową naprzód do szalupy. Dotknął twarzą ławeczki, potem wsunęły się nad burtę nogi, aż nagle ukazał się szarawy, jakby gadzi kształt, uczepiony jednej z tydek, lecz stwór natychmiast rozwarł paszczę i pogrążył się bezgłośnie z powrotem w morzu. – Co... co to, na Boga, było? – Gudrun zdążyła zobaczyć drapieżną paszczę i złowieszcze węzowate ciało. Głos dziewczyny drżał. – To barrakuda – odparł bezbarwnym głosem Nicolson. Bał się spojrzeć na twarz Gudrun. – Barrakuda! – Przerażony szept mówił sam za siebie: dziewczyna słyszała o tych najżarłoczniejszych drapieżnikach morza. – Ale przecież Alex, Alex jest tam! Musimy mu pomóc! – Nic nie możemy już zrobić. – Nie chciał, by jego głos zabrzmiał tak szorstko, lecz zmusiła go do tego bezwiednie świadomość całkowitej bezsilności. – Nikt już nie może mu pomóc. Zanim skończył, doleciał ich przeraźliwy wrzask Sinclaira. Był przerażający: na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy. Rozbrzmiewał raz po razie, słysząc w nim było niepojęty strach. Chłopak rzucał się konwulsyjnie, wynurzał do pasa z wody, wyginał tak mocno w tył, że niemal dotykał głową wody, trzepał rękami jak oszalały wzbijając pianę, jakby w walce z

jakimiś niewidzialnymi wrogami. Colt w ręce Nicolsona zaterkotał szybko sześć razy wzbijając wokół chłopaka fontanny wody i pyłu, lecz były to pośpieszne wystrzały oddane na oślep, które nic nie mogły pomóc. Można by powiedzieć, że oddano je na chybił trafił, ale na pewno nie o pierwszym z nich – był to celny strzał wymierzony prosto w głowę Sinclaira. Minęła dłuższa chwila, nim zapach kordytu i niebieskie smużki dymu odpłynęły na południe, a woda znów się uspokoiła. Po Sinclairze, który zniknął pod stalowoniebieską powierzchnią morza, nie pozostał ślad. Dwadzieścia minut później morze utraciło już swoją niebieską barwę, spieniło się, falowało mleczną bielą, w którą od horyzontu po horyzont siekły strumienie ulewnego deszczu. \* \* \* Minęły blisko trzy godziny, niedługo miało zająć słońce. Nie było go widać, nawałnica przesuwała się stopniowo na południe, w gasnącym świetle dnia niebo we wszystkich stronach świata miało tę samą ołowianą barwę. Nadal padał deszcz, siekł w otwartą łódź, lecz nikomu to nie przeszkadzało. Wszyscy byli szczęśliwi, przemoknięci do suchej nitki, drżący w zimnych strumieniach deszczu, cienka bawełna ubrań oblepiała im ramiona, tułowia i nogi. Byli szczęśliwi mimo obezwładniającego wstrząsu wywołanego nagłą śmiercią Sinclaira, mimo świadomości, że nastąpiła ona tragicznie, bezsensownie, w chwili gdy deszcz już wkrótce miał przyjść im wszystkim na ratunek. Byli szczęśliwi, bo prawo do przetrwania zwyciężyło. Byli szczęśliwi, bo zaspokoiли pragnienie nie tylko skąpymi racjami, bo zimny deszcz



uśmierzył ból poparzonej, pokrytej pęcherzami skóry, bo zdołali nałapać do pojemnika około dwudziestu litrów świeżej deszczówki. Byli szczęśliwi, bo szalupa gnana rwącym wiatrem przepłynęła wiele mil i zbliżała się teraz miarowo do wybrzeży Zachodniej Jawy. Byli szczęśliwi, szaleli ze szczęścia bardziej niż kiedykolwiek w przyszłości miało to być ich udziałem, bo ocalenie było bliskie, bo cuda nadal się zdarzają i kłopoty ich wreszcie się kończyły. Mc\$kinnon jak zwykle pierwszy zauważył kolejną odmianę – odległy o ponad dwie mile długi, płaski kształt, który wynurzył się z za strug deszczu. Mogli obawiać się tylko najgorszego, w kilka sekund zrzucili więc poszarpany żagiel lugrowy i kliwer, wyciągnęli czop przymocowujący maszt i położyli maszt poziomo w łodzi, tak że nawet z niewielkiej odległości szalupa mogła po prostu wyglądać jak opuszczona dryfująca łódź, niewyraźnie majacząca w strugach deszczu, łódź, której nie warto się przyglądać z bliska nawet gdyby ją zauważono. A zauważono – długi szary kształt zmienił kurs, by przeciąć ich linię dryfu, i mogli teraz tylko dziękować Bogu, że tak się stało, błogosławić dalekowzrocznych obserwatorów, że w szarym bezmiarze wody wyłowili ich małą szarą łódź. Pierwszy z niedowierzaniem zidentyfikował jednostkę Nicolson, za nim Findhorn, Mc\$kinnon, Vannier, Evans i Walters. Nie po raz pierwszy zdarzyło im się widzieć podobną, nie mieli więc żadnych wątpliwości, że to amerykański torpedowiec. Trudno go było pomylić z innymi jednostkami. Tylko do niego mogły należeć długie wypukłe burty, sklejkowe poszycie ponad

dwudziestometrowego kadłuba napędzanego trzema szybkoobrotowymi silnikami, poczwórne wyrzutnie torpedowe i karabiny maszynowe kalibru 50. Na okręcie nie było żadnej bandery, lecz nagle, jak gdyby po to, by ewentualnie rozwiązać ich wątpliwości co do tożsamości okrętu, marynarz na jego pokładzie wyciągnął wielką banderę, która furkotała poziomo na silnym wietrze. Torpedowiec zbliżał się z szybkością ponad trzydziestu węzłów – która nie była bynajmniej maksymalna – prując białe, wzbierające wzdłuż burt fale. Nawet w zapadającym mroku nie można było nie rozpoznać, podobnie jak samego okrętu, jego gwiazdzistej bandery. W szalupie jedni siedzieli, inni stali machając do torpedowca. Dwóch ludzi na pokładzie też odpowiedziało im machaniem: jeden człowiek ze sterówki, drugi spod wieży działowej, bliżej dziobu. Rozbitkowie zaczęli zbierać swoje żałosne tobołki przygotowując się do wejścia na pokład torpedowca. Kiedy panna Plenderleith wciskała głębiej na głowę kapelusz, torpedowiec nagle zmniejszył szybkość wielkich silników Packarda, dał całą wstecz i zaczął płynąć powolutku wzdłuż szalupy, niecały metr od niej. Teraz mała łódź wydawała się przy nim łupiną. Zanim okręt zatrzymał się, już rzucono z niego przez wodę dwie cumy, dokładnie trafiając w dziób i rufę. Precyzja działania, skoordynowanie manewrów tylko świadczyły o wysokim stopniu wyszkolenia załogi. Torpedowiec i szalupa ocierały się teraz burtami, Nicolson oparł rękę o okręt, pozostali podnieśli ręce, by powitać niską, raczej kręłą postać, która właśnie wyszła z za sterówki.

–Hej tam! – Nicolson uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę na powitanie. – Bracie, jakże się cieszymy! – Nawet nie w połowie tak jak my. – W opalonej twarzy błysnęły białe zęby, postać wykonała niemal niedostrzegalny ruch ręką i trzech marynarzy na pokładzie przemieniło się z biernych obserwatorów w niezwykle sprawnych i baczących strażników z półautomatyczną bronią wymierzoną prosto w szalupę. W prawej dłoni dowódcy pojawił się

również rewolwer. – Obawiam się jednak, że wasza radość będzie trwała krócej niż nasza. Proszę się nie ruszać. Nicolson poczuł się tak, jakby dostał kopniaka w brzuch. Z dziwną obojętnością stwierdził, że jego ręka nie opiera się już swobodnie o burtę torpedowca, tylko zeszywniała jak drąg, a na grzbiecie dłoni rysuje się każde ścięgno z osobna. Mimo, że wypił dużo wody, usta nagle wyschły mu na wiór. Zdołał jednak zachować spokój. – Co to za głupi kawał? – spytał opanowanym głosem. – Zgadza się – odparł dowódca lekko skłaniając głowę. Nicolson zauważył wtedy, że kąciki jego oczu unoszą się skośnie w górę w charakterystyczny sposób. – Dla was to wcale nie jest śmieszne. Patrz. – Wykonał ruch wolną ręką i nagle zamiast gwiazdzistej bandery zaczęła powiewać bandera Wschodzącego Słońca. – Godny pożałowania podstęp, prawda? – kontynuował. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. – Podobnie sprawa ma się z okrętem, no i moi ludzie i ja możemy uchodzić za Anglosasów. Zapewniam, że nie jesteśmy z tego specjalnie dumni, to tylko kwestia tego, że pod tym kątem zostaliśmy dobrani. Ale mówię o tym wszystkim tylko tak na marginesie. – Angielszczyzna jego była nienaganna, miał

wyraźny amerykański akcent i oczywiście lubił się tym popisywać. – W ubiegłym tygodniu było dużo słońca, szalały też sztormy. Bardzo rozważnie z waszej strony, że udało wam się to wszystko przetrwać. Długo na was czekaliśmy. Witajcie. Nagle zamilkł, obnażył zęby i wymierzył z rewolweru do generała, który skoczył na nogi tak gwałtownie, że było to zdumiewające u człowieka w jego wieku. Wymachiwał pustą butelką whisky. Japoński oficer odruchowo zacisnął palec na spuście, lecz po chwili puścił go powoli, bo zorientował się, że butelka nie miała być bronią przeciwko niemu, tylko przeciwko Van Effenowi, który na wpół się odwrócił, by ewentualnie uniknąć ciosu. Lecz za późno osłonił głowę ręką – ciężka butelka uderzyła go nad uchem, przewrócił się na ławkę, jakby padł od strzału. Japończyk patrzył na Farnholme'a. – Jeszcze jeden taki ruch i będzie po was, staruszkule. Zwariowaliście? – Nie, ale on zwariował i mogliśmy wszyscy przez niego zginąć. Sięgał po broń. – Farnholme patrzył gniewnie na powalonego. – Za wiele przeszedłem, żeby umierać stojąc przed trzema wymierzonymi we mnie karabinami maszynowymi. – Jesteście mądrym starym człowiekiem – mruknął oficer. – Rzeczywiście, nic nie możecie zrobić. Tak, nic nie mogę zrobić, uświadomił sobie bezradnie Nicolson, dosłownie nic. Ogarnęło go dojmujące uczucie goryczy, która wypełniała mu usta. Udało im się przeżyć taki szmat drogi, udało im się tyle przetrwać, przetrwać niemożliwe, kosztem życia pięciu ludzi i tak to się skończyło. Usłyszał za plecami głos Petera, odwrócił się i zobaczył, że chłopczyk

stoi na rufie, patrzy na japońskiego oficera przez kratę ze skrzyżowanych paluszków, niezbyt przestraszony, po prostu nieśmiały i zdziwiony – i znów poczuł, niemal fizycznie, napływającą gorycz, gniew i rozpacz. Można się pogodzić z porażką, lecz jest ona nie do zniesienia, jeśli idzie o Petera. PO obu bokach Nicolsona siedziały dwie pielęgniarki: Lena miała czarne jak sadze oczy szeroko otwarte ze strachu, w oczach Gudrun czaił się smutek i rozpacz, ich wyraz doskonale odzwierciedlał jego własne uczucia. Na jej twarzy nie malował się strach, lecz wysoko na skroni, tam, gdzie szrama sięgała włosów, dostrzegł, że bardzo szybko pulsuje jej tętno. Mimo woli przeciągnął powoli wzrokiem po innych pasażerach szalupy – ze wszystkich twarzy wyzierał strach, rozpacz, oszołomienie i

przybicie porażką. Ze wszystkich, prócz jednej – twarz Sirana była jak zwykle pozbawiona wyrazu. McSkinnon wodził wzrokiem od szalupy do torpedowca i z powrotem, jakby oceniając, jakie mają szanse stawić opór, nawet gdyby był on równoznaczny z samobójstwem. Generał zdawał się być przejęty w niemal nienaturalny sposób, otaczał ręką szczupłe ramiona panny Plenderleith i szeptał jej coś do ucha. – Wzruszająca, patetyczna scena, prawda? – japoński oficer potrząsnął głową udając smutek. – Niestety, panowie, Niestety, ludzkie nadzieje są płonne. Patrzę na was i sam czuję się prawie pokonany. Prawie, powiedziałem, nie całkiem. Co poza tym? Zaraz lunie deszcz. – Spojrzał na wał ciężkich chmur nadciągających od północnego wschodu, na zasłonę ze strug deszczu siekących niecałe pół mili dalej w ciemniejące morze.

– Mam wrodzoną niechęć do moknięcia na deszczu, zwłaszcza wtedy, gdy można tego uniknąć. Proponowałbym więc... – Wszelkie dalsze propozycje są zbyteczne. Myślicie, że chcę siedzieć przez całą noc w tej przeklętej szalupie? – zabuczał gniewnie jakiś głos. Usłyszawszy to, Nicolson gwałtownie się odwrócił. Zobaczył Farnholme'a stojącego ze swoją ciężką walizką w ręce. – Co pan robi? – spytał ostrym tonem. Farnholme spojrzał na niego, lecz nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko, wykrzywiając górną wargę pod siwymi wąsami w absolutnie doskonałym wyrazie pogardy, spojrzał w górę na oficera i wskazał kciukiem w stronę Nicolsona. – Jeśli ten głupiec spróbuje wykonać jakiś kretyński ruch czy mnie przed czymś powstrzymywać, proszę go zastrzelić. Nicolson wpatrywał się w niego z najgłębszym niedowierzaniem, po czym przeniósł wzrok na Japończyka, na którego twarzy nie dostrzegł niedowierzania ani nawet zdumienia, tylko uśmiech zadowolenia. Oficer zaczął coś szybko mówić w języku zupełnie niezrozumiałym dla Nicolsona, Farnholme od razu odpowiedział mu płynnie w tym samym języku. Nagle, zanim Nicolson zdał sobie sprawę, co się dzieje, generał wsunął rękę do walizki, wyciągnął broń i ruszył – z walizką w jednej ręce, bronią w drugiej – ku burcie szalupy. – Ten dżentelmen powiedział, że serdecznie nas wita. – Uśmiechnął się do Nicolsona. – Obawiam się jednak, że miał na myśli tylko mnie. Wita mnie jako zaszczytnego gościa. – Doskonale się pan sprawił. Zasłużył pan na wysoką nagrodę. – Potem przez jakieś dwie minuty mówił do oficera w obcym języku,

japońskim, jak domyślił się Nicolson. Pierwsze ciężkie krople zaczęły dudnić o pokład torpedowca. – Mój znajomy proponuje, żebyście wszyscy weszli na pokład jako jeńcy. Przekonałem go jednak, że jesteście zbyt niebezpieczni i że właściwie należałoby was od razu zastrzelić. Musimy więc udać się pod pokład i spokojnie omówić metody działania w stosunku do was. – Zwrócił się do Japończyka: – Przymocujcie ich szalupę do rufy. To desperaci... Nie radziłbym trzymać ich przy burcie. Chodź, przyjacielu, zejdźmy na dół. Aha, jeszcze chwilkę... zupełnie zapomniałem o dobrych manierach. Gość, który odchodzi, powinien podziękować swoim gospodarzom. – Szyderczo skłonił głowę. – Kapitanie Findhorn, panie Nicolson, wyrazy uszanowania. Dziękuję za transport, dziękuję za uprzejmość i umożliwienie mi spotkania się z moimi serdecznymi przyjaciółmi. – Ty przeklęty zdrajco! – wycedził z furią Nicolson. – Oto przemawia młodzieńczy głos bezmyślnego nacjonalizmu. – Farnholme ze smutkiem pokiwał głową. – Ten świat jest bezwzględny i okrutny, mój chłopcze. Trzeba jakoś zarabiać na życie. – Pomachał niedbale, szyderczo ręką. – Au

reservoir. Bardzo mi było miło. Po chwili zniknął z oczu, lał oślepiający deszcz. Rozdział dwunasty Wydawało się, że przez długi czas nikt w szalupie nie powiedział słowa ani nie drgnął, wszyscy tylko poddawali się kołysaniu i jakby nie zauważając zimnego, siekącego deszczu patrzyli pustym wzrokiem w miejsce, w którym zniknął Farn-

holme. Może jednak nie trwało to tak długo, jak się wydawało, może minęło tylko kilka sekund. Nagle panna Plenderleith zawołała Nicolsona po nazwisku i coś powiedziała. Lecz głos jej rozplątał się pośród szumu ulewnego deszczu i dudnienia jego strug o pokład torpedowca. Nicolson odwrócił się i pochylił, by lepiej słyszeć. Mimo że był wstrząśnięty, jej wygląd przykuł jego uwagę. Siedziała na bocznej ławce z lewej burty, wyprostowana jak trzcina, z rękami na podołku, twarzą opanowaną i spokojną. Mogłaby siedzieć we własnym saloniku, lecz jedno było znamienne: z oczu jej lały się łzy. Widział, jak dwie toczą się powoli po zmarszczonych policzkach i spadają na jej dłonie. – Co się stało, panno Plenderleith? – spytał łagodnie. – O co chodzi? – Niech pan wymanewruje szalupą w stronę rufy – powiedziała. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby w ogóle go nie dostrzegła. – Przecież powiedział panu. W stronę rufy, natychmiast! – Nie rozumiem. – Nicolson potrząsnął głową. – Dlaczego chce pani... Urwał raptownie uderzony boleśnie w kark czymś ciężkim i zimnym. Okręcił się i zobaczył Japończyka, który właśnie szturchnął go lufą karabinu maszynowego. Jego gładka żółta twarz błyszczała w deszczu. – Nie ma rozmowy, Angliku. – Jego angielszczyzna była znacznie uboższa niż oficera. Wyglądał na niebezpiecznego typa, który skorzysta z byle okazji, by zrobić użytek z karabinu luźno trzymanego w ręce. – Nie ma rozmowy, nikt nie rozmawia. Nie ufam wam. Będę zabijać.

–Słyszał pan moje słowa? – Głos panny Plenderleith brzmiał zdecydowanie i wyraźnie, nawet nie zadrżał. – Proszę. Marynarz podniósł karabin i wymierzył w jej głowę. Kilkanaście par oczu patrzyło, jak bieleje kłykiec palca Japończyka naciskającego na spust. Usta rozciągnął w okrutnym uśmiechu. Nicolson wiedział, że Japończykom – a przynajmniej wielu z nich – wystarczy byle prowokacja, by zacząć zabijać. Lecz panna Plenderleith po prostu wpatrywała się w marynarza wzrokiem pozbawionym wyrazu – chyba rzeczywiście nawet go nie widziała – na co on nagle opuścił broń z groźnym okrzykiem i cofnął się o krok do tyłu. Gwałtownym ruchem głowy wskazał drugiemu uzbrojonemu marynarzowi – trzeciego zabrał ze sobą oficer pod pokład – żeby linę przywiązaną mocno do dziobu szalupy przeciągnąć na rufę torpedowca. Nicolson i Mc\$kinnon odholowali łódź wzdłuż burty okrętu i niebawem kołysała się ona na czterometrowej linii za jego rufą. Dwaj marynarze stali obok siebie na rufówce trzymając karabiny gotowe do strzału. Łakomym wzrokiem obserwowali szalupę, gotowi zareagować na najmniejszy ruch, gotowi skorzystać z każdego pretekstu, by zrobić użytek z broni. Torpedowiec płynął, silniki pracowały na najniższych obrotach, lecz mimo to pruć fale z szybkością trzech, czterech węzłów. Płynął na północny wschód, w pełne morze, pośród ulewy tak rzęsistej, że w mroku nie było prawie widać jego dziobu. Szalupa zaczęła się kołysać na napiętej linii, nie stwarzało to jednak zagrożenia. Panna Plenderleith siedziała tyłem do wiatru siekącego deszczem, tyłem do strażników. Może po jej policzkach nadal

ciekły łzy, trudno było powiedzieć, ulewny deszcz bowiem spływał strumieniami z

przemokniętego ronda jej słomkowego kapelusza i zalewał twarz. Lecz było widać jej oczy – patrzyły na Nicolsona. Ich spojrzenia spotkały się, zobaczył, że opuszcza wzrok na karabinek, który leży u jej boku, tam, gdzie zostawił go Farnholme, i że znów patrzy mu w oczy. – Niech pan na mnie nie patrzy – mruknęła. – Niech pan nie zwraca na mnie uwagi. Czy oni mnie słyszą? Nicolson zerknął przed siebie na strażników, twarz miał nieprzeniknioną. Lekko potrząsnął głową, czego na pewno nie zauważyli. – Widzi pan broń? Za moją torbę? Zerknął mimochodem na ławkę panny Plenderleith i znów odwrócił wzrok. Za płócienną-skórzaną torbę, w której dzielna kobieta trzymała robótkę na drutach i cały swój doczesny majątek, zobaczył koniec kolby karabinka, broni Farnholme'a, którą tyle razy się posługiwał z takim powodzeniem. Nagle zalała Nicolsona fala wspomnień o wszystkich tych wydarzeniach, kiedy generał używał broni, o tym, ile szkód nią wyrządził, jak wysadził duże działo łodzi podwodnej, jak odparł atak myśliwców, jak uratował jemu samemu życie na brzegu wysepki – i nagle zrozumiał, że dezercja i zdrada generała musi być jakimś strasznym nieporozumieniem, bo przecież nikt nie może się tak diametralnie zmienić... – Widzi pan? – powtórzyła ponaglająco. Pytanie zaskoczyło Nicolsona, lecz nie pokazał tego po sobie. Ostrożnie skinął powoli głową. Kolba karabinka leżała ćwierć metra od jego ręki.

– Jest odbezpieczony – szepnęła panna Plenderleith. – Gotowy do strzału. Foster powiedział, że jest gotowy do strzału. – Tym razem Nicolson spojrział na nią, zdumiony i zaskoczony, mrugając oczami w strugach deszczu, szukając potwierdzenia w wyrazie jej twarzy. Nagle jakby całkiem o niej zapomniał, zsunął się do połowy z siedzenia i wpatrując uporczywie przed siebie, sięgnął ręką machinalnie po karabinek. Nawet z odległości piętnastu, dwudziestu metrów huk wybuchu był ogłuszający, a podmuch fali uderzeniowej jakby wymierzył im niedostrzegalny, lecz odczuwalny fizycznie cios w twarz. Z wielkiej wyrwy w prawej burcie torpedowca buchnął dym i ogień, niemal natychmiast stanęło w ogniu śródokręcie. Strażnicy, całkiem zapominając o posterunku, odwrócili się i rzucili naprzód w stronę dziobu. Jeden z nich stracił na skutek wybuchu równowagę, zatoczył się i wymachując ręką z karabinem usiłował desperackim wysiłkiem utrzymać się na nogach i uratować, lecz niestety nie zdołał i spadł tyłem z rufy do morza. Drugi przebiegł tylko kilka kroków, kiedy wystrzał z karabinka Nicolsona powalił go na twarz. W tej samej chwili McSkinnon dał nura z toporkiem na dziób szalupy i jednym zamaszystym ciosem przeciął na okrężnicy napiętą sztywno linę – szalupa była wolna. Nicolson natychmiast wykonał ruch sterem mocno na prawo i łódź zatoczyła ostry łuk na zachód. Torpedowiec płynął nadal tym samym kursem na północny wschód, a po pół minucie całkiem znikł – w strugach deszczu i zapadających ciemnościach nie było widać nawet ognia buchającego wysoko nad mostkiem. Porozumiewając się bez słów postawili szybko maszt,

wyciągnęli żagiel lugrowy i kliwer i ruszyli w mrok i deszcz z taką szybkością, jaką tylko mogli osiągnąć płynąc na poszarpanych żaglach. Ryzykując głęboki przechył na prawą burtę Nicolson zmienił kurs na północ do zachodu. Kiedy bowiem na torpedowcu dojdą do siebie po wstrząsie i opanują pożar – niemożliwe, by tak duża jednostka doznała trwałych uszkodzeń nawet wskutek tak poważnego wybuchu – ruszą na poszukiwanie szalupy, lecz skierują się niewątpliwie na południowy zachód, w stronę, w którą wieje wiatr, w stronę

Cieśniny Sunda oznaczającej wolność. Piętnaście minut ciągnęło się powoli, piętnaście minut, w ciągu których rozlegał się tylko plusk fal omywających łódź, łopot poszarpanych żagli, skrzypienie bloczków i stuk rei o maszt. Od czasu do czasu ktoś się odzywał chcąc usłyszeć, jak doszło do wybuchu na torpedowcu, lecz po chwili rezygnował spojrzawszy na drobną, wyprostowaną postać w śmiesznym słomkowym kapeluszu wciśniętym na węzeł siwych włosów. W atmosferze panującej na szalupie było coś szczególnego, podobnie jak w tej drobnej postaci, w prawej postawie, w obojętności na zimno i deszcz, w żarliwej dumie i całkowitej bezradności, które wykluczały niezobowiązującą rozmowę, które wykluczały wszelkie rozmowy. Pierwsza zdobyła się na odwagę Gudrun Drachmann – zrobiła pierwszy krok delikatnie, by nie popełnić gafy. Wstała ostrożnie, z owiniętym w koc chłopcem w ramionach i przeszła po nachylonych deskach podłogi, by zająć wolne miejsce przy pannie Plenderleith, miejsce należące uprzednio do generała. Nicolson patrzył, jak dziewczyna idzie w tamtą stronę, podświadomie

wstrzymując oddech. O wiele lepiej by było, gdyby tam nie poszła. Tak łatwo popełnić błąd, niemal trudno go nie popełnić. Lecz Gudrun stanęła na wysokości zadania. Przez kilka minut kobiety siedziały obok siebie, młoda obok starej, siedziały nieporuszone, w milczeniu. Nagle chłopczyk, na wpół śpiący w mokrym kocu, wyciągnął pulchną rączkę i dotknął mokrego policzka panny Plenderleith. Podskoczyła, zwróciła się do niego, uśmiechnęła i nakryła jego rączką swoją dłoń. Niespodziewanie, jakby zupełnie bez zastanowienia, chwyciła chłopca, posadziła go sobie na kolanach i wzięła w szczupłe ramiona. Tuliła go mocno, lecz Peter wiedząc, że coś jest nie w porządku, tylko odchylił się, zaspany, i patrzył na nią spod ciężkich powiek z poważną miną. Nagle uśmiechnął się do niej i starsza pani przytuliła go jeszcze mocniej. Ona też uśmiechnęła się do niego, uśmiechnęła się tak, jakby pękało jej serce, ale się uśmiechnęła. – Dlaczego pani tu przyszła? – spytała dziewczynę. – Pani z tym małym... dlaczego? – Mówiła bardzo cicho. – Nie wiem. – Gudrun potrząsnęła głową, jakby po raz pierwszy stawiała sobie to pytanie. – Przepraszam, ale po prostu nie wiem. – Nie szkodzi. Ja wiem. – Panna Plenderleith wzięła ją za rękę i uśmiechnęła się. – To ciekawe, bardzo ciekawe. Że pani przyszła. Zrobił to dla pani, tylko dla pani... dla pani i małego. – Pani uważa... – Nieustraszony Foster. – Słowa były śmieszne, ale w ustach panny Plenderleith tak nie zabrzmiały. Wypowiedziała je tak jak słowa modlitwy. – Nieustraszony Foster Farnholme.

Tak go nazywaliśmy w szkole. Nie bał się niczego, co stąpa po tej ziemi. – Tak długo pani go zna? – Powiedział, że pani jest z nas najlepsza. – Nawet nie usłyszała pytania dziewczyny. Pokiwała głową w zamyśleniu, oczy jej się rozmarzyły. – Dziś po południu dokuczał mi z pani powodu. Powiedział, że nie wie, czego teraz oczekują młodzi mężczyźni, ale że gdyby był trzydzieści lat młodszy, to, na Boga, już dawno poprowadziłby panią do ołtarza. – To bardzo miłe z jego strony. – Gudrun uśmiechnęła się zupełnie niezażenowana. – Chyba jednak nie znał mnie zbyt dobrze. – Tak właśnie powiedział, dokładnie tak powiedział. – Panna Plenderleith delikatnym ruchem wyjęła chłopczykowi kciuk z ust. Peter zasypiał. – Foster zawsze mówił, że wykształcenie jest bardzo ważną sprawą, ale że nie ma istotnego znaczenia, że ważniejsza jest inteligencja, a od inteligencji jeszcze ważniejsza

jest mądrość. Powiedział, że nie ma najmniejszego pojęcia, czy pani jest wykształcona, inteligentna czy mądra, ale że nie mogłoby to być mu bardziej obojętne, bo nawet ślepiec by zauważył, że ma pani dobre serce, a na tym świecie liczy się tylko dobre serce. – Uśmiechnęła się, żal na chwilę rozpułynał się we wspomnieniach. – Foster zawsze narzekał, że niewielu jest ludzi tak dobrodusznych jak on. – Generał Farnholme był naprawdę bardzo miły. – Był bardzo bystrym człowiekiem – powiedziała panna Plenderleith tonem łagodnej nagany. – Był dość bystry, by... hm, nieważne. Pani i chłopczyk. Bardzo lubił małego. – Podążamy śladem obłoków sławy – mruknął Willoughby. – Co to znaczy? – panna

Plenderleith spojrzała na niego zdziwiona. – Co pan powiedział? – Nic takiego. Coś mi przyszło do głowy. Starsza pani uśmiechnęła się do niego, po czym po prostu przyglądała się chłopczykowi. Znow zapadła cisza, lecz tym razem niekrępująca. Przerwał ją kapitan Findhorn, odezwał się po raz pierwszy, zadając pytanie, na które wszyscy chcieli znać odpowiedź. – Jeśli zdołamy powrócić szczęśliwie do domu, będziemy to zawdzięczać generałowi Farnholme'owi. Myślę, że nikt z nas nigdy o tym nie zapomni. Powiedziała nam pani, dlaczego to zrobił. Zna go pani o wiele lepiej niż ktokolwiek z nas. Czy może mi pani powiedzieć, jak on to zrobił? – Proszę bardzo. – Panna Plenderleith skinęła głową. – Było to bardzo proste, bo Foster był bardzo prostoliniorny i bezpośredni. Wszyscy zauważyliście jego walizkę? – Tak – uśmiechnął się Findhorn. – Tę, w której nosił swoje... hm, zapasy. – Zgadza się. Miał w niej whisky. Na marginesie powiem tylko, że nienawidził tego świństwa... używał jej tylko po to, by wyglądać bardziej wiarygodnie. Zresztą wszystkie butelki i resztę zawartości walizki zostawił na wyspie, chyba gdzieś między kamieniami. Potem... – Co? Co pani powiedziała? – Pytanie to zadał Van Effen, jeszcze osłabiony po ciosie, który zadał mu w głowę Farnholme. Tak mocno pochylił się do przodu na ławce, że twarz wykrzywiła mu się z bólu; był ranny w nogę. – Zostawił wszystko na wyspie? – Tak właśnie powiedziałam. Dlaczego to wydaje się panu takie zdumiewające? – Chyba bez

konkretnego powodu. – Van Effen odchylił się z powrotem do tyłu. – Proszę mówić dalej. – To wszystko, naprawdę. Znalazł tamtej nocy na brzegu wyspy dużo japońskich granatów. Upchnął do walizki czternaście czy piętnaście. – Do walizki? – Nicolson poklepał ławkę obok siebie. – Ależ panno Plenderleith, one są tutaj. – Znalazł ich więcej, niż panu powiedział – wyjaśniła bardzo cicho. – Zabrał je wszystkie na torpedowiec, mówił płynnie po japońsku i bez trudu przekonał ich, że ma przy sobie plany Jana Bekkera. Miał pokazać je pod pokładem, wsunąć rękę do walizki, odciągnąć zawleczkę granatu i nie cofać ręki. Powiedział, że czekać trzeba będzie tylko cztery sekundy. \* \* \* Była to noc bez księżyca, bez gwiazd, nad głowami ciągnęły strzępy chmur, Nicolson sterował łodzią kierując się instynktem i licząc na łaskę Bożą. Tak mijała godzina za godziną. Szybka kompasu była stłuczona, wylał się niemal cały płyn, róża wirowała dowolnie, tak że trudno było cokolwiek odczytać w słabym świetle latarki, której bateria niemal się wyczerpała. Sterował ostro do wiatru, usiłując cały czas płynąć lewym halsem, licząc na to, że pasat będzie wiał miarowo i ani nie skręci nazbyt mocno w lewo, ani nie zmieni kierunku zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Lecz nawet przy stałym wietrze trudno było we właściwy sposób sterować szalupą

– przez uszkodzoną rufę nalewało się coraz więcej wody, łódź była głęboko zanurzona i ciągle schodziła z kursu południowego. Mijała noc; niepokój i napięcie Nicolsona rosły, napięcie, które odczuwali prawie wszyscy w szalupie, niewielu z

nich bowiem spało. Tuż po północy Nicolson obliczając orientacyjnie położenie stwierdził, że muszą się znajdować jakieś dziesięć, dwanaście mil od Cieśniny Sunda. Na pewno nie w większej odległości, może nawet o wiele bliżej, może dzieli ich od niej tylko pięć mil. Miał powody do niepokoju. Mapa wschodnich rejonów Archipelagu poplamiona była solą, wyżarta miejscami i bezużyteczna, a on doskonale zdawał sobie sprawę, że na południowym wschodzie od wybrzeży Sumatry znajdują się skały, rafy i mielizny. Lecz nie znał ich dokładnego położenia ani położenia szalupy, mogli nawet nie trafić na Cieśninę z powodu ewentualnego błędu w obliczaniu szerokości geograficznej. Prawdopodobieństwo, że rozprują dno łodzi o nadbrzeżne rafy było takie samo jak to, że je ominą. Ludzie byli tak osłabieni, zmęczeni i chorzy, że gdyby osiedli na mieliznie jakieś pół mili od brzegu, nie przeżyłaby pewnie nawet ich połowa. A gdyby nawet wszyscy przetrzymali długie, niebezpieczne chwile oczekiwania, musieliby jeszcze zdobyć się na wysiłek wyciągnięcia szalupy na brzeg podczas przyboju. Tuż po drugiej nad ranem Nicolson wysłał bosmana i Vanniera na dziób, by bacznie obserwowali morze. Kilka innych osób zgłosiło się na ochotnika, że też będą to robić, lecz Nicolson krótko uciął wszelkie rozmowy na ten temat i kazał im pozostać na miejscach. Następnie położył się na dnie, by łódź miała jak największą stabilność. Argumentu, że Mc\$kinnon ma lepsze oko od nich wszystkich razem wziętych, postanowił już nie używać. Minęło jeszcze pół godziny. Nagle uświadomił sobie, że

zaszła jakaś niewielka zmiana. Nie zaszła raptownie, ale on natychmiast zdał sobie sprawę, jakie może mieć praktyczne konsekwencje. Wpatrywał się więc zawzięcie w ciemność przed sobą. Długa, niska fala z północnego zachodu zmieniała się z każdą minutą na krótszą i wyższą, lecz on, zmęczony i wyczerpany fizycznie sterowaniem po omacku przez całą noc, omal tego nie zauważył. Wiatr się nie zmienił, nie był ani silniejszy, ani słabszy niż przez ubiegłe godziny. – Mc\$kinnon! – Chrapliwy okrzyk Nicolsona poderwał do pozycji siedzącej kilka drzemiących osób. – Wpływamy na płyciznę. – Tak jest, ma pan rację. – W tonie bosmana niespecjalnie wyczuwało się niepokój, głos niósł się wyraźnie na wietrze. Bosman stał wyprostowany na ławce przy maszcie, od lewej burty, jedną ręką trzymając się masztu, drugą osłaniając oczy, by łatwiej mu było wpatrywać się w ciemność. – Czy coś widzicie? – Nic, do cholery – odpowiedział. – Diabelnie ciemna noc. – Uważajcie dalej. Vannier... – Tak jest? – Głos zdradzał podniecenie, lecz i tak w tej sytuacji brzmiał spokojnie. Niespełna dwanaście godzin wcześniej Vannier przechodził kryzys, jego powrót do równowagi był więc rzeczą niezwykłą, wydawało się, że czwarty oficer odzyskał więcej sił i energii niż inni. – Zrzuć lugrowy! Szybko! Nie zwijaj go... nie ma czasu. Van Effen, Gordon, pomóżcie mu. – Szalupa zaczęła się mocno kołysać wzdłużnie na coraz krótszych falach. – Widzicie coś, bosmanie? – Absolutnie nic. – Rozwiążcie Sirana. I jego

dwóch ludzi. Niech usiądą na środku. – Odczekał z pół minuty, aż spełniono jego polecenie. – Siran, usiądźcie przy dulkach. Gordon, wy też. Kiedy powiem, każdy umocuje wiosło i zacznie wiosłować. – Nie tej nocy, panie Nicolson. – Co powiedzieliście? – Słyszał pan.



Powiedziałem "nie tej nocy". – Ton głosu Sirana był zimny i bezczelny. – Ręce mi zdrętwiały. I chyba nie mam ochoty z wami współpracować. – Ty cholerny głupcze. Przecież tu chodzi o nasze życie. – Nie o moje. – Zęby błysnęły bielą w ciemności. – Jestem świetnym pływakiem, panie Nicolson. – POzostawiliście czterdziestu ludzi skazując ich na śmierć, prawda? – rzucił Nicolson robiąc wyraźną aluzję do przeszłości Sirana. Odbezpieczył colta. W ciszy, która nagle zapadła, rozległ się charakterystyczny szczęk. Minęła sekunda, dwie i trzy. Nagle Siran umocował dulkę, sięgnął po wiosło i mamrocząc wydał rozkazy swoim ludziom. – Dziękuję – mruknął Nicolson. – Słuchajcie wszyscy – podniósł głos. – Wygląda na to, że zbliżamy się do brzegu. Prawdopodobnie napotkamy skały i rafy albo zaskoczy nas przybój. Łódź może zatonać albo wywrócić się... niekoniecznie, ale może. – Cud boski, jeśli to się nie stanie. Pomyślał ponuro. – Jeżeli znajdziecie się w wodzie, trzymajcie się razem. Chwytajcie się łodzi, wiosła, kapoków, wszystkiego, co pływa. I nade wszystko trzymajcie się razem. Wszyscy zrozumieli? Szmer głosów potwierdził, że tak. Nicolson zapalił latarkę i oświetlił jej nikłym snopem wszystkie twarze po kolei. Stwierdził, że nikt nie śpi,

wszyscy byli napięci, czego nie mogły zamaskować nawet ich przemoknięte, obwisłe ubrania. Po chwili zgasił latarkę. Mimo że dawała słabe światło, teraz jego zwężone źrenice musiały znów się przyzwyczaić do ciemności. – Nadal nic, bosmanie? – Absolutnie nic. Czarno jak... zaraz, zaraz! – Stał nieruchomo, z jedną ręką na maszcie, głową przechyloną na bok, milczał. – Co się dzieje, człowieku?! – wrzasnął Nicolson. – Co widzisz? – Fale przybrzeżne. Albo przybojowe. Słyszę je – odkrzyknął Mc\$kinnon. – Gdzie? Z której strony? – Z przodu. Jeszcze ich nie widzę. – Zamilkł. – PO prawej od dziobu. – Zrzuć kliwer! – rozkazał Nicolson. – Maszt w dół, Vannier! – Wykonał zamaszysty ruch rumplem kierując łódź na wiatr, pod fale. Powoli zareagowała na ten ruch sterem, ociążała, bo nabrało się do niej co najmniej dwieście litrów wody, która w części rufowej pluskała od burty do burty, ale w końcu szalupa zwróciła się ostrzej na wiatr. Mimo obciążenia wodą i wezbranego morza po zrzucenia kliwera miała dość rozpędu, by wykonać ten manewr. – Widzę je! – wrzasnął Mc\$kinnon. – Na prawo od dziobu! Nicolson odwrócił się, spojrzał szybko przez ramię. Przez kilka chwil nic nie widział, nawet nic nie słyszał, aż nagle zobaczył w ciemnościach cienką białą linię, długą i ciągłą, która znikwała lub pojawiała się, za każdym razem bliżej. Były to fale przybojowe, nie przybrzeżne, które nigdy po ciemku tak nie wyglądają. Dzięki Bogu. Obrócił się z powrotem twarzą do dziobu. – Doskonale, bosmanie, rzućcie

ją. Mc\$kinnon tylko na to czekał trzymając w pogotowiu dryfkotwę. Rzucił ją teraz jak mógł najdalej w morze i czekał, aż dryfkotwa zacznie stawiać opór. – Do wiosła! – Nicolson już odczepił rumpel, podciągnął wiosło sterowe i wiosłując nim jak szalony "na śrubkę" usiłował utrzymać szalupę dziobem na fale, dopóki dryfkotwa mu nie pomogła. Nie było to łatwe zadanie, bo nic nie widział w ciemnościach i czerpał wskazówki tylko z obserwacji powiewów wiatru na własnej twarzy i ruchów obciążonej wodą łodzi. Słyszał zgrzyty zablokowanych gdzieś wiosła, stłumione przekleństwa mężczyzn usiłujących je wyciągnąć, brzęk metalu, kiedy już udało im się osadzić wiosła w dulkach. – Teraz razem! – zawołał. – Powoli, powoli. Nie liczył na to, że rzeczywiście uda im się po ciemku skoordynować ruchy. Wszelkie nieprawidłowości mógł korygować wiosłem sterowym. Zerknął przez ramię. Linia

przyboju rysowała się już niemal tuż za rufą. Całkiem wyraźnie dolatywał do niego, mimo wiatru, głęboki, ponury huk fal. Po ciemku trudno było stwierdzić, czy linia przyboju jest pięćdziesiąt metrów za rufą, czy dwieście pięćdziesiąt. Odwrócił się z powrotem twarzą do dziobu i usiłował zobaczyć, co się tam dzieje, lecz wiatr siekł mu słoną wodą w oczy. Wiatr przybierał na sile. Zwinął dłoń w trąbkę, przyłożył do ust i zawołał: – Jak idzie, Mc\$kinnon? – Doskonale. Świetnie. Kilkunastometrowa lina od dryfkotwy do dziobu była mocno naciągnięta, bosman właśnie skończył przekłuwać swoim wielkim nożem przymocowany obok baniak z ropą – im więcej jej

pokryje powierzchnię morza, tym łatwiej dopłyną do brzegu wśród fal przyboju. Wyrzucił baniak z dziobu, popuścił jeszcze trochę linę i przywiązał ją mocno do ławki przy maszcie. Wszystkie przygotowania do lądowania na brzegu podjęli akurat w porę. Linia przyboju była raczej pięćdziesiąt niż dwieście pięćdziesiąt metrów za nimi, teraz więc już ich dogoniła. Ostrożnie, sprawnie, pomagając sobie wiosłami, wiosłem sterowym i dryfkotwą Nicolson powoli wprowadził łódź na gładki wał przyboju. Niemal natychmiast łódź nabrała szybkości, uniosła się i popędziła na olbrzymiej fali. Wiosła wyciągnięto, McSkinnon pociągnął za linę dryfkotwy, pędzili gładko, bezgłośnie ku białej kipieli, w którą niebawem miała zmienić się i ta fala. Nagle przyhamowali trochę wiosłami, Nicolson krzyknął, by poluzować dryfkotwę, zanurzyli się dziobem w grzywie fali i popędzili ku wyłaniającemu się brzegowi, popędzili w fosforyzującym tumanie piany i pyłu wodnego – morze jeszcze nie zdążyło przygnać tak daleko rozlanej ropy. Napięta lina dryfkotwy przytrzymała ster, łódź przekręciła się rufą naprzód, biała woda wokół niej płynęła szybciej, wyprzedzała ich w wyścigu do brzegu. Najgorsze mieli szczęśliwie za sobą. Nicolson wpatrując się przed rufę nagle zobaczył coś, co nie powinno się tam znaleźć. W tej samej chwili rozległ się jego chrapliwy krzyk, by wszyscy uważali, lecz było za późno. Zębata skała – może był to ostry czub rafy koralowej – rozpruła dno pędzącej szalupy od rufy do dziobu. Rozległ się zgrzyt, łódź gwałtownie zwolniła z nagłym szarpnięciem. Od raptownego wstrząsu ludzie pospadali z ławek, puścili

uchwyty. Głowami naprzód, zbitych w jedno kłębowisko rzuciło ich wszystkich na rufę. Dwie czy trzy osoby wypadły za burtę. Chwilę później strzaskana łódź przechyliła się gwałtownie na bok i wyrzuciła dnem do góry wrzucając wszystkich we wrzącą kipieli. Nikt potem dokładnie nie pamiętał, co się działo w ciągu następnych sekund. Pamiętano tylko chaotycznie urywki zdarzeń. Rozkołysane morze miotało nimi, zachłystywali się wodą, a kiedy zdołali stanąć na płaskiej kamienistej plaży, fale znów ich powalały. Wielu poturbowały resztki rozbitej szalupy, dźwigali się z trudem na nogi, stopy wsysał im piach zmywany powracającymi falami, znów się podnosili i słaniając się brnęli naprzód, aż w końcu padali na brzegu wyczerpani, zasapani, na wpół żywi. Nicolson aż trzem osobom pomógł wydostać się z kipieli. Pierwszą z nich była panna Plenderleith. Znalazła się obok niego, kiedy łódź uderzyła o skałę. Instynktownie przyciągnął ją wtedy ramieniem i razem wpadli do wody. Kobieta okazała się dwukrotnie cięższa, niż oczekiwał. Obie ręce miała skrępowane uchwytami ciężkiej płóciennej torby, której nie pozwoliła sobie wyrwać. Opierała mu się z niezwykłą siłą charakterystyczną u osób ogarniętych panicznym strachem, jakby straciwszy rozeznanie chciała popełnić samobójstwo. Jakoś jednak udało mu się doholować ją do brzegu razem z torbą. Odczekał, aż fala się cofnie, i wskoczył ponownie do morza, by pomóc Vannierowi wyciągnąć kapitana. Findhorn nie chciał, by mu pomagali, wciąż powtarzał, że sam sobie poradzi, lecz na skutek odniesionych ran i przejść ostatniego tygodnia nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Położył się przy brzegu, w wodzie głębokiej na kilkanaście centymetrów, i na pewno by tam utonął. Z wysiłkiem, po kilku upadkach zdołali jednak przenieść go dalej i ułożyć na kamienistej plaży tam, gdzie nie sięgały już fale. Do tego czasu zdołało dotrzeć na brzeg ponad dziesięciu rozbitków – leżeli tam, siedzieli i stali zbici w gromadę, niewyraźne

postacie w mroku. Słysząc było jęki, sapanie, odgłosy wymiotów – wstrząsani gwałtownymi skurczami wydalali wodę morską. Nicolson sam z wysiłkiem łapiąc oddech postanowił sprawdzić, kogo brakuje. Lecz zatrzymał się już przy pierwszym wywołanym nazwisku. – Gudrun. Panna Drachmann! – Nikt nie odpowiedział, rozlegały się tylko jęki i charkot wymiotów. – Panna Drachmann! Czy ktoś widział pannę Drachmann? Czy ktoś trzyma Petera?! – Panowało milczenie. – Odpowiedzcie, na miłość boską! Czy ktoś widział Petera? Tego małego chłopca? Czy ktoś go widział? – W odpowiedzi usłyszał jednak tylko ponury huk morza i szmer kamyków porywanych przez marszczącą się powracającą falę. Rzucił się na kolana i zaczął obmacywać tułowia i twarze leżących. Nie znalazł ani Petera, ani Gudrun. Skoczył na nogi, potrącił jakąś słaniającą się postać, która znalazła się na jego drodze, rzucił jak szalony w morze, wbiegł głębiej i stracił grunt pod nogami, powalony przez nadpływającą falę. Udało mu się jednak, jak kotu, znów stanąć na nogach. Zdawał sobie sprawę, że za jego plecami ktoś też wskoczył do morza, lecz nie zwracał na to uwagi. Wyciągając jak najdalej nogi, rozbryzgując wodę przebiegł sześć długich kroków, aż nagle

coś rąbnęło go w kolana z niezwykle brutalną siłą. Była to łódź niesiona dnem do góry przez fale. Wywinął koziołka w powietrzu, rąbnął ramieniem o kil i wylądował na plecach, uderzając nimi płasko o wodę tak mocno, że zabrakło mu tchu, lecz szybko znów się pozbierał – gnany strachem i niesłychaną furją, jakiej nie odczuwał jeszcze nigdy w życiu. Każdy krok powodował takie klucie w piersiach i kolanach, jakby zadawano mu tortury, lecz mimo to Nicolson wciąż brnął niepokonany naprzód, nie zważając na piekący ból w nogach ani na to, że brak mu tchu. Jeszcze dwa kroki i wpadł na coś miękkiego. Odrzucił to coś w tył – w następną nadpływającą falę. Pochylił się, natrafił ręką na jakąś koszulę. Okazało się, że wyciąga z wody Gudrun. Stawiał opór falom za nich oboje. – Gudrun? – Johnny, och, Johnny! – Przywarła do niego, czuł, jak drży. – A Peter? Gdzie jest Peter? – dopytywał się. – Och Johnny! – Dziewczyna straciła całe swoje opanowanie, głos jej brzmiał jak lament. – Łódź uderzyła mnie i... i... – Gdzie jest Peter? – Wczepił głęboko palce w jej ramiona, potrząsnął nią gwałtownie, krzycząc jak oszalały. – Nie wiem, nie wiem! nie mogę... nie mogę go znaleźć! – Urwała i dała nurka w kipieli głęboką po pas. Złapał ją, wyciągnął, postawił na nogi i odwrócił twarzą do siebie. Zorientował się, że ktoś stoi za jego plecami – to Vannier, który wskoczył za nim do morza. Pchnął na niego dziewczynę. – Vannier, weźcie ją na brzeg. – Nie pójdę, nie pójdę! – Wyrwała się Vannierowi, lecz była na tyle słaba, że nie mogła

stawiać zbyt dużego oporu. – Zgubiłam go! Zgubiłam! – Słyszeliście, Vannier?! – krzyknął Nicolson odwracając się. Głos jego przypominał smagnięcie biczem. – Tak jest – wymamrotał do cofającego się Nicolsona czwarty oficer pociągając rozhisteryzowaną dziewczynę w stronę brzegu. Nicolson raz za razem pograżał się w białej wodzie obmacując z zapamiętaniem kamienie dna, lecz wynurzał się z niczym. Raz wydawało mu się, że znalazł chłopczyka, był to jednak tylko pusty worek. Odrzucił go, jak odpycha się szaleńca i puścił się dalej w morze, w pobliże rafy, o którą rozbiła się łódź. Woda sięgała mu teraz do ramion, co chwila przepływające fale pozbawiały go gruntu pod nogami, zachłystywał się wodą i wciąż wołał chłopca po imieniu, co brzmiało jak litania człowieka niespełna zmysłów.

Jego wyczerpany organizm dokonywał nadludzkich wysiłków, przerażenie i obawa najgorszego dodawały mu siłę, lecz zarazem odbierały rozum; obawa, jakiej nie znał i nie wyobrażał sobie, że taka może człowieka dręczyć. Od chwili gdy uderzyła w nich łódź, minęły dwie, trzy minuty, nawet więc on, na wpół oszalały, wiedział, że chłopiec nie mógłby przeżyć tak długo pod wodą. Podpowiadały mu to resztki zdrowego rozsądku, lecz nie zwracał na to uwagi i jeszcze raz dał nurka w spienioną wodę, by obmacać kamieniste dno. Znowu jednak wypłynął na powierzchnię z niczym. Dookoła słychać było tylko wiatr, deszcz i głębokie, gardłowe buczenie morza. Panowały ciemności. Aż nagle, mimo wiatru i huku fal, doleciał go ten głos. Doleciał z prawej strony, z odległości około trzydziestu metrów. Był to cienki, płaczący

głos przerażonego chłopczyka. Nicolson odwrócił się i ruszył w tamtym kierunku, przeklinając głęboką wodę, która ograniczała mu ruchy. Bieg był groteskowy, jakby w zwolnionym tempie. Chłopczyk znowu zapłakał, ale teraz ledwie jakieś pięć metrów dalej. Nicolson zawołał. W odpowiedzi usłyszał męski głos. Po chwili zobaczył wynurzającą się z ciemności potężną postać z dzieckiem w ramionach. – Ogromnie się cieszę, że pana widzę, panie Nicolson. – Głos Van Effena był słaby, daleki. – Małemu nic się nie stało. – Proszę go wziąć ode mnie. Nicolson ledwie zdążył chwycić chłopca, kiedy Holender zachwiał się na nogach i runął jak długi twarzą w spienione morze...nv Rozdział trzynasty Dookoła rozciągała się wilgotna, mokra i parna dżungla. Przez prześwity między oplątanymi przez liany gałęziami widać było szare, ponure niebo, takie samo jak ponad dwie godziny wcześniej, kiedy wschodziło słońce, całkiem niewidoczne zza chmur. Światło, które docierało do nich przez filtr koron drzew, było dziwnie nierzeczywiste, doskonale jednak harmonizowało z przytłaczającą zielenią otaczającą ich jak murem dżungli i oparami unoszącymi się znad moczarów po obu stronach ścieżki. Nawet jak na ścieżkę w dżungli mogła być łatwiejsza do przebycia, choć z drugiej strony niektóre jej odcinki, wycięte maczetami czy siekierami w gąszczu, były dość szerokie – wyglądało na to, że zrobiono je stosunkowo niedawno. Była też jednak zdradliwa – po odcinkach twardych, wydeptanych, nagle potrafiła całkiem zniknąć, tajemniczo zataczając pętlę

wokół potężnego pnia, rozplątać się w moczarach, po czym znowu pojawiała się kilka metrów dalej, wyraźna i ubita. Nicolson i Vannier po pas umazani gnijącym, śmierdzącym szlamem nauczyli się już radzić sobie na trudnych odcinkach, tam, gdzie ścieżka przestawała istnieć. Niezmiennie udawało im się znaleźć drogę, którą można było okrążyć moczary. Co prawda po dość długich poszukiwaniach, ale się udawało. Trwało to jednak bardzo długo i kilka razy zdarzyło im się odejść tak daleko od szlaku, że potem odnajdowali go tylko przez przypadek. Teraz więc postanowili nie korzystać z obejść, chyba że byłyby one całkiem wyraźne, i przechodzili wprost przez moczary, za którymi znowu stawali na twardym gruncie. Za każdym razem zatrzymywali się i obcierali ze szlamu i ohydnych szarych pijawek, które przyczepiały im się do nóg. I znowu pośpiesznie ruszali naprzód w morderczą drogę, wijącą się wśród potężnych drzew w niesamowitym półmroku tropikalnego lasu. Starali się nie zważać na tajemnicze szelesty i szmery dolatujące ich z obu stron ścieżki. Nicolson był człowiekiem morza – wyłącznie i nieodwołalnie. Niewiele

przebywał na łodzi w domu, tym rzadziej zdarzało mu się bywać w dżungli, na tę wyprawę więc na pewno by się nie wybrał ani nie przyszlaby mu ona do głowy, gdyby nie konieczność. Nie było bowiem innego wyjścia, co uświadomił sobie, gdy pojawiło się pierwsze szare światło świtu, które unaocznilo mu z bezwzględną oczywistością beznadziejność sytuacji grupki rozbitków. Trudno było uważać ich położenie i warunki, w jakich się znaleźli, za zadowalające. Wylądowali gdzieś na wybrzeżu

Jawy, nad Cieśniną Sunda, w głębokiej zatoce długiej na dwie mile, o kamienistej plaży, z której niemal bezpośrednio wyrastała murem gęsta, nieprzenikniona dżungla ciągnąca się w głąb lądu aż do wysokiego lasu tropikalnego, porastającego stoki pagórków na południu. Na brzegu zatoki nie było ani śladu ludzi, ani zwierząt, wręcz żadnego śladu życia. Pod kępą palm skuliła się gromadka rozbitków znajdując tam jedyne, nędzne schronienie, około stu metrów dalej leżała na brzegu wyrzucona przez morze dnem do góry szalupa. Była w opłakanym stanie. Między kilem a stępką boczną miała wydartą niemal sześciometrową dziurę, a sam kil był złamany i wyrwany ze stępki górnej. Łódź absolutnie nie nadawała się do naprawy, należało ją uznać za straconą. Pozostała im tylko dżungla i trudno było sobie wyobrazić, że mogliby stawić jej czoło. Kapitan Findhorn, zawsze niezwykle odważny, teraz był po prostu chorym człowiekiem, niezdolnym do przejścia kilkunastu kroków. Van Effen też był słaby, bolały go odniesione obrażenia i co pewien czas, w regularnych odstępach gwałtownie wstrząsały jego ciałem torsje – zanim Nicolson i Mc\$kinnon zdołali uwolnić jego poharataną nogę od małża, który przywarł do niej w chwili, gdy Van Effen ratował chłopczyka, mężczyzna o mało nie utonął na płyciźnie. To, w połączeniu z raną od szrapnela odniesioną kilka dni wcześniej i pęknięciem czaszki na skutek ciosu, który zadał mu Farnholme, ogromnie go osłabiło i trudno było wyobrazić sobie, że szybko zregeneruje siły. Waltersowi i Evansowi wdała się infekcja w rany na ramionach, które napuchły i bolały. Z kolei Mc\$kinnon, któremu nie bardzo

dokuczała zraniona, sztywna noga, mógł na niej kuśtykać. Willoughby był słaby, Gordon zupełnie niesprawny i nie nadający się do niczego, a Siran i jego ludzie oczywiście chętni byli do pomocy wyłącznie samym sobie. Z mężczyzn pozostał więc tylko Nicolson i czwarty oficer. Ten pierwszy zdawał sobie sprawę, że nie mogą służyć innym żadną bezpośrednią pomocą. Naprawa szalupy też nie wchodziła w rachubę, podobnie jak budowa nowej łodzi czy tratwy – pomysł ten wydawałby mu się wręcz śmieszny, zważywszy, że dysponowali tylko kilkoma narzędziami. Znaleźli się na łodzi i muszą na nim pozostać. Lecz nie mogą na zawsze pozostać na brzegu morza. Pomarliby z głodu. Żywiąc się jedynie pożywieniem dostępnym na drzewach, krzewach, ziemi i pod ziemią nie przetrwaliby długo – Nicolson nie miał co do tego złudzeń. Człowiek doświadczony potrafiłby się wyżywić w dżungli, lecz oni bardzo łatwo mogli się po prostu otruć. A gdyby nawet udało im się tego uniknąć, osłabieni ranni niezbyt długo pociągną na wikcie z kory i jagód. Poza tym zupełnie nie mieli lekarstw i świeżych bandaży do opatrzenia zainfekowanych, ropiejących ran, perspektywy więc były ponure. Żywność, schronienie, bandaże i leki – to rzeczy podstawowe i same do nich nie przyjdą. Muszą ich poszukać, muszą zorganizować pomoc. Nikt jednak nie miał pojęcia, gdzie i jak daleko należy jej szukać. Według wiadomości, które miał Nicolson,

północno\_zachodnie tereny Jawy były dość zaludnione. Znajdowały się na tym obszarze, jak pamiętał, dwa spore miasta. Lecz chyba zbyt daleko w głąb lądu, powinni więc próbować dotrzeć do jakiejś wioski rybackiej. Co

prawda mogli się w niej spotkać z wrogością, a nawet natrafić na Japończyków. Niemniej, znalazłszy się na takiej pagórkowatej, zalesionej i porosłej dżunglą wyspie, jaką jest Jawa, musieli swe poszukiwania ograniczyć do terenów nadbrzeżnych. Nie było co się nad tym nawet dłużej zastanawiać – po prostu musieli wyruszyć po pomoc bez względu na ryzyko. Niecałą godzinę po wschodzie słońca Nicolson więc chwycił colta kaliber 455 – jedną z dwóch sztuk ocalałej broni, drugą, karabinek automatyczny należący do generała, pozostawił Mc\$kinnonowi – i ruszył w dżunglę z towarzyszącym mu Vannierem. Niecałe dwadzieścia metrów w głąb lądu, tuż przed skrajem lasu natrafili na wyciętą ścieżkę, która biegła z północnego wschodu na południowy zachód – między lasem a morzem. Nawet nie porozumiewając się wzrokiem skręcili odruchowo na południowy zachód. Nicolson uświadomił sobie, dlaczego tak zrobili, dopiero po jakimś czasie. Otóż tylko na południu mogli znaleźć możliwości ucieczki i wolność. Kiedy przebyli niecałe pół kilometra od miejsca, w którym pozostała reszta, linia brzegu zaczęła skręcać w kierunku zachodnim i północno\_zachodnim, przechodząc tym samym w półwysep. Mogli go przeciąć poprowadzoną u jego nasady ścieżką i pozostawiając za sobą zarośla i krzaki, po prostu wejść do lasu. Od rozpoczęcia wędrówki minęło półtorej godziny. Przebyli cztery kilometry, Nicolson zarządził więc odpoczynek. Obaj byli wykończeni, właśnie przebrnęli przez trzydziestometrowy odcinek moczarów, w których grzęzli po

pachy. Przebrnęli przez nie jakby w zwolnionym tempie, lecz mimo wszystko wymagało to wielkiego wysiłku i wyczerpało mężczyzn, którzy już od tygodnia prawie nie jedli ani nie pili. Dżungla jednak stanowiła najtrudniejszą przeszkodę do pokonania – było w niej parno, panował upał nie do zniesienia, wilgotne powietrze kłuło w oczy zalane potem. Znalazłszy się na ubitej ścieżce Nicolson usiadł i oparł się plecami o gruby pień. Wierzchem lewej ręki otarł czoło z błota. W prawej trzymał broń – i spojrzał na Vanniera. Ten osunął się jak długi na ziemię, zasłonił przedramieniem oczy i usiłował złapać oddech, pierś falowała mu gwałtownie. – Dobrze się bawicie, czwarty? Założę się, że nie przyszło wam do głowy, że stanowisko drugiego oficera da wam licencję na włóczenie się po indonezyjskiej dżungli? – Podświadomie mówił niemal szeptem, zmuszała go do tego odczuwalna wrogość dżungli. – To straszne piekło, prawda? – Vannier poruszył się, stęknął z bólu, gdy jakiś zmęczony mięsień odmówił mu posłuszeństwa, usiłował się uśmiechnąć. – Ci Tarzani z filmów, fruający z drzewa na drzewo, dają człowiekowi całkiem mylne pojęcie o tym, jak się wędruje przez dżunglę. Co do mnie, to wydaje się, że ta cholerna ścieżka nie ma końca. A może kręcimy się w kółko? Jak pan myśli? – Całkiem możliwe – przyznał Nicolson. – Ani na chwilę nie pokazało się słońce, niebo jest tak cholernie zachmurzone, że nawet nie widać prześwitów. Moglibyśmy równie dobrze wędrować na północ jak na południe czy zachód, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Myślę, że ta ścieżka wyprowadzi nas znowu na brzeg morza.

–Oby miał pan rację. – Vannier był ponury, lecz nie przygnębiony. Patrząc na jego

wychudzoną, spaloną słońcem twarz, ze zbyt wystającymi kośćmi policzkowymi, i na pokryte błablami wymowne usta Nicolson uświadomił sobie, że ostatnie kilka dni bardzo zmieniły Vanniera. W tyglu niedostatku i trudnych przejść wytopiła się zupełnie nowa osobowość – małomówny, niepewny siebie chłopak przedzierzgnął się w zahartowanego, zdecydowanego mężczyznę, mężczyznę świadomego swoich nowych możliwości i właściwości, których istnienia nie podejrzewał, takiego mężczyznę, jakiego warto mieć u boku. Minęła minuta, może dwie niemal absolutnej ciszy, zmaconej tylko przez coraz to cichsze posapywanie obu mężczyzn i kapanie wody wśród liści. Nagle Nicolson zeszywniał, wyciągnął lewą rękę, by dotknąć ramienia Vanniera i go ostrzec. Lecz było to niepotrzebne, bo Vannier też coś usłyszał, podciągnął nogi i bez szmeru wstał. W kilka sekund później obaj ukryli się za pnem drzewa i czekali. Miarowo zbliżał się w ich stronę szmer głosów i miękkie stąpanie stóp po podszyciu dżungli. Rozmawiających jeszcze nie było widać, nadal skrywali się za zakrętem szlaku, niecałe dziesięć metrów dalej. Dla Nicolsona i Vanniera będą widoczni dopiero w ostatniej chwili, dopiero wtedy będą wiedzieli, kto się zbliża, lecz nie było na to rady. Nicolson rozejrzał się szybko za lepszą kryjówką, ale nie zobaczył nic bardziej odpowiedniego. Pień musi im wystarczyć, muszą za nim czekać. Nadchodzący mężczyźni – było ich chyba tylko dwóch – mogą okazać się Japończykami.

Nicolson odbezpieczył colta. Mimo że trzymał go pod koszulą, rozległ się nienaturalny, głośny szcęk. Jeszcze miesiąc temu Nicolson wzdrygnąłby się na myśl o strzelaniu z ukrycia do niczego nie podejrzewających ludzi, tak, jeszcze miesiąc temu... Raptem mężczyźni wyszli zza zakrętu, było ich doskonale widać. Lecz szło ich trzech, a nie dwóch, i z pewnością nie byli to Japończycy. Nicolson odetchnął z ulgą. Z ulgą, ale też lekko zaskoczony. Podświadomie oczekiwał, że zobaczy, jeśli nie Japończyków, to ubranych skąpo – zgodnie z wymogami klimatu – tubylców niosących włócznie czy dmuchawki. Tymczasem dwóch nadchodzących miało na sobie spodnie drelichowe i wypłowiałe niebieskie koszule. Jeszcze bardziej burzył Nicolsonowi pierwotne wyobrażenia fakt, że najstarszy z całej trójki niósł karabin. Na skutek tego odkrycia ręka trzymająca colta jednak nie zadrżała. Nicolson odczekał, aż podeszli na odległość pięciu metrów, i nagle stanął na środku ścieżki mierząc z rewolweru w pierś uzbrojonego mężczyzny. Ten był szybki. Zatrzymał się w pół kroku, spod słomianego kapelusza błysnęły zmrużone oczy, raptownym ruchem lewej ręki podniósł długą lufę karabinu. Lecz jeszcze szybszy okazał się młodszy mężczyzna u jego boku. Wyciągnął muskularną rękę i gwałtownym uderzeniem skierował lufę w dół, jednocześnie kwitując ostrymi słowami zdumienie i gniew malujące się na twarzy starszego. Ten opuścił ciężko głowę, odwrócił wzrok i ustawił karabin tak nisko, że koniec lufy niemal dotknął ziemi. Wymamrotał coś szybko do młodego, ten skinął i spojrzał wrogo na Nicolsona. Twarz miał spokojną, gładką.

– Begrijp U Nederlands? – Holendrzy? Przepraszam, nie rozumiem. – I podniósł ramiona w niemym geście, po czym zerknął w stronę Vanniera. – Odbierzcie mu broń. Z boku. – Anglicy? Mówicie po angielsku? – spytał powoli, z namysłem młody. Patrzył na Nicolsona podejrzliwie, lecz już nie wrogo. Nagle przeniósł wzrok wyżej, kilka centymetrów ponad jego oczy i uśmiechnął się. Odwrócił głowę i powiedział coś szybko do starszego. Znowu spojrzał



na Nicolsona. – Mówię ojcu, że jesteście Anglikami. Poznają pańską czapkę. Oczywiście, że jesteście Anglikami. – O to chodzi? – Nicolson dotknął otoka. – Tak. Mieszkam w Singapurze – machnął ręką mniej więcej w kierunku północnym. – Od prawie dwóch lat. Często widuję oficerów brytyjskiej marynarki. Skąd się tu wzięliście? – Potrzebujemy pomocy – rzucił Nicolson. W pierwszym odruchu chciał grać na zwłokę, upewnić się co do sytuacji, lecz coś w spokojnych ciemnych oczach młodego mężczyzny pozwoliło mu odstąpić od tego zamiaru. Zresztą i tak nie miał innego wyjścia, z czego sobie z kwaśną miną zdał sprawę. – Nasz statek zatonął. Mamy wielu chorych i rannych. Potrzebujemy schronienia, żywności i lekarstw. – Oddajcie nam broń – rzucił raptownie młody. Nicolson nie wahał się. – Vannier, oddajcie im karabin. – Oddać karabin? – spytał, mimo że po wyrazie jego twarzy widać było, że zrozumiał. – Ale skąd pan wie... – Nic nie wiem, ale oddajcie. – Nicolson wepchnął colta za pas. Vannier niechętnie podał

karabin mężczyźnie w słomkowym kapeluszu. Ten chwycił go gwałtownie, skrzyżował ręce i utkwiał wzrok w gąszczu. Młody popatrzył na niego z irytacją i uśmiechnął się do Nicolsona. – Musicie wybaczyć ojcu – powiedział z wahaniem. – Zraniliście jego uczucia. Jemu nie odbiera się broni. – Dlaczego? – Bo Trikah to Trikah, nikt się na to nie odważy. – W głosie młodego pobrzmiwała miłość, duma i rozbawienie. – Jest naczelnikiem naszej wioski. – Jest wodzem? Nicolson spojrzał na starszego mężczyznę z nowym zainteresowaniem. Od niego, od jego umiejętności podejmowania decyzji, chęci niesienia pomocy czy odmowy jej zależy życie ich wszystkich. Bliżej mu się przyglądając Nicolson dostrzegł zmarszczki na brązowej, poważnej, nie uśmiechniętej twarzy, dostrzegł w niej poczucie władzy i spokój, jakich można oczekiwać na obliczu wodza plemienia czy wioski. Syn bardzo był z wyglądu podobny do ojca, przypominał go też chłopak trzymający się z tyłu – zapewne młodszy syn, domyślał się Nicolson. Wszyscy trzej mieli takie samo niskie, szerokie czoło, inteligentne spojrzenie, delikatnie wykrojone wargi i cienki, orli nos. Nie mieli śladu negroidalnych rysów, płynęła w nich bez wątplenia czysta arabska krew. Idealny człowiek, by szukać u niego pomocy, pomyślał Nicolson, ale czy będzie chciał jej udzielić? – Tak, to nasz wódz – skinął głową młody. – Ja jestem Telak, jego starszy syn. – Moje nazwisko Nicolson. Proszę powiedzieć ojcu, że mam wielu chorych ludzi, mężczyzn i kobiet. Zostali na brzegu, trzy mile stąd na północ. Potrzebujemy pomocy. Proszę go

spytać, czy nam jej udzieli. Telak odwrócił się do ojca, przez minutę mówił do niego nieprzerwanie w języku, który brzmiał zgrzytliwie i ostro, wysłuchał odpowiedzi i spytał: – Ilu jest chorych? – Pięciu... co najmniej pięciu mężczyzn. Są też trzy kobiety... chyba nie dadzą rady podjąć długiego marszu. Ile kilometrów stąd jest wasza wioska? – Kilometrów? – Telak uśmiechnął się. – Można tam dojść w pięć minut. Znow zaczął mówić coś do ojca, a ten kilka razy skinął głową. Potem zwrócił się do stojącego obok chłopaka. Podrostek słuchał uważnie, jakby powtarzał polecenia, błysnął białymi zębami uśmiechając się i pobiegł w stronę, z której przyszli. – Pomożemy wam – powiedział Telak. – Mój młodszy brat pobiegł do wioski... przyprowadzi silnych mężczyzn i nosze dla rannych. Chodźmy do waszych ludzi. Odwrócił się, wszedł w nieprzenikniony las, przemknął skrajem moczarów, przez które brnęli tak niedawno Nicolson i Vannier, i znow wrócił na ścieżkę – wszystko

trwało minutę. Vannier napotkał spojrzenie Nicolsona i uśmiechnął się. – No i dopiero głupio człowiek się czuje. To takie łatwe, tylko trzeba wiedzieć, jak to robić. – Co mówi pański przyjaciel? – spytał Telak. – PO prostu żałuje, że nie było was z nami wcześniej – wyjaśnił Nicolson. – Strasznie dużo czasu zajęło nam brnięcie po pas przez moczary. Trikah chrząknął, by mu przetłumaczono, wysłuchał Telaka i coś mamrotał do siebie. Telak się uśmiechnął. – Ojciec mówi, że tylko głupcy i małe dzieci nie umieją przejść przez dżunglę suchą nogą. Ale

zapomina, że trzeba się tego najpierw nauczyć. – Znów się uśmiechnął. – Zapomniał o tym, jak raz jechał samochodem... jedyny raz w życiu. Kiedy samochód ruszył, ojciec wyskoczył i poważnie zranił się w nogę. Szli w przefiltrowanym zielonym świetle dżungli, Telak coś swobodnie opowiadał. Całkiem jasno się wyraził, że ani on, ani ojciec nie mają przekonania probrytyjskich. Nie mają też proholenderskich ani projapońskich. Są po prostu proindonezyjscy, wyjaśnił – ich kraj ma być ich krajem. A kiedy skończy się wojna i będą musieli z kimś negocjować w sprawie niepodległości, woleliby robić to z Brytyjczykami czy Holendrami. Japończycy demonstracyjnie okazują im przyjaźń, lecz wystarczy, by weszli do jakiegoś kraju, a już nigdy z niego nie wychodzą. Proszą o współpracę, jak to nazywają, mówił Telak, a już pokazali, że jeśli nie uda im się dopiąć swego po dobroci, radzą sobie za pomocą bagnetu i karabinu maszynowego. Nicolson spojrzał na niego z nagłym zdziwieniem i przerażeniem. – Są tu w pobliżu Japończycy? A więc wylądowali? – Tak, już są tutaj – odparł ponuro Telak. Wskazał na wschód. – Brytyjczycy i Amerykanie nadal walczą, ale koniec ich jest bliski. Japończycy zajęli tu już kilkanaście miasteczek i wiosek w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. W Bantuk mają... no, jak wy to nazywacie... aha, garnizon. Garnizon, którego dowódcą jest pułkownik. Pułkownik Kiseki. – Telak potrząsnął głową jak ktoś, kim wstrząsają zimne dreszcze. – Pułkownik Kiseki to nie człowiek. To zwierzę, bestia z dżungli. Z tym, że zwierzęta w

dżungli nie zabijają bez powodu. On by wyrwał człowiekowi rękę... czy małemu dziecku... tak jak bezmyślny maluch potrafi urwać skrzydła musze. – Jak daleko wasza wioska leży od tego miasteczka? – spytał powoli Nicolson. – Od Bantuk? – Tak, tam, gdzie jest garnizon. – Jakież sześć kilometrów. Nie więcej. – Sześć kilometrów! Dacie nam schronienie... dacie schronienie tylu osobom ledwie sześć kilometrów od Japończyków?! A co będzie, jeśli... – Obawiam się, że nie możecie u nas na długo pozostać – przerwał mu ponuro Telak. – Ojciec mówi, że to nie będzie bezpieczne. Nie będzie bezpieczne ani dla was, ani dla nas. Są szpiedzy, są tacy, którzy roznoszą informacje dla pieniędzy, nawet wśród naszych własnych ludzi. Japończycy by was złapali, a mojego ojca, matkę, braci i mnie zabraliby do Bantuk. – Jako zakładników? – Tak by to nazwali. – Telak uśmiechnął się smutno. – Zakładnicy Japończyków nigdy nie wracają do swoich wiosek. To okrutni ludzie. Dlatego chcemy wam pomóc. – Jak długo możemy u was zostać? Telak odbył krótką naradę z ojcem. – Dopóki to będzie bezpieczne. Będziemy was żywić, damy wam chatę, gdzie będziecie spać, a stare kobiety zajmą się leczeniem ran. Może zostanieie ze trzy dni, ale nie dłużej. – A potem? Telak wzruszył ramionami i w milczeniu torował drogę przez dżunglę. Niecałe sto metrów od miejsca, w którym morze wyrzuciło na brzeg szalupę,

spotkali

McSkinnona. Biegł chwiejąc się na nogach, nie dlatego, że jedną miał sztywną, lecz dlatego, że z senej rany na czole płynęła mu krew zalewając oczy. Nicolson wiedział, kto jest tego sprawcą. McSkinnon był wściekły, upokorzony, winił wyłącznie siebie, oskarżał się, lecz trudno mu było przypisywać naprawdę jakąś winę. Z tego, że uderzył go mocno, pozbawiając przytomności, ciężki kamień, zdał sobie sprawę dopiero gdy doszedł do siebie i zobaczył kamień obok. Nikt nie potrafi bez końca obserwować jednocześnie trzech osób. Pozostali byli bezsilni, bo skoncentrowany atak dokładnie zaplanowano; jedyny karabin, jaki mieli, Siran wyrwał McSkinnonowi, kiedy ten upadł nieprzytomny. Siran i jego ludzie, jak opowiadał Findhorn, ruszyli na północny wschód. McSkinnon był absolutnie przekonany, że należy ich ścigać. Nicolson też tak uważał, zdając sobie sprawę, że żywy, będący na wolności Siran stanowi potencjalne niebezpieczeństwo, niezależnie od tego, gdzie się znajduje. Telak jednak był przeciwnego zdania. Przede wszystkim wykluczone, by udało im się znaleźć ich w dżungli, a poza tym, jak twierdził, szukanie człowieka, który mógł się gdzieś ukryć z karabinkiem automatycznym w pogotowiu, równało się natychmiastowemu samobójstwu. Nicolson uznał jego zdanie za decydujące, wszyscy więc ruszyli nad brzeg morza. Dwie godziny później ostatnie nosze dotarły do kampongu Trikaha, to znaczy do wioski wśród dżungli. Mężczyźni, którzy transportowali rannych i chorych, byli niscy i chudzi, lecz zadziwiająco silni i wytrzymali, większość ich ani razu nie przystanęła, by odpocząć, ani razu nie zdjęła

noszy z ramion. Co do Trikaha, to spełnił swoją obietnicę. Stare kobiety umyły i oczyściły rany chorych, nałożyły na nie chłodne maście uśmierzające, przykryły je dużymi liśćmi i wszystko razem obandażowały bawełnianymi szarpami. Później wszystkich nakarmiono, i to sownie. Właściwie należałoby powiedzieć inaczej – podano im wspaniałą posiłek z kilku dań. Był kurczak, żółwie jaja, ryż na ciepło, owoce durian, duszone krewetki, ignamy, gotowane na słodko korzenie i suszoną rybę. Lecz wygłodzeni od wielu dni rozbitkowie szybko zaspokoili głód ledwie tykając rozstawionego przed nimi jedzenia. Poza tym głównie odczuwali potrzebę snu, a nie głód. Niebawem więc ułożyli się na spoczynek. Nie było łóżek, hamaków, legowisk z gałęzi czy trawy, lecz tylko maty z liści palmy kokosowej rozłożone na zamiecionym klepisku chaty. Wystarczyło im to jednak, było wręcz rajem, bo przecież nie zdarzyło im się przespać całej nocy od tak dawna, że nawet nie potrafili sobie przypomnieć, od kiedy. Spali jak zabici, tak głęboko, że nikt by ich nie dobudził. \* \* \* Kiedy Nicolson otworzył oczy, już dawno było po zachodzie i nad dżunglą zapadła noc. Spokojna, cicha noc nad spokojną i cichą dżunglą. Nie słychać było krzyku małych ani pohukiwań nocnych ptaków, nie słychać było żadnych odgłosów. Tylko cisza, spokój i ciemność. Wewnątrz chaty też było cicho i spokojnie, lecz nie ciemno – przy wejściu wisiały dwie dymiące lampy naftowe. Nicolson też najpierw spał jak zamroczony, głęboko pogrążony we śnie. Mógłby tak spać jeszcze długo i pewnie tak by się stało,

gdyby mu nie przeszkadzono. Obudził go ostry przeszywający ból, który dotarł do jego świadomości nawet przez mgłę snu, ból dziwny i nie znany mu przedtem, przekuwający skórę, zimny, ostry i dojmujący. Obudził się bowiem z japońskim bagnetem przystawionym

do gardła. Bagnet był długi, ostry, straszny; naoliwiona stal połyskiwała złowrogo w migotliwym świetle. Wzdłuż ostrza biegł rowek na ściekającą krew. Z odległości kilku centymetrów wyglądał jak wielki metalowy ściek. Na wpół przebudzonemu, na wpół przytomnemu Nicolsonowi stanęły przed oczyma okrutne wizje rzezi i masowych pogrzebów. Nagle film się skończył, wzrok Nicolsona powędrował dalej wzdłuż błyszczącego bagnetu, jakby niezdrowo nim zafascynowany, i jeszcze dalej, aż do lufy karabinu i brązowej ręki, która go trzymała. Potem spoczął na spuście i magazynku, na drewnianej kolbie i drugiej brązowej ręce, na pasie szarozielonego munduru i twarzy wyzierającej spod nasadzonej głęboko na głowę czapki, twarzy o kącikach ust rozciągniętych w uśmiechu, który bynajmniej nie był uśmiechem, tylko zwierzęcym szczerzeniem zębów, pełnym nienawiści i oczekiwania, szyderstwa i jadowitości doskonale harmonizujących z wyrazem świńskich oczek pałających żądzą krwi. Kiedy Nicolson wodził wzrokiem, usta Japończyka opartego na kolbie karabinu jeszcze bardziej się rozciągnęły ukazując długie jak u psa kły. Szpic bagnetu przekłuł skórę u nasady szyi, Nicolson czuł, jak zalewa go fala mdłości, niczym fala morska. Światło w chacie zdawało się coraz bardziej migotliwe i ciemne.

Po kilku sekundach zaczął znów prawidłowo widzieć. Mężczyzna stojący nad nim – był to oficer, jak Nicolson się zorientował po mieczu u boku – nie zmienił pozycji, nadal trzymał bagnet u jego szyi. Nicolson, nie poruszając głową i szyją ani o milimetr, zaczął powoli wodzić wzrokiem po chacie. Znów powróciły nudności. Nie spowodował ich bagnet przystawiony do szyi, lecz gorzkie uczucie beznadziejności, niemal fizycznie odczuwalna rozpacz, która wezbrała mu w gardle. Jego strażnik nie był jedynym Japończykiem w chacie. Znalazło się tu ich co najmniej kilkunastu, wszyscy uzbrojeni w karabiny i bagnety wymierzone w śpiących mężczyzn i kobiety. W ich milczeniu, tajemniczości i bezruchu było coś niesamowitego i złowieszczonego. Nicolson zaczął się zastanawiać, czy mieli zamiar wymordować ich wszystkich we śnie, aż nagle stojący nad nim oficer przerwał milczenie i wyjaśnił jego wątpliwości. – Czy to ta świnia, o której mówiliście? – powiedział to po angielsku płynnie, gramatycznie, jak ktoś, kto uczył się tego języka poza Anglią. – Czy to ich dowódca? – To jest Nicolson. – Słowa te wypowiedział Telak, który stał w cieniu tuż za wejściem. Głos jego brzmiał obco i obojętnie. – On dowodzi całą grupą. – Ach tak? Odezwij się, ty angielska świnio! Na potwierdzenie swego żądania oficer mocniej wkuł bagnet w szyję Nicolsona, który poczuł, jak ciepła krew powoli spływa mu na kołnierzyk koszuli. W pierwszej chwili pomyślał, by zaprzeczyć, by powiedzieć, że to kapitan Findhorn jest tu dowódcą. Instynkt podpowiedział mu jednak, że Japończycy zamierzają ostro się rozprawić z człowiekiem uznanym za dowódcę,

a kapitan Findhorn jest w takim stanie, że na pewno tego nie przetrzyma. Jeden cios by wystarczył, żeby go zabić. – Tak, ja tu dowodzę. – Nawet jemu własny głos wydawał się słaby i cichy. Spojrzał na bagnet, próbował ocenić, czy udałoby mu się odtrącić go na bok, lecz uznał, że to niemożliwe. Gdyby nawet mu się to udało, pozostałych kilkunastu Japończyków tylko czekało, by go zastrzelić. – Weźcie to cholerstwo z mojej szyi. – Och, oczywiście! Zupełnie zapomniałem. – Oficer zabrał bagnet, cofnął się o krok i kopnął

Nicolsona ze złością w bok nad nerką. – Kapitan Yamata, do usług – szepnął jedwabistym głosem. – Oficer Armii Jego Wysokości Cesarza Japonii. Uważaj w przyszłości, kiedy będziesz się zwracał do japońskiego oficera. Wstawaj na nogi, ty świnio! – wrzasnął. – Wszyscy wstawać! Nicolson podniósł się powoli, chwiejnie na nogi. Od bólu w boku niemal zbierało mu się na wymioty, twarz pod opalenizną mu poszarzała. Wszyscy dookoła usiłując otrząsnąć się ze snu, półprzytomni wstawali z podłogi. Tych, którzy robili to zbyt powolnie lub byli zbyt chorzy czy zbyt ciężko ranni, zrywano bezwzględnie z pościeli nie zważając na ich jęki i krzyki, po czym pędzono ich w stronę wyjścia. Nicolson widział, że z Gudrun Drachmann też obchodzą się brutalnie. Pochyliła się, by owinąć wciąż śpiącego Petera kocem i wziąć go w ramiona, tymczasem Japończyk szarpnął nimi tak bezwzględnie, że chyba wyrwał dziewczynie ramię ze stawu – wydała ostry okrzyk bólu, lecz w tej samej chwili zamilkła zaciskając zęby. Nicolson uświadomił sobie, że przygląda jej się mimo własnego bólu i poczucia bezsilności,

przygląda i zastanawia, jak ją stać na tyle cierpliwości, odwagi i ciągłego poświęcenia, na to, by przez tyle długich dni i nie kończących się nocy opiekować się dzieckiem. Ogarnęło go nagle przemożne uczucie litości, uświadomił sobie, że zrobiłby wszystko, by uchronić dziewczynę przed dalszymi cierpieniami i niebezpieczeństwem, uświadomił sobie z lekkim zdziwieniem, że nigdy niczego podobnego nie odczuwał wobec nikogo, prócz Caroline. Znał tę dziewczynę zaledwie od dziesięciu dni, lecz znał ją lepiej, niż gdyby z kim innym przeżył sto lat. Rodzaj i intensywność ich doświadczeń oraz wielka udręka ostatnich dni szczególnie mocno, brutalnie i z bezwzględną wyrazistością uwypuklały i potęgowały wady i zalety, cechy ujemne i cnoty, które w innym wypadku mogłyby przez długie lata pozostać nie zauważone czy drzemać w utajeniu. Lecz przeciwności losu i nieszczęścia stały się katalizatorem, dzięki któremu wyszło na jaw to, co najlepsze i najgorsze, i można to było nieomylnie odczytać. Z tygla bólu, cierpienia i niewyobrażalnych trudów Gudrun, podobnie jak Lachie Mc\$kinnon, wyłoniła się opromieniona i bez skazy. Nicolson zapomniał na chwilę, gdzie się znajduje, choć wydawało się to nieprawdopodobne, zapomniał gorzką przeszłość i pustkę przyszłości, ponownie spojrzął na dziewczynę i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że się oszukuje, i to celowo. Wobec tej dziewczyny o nieśmiałym uśmiechu, ze szramą na twarzy, o skórze jak różany płatek o zmroku i niebieskich oczach znad północnych mórz nie odczuwał tylko litości czy po prostu współczucia. A jeśli nawet tak było, to już nigdy nie będą to

jedyne uczucia, którymi będzie ją darzył. Już nigdy. Pokiwał powoli głową i uśmiechnął się do siebie. Nagle Yamata walnął go kolbą między łopatki i pchnął potykającego się w stronę wyjścia. Na zewnątrz było niemal czarno, lecz skąpa poświata pozwalała Nicolsonowi zorientować się, dokąd żołnierze ich prowadzą – do jasno oświetlonego po przeciwnej stronie kampongu – miejsca zgromadzeń rady, do wyglądającej jak sześcian drewnianej budowli pełniącej rolę ratusza. Widział jeszcze coś – mglisty zarys sylwetki Telaka, który stał nieporuszony w mroku. Nie zwracając uwagi na oficera z tyłu, nie zważając na to, że może znów ostro oberwać, Nicolson przystanął tuż obok. Telak nie poruszył się, nie wykonał żadnego gestu, po prostu jakby zmarł. – Ile wam zapłacili, Telak? – szepnął

Nicolson. Mijały sekundy, Telak się nie odzywał. Nicolson przygotował się nato, że dostanie następny cios między łopatkami, lecz tak się nie stało. Nagle Telak zaczął mówić, jednak głos jego był jakby szeptem w oddali, Nicolson więc pochylił się odruchowo, by go usłyszeć. – Dobrze mi zapłacili, panie Nicolson. – Postąpił krok naprzód i na wprost się odwrócił, tak że w świetle sączącym się przez drzwi chaty ukazał się jego profil. Lewy policzek, szyję, ramię i górną część klatki piersiowej miał niemiłosiernie pokiereszowane i poranione mieczem i bagnetem – widać było ranę na ranie, krew ciekła z nich bezgłośnie na ubitą ziemię kampongu. – Dobrze mi zapłacili – powtórzył. – Mój ojciec nie żyje. Ktoś nas zdradził, zaskoczyli nas. Nicolson patrzył na niego bez

słowa, nie potrafił nawet zebrać myśli na jego widok, na widok Telaka, za którego plecami czyha teraz japoński bagnety. Nie jeden, tylko dwa – Telak musiał zawzięcie walczyć, zanim go powalono. Nagle Nicolson zaczął znów myśleć, był wstrząśnięty, żałował, że to wszystko się przydarzyło, i to tak szybko, ludziom, którzy okazali się niesamolubni i przyszli im z pomocą. Zaczął też natychmiast gorzko żałować słów, które wypowiedział, żałować, że w tak okropnie niesprawiedliwy sposób go oskarżył i że oskarżenie to na pewno było dla Telaka ostatnią kroplą słonej wody wylaną na jego rany, kroplą potęgującą smutek i cierpienie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie wydobył z siebie nic prócz jęku bólu, bo akurat kolba karabinu znów walnęła go w plecy, jęku, który doskonale się zsynchronizował z niskim, złowieszczym chichotem Yamaty pośród ciemności. Japoński oficer, odwróciwszy teraz karabin lufą naprzód, pędził Nicolsona przez kampong poganiając bagnetem. Nicolson zobaczył z przodu swoich towarzyszy wpędzanych jak stado w prostokąt światła – było to wejście do chaty rady starszych. Niektórzy byli już w środku, panna Plenderleith właśnie wchodziła, Lena za nią, potem Gudrun z Peterem, a za nią bosman i Van Effen. Nagle tuż przed progiem Gudrun o coś się potknęła i niemal upadła, gdyż tym trudniej jej było złapać równowagę, że niosła chłopca. Strażnik chwycił ją brutalnie za ramię i popchnął. Może chciał ją popchnąć, by weszła, lecz w takim razie musiał się pomylić i źle ocenić kierunek, bo popchnął dziewczynę z dzieckiem wprost na framugę. Grzmotnęli w nią – huk uderzenia głową o twarde drzewo doleciał aż do uszu Nicolsona, z

dziesięć metrów z tyłu. Dziewczyna krzyknęła z bólu, a jednocześnie rozległ się przeraźliwie cienki wrzask Petera. Mc\$kinnon, który szedł ledwie kilka kroków za nimi, zawołał coś niezrozumiale – pewnie w swym ojczystym szkockim języku – i szybko rzucił się naprzód za strażnikiem, który pchnął dziewczynę. Lecz kolba karabinu żołnierza za jego plecami była szybsza, bosman jej nie widział... \* \* \* Pomieszczenie rady starszych było duże, przestronne, miało z osiem metrów szerokości i ze dwanaście długości, z wejściem pośrodku dłuższego boku. Paliło się w nim jasnym płomieniem sześć lamp naftowych. Z prawej strony od drzwi stało podwyższenie dla rady, zajmujące niemal całą szerokość izby. Za nim były drugie drzwi prowadzące na zewnątrz. Poza tym i na wprost drzwi, i na lewo wewnątrz tej drewnianej chaty było puste, klepisko mocno ubite. Na gołej ziemi ciasnym, zbitym półokręgiem siedzieli jeńcy. Wszyscy prócz Mc\$kinnona – Nicolson ze swego miejsca widział w okrutnym snopie światła padającym od drzwi jego ramiona, nieruchome, rozrzucone na boki ręce, tył głowy i ciemne, kędzierzawe włosy – reszta postaci

pozostawała w mroku. Mógł tylko od czasu do czasu zerkać na bosmana, dookoła bowiem przechadzali się lub stali tyłem do drzwi uzbrojeni strażnicy. Całą jego uwagę pochłaniali mężczyźni na podwyższeniu, w duchu wyrzucał sobie własną głupotę, szalone pomysły, tchórzostwo i brak rozsądku, które zgotowały wszystkim – Gudrun, Peterowi, Findhornowi i całej reszcie taki smutny koniec. Na podwyższeniu, na niskiej

ławce siedział kapitan Yamata, u jego boku Siran. Uśmiechnięty, tryumfujący Siran, który już nie musiał skrywać uczuć za pozbawioną wyrazu maską, Siran będący najwyraźniej w najlepszych stosunkach z szeroko uśmiechniętym Yamatą, Siran, który od czasu do czasu wyjmował długie, czarne cygaro spomiędzy błyszczących zębów i dmuchał pogardliwie w stronę Nicolsona kłębem dymu. Nicolson odpieszał jego wzrok posępnym, niewzruszonym spojrzeniem. Twarz jego przybrała całkowicie obojętny wyraz. Czuł, że chętnie by go zamordował. To, co się wydarzyło, było dla Nicolsona oczywiste i bolesne. Siran tylko udawał, że ucieka znad brzegu morza na północ – był to z jego strony tylko wybieg, pomyślał z wściekłością Nicolson, wpadłoby na to nawet dziecko. Na pewno Siran oddalił się kawałek w kierunku żółnocnym, ukrył się tam i czekał, aż mężczyźni z wioski skończą transportować nosze, poszedł ich śladem, minął wioskę i powędrował dalej do Bantuk, by donieść garnizonowi o przybyciu rozbitków. Wszystko to było takie łatwe do przewidzenia, takie jasne, że byle głupiec powinien się tego domyślić i przedsięwziąć środki ostrożności. To znaczy zabić Sirana. Lecz on, Nicolson, dopuścił się przestępstwa, bo tego nie zrobił. Teraz wiedział, że gdyby kiedyś w przyszłości powtórzyła się taka okazja, na pewno zastrzeliłby Sirana z taką samą obojętnością, z jaką strzeliłby do węża czy starej blaszanej puszki. Wiedział też jednak, że taka okazja już nigdy się nie powtórzy. Powoli, z takim wysiłkiem, jakby musiał przezwyciężyć siłę przyciągania magnetycznego, oderwał wzrok od twarzy Sirana i zaczął się przyglądać twarzom

ludzi siedzących na klepisku. Gudrun, Peter, panna Plender- leith, Findhorn, Willloughby, Vannier – byli tam wszyscy: zmęczeni, chorzy, cierpiący. Niemal wszyscy milczeli, lecz nie dlatego, że paraliżował ich strach – byli po prostu zrezygnowani. Uczucie goryczy, jakiego doznawał Nicolson, stało się prawie nie do zniesienia. Wszyscy mu ufali, mieli do niego całkowite zaufanie, wprost polegali na nim, wierzyli, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by powrócili bezpiecznie do domów. Zawierzyli mu, a teraz nikt do domu nie powróci... Spojrzał na podwyższenie. Kapitan Yamata wstał, jedną rękę zatknął za pas, drugą oparł na rękojeści miecza. – Nie będę was tu długo trzymał – powiedział dobitnie, ze spokojem. – Za dziesięć minut wyruszamy do Bantuk. Spotkamy się tam z moim dowódcą, pułkownikiem Kiseki, który niecierpliwie na was wszystkich czeka. Syn pułkownika dowodził przejętym od Amerykanów torpedowcem, który wysłano wam na spotkanie. – Zauważył, że jeńcy wymieniają między sobą spojrzenia, wstrzymują oddech. Uśmiechnął się blado. – Na nic się zda zaprzeczanie. Obecny tu kapitan Siran nie zawiedzie jako świadek. Pułkownik Kiseki szaleje z bólu. Lepiej by dla was było... dla każdego z was bez wyjątku... żebyście się nigdy nie urodzili. Tylko dziesięć minut – mówił gładko dalej. – Nic więcej. Najpierw musimy coś załatwić, niedługo to potrwa, a potem ruszamy. – Znów się uśmiechnął i rozejrzał po siedzących w kucki na klepisku jeńcach. – Ale czekając spotkacie się z kimś... jestem

pewien, że z największą przyjemnością... z kimś, kogo znacie, ale właściwie nie znacie. Z kimś, kto jest bliskim

przyjacielem naszego wysławianego Cesarstwa, z kimś, komu Jego Wysokość Cesarz pragnąłby osobiście podziękować. Czas się ujawnić, panie pułkowniku. Wśród jeńców ktoś się nagle poruszył, wstał na nogi i zaczął iść w stronę podwyższenia. Odezwał się płynnie po japońsku do Yamaty, który cały w ukłonach uściskał mu rękę. Nicolson, którego każdy miesiąc twarzy wyrażał konsternację i zdumienie, podniósł się, lecz w tej samej chwili powalono go na ziemię zadając cios kolbą w bark. Przez chwilę miał wrażenie, że szyję i ramię pali mu ogień, ale właściwie niemal tego nie zauważył. – Van Effen! Co do diabła... – Nie jestem żadnym Van Effenem, mój drogi Nicolsonie – zaprotestował Van Effen. – Nie "Van", tylko "von". Znudziła mnie już i zmęczyła ta maskarada, to cholerne udawanie Holendra. – Uśmiechnął się lekko i skłonił głowę. – Panie Nicolson, jestem do pańskich usług. Pułkownik Alexis von Effen, z niemieckiego kontrwywiadu. Nicolson wpatrywał się w niego, wpatrywał w milczeniu. Zresztą nie tylko on był wstrząśnięty i zdumiony. Oczy wszystkich zwróciły się na Van Effena – oczy zwróciły się odruchowo, a umysły usiłowały ochłonać ze zdumienia, zrozumieć sytuację, zanalizować wspomnienia wydarzeń ostatnich dziesięciu dni. Powoli wyłonił się z nich obraz, dzięki któremu można było zacząć rozumieć rolę Van Effena. Upływały powolne sekundy, zrobiła się z nich minuta, potem druga i wreszcie rozwiały się wszelkie wątpliwości. Pozostała tylko pewność, niezłomna pewność, że pułkownik Alexis von Effen jest tym, za kogo się podaje. Nie pozostał nawet cień wątpliwości.

Milczenie przerwał sam Van Effen. Lekko odwrócił głowę, spojrział w stronę drzwi, znów popatrzył na swych byłych towarzyszy niedoli. Miał na twarzy uśmiech, lecz nie było w nim nic, co by wyrażało tryumf, radość czy zadowolenie. Był to uśmiech smutny. – A teraz, panowie, wyjaśnię, dlaczego musieliśmy przejść przez tyle trudów i cierpień, dlaczego Japończycy... sprzymierzeńcy mojego narodu, przypominam... podążali za nami i nieustannie na nas polowali. Wielu z was zastanawiało się, dlaczego jesteśmy dla nich tacy ważni, nasza nieliczna gromadka rozbitków. Teraz się tego dowiedziecie. Japoński żołnierz przeszedł koło mężczyzn i kobiet siedzących na klepisku i rzucił między Van Effena i Yaamatę ciężką torbę. Wszyscy spojrzeli na nią, a potem na pannę Plenderleith, do której należała. Kobiecie pobieleły usta i kłykcie, oczy miała półprzymknięte, jakby w cierpieniu. Lecz ani się nie poruszyła, ani nie odezwała. Na znak Van Effena żołnierz chwycił za jedną rączkę torby, on sam za drugą. Podnieśli ją na wysokość ramion i odwrócili dnem do góry. Nic nie wypadło na ziemię, tylko wysunęła się mocno obciążona podszewka, która zwisała jakby wypełniona ołowiem. Van Effen spojrział na oficera. – Kapitanie Yamata, można prosić? – Z przyjemnością, panie pułkowniku. Yamata postąpił naprzód wyciągając miecz z pochwy. Zabłyzczał w jasnym żółtym świetle lamp olejnych i ostrą klingą przeciął grubą płócienną podszewkę jakby była z papieru. Nagle blask miecza przygaś,

znikł, rozpląnął się w oślepiającym, roziskrzonym strumieniu ognia, który wylał się z torby wprost na ziemię układając się w wysoki migocący stożek, roziskrzony, promienny. – Panna Plenderleith lubi, jak widać, ozdóbki i błyskotki. – Van Effen uśmiechnął się przyjaźnie i trącił



lekko czubkiem buta roziskrzony kopczyk. – Panie Nicolson, to diamenty. Największa ich kolekcja, o ile wiem, jaka istnieje poza Afryką Południową. Warta niecałe dwa miliony funtów. Rozdział czternasty Cichy głos Van Effena przebrzmiał, zapadła ciężka, głęboka cisza. Każda z obecnych w pomieszczeniu rady osób miała uczucie, że jest tam sama. Wielka sterta diamentów rozmigotana, roziskrzona barbarzyńskim przepychem w migocącym świetle lamp naftowych działała na ludzi niesamowicie, hipnotyzująco, przykuwała wzrok. Po jakimś czasie Nicolson jednak spojrzął na Van Effena. Dziwne, ale nie odczuwał wobec niego ani wrogości, ani żalu – zbyt wiele razem przeszli i Van Effen nawet okazał się lepszy od wielu innych – niesamolubny, wytrwały i pomocny przez cały czas. Zbyt dobrze Nicolson to jeszcze pamiętał, by nie brać tego pod uwagę. – Oczywiście, diamenty z Borneo – mruknął. – Z Banjermasin, przewożone na "Kerry Dancerze"... na pewno nie inaczej. Chyba nie szlifowane... i mówi pan, że warte dwa miliony? – Z grubsza oszlifowane i nie szlifowane – skinął głową Van Effen. – A ich cena rynkowa wynosi co najmniej... sto myśliwców, kilka niszczycieli, nie wiem, czego jeszcze. W

czasie wojny warte są dla tej strony, w której ręce wpadną, nieskończenie więcej. – Uśmiechnął się lekko. – Ani jeden z tych kamieni nie ozdobi palców damy. Zostaną wykorzystane w przemyśle... do produkcji narzędzi o diamentowych zakończeniach ostrzy. Wielka szkoda, prawda? Nikt się nie odezwał, nikt nawet nie spojrzął na mówiącego. Słyszeli słowa, lecz ich nie rejestrowali, skoncentrowani na jedynej interesującej ich rzeczy, która przykuwała ich wzrok. Van Effen podszedł szybko do sterty, zamachnął się nogą i diamenty rozsypały się po klepisku roziskrzoną kaskadą. – Śmiecie! Błyskotki! – pogardliwie krzyknął chrapliwym głosem. – Co znaczą wszystkie diamenty, wszystkie kamienie szlachetne na świecie, kiedy wielkie narody skaczą sobie do gardła i umierają tysiące i setki tysięcy ludzi? Nie poświęciłbym ani jednego ludzkiego istnienia, nawet wroga, za wszystkie diamenty Indii. Ale poświęciłem wiele istnień ludzkich, a wiele innych naraziłem na śmiertelne niebezpieczeństwo, by ochronić inny skarb, o wiele bardziej drogocenny niż tych kilka nędznych kamieni leżących u waszych stóp. Co znaczy kilka istnień ludzkich, jeśli pomogą człowiekowi ocalić o wiele więcej? – Wszyscy wiemy, że jest pan niezwykle subtelny i szlachetny – powiedział z goryczą Nicolson. – Proszę nam oszczędzić reszty wyvodu i przejść do sedna. – Jestem bliski sedna – odparł pojednawczo Van Effen. – Ten skarb jest w tym pomieszczeniu, między nami, teraz. Nie zamierzam dłużej zwlekać ani szukać teatralnych efektów. – Wskazał ręką. – Proszę bardzo, panno Plenderleith.

Spojrziała na niego nie wiedząc, o co chodzi. – Proszę, proszę podejść. – Strzelił palcami i uśmiechnął się do niej. – Jestem pełen podziwu dla pani zdolności aktorskich, ale nie mogę czekać całą noc. – Nie wiem, o co panu chodzi – powiedziała obojętnie. – Może będzie pani łatwiej, jeśli oświadczę, że wiem o wszystkim. – Nie wyglądało na to, żeby Van Effen upajał się własnym głosem, wyczuwało się w nim tylko pewność i osobliwą nutę znużenia. – O wszystkim, panno Plenderleith, łącznie z tą pełną prostoty drobną uroczyością w pewnej wiosce w Sussex osiemnastego lutego tysiąc dziewięćset drugiego roku. – O czym, do diabła, pan mówi? – zażądał wyjaśnienia Nicolson. – Panna Plenderleith wie, o czym, prawda, proszę pani? – spytał Van Effen niemal ze współczuciem. Po raz pierwszy z

pomarszczonej twarzy panny Plenderleith odpłynęła krew, ramiona obwisły jej jak bardzo znużonemu człowiekowi. – Wiem. – Opuściła głowę przyznając się do przegranej i spojrzała na Nicolsona. – On mówi o dacie mojego ślubu... mojego ślubu z generałem Farnholme'em. W szalupie obchodziliśmy czterdziestą rocznicę ślubu. – Usiłowała się uśmiechnąć, lecz nie mogła. Nicolson popatrzył na nią, na zmęczoną drobną twarz i puste oczy i uwierzył, że to prawda. Zamyślił się, już jej nie widział, zalała go fala wspomnień, wiele rzeczy, które go kiedyś zdumiewały, a teraz się wyjaśniły... Lecz Van Effen znów się odezwał. – Osiemnastego lutego tysiąc dziewięćset drugiego roku. Jeśli wiem o tym, panno Plenderleith,

wiadomo, że wiem wszystko. – Tak, wie pan wszystko. – Jej głos jakby zaszemrał w oddali. – Proszę. – Wciąż trzymał wyciągniętą rękę. – Przecież nie chce pani, by kapitan Yamata i jego ludzie przeszukiwali panią. – Nie, nie chcę. – Sięgnęła pod poplamiony solą morską, wypłowiwały żakiet, rozpięła pas i podała go Van Effenowi. – Chyba o to panu chodzi. – Dziękuję. – Jak na człowieka, który twierdził, że uratował bezcenny skarb, twarz miał dziwnie pozbawioną tryumfalnego wyrazu. Nie było w niej widać nawet zadowolenia. – Tak, właśnie o tym mówiłem. Rozpiął przegródki pasa, wyjął z nich fotostaty i filmy i podniósł je, by obejrzeć pod światło. Lampy naftowe migotały. Prawie minutę przeglądał je w zupełnym milczeniu, pokiwał z zadowoleniem głową i włożył filmy z powrotem do przegródek. – Nietknięte – mruknął. – Długi czas podróżowały... przebyły długą drogę, ale nietknięte. – O czym pan, do diabła, mówi? – domagał się wyjaśnień poirytowany Nicolson. – Co to jest? – To? – Van Effen zerknął na pasek, który właśnie zapinał na sobie. – To jest ta rzecz warta każdego zachodu. Z jej powodu tak się namęczyliśmy i nacierpieliśmy w ciągu ostatnich dni, z jej powodu zatoneły "Kerry Dancer" i "Viroma", zginęło wielu ludzi. Moi sprzymierzeńcy zdecydowani byli na wszystko, byle tylko przeszkodzić wam w ucieczce na Morze Timor. Z powodu tego czegoś znalazł się tutaj kapitan Yamata, chociaż wątpię, czy on o tym wie... ale jego dowódca na pewno. Z powodu... – Do sedna! – przerwał mu Nicolson. – Przepraszam. – Van Effen

poklepał się po pasku. – Filmy te zawierają pełne, szczegółowe, zaszyfrowane plany japońskiej inwazji na Australię Północną. Prawie niemożliwe jest złamanie japońskiego szyfru, ale nasi ludzie wiedzą o pewnym człowieku w Londynie. Gdyby komuś się udało uciec z nimi i dostarczyć je do Londynu, dla aliantów byłyby warte majątek. – O Boże! – jęknął oszołomiony Nicolson. – Skąd... skąd się wzięły? – Nie wiem. – Van Effen potrząsnął głową. – Gdybyśmy wiedzieli, że przede wszystkim nie dostaną się w niepowołane ręce... Pełne plany inwazji, panie Nicolson... siły w nią zaangażowane, terminy, daty, miejscowości... wszystko. Gdyby się dostały w ręce brytyjskie czy amerykańskie, oznaczałoby to dla Japończyków trzy miesiące opóźnienia, może nawet sześć. Na tym wczesnym etapie wojny takie opóźnienie mogłoby mieć fatalne skutki dla Japończyków, może więc pan zrozumieć, dlaczego tak im zależało, by odzyskać plany. Co warte są diamenty w porównaniu z tym, panie Nicolson? – Rzeczywiście, co? – mruknął. Powiedział to automatycznie, zupełnie bezmyślnie, jakby był kimś innym. – Lecz teraz mamy i jedno, i drugie: plany i diamenty. – Van Effen nadal mówił z osobliwą obojętnością, monotonnym

głosem. Wysunął nogę i czubkiem buta dotknął kupki diamentów. – Może zbyt szybko się pośpieszyłem traktując je tak pogardliwie. Są po swojemu piękne. – Tak. – W głosie Nicolsona słychać było gorycz porażki, lecz twarz zachowała obojętny wyraz. – Fantastyczny widok. – Podziwiającie je, póki czas – rzucił zimno i ostro Yaamata rozwiewając urok. Wszyscy natychmiast ocknęli się, powrócili do rzeczywistości.

Dotknął czubkiem miecza kupki diamentów, która rozsypała się po klepisku buchając białymi iskrami. – Tak, naprawdę piękne, ale ludziom potrzebne są oczy, by mogli na nie patrzeć. – Co to niby ma znaczyć? – spytał ostrym tonem Nicolson. – Tylko tyle, że pułkownik Kiseki otrzymał jedynie rozkazy dotyczące odzyskania diamentów i przekazania ich w stanie nietkniętym Japończykom. Nie było mowy o tym, co ma się stać z jeńcami. Zabiliście jego syna. Sami się przekonacie, o czym mówiłem. – Domyślam się. – Nicolson spojrział na niego z pogardą. – Łopata, dół dwa metry na metr i strzał w tył głowy, kiedy skończę kopać. Kultura Wschodu. Słyszeliśmy o tym. – Nie istnieje nic szybszego, czystsze i łatwiejsze, zapewniam. – Yamata uśmiechnął się tępo. – Mamy, jak mówicie, naszą kulturę. Nie dla nas więc takie niesubtelne zajęcia. – Kapitanie Yamata... – Van Effen popatrzył na japońskiego oficera z obojętnym wyrazem twarzy i tylko oczy jak szparki zdradzały jego napięcie. – Tak jest, pułkowniku? – Nie możecie... nie możecie tego zrobić. Ten człowiek nie jest szpiegiem, żeby strzelać do niego bez procesu. Właściwie nie jest nawet wojskowym. To praktycznie cywil. – Oczywiście, oczywiście – przytaknął z ironią Yamata. – Do dzisiaj udało mu się zgładzić tylko czternastu naszych marynarzy i lotnika. Wzdragam się na myśl o tym, co by go czekało, gdyby nie był cywilem. Zabił też syna Kisekiego. – Nieprawda. Siran to potwierdzi. – Niech to wyjaśni pułkownikowi – rzucił obojętnie Yamata. Schował miecz do pochwy. – Przerzucamy się słowami, a tu

czas leci. Ruszajmy. Ciężarówka zaraz tu będzie. – Ciężarówka? – spytał Van Effen. – Zostawiliśmy ją z kilometr stąd. – Yamata uśmiechnął się. – Nie chcieliśmy was budzić. O co chodzi, panie Nicolson? – warknął. – O nic – ten skwitował pytanie. Wyglądał przez otwarte drzwi i nagle poczuł, że jego twarz zaczyna, wbrew jego woli, zdradzać podniecenie. Wiedział jednak, że Yamata nie może, na szczęście, tego dostrzec. – Ciężarówki jeszcze nie ma. Chciałbym zadać Van Effenowi kilka pytań. – Miał nadzieję, że mówi obojętnym tonem. – No cóż, mamy więc jeszcze kilka minut – zgodził się Yamata. – Chętnie się rozerwę. ale śpieszcie się. – Dziękuję. – Nicolson spojrział na Van Effena. – Czy mogę wiedzieć, kto dał pannie Plenderleith diamenty... i plany? – Jakże to ma teraz znaczenie? – odpowiedział ten ponuro, słabym głosem. – To już przeszłość, sprawa nieaktualna. – Proszę odpowiedzieć – nalegał Nicolson. Najważniejszą dla niego sprawą była teraz gra na zwłokę. – Naprawdę chciałbym to wiedzieć. – A więc dobrze. – Van Effen spojrział na niego z zaciekawieniem. – Powiem wam. Obie rzeczy miał Farnholme... prawie przez cały czas. Powinno to być dla was oczywiste, skoro potem znalazły się u panny Plenderleith. A skąd się wzięły plany, to już mówiłem, że nie wiem. Diamenty dostał od władz holenderskich na Borneo. – Musieli mu bardzo ufać – rzucił oschłym tonem Nicolson. – Rzeczywiście, tak było. Mieli ku temu powody. Farnholme był absolutnie godny zaufania. To był nieskończenie pomysłowy i

inteligentny człowiek, poza tym znał Wschód... zwłaszcza wyspy... lepiej niż ktokolwiek na świecie. Wiadomo, że znał co najmniej czternaście azjatyckich języków. – Wiele o nim wiecie. – Tak. Tym się zajmujemy... leżało to w naszym interesie... to znaczy, wiedzieć jak najwięcej. Farnholme był jednym z naszych wrogów numer jeden. O ile się zdołaliśmy zorientować, od ponad trzydziestu lat pracował w waszym wywiadzie. Kilka osób aż achnęło ze zdziwienia, rozległ się szmer głosów. Nawet Yamata usiadł i pochylił się do przodu, łokcie oparł na kolanach, na jego ciemnej twarzy widać było wielkie zainteresowanie. – W wywiadzie! – Nicolson niemal gwizdnął ze zdumienia, potarł ręką czoło ruchem wyrażającym niedowierzanie i zdziwienie. Domyślił się tego już pięć minut wcześniej. Oślaniając ręką oczy zerknął na prawo i lewo, wyjrzał przez drzwi i popatrzył na Van Effena. – Ale... ale panna Plenderleith mówiła, że kilka lat temu dowodził pułkiem na Malajach. – Zgadza się, to prawda. – Van Effen uśmiechnął się. – A przynajmniej na to wyglądało. – Proszę mówić dalej – wtrącił ponaglająco kapitan Findhorn. – Już niewiele jest do powiedzenia. Japończycy i ja dowiedzieliśmy się o zaginionych planach kilka godzin po tym, jak je skradziono. Poszukiwałem ich popierany oficjalnie przez Japończyków. Nie liczyliśmy się z tym, że Farnholme urządzi to tak, że zabierze ze sobą też diamenty... był to z jego strony genialny pomysł. Praktyczny z dwóch powodów. Bo gdyby go zdemaskowano jako pijaka i włóczęgę, miałby czym się wyratować z opresji. Albo gdyby

wzbudziwszy czyjeś podejrzenie został przeszukany i znaleziono by przy nim diamenty, to fakt ich posiadania usprawiedliwiłby jego tajemnicze, dziwne zachowanie i poprzestano by na tym. Czy też w ostateczności, miał nadzieję, że gdyby Japończycy odkryli, na jakim płynie statku, ich chciwość czy naturalna chęć wejścia w posiadanie tak wartościowego w czasie wojny towaru zmusiłaby ich do zastanowienia się, czy warto ów statek zatopić, czy raczej innymi sposobami starać się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Powiadam więc, Farnholme był genialny. Miał po prostu niesamowitego pecha. – Ale sprawa wyglądała inaczej. Dlaczego zatopiono "Kerry Dancera"? – Wtedy Japończycy jeszcze nie wiedzieli, że Farnholme na nim płynie – wyjaśnił Van Effen. – Tylko Siran wiedział... od samego początku. Miał chrapkę na diamenty, podejrzewam, że jakaś holenderska wyższa figura, renegat, przechytryła swoich własnych ludzi i podała informację Siranowi w zamian za udział w zysku. Oczywiście, gdyby Siranowi udało się dostać je w łapy, tamten nie zobaczyłby ani jednego guldena czy diamentu. Japończycy też nie. – Sprytny sposób skompromitowania mojej osoby – odezwał się Siran po raz pierwszy grzecznym, opanowanym tonem. – Na pewno bym przekazał kamienie naszym przyjaciółom i sprzymierzeńcom, jakimi są Japończycy. Taki mieliśmy zamiar, co potwierdzą moi obecni tu dwaj ludzie. – Teraz byłoby trudno udowodnić, że mieliście inne zamiary – stwierdził oschło Van Effen. – Dopuszczając się zdrady dzisiejszej nocy zasłużyliście się. Wasi sprzymierzeńcy niewątpliwie rzuca

szakalowi jakąś kość. – Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej: – Farnholme nie miał w stosunku do mnie żadnych podejrzeń... to znaczy zaczął je mieć dopiero po paru dniach w szalupie. Ale ja przez cały czas wiedziałem o nim, zjednywałem go sobie, popijałem z nim. Siran kilka razy widział nas razem i pewnie myślał, że łączy nas coś więcej niż przyjaźń.

Cóż, błąd, który każdy mógłby popełnić. Dlatego też Siran mnie oszczędził...to znaczy nie wyrzucił mnie za burtę, kiedy tonął "Kerry Dancer". Myślał, że albo wiem, gdzie są diamenty, albo dowiem się tego od Farnholme'a. – Mój kolejny błąd – stwierdził zimno Siran. – Powinienem wam wtedy pozwolić utonąć. – Racja. Miałby pan wtedy całe dwa miliony dla siebie. – Van Effen zamilkł usiłując coś sobie przypomnieć, po czym spojrzał na japońskiego oficera. – Powiedzcie mi, kapitanie Yamata, czy ostatnio tu w pobliżu nie zauważono jakichś specjalnych działań marynarki brytyjskiej? Yamata spojrzał na niego zaskoczony. – Może kręcą się tu niszczyciele? – Van Effen zignorował jego pytanie. – Może w nocy podpływają bliżej? – Zgadza się. – Yamata był zdumiony. – Co noc podpływają aż do południowego cypla, niecałe osiem mil stąd, i wycofują się, zanim zacznie świtać i mogłyby nadlecieć nasze samoloty. Ale skąd... – To łatwo wyjaśnić. O świcie tego dnia, kiedy zatonął "Kerry Dancer", Farnholme spędził ponad godzinę w kabinie radiowej. Niewątpliwie nadał im, że ma nadzieję uciec... na południe od Morza Jawajskiego. Żaden statek aliantów nie odważy się wypłynąć na północ od Indonezji... byłoby to równoznaczne z popełnieniem samobójstwa. Patrolują więc

południe, w nocy zapuszczając się tu bliżej. Myślę też, że jakiś ich okręt patroluje wody przybrzeżne Bali. Nie staraliście się uporać z tym intruzem, kapitanie? – Nie bardzo – mruknął oschło Yamata. – Jedyne okręt, jakim tu dysponujemy, to jednostka naszego dowódcy, pułkownika Kiseki. Jest dostatecznie szybka, ale za mała... to tylko barkas, po prostu pływająca radiostacja. Trudno o łączność w tych stronach. – Rozumiem. – Van Effen spojrzał na Nicolsona. – Reszta jest jasna. Farnholme doszedł do wniosku, że już nie jest bezpieczny mając przy sobie diamenty... i plany. Myślę, że plany oddał panie Plenderleith na pokładzie "Viromy", a diamenty na wyspie... opróżnił swoją walizkę i nappełnił ją granatami... nigdy nie znałem bardziej dzielnego człowieka. Van Effen zamilkł na kilka chwil i ciągnął dalej: – Biedny renegat mułła był po prostu renegatem. Opowieść o nim Farnholme wymyślił na poczekaniu, nie ma w niej ani ziarna prawdy. Z typową dla siebie zuchwałością... oskarżał kogoś innego, że robi to właśnie, co on sam robił... I jeszcze ostatnia rzecz... chcę przeprosić pana Waltersa. – Uśmiechnął się blado. – Nie tylko Farnholme'owi zdarzyło się tamtej nocy zawędrować nie do swojej kabiny. Ja spędziłem ponad godzinę w kabinie pana Waltersa. On mocno spał. Noszę z sobą różne rzeczy, by pomóc ludziom mocno spać w mojej obecności. Walters patrzył na niego, potem zerknął na Nicolsona, przypominając sobie, jak się czuł rano, a Nicolson uprzytomnił sobie, jak radiotelegrafista wyglądał – blady, przemęczony i chory. Van

Effen dostrzegł lekkie skinienie głowy Waltersa, które oznaczało, że zrozumiał. – Przepraszam, panie Walters. Musiałem to zrobić, musiałem nadać wiadomość. Jestem wprawnym radiotelegrafistą, ale zajęło mi to dużo czasu. Za każdym razem, kiedy za drzwiami rozlegał się stuk kroków, po prostu umierałem. Udało mi się jednak wysłać tę wiadomość. – Kurs, szybkość i położenie, tak? – spytał ponuro Nicolson. – Plus to, by nie bombardowano zbiorników z ropą. Chciał pan tylko unieruchomić tankowiec, prawda? – Mniej więcej o to chodziło – przyznał Van Effen. – Ale nie chciałem, żeby aż tak bardzo się do tego przyłożyli. Z drugiej strony jednak proszę nie zapominać, że gdybym nie doniósł im

przez radio, że diamenty znajdują się na pokładzie, pewnie wysadziliby tankowiec w powietrze. – A więc zawdzięczamy panu życie – mruknął z goryczą Nicolson. – Bardzo jesteśmy wdzięczni. Przez długą, pełną napięcia chwilę patrzył na niego posępnie, po czym odwrócił spojrzenie i spoglądał niewidzącymi oczami gdzieś w dal, tak, że nikt nawet nie próbował śledzić jego wzroku. Lecz tak się tylko wydawało, w istocie dobrze wiedział, gdzie patrzy. W ciągu ostatnich kilku minut McSkinnon przesunął się o piętnaście centymetrów, może nawet dwadzieścia. Nie przesunął się na skutek niekontrolowanych ruchów, gwałtownych szarpnięć czy drgnięć, jakie może wykonywać człowiek nieprzytomny, targany bólem, lecz były to skoordynowane ruchy osoby przytomnej, ruchy potajemne, sprawne, dzięki którym McSkinnon powoli przesunął się po klepisku po kilka centymetrów, nie

wywołując najłżejszego szmeru, i tak niedostrzegalnie, że tylko ktoś o nerwach Nicolsona, napiętych do granic wytrzymałości, mógł mieć na tyle wyostrzoną uwagę, by to zauważyć. Wiedział, że się nie myli. Tam, gdzie przedtem w strumieniu światła padającym przez drzwi leżała głowa, barki i ramiona, teraz widać było tylko kark i jedno opalone przedramię. Zachowując niezmiennie maskę obojętności i bierności Nicolson przeniósł wzrok z powrotem na Van Effena. Ten znów mówił, obserwując go bacznie. – Jak się pan zapewne już domyślił, Farnholme siedział podczas nalotu bezpiecznie schowany w pentrze, bo trzymał na kolanach dwa miliony funtów i nie zamierzał ryzykować ich utratę za cenę wykazania się staroświeckimi cnotami odwagi, honoru i przyzwoitości. Ja pozostałem w messie, bo nie chciałem strzelać do moich sprzymierzeńców... Może sobie pan przypomina, że kiedy raz strzeliłem do marynarza na pomoście dowodzenia łodzi podwodnej, chybiłem. Cały czas mi się wydawało, że było to wiele mówiące chybienie. Później, po tym pierwszym ataku, nie uderzył już na "Viromę" ani jeden japoński samolot... ani wtedy, gdy opuszczaliśmy okręt, ani później. To ja dałem sygnał latarką z góry sterówki. Podobnie było z łodzią podwodną. Też nas nie zatopili. Ładnie czułby się jej dowódca, gdyby wrócił do bazy z wiadomością, że posłał na dno Morza Południowochińskiego diamenty warte dwa miliony funtów. – Znów się uśmiechnął, lecz nie po to, by dać wyraz wesołości. – Może pamięta pan, że chciałem, byśmy się poddali okrętowi podwodnemu, a pan miał do mojego pomysłu raczej wrogi

stosunek. – Dlaczego więc ten samolot nas zaatakował? – Nie wiadomo. – Van Effen wzruszył ramionami. – Może wpadł w panikę. Nie należy zapominać, że towarzyszył mu hydroplan... mógłby wyratować kilku starannie wybranych rozbitków. – Na przykład pana? – Na przykład mnie – przyznał Van Effen. – Niedługo potem Siran odkrył, że ja nie mam diamentów... któreś z tych nocy, kiedy szalupa tkwiła unieruchomiona na morzu, przeszukał moją torbę. Widziałem, jak to robi, ale pozwoliłem na to, bo nic takiego w niej nie było. Poza tym dzięki temu miałem mniejsze szanse dostać nożem w plecy... co się przydarzyło następnemu podejrzanemu Sirana, nieszczęsnemu Ahmedowi. Znów spudłował. – Spojrzał na Sirana nie ukrywając zdegustowania. – Pewnie Ahmed obudził się, kiedy przetrząsaliście jego worek? – Cóż, okropny pech. – Siran wykonał beztroski ruch ręką. – Ześlizgnął mi się nóż. – Niedługo już pożyjesz, Siran. – Ton głosu Van Effena zabrzmiał osobiście proroczo, toteż z twarzy Sirana powoli znikł pogardliwy uśmieszek. – Zbyt wielki z ciebie drań, żebyś mógł długo żyć. – Bzdurne przesady! – Uśmiech powrócił, górna warga wydeła się nad

równymi białymi zębami. – Zobaczymy, zobaczymy. – Van Effen przeniósł wzrok na Nicolsona. – To już wszystko. Domyśla się pan, dlaczego Farnholme uderzył mnie w głowę, kiedy podpłynął torpedowiec. Musiał, jeśli chciał ocalić wam życie. To nadzwyczaj rycerski mężczyzna... I szybko myślał. – Zwrócił wzrok na pannę Plenderleith. – A pani nieźle mnie wystraszyła mówiąc, że Farnholme

pozostawił wszystko na wyspie. Dopiero potem przyszło mi do głowy, że na pewno tego nie zrobił, bo przecież wiedział, że nie ma na nią powrotu. Wiedziałem więc, że pani ma wszystko. – Spojrzał na nią ze współczuciem. – Jest pani bardzo odważna. Zasłużyła pani na pomyślniejsze rozwiązanie sprawy. Skończył mówić i znów w pomieszczeniu rady zapadła ciężka, głęboka cisza. Co jakiś czas mały Peter zakwilił niespokojnie przez sen, jakby wydając stłumiony okrzyk strachu, lecz Gudrun kołysała go w ramionach i uspokajała, więc po chwili znów smacznie spał. Yamata patrzył na diamenty, ostra, wąska twarz mu pociemniała, zasępił się, jakby zapomniał, że się śpieszy. Niemal wszyscy jeńcy patrzyli na Van Effena ze zdumieniem lub absolutnym niedowierzaniem. Za nimi stali żołnierze, dziesięciu czy dwunastu, trzymając w pogotowiu broń, bacznie wszystkich obserwując. Nicolson zaryzykował i zerknął po raz ostatni przez oświetlone drzwi – poczuł, że dech mu zapiera i niemal bezwiednie zacisnął pięści. W drzwiach i w oświetlonym prostokącie za nimi nie było nikogo widać. McSkinnon zniknął. Powoli, niedbale, wypuszczając wstrzymane powietrze w bezgłośnym wydechu odwrócił wzrok i zorientował się, że Van Effen docielkiwie mu się przygląda. Dociekliwie i ze zrozumieniem. Wiedząc, że Nicolson to widzi, odwrócił wzrok i patrzył przez długą, znaczącą chwilę w stronę drzwi, po czym znów spojrzał na Nicolsona. Ten poczuł, że drętwieje z zimna, bo Van Effen odkrył jego tajemnicę. Zastanawiał się, czy zdąży skoczyć mu do gardła, zanim tamten się odezwie. Lecz nic by

to nie pomogło, tylko by odwlekło to, co i tak nieuniknione. A może by zabił Van Effena – lecz wiedział, że tylko się oszukuje, bo na pewno by mu się to nie udało, a gdyby nawet mogło się udać, to i tak nigdy by się na to nie zdecydował, bo przecież zawdzięczał mu życie, życie Petera. Tamtego ranka Van Effen mógł się dość łatwo uwolnić od małża, który nie był aż taki wielki. Mógł puścić Petera i ratować siebie, lecz stał z dzieckiem w ramionach i cierpiał ból, kiedy małż szarpał mu nogę... Van Effen uśmiechał się teraz, a Nicolson wiedział, że jest za późno, by mu przeszkodzić. – Świetna robota, prawda, panie Nicolson? Nic nie odpowiedział. Kapitan Yamata podniósł głowę i patrząc na niego pytająco, rzucił: – Co za robota, pułkowniku? – Och, no, cała operacja. – Van Effen wykonał szeroki gest. – Od początku do końca. – Uśmiechnął się z dezaprobatą. Nicolson poczuł, jak krew pulsuje mu w żyłach. – Nie wiem, o czym pan mówi – warknął Yamata. Wstał. – Czas ruszać. Słyszę ciężarówkę. – Doskonale. – Van Effen sztywnym ruchem zgiął zranioną nogę. Szrapnel i małż tak mu ją poharatały, że poruszał się z ogromnym trudem. – Żeby spotkać się z pańskim pułkownikiem? Dziś wieczorem? – Nie później niż za godzinę – odparł lakonicznie Yamata. – Dziś wieczorem pułkownik Kiseki przyjmuje w swej willi ważnych dowódców i wodzów. Jego syn leży na marach, ale obowiązek tłumi żal. Mówię, że tłumi, a nie, że przynosi zapomnienie. Widok wszystkich tu obecnych jeńców przyniesie ulgę jego zbolełemu sercu. Nicolson wzdrygnął się. Ktoś,

pomyślał kwaśno, przeszedł po moim grobie. Nawet nie biorąc pod uwagę sadystycznych przepowiedni Yamaty, sam wiedział, co go czeka. Przez chwilę myślał o tym, do jakich okrucieństw posuwali się Japończycy w Chinach, lecz udało mu się tę myśl odpędzić. Wiedział, że jedyna jego nadzieja leży w tym, by mając teraz nóż na gardle, w ogóle nie myśleć, lecz cóż to za nadzieja. Co z tego, że Mc\$kinnonowi udało się uciec, co on może zdziałać? Chyba tylko tyle, że dostanie kulkę w plecy. Nicolsonowi nawet nie przyszło do głowy, że bosman mógł uciec licząc na to, że po prostu siebie uratuje. Mc\$kinnon nie był tego rodzaju człowiekiem... Van Effen znów mówił: – A potem? Kiedy już pułkownik zobaczy jeńców? Macie dla nich kwatery? – Niepotrzebne im będą kwatery – odparł brutalnie Yamata. – Konieczny będzie tylko pogrzeb. – Ja nie żartuję, kapitanie Yamata – rzucił kategorycznie Van Effen. – Ani ja, pułkowniku. – Yamata uśmiechnął się i nic więcej nie powiedział. W ciszy, która nagle zapadła, rozległ się pisk hamulców i pykanie silnika ciężarówki zatrzymującej się pośrodku kampongu. Kapitan Findhorn odchrząknął. – Kapitanie Yamata, ja dowodzę naszą grupą. Pozwoli pan, że przypomnę o istnieniu Konwencji Genewskiej – powiedział cicho, matowym głosem, lecz mimo to czuło się w nim stanowczość. – Jako kapitan Brytyjskiej Floty Handlowej żądam... – Cisza! – Yamata prawie krzyknął, twarz okropnie mu się wykrzywiła. – Niczego pan nie będzie żądał, kapitanie – zniżył głos niemal do szeptu, pieszczotliwego pomruku bardziej

przeróżającego niż dziki wrzask. – Nie ma pan prawa niczego żądać. Konwencja Genewska! To dobre dla słabeuszy, prostaków i dzieci. Silni nie odczuwają potrzeby, by istniała. Pułkownik Kiseki nigdy o niej nie słyszał. Dla niego liczy się tylko to, że zabiłście mu syna. – Yamata wzdrygnął się teatralnie. – Nikogo na ziemi się nie boję prócz pułkownika Kiseki. Wszyscy przed nim drżą. To straszny człowiek. Spytajcie swojego przyjaciela, słyszał o nim. – Wskazał na Telaka, który stał z tyłu między dwoma uzbrojonymi strażnikami. – To nie jest człowiek. – Całą lewą stronę twarzy i tułowia Telak miał oblepioną nierównymi pasmami zakrzepłej krwi. – To diabeł. Bóg go pokarze. – Ach tak? – Yamata rzucił coś szybko po japońsku i Telak zatoczył się do tyłu uderzony brutalnie kolbą karabinu w twarz. – To nasi sprzymierzeńcy – mruknął Yamata przepaszająco – ale musimy ich nauczyć rozumu. Zwłaszcza tego, że nie mówi się źle o wyższych oficerach... W każdym razie, jak powiedziałem, pułkownik Kiseki to straszny człowiek. A teraz kiedy zabito jego jedyne dziecko... – specjalnie zawiesił głos. – Co robi pułkownik Kiseki? – W głosie Van Effena nie słychać było poruszenia, brzmiał beznamiętnie. – Na pewno dla kobiet i dzieci... – Pójdą pierwsze... będą szły powolutku. – Yamata jakby wydawał dyspozycje dotyczące przyjęcia w ogrodach willi. – Pułkownik Kiseki to znawca, artysta w tego rodzaju przedsięwzięciach... ludzie nie tak wtajemniczeni jak on, na przykład ja, pobierają u niego lekcje. Uważa, że cierpienie fizyczne nie jest bardziej istotne od psychicznego. Yamata podniecił się tematem, zaczął mu

on sprawiać więcej niż przyjemność. – Na przykład, głównie będzie go interesował obecny tu pan Nicolson. – To pewne – mruknął Van Effen. – Tak, to pewne. Nie będzie więc zwracał na pana Nicolsona uwagi... to znaczy na początku. Zajmie się najpierw chłopcem. A może go oszczędzi, nie wiem, ma dziwną słabość do malutkich dzieci. – Yamata zmarszczył



brwi, lecz po chwili twarz mu się rozjaśniła. – Zajmie się wtedy dziewczyną... tą ze szramą na twarzy. Siran mówi, że ona i Nicolson są w zażyłych stosunkach. Żeby nie powiedzieć więcej. – Patrzył przez długą chwilę na Gudrun z takim wyrazem twarzy, że Nicolson zapragnął go zamordować. – Pułkownik Kiseki obchodzi się z paniami w specjalny sposób... zwłaszcza z młodymi... stosuje genialne połączenie łożka z zielonego bambusu i kuracji wodnej. Pułkowniku, słyszał pan o tym? – Tak, słyszałem. – Po raz pierwszy tego wieczoru Van Effen się uśmiechnął. Nie był to miły uśmiech, Nicolson aż się przestraszył. Poczul, że nieodwołalnie go pokonano. Van Effen bawi się nim, jak kot myszą, sadystycznie dodając jej odwagi tylko po to, żeby po chwili na nią się rzucić. – Tak, rzeczywiście o tym słyszałem. Na pewno bardzo interesujący spektakl. Przypuszczam, że dostanę pozwolenie, by oglądać te... no... obchody? – Będzie pan naszym honorowym gościem, mój drogi pułkowniku – zamruczał Yamata. – Doskonale, świetnie. Mówi pan, że wiele będę mógł się nauczyć? – Van Effen spojrział na niego żartobliwie, machnął w sposób afektowany ręką w stronę jeńców. – Czy myśli pan, że pułkownik Kiseki będzie chciał... hm... porozmawiać ze wszystkimi po kolei? Nawet z rannymi?

–Zamordowali jego syna – odparł beznamiętnie Yamata. – No właśnie. Zamordowali jego syna. – Van Effen ponownie spojrział na jeńców zimnym i posępnym wzrokiem. – Jeden z nich chciał też mnie zamordować. Chyba pułkownik Kiseki nie przepuści żadnemu, prawda? Yamata podniósł brwi. – Nie jestem całkiem pewien, że ja... – Jeden z nich usiłował mnie zabić – powtórzył szorstko Van Effen. – Mam tu do załatwienia osobiste porachunki. Będę panu ogromnie wdzięczny, jeśli mi pan pozwoli załatwić je teraz. Yamata odwrócił wzrok od żołnierza, który wsypywał diamenty z powrotem do pociętej torby i pogłaskał się po brodzie. Nicolson znów poczul, jak krew pulsuje mu w żyłach, lecz zmusił się do tego, by oddychać spokojnie, normalnie. Wątpił, czy jeszcze ktoś wie, co się dzieje. – Myślę, że to się panu na pewno należy... tyle panu zawdzięczamy. Ale pułkownik... – Nagle twarz jego rozjaśniła się, zniknęły wątpliwości i niepewność. Uśmiechnął się. – Ależ oczywiście! Jest pan starszym oficerem wojsk sprzymierzonych. Pana rozkaz... – Dziękuję, kapitanie Yamata – przerwał mu Van Effen. – Niech pan uważa go za wydany. – Odwrócił się gwałtownie, pokuśtykał szybko w stronę jeńców, pochylił się, chwycił Gordona za koszulę pod brodą i rzucił go brutalnie na kolana. – Długo na to czekałem, ty szcurku! Wyłaż tam! Nie zwracając uwagi na to, że Gordon wrywa się, że twarz ma wykrzywioną strachem, że szamoce się chcąc go przekonać o swojej niewinności, przeprowadził go na wolne miejsce w drugim końcu pomieszczenia, dokładnie naprzeciwko drzwi i cisnął nim

niby tłumokiem o ziemię. Gordon potoczył się pod ścianę i rozciągnął jak długi, z ręką wyciągniętą żałośnie w obronie własnej, zupełnie ogłupiały ze strachu, który wypływał każdym porem jego szpetnej twarzy. Van Effen nie zwracał uwagi na jego strach, na protesty i na niego samego, odwrócił się szybko i pokuśtykał na podwyższenie, gdzie stał japoński żołnierz z własnym karabinem pod jedną pachą i automatycznym karabinkiem Farnholme'a pod drugą. Niedbałym i pewnym ruchem człowieka, który nie liczy się ani z możliwością stawiania mu pytań, ani z możliwością stawiania mu oporu, wyrwał żołnierzowi karabinek automatyczny, sprawdził, czy jest naładowany, odbezpieczył go i kulejąc wrócił

do Gordona, który nadal leżał w tym samym miejscu, z nienaturalnie wytrzeszczonymi oczami. Jęczał cicho, w pomieszczeniu rozlegał się tylko jego chrapliwy oddech. Wszystkie oczy zwrócone były na Van Effena i Gordona, oczy wyrażające albo litość, albo gniew, albo przeczucie najgorszego, albo po prostu całkowitą dezorientację. Twarz Nicolsona była zupełnie pozbawiona wyrazu, podobnie Yamaty, lecz stan tego ostatniego zdradzało oblizywanie warg. Wszyscy milczeli, wszyscy zamarli w bezruchu, nikomu nawet nie przyszło na myśl, by się odezwać czy poruszyć. Zaraz zostanie zabity człowiek, zostanie zamordowany. Lecz w tej naelektryzowanej atmosferze było coś trudnego do określenia, coś, co uniemożliwiało obecnym jakikolwiek protest, jakąkolwiek interwencję. A nastąpiła ona – niby raptowny wstrząs, który spowodował, że czar prysł tak jak rozprysłby się trafiony kamieniem delikatny kryształ – z zewnątrz, z kampongu.

Na piskliwy wrzask Japończyków wszystkie głowy zwróciły się raptownie w stronę drzwi. Ułamek sekundy później rozległo się głośnie szurnięcie, krzyk, budzący odrazę dźwięk, który przypominał rozłupywanie arbuza gigantycznym tasakiem, i na chwilę zapadła osobliwa, niesamowita cisza, aż nagle rozległ się huk płomieni, buchnął dym, zajęły się ogniem wejście i prawie cała ściana. Stało się to błyskawicznie, nagle mieli przed sobą ścianę rozprzestrzeniającego się w szalonym tempie, trzaskającego ognia. Kapitan Yamata postąpił dwa kroki w stronę drzwi, otworzył usta, by wydać rozkaz, i w tej samej chwili zginął zastrzelony przez Van Effena, którego kula rozerwała mu pół piersi. Terkot karabinu maszynowego w pomieszczeniu był ogłuszający, ginął w nim zupełnie huk ognia. Następnym, który padł zastrzelony, był sierżant stojący na podwyższeniu, potem żołnierz obok niego, aż wreszcie czerwony kwiat wykwitł z twarzy Sirana. Van Effen z kamiennym obliczem, trzymając palec na spuście stał skulony nad rozkołysaną lufą karabinka. Nagle zatoczył się trafiony wysoko w ramię kulą z japońskiej broni. Kiedy druga kula z siłą kafara trafiła go w bok, zachwiał się i przyklęknął, lecz wyraz jego twarzy pozostał tak samo beznamiętny, a biały jak kość słoniowa palec na spuście tylko jeszcze mocniej się zacisnął. Tyle zdążył zobaczyć Nicolson, tylko tyle, bo w tej samej chwili skoczył do tyłu podcinając nogi żołnierzowi, który celował z lekkiego karabinka maszynowego do człowieka leżącego pod ścianą. Szczepili się, upadli na klepisko w beładnej szamotaninie. Nicolson zdołał zadać pierwszy,

drugi, trzeci cios kolbą karabinu w ciemną, niewyraźnie widoczną twarz przeciwnika, podniósł się, odparował cios zadany bagnetem i kopnął żołnierza w nieosłonięte krocze. Kiedy już z nim kończył, zaciskając palce na chudej szyi, zdał sobie sprawę z tego, że Walters, Evans i Willoughby też się już poderwali i walczą jak szaleńcy w niesamowitym półmroku – czerwone światło płomieni mieszało się z duszącym, cierpkim dymem, który wypełniał pomieszczenie. Uświadomił sobie również, że karabinek Van Effena zamilkł, że słychać teraz inny karabin strzelający z inną częstotliwością wśród żywicznych płomieni, które jak zasłona oddzielają ich od drzwi. Myśl raptem się urwała, kolejny Japończyk skoczył na niego od tyłu, zarzucił mu na szyję zgiętą w łokciu rękę i zaciskał ją coraz mocniej, milcząc nieugięte i złowrogo. Nicolsonowi zasnuła oczy czerwona mgła, mgła, w której tańczyły roziskrzzone ogniki – wiedział, że to nie są płomienie trawiące ściany chaty,

tylko jego własna pulsująca w głowie krew. Opuszczają go siły, osuwał się w ciemność. Nagle usłyszał za sobą jakby dochodzący z bardzo daleka krzyk konającego, Mc\$kinnon chwycił go za ramię i pociągnął za sobą w stronę stojących w ogniu drzwi. Lecz za późno, przynajmniej dla Nicolsona. Akurat wtedy bowiem urwała się z dachu płonąca belka i spadła zahaczając lekko o jego głowę i ramię. Był jednak na tyle słaby, że to wystarczyło, by ogarnęła go ciemność. Po minucie oprzytomniał. Leżał zwinięty pod ścianą sąsiedniej chaty, jak przez mgłę zdając sobie sprawę z obecności ludzi kręcących się w pobliżu, z tego, że panna Plenderleith ociera mu twarz z krwi i sadzy, z tego, że

długi jęzor ognia strzela wysoko w ciemne, bezgwiazdne niebo, z tego, że ściana i część dachu już runęły, że chata rady starszych wypala się jak pochodnia. Powróciła mu świadomość. Podźwignął się na nogi, odepchnął obcesowo pannę Plenderleith. Nie słychać już było żadnej strzelaniny, z oddali dochodził go na przemian cichnący i nasilający się warkot silnika ciężarówki, w której zmieniano biegi – to Japończycy odjeżdżali w popłochu, tych kilku pozostałych przy życiu. – Mc\$kinnon! – Musiał krzyczeć, by go usłyszano pośród trzasku i huku płomieni. – Mc\$kinnon! Gdzie jesteście? – Jest gdzieś za tamtą chatą – odparł Willoughby wskazując na chatę rady starszych. – Nic mu nie jest, Johnny. – Wszyscy się wydostali? – dopytywał się Nicolson. – Czy ktoś został tam w środku? Powiedź mi, na miłość boską. – Chyba wszyscy się wydostali. – U jego boku stał Walters, mówił tonem, w którym wyczuwało się wahanie. – Wiem na pewno, że stamtąd, gdzie siedzieliśmy, wszyscy się wydostali. – Dzięki Bogu, dzięki Bogu! – I jakby coś go tknęło, spytał: – Van Effen też? Nikt nie odpowiedział. – Słyszeliście, o co pytałem?! – krzyknął Nicolson. – Czy Van Effen wyszedł? – Zauważył Gordona, przyskoczył do niego i złapał za ramię. – Czy Van Effen tam został? Byliście najbliżej. Gordon patrzył na niego tępo, oczy wciąż miał jak młyńskie koła. Poruszał ustami, wykrzywił je, ścigał zupełnie nad sobą nie panując, lecz nie wypowiedział ani słowa. Nicolson puścił jego ramię i dwa razy uderzył go gwałtownie w twarz, wierzchem i spodem dłoni. Zdażył go złapać, zanim tamten upadł.

–Odpowiedz mi, inaczej cię zabiję. Zostawiłeś tam Van Effena? Gordon kiwnął potakująco głową, na jego pobielalej ze strachu twarzy wykwitły czerwone ślady palców Nicolsona. – Zostawiłeś go tam? – powtarzał ten z niedowierzaniem. – Zostawiłeś, by zginął w tym piekle? – Chciał mnie zamordować! – zaskamlał Gordon. – Chciał mnie zabić! – Ty cholerny głupcze! On uratował ci życie. Wszystkim nam uratował życie. Odepchnął brutalnym ruchem sianiającego się Gordona, który jeszcze próbował go się ucześcić, strząsnął z siebie jego rękę, przebiegł dziesięć kroków dzielących go od chaty i zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, wskoczył do środka przez zasłonę ognia. Żar wewnątrz uderzył go niczym potężny cios, poczuł, jak go pochłania, jak omywa falą piekącego bólu. Rozgrzane niemiłosiernie powietrze, wyjałowione z życiodajnego tlenu, paliło go w płuca żywym ogniem. Niemal natychmiast poczuł swąd własnych włosów, z oczu trysnęły mu łzy, prawie go oślepiając. Gdyby w chacie było ciemniej, na pewno nic by nie zdołał zobaczyć. Lecz niesamowity czerwony blask płomieni oświetlał ją tak jasno jak słońce w południe. Bez trudu dostrzegł Van Effena. Siedział skulony pod nadal nietkniętą tylną ścianą, oparty na jednej ręce. Koszulę khaki i drelichowe spodnie miał przesiąknięte krwią, twarz szarą jak popiół. Z

trudem łapał powietrze, dusił się, pierś falowała mu ciężko. Nicolson jak mógł najszybciej skoczył w jego stronę. Wiedział, że musi się śpieszyć, bo nie wytrzyma w żarze dłużej niż kilka chwil,

najwyżej pół minuty. Ubranie już się na nim tliło, a w postrzępionych miejscach nawet paliło się czerwonym płomieniem i dymiło. Umęczone płuca nie znajdowały tlenu dla raptownie słabnącego organizmu, żar, który palił go w twarz i ciało, buchał jakby z otwartego pieca. Van Effen spojrzał na niego półprzytomnie, nic nie powiedział, nie próbował niczego wyrazić mimiką. Pewnie jest już bliski śmierci, pomyślał Nicolson, Bóg jeden wie, jak mu się udało tak długo przetrwać. Pochylił się, usiłował rozluźnić palce Van Effena wczepione w osłonę i cyngiel karabinka, lecz było to beznadziejne, ręka pozostawała zaciśnięta niby żelazna obręcz. Nie ma czasu do stracenia, może już jest za późno. Nicolson dysząc ciężko, zmagając się z żarem, ociekając strumieniami potu zdobył się na ostatni rozpaczliwy wysiłek, wyteżył wątle siły, podniósł rannego i wziął go na ręce. Kiedy przebył połowę drogi do drzwi, rozległ się trzask pękającego drewna, tak głośny, że słyhać go było nawet pomimo huku ognia. Zatrzymał się i w tej samej chwili niecały metr dalej spadło z sufitu na klepisko kilka płonących, dymiących krokwi, które wybuchły, niby podczas pirotechnicznych pokazów, fajerwerkiem iskier i węgla rozżarzonych do czerwoności. Wyjście zostało całkowicie odcięte. Nicolson podniósł głowę, spojrzał w górę, szczypały go zalane potem oczy. Zdawało mu się, że jak przez mgłę widzi zarywający się, pękający sufit, który za chwilę na nich runie. Nie czekał dłużej. Od drzwi dzieliły go cztery kroki, cztery długie jak wieczność kroki. Potykał się, stąpał wśród płomieni, wysuszony na wiór drelich natychmiast

zajął się ogniem, płomienie wijąc się w górę po nogawkach szybko wspinały się spiralą coraz wyżej, aż nagle poczuł ich żarłoczne, kąśliwe języki na przedramionach, które dźwigały ciężkiego jak kłoda Van Effena. Rozżarzone do czerwoności sztylety ognia przeszywały mu podeszwy, bezlitośnie paląc ich skórę, w nozdrzach miał przyprawiający o mdłości smród przypiekanego mięsa. Tracił zmysły, zupełnie opadł z sił, utracił zupełnie poczucie czasu, zmysł orientacji, wycucie odległości. Raptem poczuł na sobie niecierpliwe dłonie, które złapały go za ręce i ramiona i wyciągnęły na chłodne, słodkie, życiodajne powietrze wieczoru. Najłatwiej na świecie byłoby złożyć Van Effena w czyjeś wyciągnięte ramiona, paść na ziemię i poddać się fali, która tylko czeka, by porwać Nicolsona w błogosławioną nicość. Odczuwał silną pokusę, żeby tak zrobić. Lecz nie zdecydował się na to, po prostu stał na szeroko rozstawionych nogach i wciągał głęboko hausty powietrza, lecz jego organizm nie wydawał się zdolny wchłonąć go więcej niż tylko tyle, ile w niewielkim stopniu zaspokajało jego potrzeby. Mijały sekundy, umysł miał coraz jaśniejszy, nogi już mu tak bardzo nie drżały, zdał sobie sprawę, że Walters, Evans i Willoughby stoją przy nim, lecz nie zwracając na nich uwagi przepchnął się z Van Effenem na rękach w stronę najbliższej chaty. Powoli, niezwykle delikatnie położył rannego na ziemi i zaczął mu rozpinać podziurawioną i poplamioną krawędź koszulę. Van Effen złapał go słabymi dłońmi za nadgarstki. – Tylko traci pan czas – szepnął słabym głosem; w gardle bulgotała mu krew, ledwie było go słyhać pośród trzasku i

huku płomieni. Nicolson nie zważał na jego słowa, rozerwał mu z boków koszulę i aż się

skrzywił na widok tego, co zobaczył. Jeśli Van Effen ma żyć, trzeba go natychmiast całego obandażować. Zdarł z siebie osmoloną i postrzępioną koszulę, podarł ją na szarpie i przykrył nimi rany. Przeniósł wzrok wyżej na białą, ściągniętą twarz Niemca. Usta Van Effena wykrzywiły się w czymś, co miało być uśmiechem, może nawet sarkastycznym. Trudno jednak było się zorientować po wyrazie twarzy, co ten uśmiech ma właściwie oznaczać, gdyż z oczu Van Effena już nic nie można było odczytać – zamgliły się i zrobiły szklane jak u ludzi, którzy tracą przytomność. – Mówiłem panu... nie marnujcie czasu – wyszeptał. – Barkas... barkas Kisekiego. Dotrzyjcie tam. Jest tam radio, może i duży nadajnik... słyszeliście słowa Yamaty... Walters może nadać depezę – szeptał ponaglając Nicolsona. – Zaraz, natychmiast. – Puścił jego nadgarstki, ręce opadły mu bezwładnie na boki spodem dłoni do góry i leżały tak na ubitej ziemi kampongu. – Dlaczego pan to zrobił? – Nicolson patrzył na rannego, kiwając powoli z boku na bok głową, zastanawiając się nad czynem Van Effena. – Pytam pana, na Boga, dlaczego pan to zrobił? – Bóg jeden wie. A może ja też. – Oddychał gwałtownie, bardzo płytko, między jednym oddechem a drugim mógł powiedzieć tylko kilka słów. – Wojna totalna jest wojną totalną, to robota dla barbarzyńców. – Uniósł słabą rękę i wskazał na płonącą chatę. – Gdyby był tu ze mną dzisiaj choć jeden mój rodak, postąpiłby tak jak ja. Jesteśmy ludźmi, panie Nicolson, tylko ludźmi. – Podniósł słabą rękę, ściągnął

rozdartą koszulę na bok i uśmiechnął się. – Czy nie krwawimy, kiedy zada się nam rany? Dostał napadu bulgocącego, piejącego kaszlu, który napiął mu mięśnie żołądka. Podniósł głowę i ramiona lekko nad ziemię, lecz zaraz z powrotem opadł. Leżał spokojnie i nieruchomo, tak że Nicolson szybko się pochylił, w obawie, czy tamten nie umarł. Lecz Van Effen otworzył oczy – powoli, z tak ogromnym wysiłkiem, jakby podnosił wielki ciężar, i spojrzał na Nicolsona z uśmiechem. – My Niemcy tak łatwo nie umieramy. Z Van Effenem jeszcze nie koniec. – Zamilkł na długą chwilę i dalej szeptał: – Koszt wygranej wojny jest wysoki. Zawsze jest wysoki, ale czasami zbyt wysoki, nie warto go ponosić. Dzisiaj wieczorem koszt, żądana cena była o wiele za wysoka. Nie mogłem... nie mogłem jej zapłacić. Z dachu płonącej chaty wystrzelił wielki słup ognia omywając jego twarz czerwonym bezlitosnym blaskiem, a kiedy przygasł, Van Effen znów wyglądał blado. Leżał nieruchomo i szeptał coś o pułkowniku Kiseki. – Co pan mówi? – Nicolson pochylił się tak mocno nad nim, że ich twarze niemal się dotykały. – Co pan powiedział? – Że pułkownik Kiseki... – Głos Van Effena dolatywał jakby z bardzo daleka. Znów usiłował się uśmiechnąć, lecz skończyło się na żalnym wykrzywieniu dolnej wargi. – Może mamy coś ze sobą wspólnego. Chyba... – Głos ucichł, zamarł. – Chyba obaj mamy słabość do malutkich dzieci – dokończył głośnie. Nicolson patrzył na niego. Raptem odwrócił się – po kampongu poniósł się echem głośny trzask i rumor, wysoko w górę buchnął

słup ognia oświetlając najdalsze zakamarki wioski. To dźwigary chaty rady starszych tak się wypaliły, że zapadła się, runęła, buchając jeszcze gwałtowniejszym płomieniem. Lecz trwało to tylko chwilę – strzelające w górę języki ognia skurczyły się i zaczęły pełzać przy ziemi, ze wszystkich stron nadciągały czarne, ponure cienie. Nicolson pochylił się, by dalej rozmawiać z Van Effenem, lecz ten był już nieprzytomny. Znużony, powoli się wyprostował, ale nie

wstał z kolan. Nadal przyglądał się ciężko rannemu. Poczłł raptownie, że zalewa go fala zmęczenia, rozpacz i bólu – nogi, stopy i ramiona piekły go i paliły zadając męczarnie. Kusiło go, by położyć się i odpocząć, by osunąć się w przyjazną, otulającą zakamarki jego umysłu ciemność. Kołysał się na kolanach w przód i w tył, z zamkniętymi oczami, z rękami zwisającymi z barków. Nagle usłyszał wołanie i tupot kroków przez wieś – ktoś zbliżał się w morderczym tempie. Poczłł, że mocne, okrutne palce wbijają mu się pośpiesznie w czerwoną poparzoną skórę przedramienia. – Niech pan wstanie, niech pan wstanie! Na Boga, niech pan się podniesie! – W głosie Mc\$kinnona była taka gwałtowność i rozpacz, jakich Nicolson jeszcze nigdy nie słyszał. – Mają ich, proszę pana. Te piekielne żółtki zabrali ich! – Co? Co? – Nicolson przechylił z boku na bok głowę. Bolała go, był oszołomiony. – Co zabrali? Plany, diamenty? Niech sobie biorą... – Mam nadzieję, że diamenty znajdą się w piekle i będą się tam smażyły ze wszystkimi żółtymi draniami ze Wschodu. – Mc\$kinnon na wpół płakał, na wpół krzyczał tak głośno, jak

nigdy przedtem, oczy miał zalane łzami, pięści zaciśnięte tak mocno u boków, że pobiełały mu kłykcie, szalał, był oszalały z wściekłości. – Zabrali nie tylko diamenty. Chciałbym, żeby tak było. Te nieludzkie diabły zabrały ze sobą zakładników, widziałem, jak wrzucali ich do ciężarówki. Kapitana, pannę Drachmann i chłopczyka! Rozdział piętnasty W uczuciu gniewu kryje się furia, nierozważna, niepohamowana wściekłość walczącego, zaś w uczuciu wściekłości, które po długim, długim czasie może doprowadzić do przekroczenia granicy szaleństwa, kryje się zimna, absolutnie tępa obojętność. Kiedy zdarzy się człowiekowi osiągnąć ten stan, a rzadko do tego dochodzi, człowiek przestaje być sobą, jest kimś innym, przestaje postępować według swoich własnych zasad i reguł rządzących sposobem odczuwania, myślenia i przeżywania, staje się człowiekiem, dla którego takie słowa jak niebezpieczeństwo, cierpienie i wyczerpanie należą do innego świata i znaczenia ich już nie pojmuje. Jest to stan charakteryzujący się nienaturalnie spotęgowaną zdolnością jasnego myślenia, wzmożoną percepcją, która dzięki nadwrażliwości pozwala wyczuć niebezpieczeństwo, i absolutnym lekceważeniem owego niebezpieczeństwa, tak absolutnym, że aż nieludzkim. A ponad wszystko jest to stan charakteryzujący się całkowitą nieugiętością. Właśnie w takim stanie znajdował się Nicolson o wpół do dziewiątej wieczorem tego dnia, pod koniec lutego, kiedy kilka sekund wcześniej Mc\$kinnon powiedział mu, że zabrano Gudrun i Petera.

Umysł pracował mu jasno, nienaturalnie jasno, analizując szybko sytuację, na tyle, na ile była Nicolsonowi znana, rozważając możliwości i prawdopodobieństwa, układając z zawrotną szybkością jedyny plan, który mógł dać nadzieję powodzenia. Znużenie, wyczerpanie fizyczne opadły z Nicolsona jak zrzucony płaszcz. Wiedział, że zawdzięcza tę odmianę czynnikom psychicznym, a nie fizjologicznym. Wiedział, że przyjdzie mu za to później drogo zapłacić, nie miało to jednak znaczenia, był dziwnie pewien, że niezależnie od tego, skąd bierze się jego energia, pozwoli mu działać. Nadal odczuwał ból, ale tak, jakby ten ból nie jego dotyczył – wprawdzie nogi i ramiona miał mocno poparzone, a na szyi głęboką ranę od japońskiego bagnetu, lecz jakby o tym nie pamiętał. Plan miał prosty, samobójczo prosty, prawdopodobieństwo jego niepowodzenia było tak wielkie, że porażka

wydawała się wręcz nieunikniona, lecz myśl o niej nawet nie przyszła mu do głowy. Kilka pytań wystrzelił jak z karabinu do Telaka, kilka do Mc\$kinnona i już wiedział, co robić, co wszyscy muszą zrobić, żeby mieć jakąkolwiek nadzieję. W podjęciu decyzji pomogła mu opowieść Mc\$kinnona. Otóż chata rady starszych tak gwałtownie stanęła w ogniu i tak szybko spłonęła tylko z jednego powodu – Mc\$kinnon oblał całą ścianę od zewnętrznej dwudziestoma litrami benzyny. Kanister ukradł z japońskiej ciężarówki kilka minut po jej przyjeździe. Kierowca niezbyt uważnie jej pilnował, teraz leżał na ziemi kilka metrów dalej. Mc\$kinnon zabierał się akurat do podpalenia chaty, kiedy dosłownie prawie wpadł na niego japoński patrol. Bosman nie tylko ukradł benzynę, lecz

także próbował unieruchomić ciężarówkę. Chciał znaleźć rozdzielacz, lecz po ciemku nie udało mu się tego dokonać, zaczął więc szukać gaźnika, znalazł przewód doprowadzający do niego benzynę – miętka miedź wygięła się w jego ręce jak kit. Nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe, by ciężarówka mogła oddalić się bardziej niż na kilometr, skoro pozostała w jej baku tylko odrobina benzyny. A do miasta Bantuk było około sześciu kilometrów. Nicolson natychmiast poprosił Telaka o współpracę. Ten bez namysłu się zgodził. Zabito mu ojca i kilkoro ludzi, przestał już więc zachowywać neutralność. Niewiele mówił, ale wystarczyło to, by się zorientować, na ile jest rozgoryczony, rozwścieczony i żądny zemsty. Od razu więc obiecał spełnić prośbę Nicolsona: dać przewodnika, który poprowadziłby główną grupę – niewielką już, niestety, wszystkiego siedem osób. Pójdą pod dowództwem Vanniera główną drogą do Bantuk, a tam mają przejąć barkas i wejść na jego pokład, jeśli da się to zrobić w absolutnej ciszy. Natychmiast Telak przetłumaczył to jednemu ze swoich ludzi, podając mu miejsce spotkania. Następnie wydał rozkaz kilku ludziom, by obszukali trupy Japończyków, rozrzucone po kampongu i przynieśli na główny plac broń i amunicję. Lekki karabin maszynowy, dwa karabiny automatyczne i dziwaczny pistolet automatyczny nadal nadawały się do użytku. Sam Telak zniknął nagle w drzwiach pobliskiej chaty i wynurzył się z nich z dwoma nożami malajskimi ostrymi jak brzytwa i kilkoma dziwnymi, bogato rytymi sztyletami długości dwudziestu pięciu centymetrów, o kształcie płomienia. Zatknął je wszystkie za pasek. Pięć minut po zawaleniu

się płonącej chaty Nicolson, Mc\$kinnon i Telak byli już w drodze. Droga do Bantuk – właściwie był to szlak przez dżunglę, szeroki na dwa metry, to opadający, to wznoszący się – wiała się niemiłosiernie wśród plantacji tytoniu oraz moczarów, przez które brnęło się po pas, wyjątkowo zdradliwych, zwłaszcza w nocy. Lecz Telak prowadził ich inaczej, tylko raz szli skrajem szlaku, dwa razy go przecięli, a poza tym szli wprost przez moczary, pola ryżu i plantacje, zmierzając do miasta w linii prostej jak strzała. Wszyscy trzej mężczyźni byli ranni, i to poważnie, wszyscy utracili sporo krwi, Telak najwięcej. Żaden rozsądny lekarz nie zawahałby się odesłać ich do szpitala, gdzie musieliby leżeć bez ruchu. Tymczasem teraz przyszło im biec przez całą drogę. Ani razu nawet nie zwolnili. Biegli przez teren niesamowity, wysysający siły, przyprawiający o palpitację serca. Biegli zdyszani, zdobywając się na nieludzki wysiłek, ołowiane nogi paliły ich z bólu, mięśnie tężały do granic wytrzymałości, piersi ciężko falowały, zgłodniałe płuca łaknęły coraz więcej powietrza, pot spływał im strumieniami po tułowiu. Lecz biegli nie przystając. Telak – bo był w swoim

żywióle i ojciec jego leżał martwy w wiosce, z japońskim bagnetem w piersi. Mc\$kinnon – bo wciąż był oszalały z gniewu i dopóty chciał biec, dopóki serce nie odmówi mu posłuszeństwa. Nicolson – bo przestał być sobą i cały ból i cierpienie wcale nie jego dotyczyły. Za drugim razem, kiedy przecinali szlak, zobaczyli w ciemności, niecałe dwa metry od siebie japońską ciężarówkę. Nawet się nie zatrzymali,

ciężarówka była niewątpliwie porzucona. Japończycy na pewno zabrali jeńców i pognali ich pieszo do miasta. Jak się teraz okazało, ciężarówka zajechała o wiele dalej, niż przewidywali, stanęła co najmniej w połowie drogi do Bantuk. Nie mogli jednak się zorientować, jak dawno temu Japończycy ją porzucili. Nicolson na zimno zdawał sobie sprawę, że szanse na powodzenie planu zmalały jeszcze bardziej, że są wręcz nikłe. Wprawdzie wszyscy o tym wiedzieli, lecz żaden nie wypowiedział tego głośno, by inni nie pomyśleli, że chce choć odrobinę zwolnić mordercze tempo. Przeciwnie, wydłużyli krok i jeszcze bardziej rozpaczliwie popędzili przez ciemność. Widok ciężarówki sprawił, że Nicolsonowi raz za razem stawały przed oczyma sceny przedstawiające okrutnych japońskich żołnierzy, którzy pędzą przed sobą jeńców ścieżką przez dżunglę. Widział, jak brutalnie poganiają kolbami karabinów, a nawet bagnetami starego rannego kapitana, który ledwie idzie, osłabiony i wyczerpany. Widział, jak poganiają Gudrun ledwie drepczącą w ciemnościach z ciężkim chłopczykiem na rękach, uniemożliwiającym jej marsz, bo przecież już po połowie kilometra dwulatek może się stać ciężarem nie do udźwignięcia. A może puściła chłopca, może pozostawili go gdzieś w pośpiechu na skraju dżungli, na pewną śmierć. Lecz ten, który opiekował się tego wieczoru Nicolsonem i śledził jego myśli, nie pozwalał, by męczyły go zbyt długo. Miały tylko dodawać mu bodźca do większego wysiłku, a nie stawać się obsesją i odbierać mu ostatecznie siły. Przez cały ten nieskończenie długi bieg, staniając się na

nogach, usiłując złapać oddech Nicolson, o dziwo, zachował trzeźwość myślenia i dystans do wszystkiego. Zrobiło się zimno, gwiazdy schowały się za chmurami, zaczynało padać. Dotarli do przedmieścia Bantuk. Było to typowe jawajskie miasto nadmorskie, ani duże, ani małe, w którym osobliwie mieszało się stare z nowym. Było to więc połączenie Indonezji sprzed stu lat i Holandii odległej o piętnaście tysięcy kilometrów. Na brzegu, wzdłuż linii zatoki, ciągnęły się rzędem dziwaczne, walące się chaty na długich bambusowych palach, zbudowane poniżej poziomu przyływu. Wywieszano przy nich siatki na ryby, by łapały się podczas przyboju. W połowie długości wybrzeża wystawał łukiem daleko w morze zakrzywiony falochron, przy którym chroniły się barkasy, łodzie rybackie, prao z plandekami i podwójne kanu z pływakiem bocznym, zbyt duże, by podpłynąć dalej, aż do chat rybaków. Za chatami, równoległe do brzegu ciągnęły się w dwóch czy trzech rzędach z rzadka rozsiane drewniane chaty kryte słomą, takie same jak w wioskach w głębi wyspy. Za nimi było centrum handlowe i administracyjne, za którym z kolei otwierała się niewielka dolina z domami typowymi dla holenderskiego przedmieścia. Wprawdzie nie było tam szerokich, wysadzanych drzewami bulwarów takich jak w Jakarcie czy Medanie, lecz schludne małe bungalowy i stara rezydencja z czasów kolonialnych otoczone były pięknie utrzymanymi ogrodami. Telak prowadził swoich towarzyszy właśnie do tej części miasta. Biegli ciemnymi



ulicami, samym środkiem, nawet nie usiłując robić tego skrycie, bowiem czas skrytego działania

już minął. Widziało ich niewielu ludzi, bo też niewielu spotkali na zalanych deszczem ulicach. Początkowo Nicolson myślał, że Japończycy wprowadzili godzinę policyjną, lecz zaraz stwierdził, że się pomylił, bo niektóre restauracyjki tu i tam były otwarte. Ich właściciele stali w kitlach pod markizami ocieniającymi wejścia i z obojętnym milczeniem przyglądali się grupie prowadzonej przez Telaka. Kiedy przebiegli pół kilometra w głąb lądu, Telak zwolnił tempo i wskazał Nicolsonowi i Mc\$kinnonowi wysoki mroczny żywopłot. Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi wysypana tłuczniem ulica, na której stali, kończyła się ślepo. Mur, który ją zamykał, był wysoki, pośrodku mieściła się sklepiona łukiem brama oświetlona dwiema lampami elektrycznymi. Obok niej stało dwóch mężczyzn pograżonych w rozmowie. Palili papierosy, oparli ramionami o półkolisty mur. Nawet z takiej odległości trudno było nie rozpoznać w jasno oświetlonym zaułku szarozielonych mundurów i charakterystycznych czapek armii japońskiej. Za bramą widać było wiodący w górę podjazd, oświetlony gęsto rozstawionymi latarniami. Za nim stał wysoki biały budynek rezydencji. Przez bramę widać było niewielką jego część – tylko kolumny ganku i z jednej jego strony dwa duże okna wykuszowe, oba jarzące się jasnym światłem. Nicolson zwrócił się do zadyszanego Telaka: – To tu? – Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli od chwili, gdy opuścili kampong. – Tak, to ten dom. – Telak też wyrzucał z siebie słowa łapiąc z trudem powietrze. – Jest największy w Bantuk. – Naturalnie. – Nicolson urwał, by otrzeć pot z twarzy,

piersi i ramion. Bardzo dokładnie wytarł dłonie. – Tędy będą wchodzić? – Innego wejścia nie ma. Na pewno przyjdą tędy. Chyba że już są w środku. – Chyba że już są w środku – powtórzył za nim jak echo Nicolson. Po raz pierwszy załała go fala strachu i niepokoju. Takiego strachu, jaki mógłby sparaliżować mu umysł, takiego niepokoju, jaki mógłby zrujnować mu plany. Lecz uporał się z tym, bezwzględnie odsuwając złe myśli. – Jeśli już przyszli, jest za późno. Jeśli nie, mamy czas. Możemy chwilę odetchnąć... nie powinniśmy zaczynać akcji ledwie dysząc. Jak się czujecie, bosmanie? – Ręce mnie swędzą – odparł cicho Mc\$kinnon. – Chodźmy już. – Jeszcze tylko chwilkę – przyrzekł mu Nicolson. Zwrócił się do Telaka: – Czy dobrze widzę, że na murze są szpikulce? – Zgadza się – powiedział ponuro Telak. – Szpikulce to jeszcze nic takiego, ale mur jest pod prądem. – A więc ta brama to jedyne wejście? – spytał cicho Nicolson. – I jedyne wyjście. – Rozumiem. Doskonale rozumiem. Przez dwie minuty żaden z nich się nie odezwał. Słysząc było tylko ich oddechy, coraz płytsze i równiejsze, przerwy między nimi też stawały się coraz dłuższe. Nicolson czekał z niemal nadludzką cierpliwością, aż wszyscy dojdą do siebie i osiągną szczyt formy, co prędzej czy później musiało nastąpić. Poruszył się, wyprostował, zaczął wycierać dłonie o osmolone resztki swoich drelichów khaki, żeby nie pozostała na nich ani odrobina wilgoci. – Minęliśmy po tej stronie, jakieś dwadzieścia kroków stąd, wysoki mur, prawda? – zwrócił się do Telaka.

– Tak. – Tuż za murem rosną drzewa? – Tak, też to zauważyłem – skinął głową Telak. – Wracajmy tam. – Nicolson odwrócił się i ruszył cichutko wzdłuż ocieniającego ich żywopłotu. Dwie minuty później było już po wszystkim. I w promieniu trzydziestu, czterdziestu metrów

nikt nie mógł usłyszeć najłżejszego szmeru ani szeptu. Nicolson leżał na ziemi pod wysokim murem i cichutko jęczał, potem jęki stały się głośniejsze, bardziej żałosne. Początkowo nie zwróciły niczyjej uwagi, po kilku sekundach jednak jeden z wartowników nastawił ucha, wyprostował się i zaczął popatrywać z niepokojem w głąb ulicy. Po chwili drugi wartownik, do którego doleciał rozdzierający jęk, zaczął robić to samo. Obaj spojrzeli na siebie, odbyli szybką naradę, zawahali się i rzucili biegiem w dół ulicy świecąc sobie latarką. Nicolson zajęczał jeszcze głośniej, zwinął się jakby w strasznych męczarniach, obracając plecami do jezdni, żeby wartownicy nie mogli od razu rozpoznać w nim Europejczyka. W chybotliwym świetle latarki widział błyskające bagnety. Zdenerwowany wartownik na pewno wolałby znaleźć trupa niż żywego wroga, nawet gdyby ten wyglądał na poważnie rannego. Ciężkie buty stukotały po tłuczniu, wartownicy zatrzymali się z poślizgiem, pochylili nad leżącym. I w tej samej chwili zginęli – jeden od pchnięcia sztyletem o ostrzu w kształcie płomienia, które aż po rękajeść ugrzęzło w jego plecach, kiedy Telak zeskoczył z muru, drugi – uduszony muskularnymi rękami Mc\$kinnona chwilę po tym, jak Nicolson niespodzianie wytrącił mu kopniakiem karabin z

dłoni. Zerwał się na nogi, popatrzył na dwóch martwych wartowników. Za niscy, pomyślał z rozczarowaniem, o wiele za niscy. Miał nadzieję, że będą się mogli przebrać w ich mundury, lecz nie nadawały się dla żadnego z nich. Nie było czasu do stracenia. Chwycili z Telakiem pierwszego trupa za kostki i nadgarstki, zamachnęli się nim w jedną i w drugą stronę, Mc\$kinnon mocno podepchnął ciało i w tej samej chwili znalazło się ono za wysokim murem, z dala od wrogich oczu. Po pięciu sekundach trup drugiego wartownika dołączył do pierwszego. Kilka chwil później wszyscy trzej mężczyźni znaleźli się na terenie rezydencji. Jasno oświetlona ścieżka wysadzona była po obu stronach wysokimi krzakami albo przyszczyżonymi drzewami. Po prawej, za drzewami ciągnął się już tylko wysoki mur z drutami pod prądem na samej górze. Po przeciwnej stronie podjazdu rozciągał się duży, opadający ukośnie w dół trawnik, przez który nie prowadziły ścieżki, lecz był dobrze utrzymany i przyszczyżony; gdzieś tam z niewielkich kręgów nagiej ziemi wyrastały na nim drzewa. Oświetlały go, lecz niezbyt jasno, latarnie ustawione wzdłuż podjazdu i przed domem. Trzej mężczyźni przemykali bezgłośnie po trawie od jednego rzucającego cień drzewa do drugiego, aż dotarli do kępy krzewów ograniczającej żwirowy podjazd tuż przed gankiem. Nicolson pochylił się i przyłożył usta do ucha Telaka. – Byliście tu już? – Nigdy – odparł tak samo cichutko Telak. – Nie wiecie, czy są tu jakieś inne drzwi? Nie słyszeliście, czy okna są zabezpieczone sztabami, zadrutowane lub mają

wmontowane urządzenia alarmowe? Telak potrząsnął przecząco głową w mroku. – To przesądza sprawę – szepnął Nicolson. – Tylko przez drzwi frontowe. Nie będą oczekiwali tam gości, szczególnie takich jak my. – Sięgnął za pas i wyciągnął sztylet otrzymany od Telaka. Zaczął podnosić się z klęczek. – Cichutko, absolutnie cichutko. Szybko, sprawnie i cicho. Nie możemy zakłócić spokoju naszym gospodarzom. Postąpił pół kroku naprzód, zdławił okrzyk i znów padł na kolana. Miał niewielki wybór. Mc\$kinnon, mimo że był średniego wzrostu, ważył prawie sto kilo i był niesłychanie silny. – Co to jest? – szepnął Nicolson. Potarł poparzone ramię, które go niemiłosiernie piekło; zapewne Mc\$kinnon

wbijając w nie palce naderwał skórę. – Ktoś idzie – szepnął mu do ucha Mc\$kinnon. Pewnie mają na zewnątrz wartowników. Nicolson przez chwilę nasłuchiwał, lecz potem potrząsnął głową w mroku na znak, że nic nie słyszy. Mimo to jednak miał zaufanie do słuchu bosmana, podobnie jak do jego niebywałego wzroku. – Gdzieś z boku, nie na żwirze – mruknął Mc\$kinnon. – Idzie tutaj. Zajmę się nim. – Zostawcie go w spokoju. – Nicolson mocno potrząsnął głową. – Za duży hałas. – Usłyszysz nas na żwirze. – Głos Mc\$kinnona był jeszcze cichszy. Nicolson teraz też usłyszał kroki: szuranie stóp po mokrej trawie. – Nie będzie hałasu. Przyrzekam. Tym razem Nicolson przytaknął ruchem głowy i złapał bosmana za ramię na znak zgody. Człowiek zbliżył się, był naprzeciwko ich kryjówek. Mimo woli Nicolson zadrżał. Jak dobrze wiedział,

będzie to czwarta tego wieczoru ofiara śpiewnie zaciągającego szkockiego górala, a z trzech poprzednich tylko jedna zdołała wydać z siebie ledwie cichutki szep. Jak długo można żyć blisko człowieka... w tym wypadku trzy lata... i go nie znać... Mężczyzna był już niecałe pół metra od nich, głowę miał odwróconą w stronę dwóch oświetlonych okien, zza których dochodził daleki szmer głosów. Mc\$kinnon podniósł się na nogi, cicho jak duch, i zacisnął mu na szyi zgięte ręce niby stalową obręcz. Dotrzymał słowa. Wszystko odbyło się w absolutnej ciszy, ofiara nawet nie pisnęła. Zostawili trupa za krzewami i ruszyli przez żwir powolnym, miarowym krokiem, żeby w razie czego nie usłyszeli ich wartownicy pilnujący dalej terenu. Przyśpieszyli kroku, przeszli przez ganek i wkroczyli przez szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi. Za nimi rozciągał się szeroki hall, oświetlony łagodnym światłem kandelabru, o wysokim, sklepionym suficie, ścianach z boazerią, chyba dębową, błyszczącym parkiecie ułożonym w mozaikę z drzewa jarrah, kauri oraz innych twardych i jasnych drzew tropikalnych. Po obu stronach hallu były szerokie, rozłożyste schody z drewna ciemniejszego niż boazeria, zakręcające na wsparty na kolumnkach balkon, który ciągnął się przez całą długość hallu po obu jego stronach i na ścianie tylnej. U podnóża jednych i drugich schodów widać było po parze dwuskrzydłowych drzwi, teraz zamkniętych, a w tylnej ścianie trzecie. Wszystkie pomalowane były na biało, co wyglądało dość niestosownie przy ciemnych, obitych ałtarem ścianach. Drzwi w tylnej ścianie hallu były

otwarte. Nicolson wskazał Mc\$kinnonowi i Telakowi, by zajęli stanowiska na prawo, po obu stronach dwuskrzydłowych drzwi, a sam cicho jak kot pomknął przez hall do drzwi otwartych. Czuł przez podeszwy chłodną, twardą podłogę – podczas wyczerpującego biegu przez dżunglę musiały mu się podrzeć resztki płóciennych podeszew, które na wpół się spaliły, kiedy wynosił Van Effena z płonącej chaty. Umysł jego automatycznie to zarejestrował, lecz zlekceważył, podobnie jak ból poparzonego ciała. Przyjdzie czas, kiedy będzie można sobie pozwolić na cierpienie, teraz nie. Naadal lodowato zimna obojętność brała w nim górę nad wszelkimi uczuciami, stan ten nawet się wzmógł, towarzyszyła mu niezwykła przenikliwość sądów. Rozpłaszczył się na ścianie, nastawił ucha, oczy miał zwrócone w stronę otwartych drzwi. Najpierw nic nie słyszał, po chwili jednak doszedł go z daleka szmer głosów i brzęk naczyń. Oczywiście, mieszczą się tam kuchnie i pomieszczenia dla służby. Jeśli więc za dwuskrzydłowymi drzwiami mężczyźni spożywają posiłek, bo właśnie jest pora kolacji, to na pewno można się w każdej chwili spodziewać, że długim

korytarzem zaczęła nadchodzić służba, która będzie musiała przejść przez hall. Nicolson przesunął się cichutko bliżej drzwi i wychylił się zza framugi. Korytarz był słabo oświetlony, miał z siedem metrów długości, po obu jego stronach były zamknięte drzwi, a na końcu otwarte. Widział jasny prostokąt światła, nie było nikogo. Wszedł do korytarza, pomacał z tyłu pod klamką, znalazł klucz, wyciągnął go, wrócił do hallu, zamknął cichutko drzwi i przekręcił klucz.

Przeszedł przez hall równie cicho jak przedtem i stanął obok swoich towarzyszy przy białych dwuskrzydłowych drzwiach. Obaj patrzyli na niego. Mc\$kinnon nadal miał ponurą i zawziętą minę. Wprawdzie panował nad uczuciem gniewu, które w nim narosło, lecz w każdej chwili mogło ono wziąć nad nim górę. Telak wyglądał w świetle straszliwie – oblepiony skrzepłą krwią, ciemna twarz ściągnięta i szara ze zmęczenia, ale zdawało się, że mimo to chęć zemsty jeszcze długo będzie dodawała mu sił. Nicolson szepnął mu do ucha kilka poleceń, upewnił się, że tamten zrozumiał, i czekał, aż Telak prześlizgnie się kawałek i ukryje pod schodami z prawej strony. Zza dwuskrzydłowych drzwi dochodził szmer głosów, szmer przerywany co pewien czas wybuchami rubasznego śmiechu. Nicolson przez chwilę nasłuchiwał przyłożywszy ucho do szpary między skrzydłami, po czym każde z nich próbował lekko pchnąć wyciągniętym palcem. Oba ustąpiły niemal niedostrzegalnie o centymetr. Nicolson wyprostował się, zadowolony. Skinął na Mc\$kinnona. Podnieśli broń, przytknęli lufy karabinów do białych drzwi, kopniakiem otworzyli je na oścież i weszli razem do pokoju. Był to długi, niski pokój, obudowany boazerią, z parkietem na podłodze, szerokimi oknami w wykuszach i moskitierami. W ścianie naprzeciwko drzwi było jeszcze jedno mniejsze okno. Między dwiema parami drzwi na lewo stał długi dębowy kredens; był jedynym meblem wbudowanym w ścianę. Większą część powierzchni podłogi zajmował stół bankietowy w kształcie podkowy, a przy nim krzesła, na których siedziało czternastu mężczyzn. Kilku nadal

rozmawiało, śmiało się i popijało z głębokich kielichów, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że do pomieszczenia wtargnęło dwóch ludzi. Lecz stopniowo, kiedy rozmawiający zorientowali się, że ich towarzysze zamilkli, ucichły wszystkie rozmowy. Zebrani patrzyli w stronę drzwi, siedzieli nieruchomo. Jak na człowieka, który ma rzekomo opłakiwać śmierć syna, pułkownik Kiseki wspaniale ukrywał swój smutek. Bez trudu można było rozpoznać, który to mężczyzna. Siedział na ozdobnym fotelu z wysokim oparciem zajmując honorowe miejsce u szczytu stołu. Był to niski, barczysty, otyły człowiek, o szyi wylewającej się na obcisły kołnierzyk munduru, małych świńskich oczkach niemal zatopionych w fałdach tłuszczu, bardzo krótkich czarnych włosach siwiejących na skroniach, sterczących na czubku głowy jak drucziana szczotka. Twarz miał zaczerwienioną od alkoholu, na stole przed nim stało pełno pustych butelek, biały obrus poplamiony był winem. Kiedy wtargnęli Nicolson z Mc\$kinnonem, miał odrzuconą głowę do tyłu i ryczał ze śmiechu, lecz teraz siedział zsunięty na przód fotela, z pięściami o pobielających kłykciach zaciśniętymi na poręczach. Jego roześmiana otyła twarz powoli zastygała w wyrazie niedowierzania. Nikt się nie odzywał, nikt nie poruszał. W pokoju panowała głęboka cisza. Nicolson i Mc\$kinnon powoli, uważnie przesunęli się, by zająć miejsca po obu stronach stołu. Ciche klapanie ich stóp jeszcze tylko

podkreślało niesamowitą ciszę. Nicolson stanął po lewej, Mc\$kinnon zbliżył się do okien wykuszowych. Czternastu mężczyzn nadal siedziało na swoich

miejscach nieruchomo, śledząc wzrokiem poczynania uzbrojonych intruzów. Nicolson zatrzymał się w połowie długości stołu po jego lewej stronie, upewnił się, że Mc\$kinnon ma na oku wszystkich zebranych, odwrócił się i otworzył pierwsze drzwi. Klamka zgrzytnęła, pchnął drzwi, które bezgłośnie same się otworzyły, odwrócił się na pięcie i cichutko postąpił krok w stronę stołu. Kiedy klamka zgrzytnęła, oficer siedzący tyłem do Nicolsona – Mc\$kinnon nie mógł widzieć, co on robi pod stołem – sięgnął do kabury po rewolwer i wyciągnął go, lecz Nicolson zdążył zadać mu brutalny cios kolbą tuż nad prawym uchem. Rewolwer zastukotał nieszkodliwie o parkiet, a oficer osunął się całym ciężarem na stół. Przewrócił głową prawie pełną butelkę wina, które wylewało się z bulgotem pośród nienaturalnej ciszy, aż butelka się opróżniła. Dwanaście par oczu, jak gdyby zahipnotyzowanych jedyną ruchomą rzeczą w pokoju, wpatrywało się w krwistą plamę rozprzestrzeniającą się coraz bardziej na białym obrusie. Nadal nikt nie odezwał się słowem. Nicolson odwrócił się, by spojrzeć przez otwarte drzwi. Długi korytarz był pusty. Zamknął je, przekręcił klucz i zajął się drugimi. Mieściła się za nimi szatnia. Była mała, miała jakieś dwa metry kwadratowe, bez okna. Drzwi do niej Nicolson pozostawił otwarte. Wrócił do stołu, zaczął się przesuwając od krzesła do krzesła szukając u mężczyzn broni. Mc\$kinnon cały czas trzymał swój karabin w pogotowiu przesuwając delikatnie wylot lufy z jednego Japończyka na drugiego. Kiedy Nicolson skończył, zaczął ubezpieczać Mc\$kinnona, który z

kolei wykonał tę samą robotę po drugiej stronie stołu. Łup ich okazał się zadziwiająco niepokazny: kilka noży i trzy rewolwery, te ostatnie odebrane oficerom. Rewolwer, który leżał na podłodze, był czwarty. Nicolson dał dwa Mc\$kinnonowi, dwa zatknął sobie za pas. Przy strzelaniu na małą odległość, na ograniczonej przestrzeni karabin automatyczny jest o wiele bardziej śmiertelnością bronią. Nicolson podszedł do szczytu stołu i spojrzał na potężnego, korpulentnego mężczyznę w honorowym fotelu. – Pan jest pułkownik Kiseki? Oficer skinął głową bez słowa. Z jego twarzy znikł wyraz zdumienia, w ogóle nie miałyby żadnego wyrazu, gdyby nie oczka świdrujące z uwagą pokój. Odzyskał już równowagę i panowanie nad sobą. Niebezpieczny człowiek, pomyślał posępnie Nicolson, człowiek, którego nie należy nie doceniać, bo zapłaci się za to śmiercią. – Proszę powiedzieć wszystkim, by położyli ręce na stole, spodem dłoni do góry. I tak pozostali. – Odmawiam. – Kiseki skrzyżował ręce na piersiach i odchylił się niedbale do tyłu. – Dlaczego miałbym... – Urwał, bo lufa karabinu wbiła mu się głęboko w grube fałdy tłuszczu na karku. Jęknął z bólu. – Liczę do trzech – rzucił obojętnie Nicolson, lecz była to obojętność udawana. Bardziej mu się przyda Kiseki żywy. – Jeden, dwa... – Stop! – Kiseki zsunął się na przód fotela uciekając przed uciskającą go lufą i wyrzucił z siebie polecenie. Natychmiast na całym stole pojawiły się ręce, spodem dłoni do góry, tak jak życzył sobie Nicolson. – Wie pan, kim jesteście? – spytał. – Wiem, kim jesteście. –

Kiseki mówił po angielsku powoli i z wysiłkiem, lecz jakoś sobie radził. – Z angielskiego tankowca "Viroma". Głupcy, zwariowani głupcy! Na co macie nadzieję? Równie dobrze możecie teraz się poddać. Przyrzekam... – Milczeć! – Nicolson wskazał na mężczyzn

siedzących z obu stron pułkownika, na oficera i Indonezyjczyka o masywnej szczęce, ciemnej twarzy i ułożonych w nieskazitelne fale włosach, w dobrze skrojonym garniturze. – Kim oni są? – Mój zastępca i burmistrz Bantuk. – Ach, burmistrz Bantuk? – Nicolson spojrział na niego z zainteresowaniem. – Kolaboracja, jak rozumiem? – Nie wiem, o czym pan mówi. – Kiseki spojrział na Nicolsona przez szparki. – Burmistrz to założyciel, członek naszej Azjatyckiej Wspólnoty Dobrobytu... – Milczeć, na miłość boską! – Nicolson rozejrzał się po innych siedzących wokół stołu: dwóch czy trzech oficerów, sześciu Chińczyków, jeden Arab i kilku Jawajczyków. Spojrział z powrotem na pułkownika. – Pan, zastępca i burmistrz pozostaniecie tutaj, reszta do szatni. – Proszę pana!... – cicho zawołał spod okna Mc\$kinnon. – Wchodzą na podjazd! – Pośpieszyć się! – Nicolson znów wbił lufę w kark pułkownika. – Przetłumaczyć im! Do szatni! Natychmiast! – Do tego pudła? Nie ma tam powietrza. – Kiseki udawał przerażenie. – Uduszą się tam. – W przeciwnym razie zginą tutaj. Mogą wybierać. – Nicolson jeszcze bardziej wparł się w karabin, palec na spuście mu pobiełał. – Ale pan będzie pierwszy. Pół minuty później pokój prawie opustoszał, panowała w nim cisza. Tylko trzech mężczyzn

siedziało u szczytu bankietowego stołu. Jedenastu zostało wtłoczonych do malutkiej szatni, drzwi zamknięto na klucz. Mc\$kinnon rozpląszczył się na ścianie przy otwartych drzwiach dwuskrzydłowych, a Nicolson stał w otwartych drzwiach bocznego korytarza. Ustawił się tak, żeby widzieć dojskie do drzwi, przy których stał Mc\$kinnon, przez szparę między swoimi drzwiami a framugą. POzycja ta umożliwiała mu również trzymanie Kisekiego ciągle na muszce – mierzył z karabinu w środek jego piersi. Pułkownik też otrzymał rozkazy. Otrzymał rozkazy i wiedział, że Nicolson zastrzeli go jak psa, jeśli tylko będzie podejrzewał, że Kiseki chce go przechytrzyć. PUłkownik żył już zbyt długo i widział zbyt wielu tak zdesperowanych i zaciętych ludzi, by myśleć inaczej. Znany był z okrucieństwa, ale też z odwagi, nie był głupcem. Zamierzał dokładnie wypełniać rozkazy. Nicolsona doleciał płacz Petera, kwilenie zmęczonego, przygnębionego dziecka. Żołnierze przechodzili przez zwirowy podjazd i wstępowali na schody ganku. Nicolson zacisnął usta. Kiseki zauważył to, mięśnie napięły mu się w oczekiwaniu na obezwładniające uderzenie pocisku, lecz nagle zobaczył, że Nicolson potrząsa głową i wyraźnie, świadomie się rozluźnia. W hallu rozległy się kroki, zatrzymały przed drzwiami i na rozkaz Kisekiego znów ruszyły. Po chwili japońscy żołnierze – wszystkiego razem sześciu – weszli do pokoju popychając przed sobą jeńców. Kapitan Findhorn był na przedzie. Żołnierz trzymał go za ramiona, kapitan pociągał nogami, twarz miał ściągniętą, koloru popiołu, oddychał szybko, chrapliwie, bardzo cierpiał. Żołnierze zatrzymali się i

puścili go. Zachwiał się do tyłu, do przodu, przewrócił przekrwionymi białkami, zgiął się wpół i tak przygięty powoli runął na podłogę tracąc przytomność, pogrążając się w błogosławionym stanie niepamięci. Tuż za nim stała Gudrun z Peterem w ramionach. Ciemne włosy miała potargane i rozwichrzone, białą niegdyś koszulę rozerwaną na plecach. Ze swojego miejsca Nicolson nie mógł widzieć jej pleców, ale domyślał się, że na pewno są poranione do krwi, bo żołnierz z tyłu trzymał przy nich bagnet. Poczł przemożne pragnienie, by wyjść z za drzwi i opróżnić magazynek karabinu, wykończyć żołnierza z bagnetem, lecz

zdławił w sobie ten odruch, pozostał na swoim miejscu, stał spokojnie i cicho, przenosząc wzrok z obojętnej twarzy Kisekiego na zabrudzoną, przeoraną szramą twarz dziewczyny. Ona też, jak teraz widział, słała się na nogach drżących ze zmęczenia, ale nadal trzymała dumnie podniesioną głowę. Nagle pułkownik wydał rozkaz szczekliwym głosem. Jego ludzie patrzyli nie rozumiejąc. Powtórzył go niemal natychmiast, waląc ręką w stół – czterech spośród sześciu żołnierzy rzuciło broń na podłogę. Piąty ściągnął głupawo brwi, jakby z niedowierzaniem, czy dobrze słyszał, popatrzył na towarzyszy, na broń leżącą na podłodze i niechętnie rozluźnił chwyt wypuszczając z dłoni karabin, który z hukiem upadł na parkiet obok innych. Tylko szósty, ten stojący za Gudrun zorientował się, że coś nie jest w porządku. Przykucnął, rozejrzał się dzikim wzrokiem dookoła i padł na podłogę jak powalone drzewo – Telak leciutko jak piórko nadbiegł z hallu i grzmotnął go karabinem w nie

osłonięty tył głowy. Teraz wszyscy trzej byli w pokoju. Telak odprowadził pięciu żołnierzy do kąta, Mc\$kinnon zatrzasnął kopniakiem dwuskrzydłowe drzwi trzymając przezornie na oku trzech biesiadników przy stole, a Nicolson podszedł bez wstydu do dziewczyny, która trzymała Petera, i wziął ich oboje w ramiona uśmiechając się z zachwytem i ulgą. Gudrun, sztywno wyprostowana, patrzyła na niego przez bardzo długą chwilę ze zdumieniem i niedowierzaniem, aż nagle oparła się ciężko o jego pierś i tuląc twarz do jego ramienia powtarzała szeptem imię Johnny. Mc\$kinnon popatrywał na nich szeroko uśmiechnięty, na jego twarzy nie było już wściekłości ani gniewu. Lecz nie zatrzymywał na nich wzroku na dłużej niż ułamek sekundy, cały czas bowiem miał na muszce trójkę u szczytu stołu. – Johnny, ach Johnny! – Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na niego. Błękitne oczy błyszczały, zamglone, po brudnych policzkach spływały łzy wymywając na nich jasne smugi. Drżała, drżała z powodu długiego napięcia i z zimna. Ubranie miała przemoczone do suchej nitki, lecz nie zwracała na to uwagi. Na jej twarzy malowało się takie szczęście, jakiego Nicolson jeszcze nie widział. – Och, Johnny, myślałam, że już po wszystkim. Myślałam, że Peter i ja... – urwała i uśmiechnęła się do niego. – Jak się tu, na Boga, dostaliście? Nie rozumiem. Jak? – Prywatnym samolotem. – Nicolson machnął niedbale ręką. – To nie było trudne, ale o tym potem, Gudrun. Musimy się śpieszyć. Bosmanie... – Tak? – Mc\$kinnon przezornie przestał się uśmiechać. – Zwiążcie trójkę naszych przyjaciół tam u szczytu stołu.

Tylko ręce, za plecami. – Związać nas! – Kiseki pochylił się do przodu, zaciśnięte dłonie trzymał na stole. – Nie widzę potrzeby... – Zastrzelcie ich, jeśli to będzie konieczne – rozkazał Nicolson. – Już nie są nam potrzebni. – Nie chciał dodawać, że Kiseki jeszcze im się przyda, bo bał się, że pułkownik znając jego zamiary, może się zdobyć na rozpaczliwy czyn. – Już ja to załatwię – przyrzekł Mc\$kinnon. Ruszył zdecydowanym krokiem w ich stronę zrywając kilka moskitier – skręcone, mogły doskonale posłużyć za liny. Nicolson usadził Gudrun z Peterem na krzesła, odszedł, pochylił się nad kapitanem i potrząsnął go za ramię. Findhorn poruszył się po jakimś czasie i otworzył, znużony, oczy. Podtrzymywany przez Nicolsona usiadł; ruszał się jak starzec. Rozejrzał się po pokoju, jego wyczerpany umysł zaczął powoli pojmować, co się wydarzyło. – Nie wiem, na Boga, jak to zrobiłeś, ale zrobiłeś świetnie, mój chłopcze. – Obejrzał Nicolsona uważnie od stóp do głów, krzywiąc się na widok ran i okropnych oparzeń na nogach i przedramionach pierwszego oficera. –

Straszliwie jesteście poharatani. Mam nadzieję, że nie czujecie się w połowie tak źle, jak wyglądacie. – U szczytu formy – uśmiechnął się Nicolson. – Umie pan kłamać, panie Nicolson. Tak samo nadaje się pan do szpitala jak ja. Dokąd stąd pójdziemy? – Opuścimy to miejsce. I to zaraz. Jeszcze tylko kilka minut, kapitanie. Pozostało kilka spraw. – Ale pójdziecie sami – powiedział żartobliwym tonem Findhorn, lecz wcale nie żartował. – Chyba zdecyduję się

zostać jeńcem wojennym. Naprawdę, mój chłopcze, już wiem, co to znaczy, przeszedłem przez to. Nie zrobiłbym kroku. – Nie musi pan, kapitanie. Zapewniam. – Nicolson szturchnął czubkiem buta worek jednego z żołnierzy, pochylił się i zajrzał do środka. – Nawet przydźwigali tu plany i diamenty. No, ale co mieli z nimi zrobić? Mam nadzieję, pułkowniku Kiseki, że za bardzo panu na nich nie zależy? Kiseki patrzył na niego obojętnie. Gudrun nabrała powietrza w płuca. – Ach, więc to jest pułkownik Kiseki! – Patrzyła na niego przez długą chwilę i wzdrygnęła się. – Widzę teraz, że kapitan Yamata rzeczywiście miał rację. Dzięki Bogu, Johnny, że pierwszy się tu dostałeś. – A gdzie jest kapitan Yamata?! – Malutkie oczka pułkownika prawie zupełnie zniknęły w fałdach tłuszczu. – Co się z nim stało? – Dołączył do swoich przodków – odparł lakonicznie Nicolson. – Van Effen go prawie rozpołowił. – Kłamstwo! Van Effen był naszym przyjacielem, bliskim przyjacielem. – Zgadza się, był – przytaknął Nicolson. – Proszę spytać swoich ludzi... ale potem. – Wskazał na grupkę żołnierzy sterroryzowanych karabinkiem Telaka. – Tymczasem proszę wysłać jednego z nich po nosze, koce i latarki. Nie muszę pana ostrzegać, co się stanie, jeśli będzie pan próbował głupich sztuczek. Kiseki patrzył przez chwilę na niego obojętnie, ale w końcu rzucił coś szybko do jednego z żołnierzy. Nicolson poczekał, aż tamten się oddali, i znów zwrócił się do pułkownika. – Musi w tym domu być radio. Gdzie? Po raz pierwszy Kiseki się

uśmiechnął ukazując na przedzie wspaniałą kolekcję złotych koronek. – Przykro mi, ale muszę pana rozczarować... panie... hm... – Nicolson. To jednak nie pora na prezentacje. Pytam o radio, pułkowniku. – Mamy tylko to jedno. – Jeszcze szerzej się uśmiechając Kiseki wskazał na kredens. Wskazał ruchem głowy, bo Mc\$kinnon już związał mu ręce na plecach. Nicolson ledwie rzucił okiem na mały odbiornik. – Chodzi mi o pański nadajnik, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – wycedził Nicolson. – Chyba nie używa pan gołębi pocztowych, prawda? – Co za typowo angielskie poczucie humoru. Cha! Cha! To naprawdę dowcipne. – Kiseki nadal miał uśmiech na twarzy. – Oczywiście, że mamy nadajnik, panie... hm... Nicolson. W barakach, to znaczy w koszarach. – Gdzie to jest? – Po przeciwnej stronie miasta. – Wyglądało na to, że Kiseki naprawdę dobrze się bawi. – Półtora kilometra stąd. Co najmniej półtora. – Rozumiem. – Nicolson zamyślił się. – To za daleko... i wątpię, czy bym dał radę wprowadzić pana na muszce do pańskich koszar, zniszczyć nadajnik i wydostać się stamtąd... pozostając przy życiu. – Czasami widać, że pan myśli – mruknął Kiseki. – Przecież nie jestem samobójcą. – Nicolson potarł palcem nie goloną brodę i znów spojrzał na pułkownika. – I jest to jedyny nadajnik w mieście, tak? – Zgadza się. Musi mi pan uwierzyć na słowo. – Wierzę panu na słowo. Nicolson przestał się interesować tym tematem,



patrzył, jak Mc\$kinnon wiąże drugiego oficera z takim zacięciem, że tamten aż krzyknął z bólu. Wrócił wysłany przez pułkownika żołnierz niosąc nosze, koce i dwie latarki. Nicolson spojrzął na niego, potem znów zwrócił spojrzenie na szczyt stołu: najpierw zerknął na pułkownika, później na cywila u jego boku. Burmistrz udawał oburzenie i wściekłość, lecz wyglądał tylko na wystraszonego. W jego ciemnych oczach niewątpliwie czaił się strach. Pocił się obficie, kącik ust drżał mu nerwowo, nawet szary garnitur o pięknym kroju zdawał się na nim obwisać... Nicolson przeniósł wzrok na pułkownika. – Rozumiem, że burmistrz jest pana bliskim przyjacielem? – Widział wyraz oczu Mc\$kinnona, który wiązał ręce burmistrzowi, wyraz mówiący mu, że bosman chce jak najszybciej stąd wyjść, że niecierpliwia go te rozmowy, lecz nie zwracał na to uwagi. Kiseki ceremonialnie odchrząknął. – Nasze... no, jak to się mówi?... obowiązki jako komendanta garnizonu i reprezentanta ludności w sposób naturalny... – Niech mi pan oszczędzi reszty – przerwał mu Nicolson. – Myślę, że obowiązki często go tutaj sprowadzają. – Patrzył teraz na burmistrza w sposób szczególnie badawczy i pogardliwy. Kiseki to zauważył. – Często go tu sprowadzają? – zaśmiał się. – Mój drogi Nicolsonie, przecież to jest jego dom. Ja tu jestem tylko gościem. – Naprawdę? – Nicolson spojrzął na burmistrza. – Czy może mówi pan trochę po angielsku? – Doskonale mówię po angielsku. – Duma na chwilę wzięła górę nad strachem. – Świetnie – mruknął oschło

Nicolson. – Może więc porozmawiamy? – Obniżył celowo ton głosu o oktawę, zaczął mówić teatralnym szeptem, wyglądało bowiem na to, że niewiele trzeba, by burmistrza przestraszyć. – Gdzie pułkownik Kiseki trzyma w tym domu nadajnik? Kiseki odkręcił się w stronę burmistrza, wściekły, że go przechytrzone, zaczął niezrozumiale coś krzyczeć, lecz urwał w pół zdania, bo Mc\$kinnon grzmotnął go powyżej ucha. – Niech pan nie będzie głupcem, pułkowniku – powiedział znużonym tonem Nicolson. – I niech pan nie usiłuje traktować mnie jak głupca. Kto słyszał o dowódcy wojskowym... zwłaszcza w rejonie, gdzie jest tak gorąco jak tutaj... który dysponuje środkiem łączności półtora kilometra od miejsca przebywania? To oczywiste, że nadajnik jest tutaj i równie oczywiste, że mogę przez całą noc próbować zmusić pana do mówienia. Wątpię, czy burmistrz chciałby ponieść wielką ofiarę dla dobra waszej nieocenionej wspólnoty. – Spojrzął na przestraszonego cywila. – Śpieszę się. Gdzie to jest? – Nie powiem. – Burmistrz zamilkł, lecz mimo to nadal poruszał ustami. – Nie zmusi mnie pan do mówienia. – Nawet siebie pan nie oszuka. – Nicolson spojrzął na Mc\$kinnona. – Wykręćcie mu troszkę ramię, bosmanie. Mc\$kinnon spełnił polecenie. Burmistrz krzyknął, bardziej na wszelki wypadek niż rzeczywiście z bólu. Mc\$kinnon rozluźnił chwyt. – No? – Nie wiem, o co chodzi. Tym razem Mc\$kinnonowi nie trzeba było wydawać poleceń. Szarpnął prawym ramieniem burmistrza wysoko w górę i wykręcił tak, że dotykało

łopatki spodem nadgarstka. Mężczyzna zakwiczał jak świnia na widok topora rzeźnickiego. – Na górze. – Burmistrz łkał z bólu i strachu... głównie ze strachu. – Na dachu. – Moja ręka... złamaliście mi rękę! – Bosmanie, skończcie go teraz wiązać. – Nicolson odwrócił się ze wstrętem. – No, pułkowniku, proszę prowadzić. – Niech to zrobi mój elegancki przyjaciel – wypluł z siebie Kiseki. Zęby miał zaciśnięte, wyraz jego twarzy źle wróżył burmistrzowi,

gdyby kiedyś mieli się spotkać w innych okolicznościach. – On wam może pokazać, gdzie to jest. – Niewątpliwie. Lecz wolałbym, żeby pan z nami poszedł. Pańscy ludzie mogą tam spacerować uzbrojeni w karabiny maszynowe i na pewno nie zawahają się podziurawić burmistrza i mnie jak sito. A pan będzie wykluczającym pomyłki ubezpieczeniem na życie. – Nicolson przełożył karabin do lewej ręki, wyciągnął zza paska jeden z rewolwerów i sprawdził, czy jest odbezpieczony. – Śpieszy mi się, pułkowniku. Chodźmy. Wrócili po pięciu minutach. Nadajnik okazał się kłębem stali i zgruchotanych lamp. Po drodze na nikogo się nie natknęli. Wrzaski burmistrza najwyraźniej nie zwróciły niczyjej uwagi, może dlatego, że drzwi były zamknięte, albo – co bardziej prawdopodobne, zdaniem Nicolsona – dlatego, że służba przywykła do tego typu wrzasków dochodzących z pokoju pułkownika Kiseki. McSkinnon nie pozostał beczynny pod ich nieobecność. Kapitan Findhorn leżał już wygodnie na noszach z trochę przestraszonym małym Peterem w ramionach, przykryty kocami. Z czterech stron noszy kucali japońscy żołnierze. Po bliższym

przyjrzeniu się widać było, że nie mają innego wyjścia, bosman przywiązał bowiem im ręce do uchwytów noszy. Burmistrz i zastępca pułkownika byli związani razem krótką liną łączącą lewy łokieć pierwszego z prawym drugiego. Ofiara Telaka nadal leżała bez ruchu na podłodze. Nicolson podejrzewał, że długo pozostanie w tej pozycji. Nie było śladu szóstego żołnierza. – Świetnie się sprawiliście, bosmanie. – Nicolson rozejrzał się z aprobatą. – A gdzie się podział nasz szósty przyjaciel? – Nigdzie się nie podział. Jest w szatni. – Nie zwracając uwagi na ryki i protesty Kisekiego, McSkinnon usiłował go przywiązać do lewego łokcia burmistrza. – Niezbyt łatwo poszło mi z zamknięciem drzwi, ale jakoś sobie poradziłem. – Doskonale. – Nicolson po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. – Nie ma co dłużej czekać. Ruszajmy. – Dokąd idziemy? – Kiseki rozstawił szeroko nogi, wielką głowę ukrył w ramionach. – Dokąd nas zabieracie? – Telak mówi, że pański prywatny barkas to najlepsza i najszybsza jednostka na tym wybrzeżu. Że nie ma lepszej na odcinku dwustu mil. Jeszcze przed świtem miniemy Cieśninę Sundajską i wypłyniemy na Ocean Indyjski. – Co?! – Twarz Kisekiego wykrzywiła się z wściekłości. – Zabieracie mój barkas?! Nigdy się to nie uda tobie, Angliku, nigdy się tobie nie uda! – Zamilkł, lecz przyszła mu do głowy nowa, jeszcze bardziej wstrząsająca myśl. Rzucił się gwałtownie do przodu, pociągając związaną za sobą dwójkę i w napadzie wściekłości kopnął Nicolsona. – Zabieracie mnie ze sobą, do cholery, zabieracie mnie ze sobą!

–Oczywiście, że tak. Jakże moglibyśmy inaczej – odparł zimno Nicolson. Cofnął się o kilka kroków, by uciec przed zamaszystymi kopniakami Kisekiego i wbił mu z rozmachem lufę karabinu w przeponę, tuż pod mostkiem. Pułkownik zwinął się z bólu. – Jest pan naszą gwarancją na to, że uda nam się bezpiecznie tam dotrzeć. Bylibyśmy szaleni, gdybyśmy nie wzięli pana z sobą. – Nie pójdę – sapnął Kiseki. – Nie pójdę. Możecie mnie zabić, ale nie pójdę. Obozy koncentracyjne! Jeniec wojenny Anglików! Nigdy, nigdy, przenigdy! Możecie mnie zabić! – Nie musimy pana zabijać – zauważył Nicolson. – Możemy pana związać, zakneblować, a nawet ponieść na noszach, jeśli zajdzie potrzeba. – Wskazał głową na drzwi szatni. – Tam tylko się można namęczyć. I skomplikowałoby to sprawy. Jeśli pan sam nie pójdzie, to zaniemiemy pana na noszach. Ale najpierw podziurawimy nogi kulkami, żeby

się pan uspokoił. Kiseki popatrzył na jego twarz o nieubłaganym wyrazie i dokonał wyboru. Poszedł o własnych siłach. \* \* \* Po drodze do przystani nie spotkali ani jednego japońskiego żołnierza. Noc była bezwietrzna, lecz lał uporczywy, rześisty deszcz; ulice Bantuk były wyludnione. Po długim okresie niepowodzeń zaczęło uciekinierom dopisywać szczęście. Vannier i pozostali byli już na pokładzie barkasa. Na straży postawili tylko jednego człowieka; Telak i jego ludzie pracowali bez słowa, tak cicho, jak cicha była spowijająca okolicę noc. Van Effen spał już w koi pod pokładem, Walters miał zacząć nadawanie. Barkas o długości piętnastu i szerokości czterech metrów lśnił i

błyszczał nawet w deszczu i ciemnościach. Przygotowany był do natychmiastowego wyjścia w morze. Willoughby rozgościł się w maszynowni – na widok dużych bliźniaczych, nienagannie utrzymanych silników do ust napływała mu ślinka. Gordon i Evans załadowali na pokład rufowy sześć dodatkowych beczulek paliwa. Mc\$kinnon i Vannier przeszukiwali większe jednostki za falochronem, by uszkodzić w nich radia, a nawet udało im się zniszczyć magneto na drugim barkasie, który stał w porcie. Odpłynęli dokładnie o dziesiątej wieczorem, silnik mruczał cichutko, morze było gładkie jak staw. Nicolson prosił Telaka, by im towarzyszył, lecz ten odmówił twierdząc, że jego miejsce jest wśród własnego narodu. Odszedł po długim molo nawet się nie odwróciwszy. Nicolson wiedział, że już nigdy go nie zobaczą. Kiedy odpływali w ciemność, czterech japońskich żołnierzy przywiązanych do noszy zaczęło przejmująco wrzeszczeć i w beładnej szamotaninie wrywać się w stronę znikającego molo. Lecz krzyki ich raptownie zagłuszył ryk dwóch silników, włączonych na najwyższe obroty, by barkas mógł jak najszybciej okrążyć skraj falochronu i skierować się na południowy zachód w stronę najdalej wysuniętego cypla Jawy i Oceanu Indyjskiego. O wpół do trzeciej nad ranem spotkali się z okrętem australijskim Jej Królewskiej Mości, niszczycielem "Kenmore", klasy Q. C

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*